

Bernard Werber

Imperium

aniołów

Z języka francuskiego przełożyła

Marta Olszewska



„Trzy drogi prowadzące do mądrości to:

Humor

Paradoks

i Zmiana”.

Dan Millman, mistrz świata w gimnastyce,
w konkurencji skoków na trampolinie.

I

KULISY RAJU

1. UMIERAM

Któregoś dnia się umiera.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Więc umieram.

Stało się to bardzo szybko i z hukiem.

Znienacka. Usłyszałem hałas. Odwróciłem się. Ujrzałem dziób Boeinga 747 (prawdopodobnie zagubionego w przestworzach z powodu strajku kontrolerów ruchu lotniczego), który właśnie z impetem wpadł przez okno, przejeżdżał przez mój salon, miażdżył meble, zamieniał w pył moje bibeloty i w szalonym pędzie sunął prosto na mnie.

To bez znaczenia, czy jesteśmy awanturnikami, czy czujemy się eksploratorami i pionierami nowych światów: któregoś dnia wszyscy staniemy w obliczu problemów, które nas przerosną. W każdym razie samolot demolujący mój salon był problemem, który mnie przerósł. Wydarzenia przewijały się w zwolnionym tempie. W ogłuszającym hałasie przestrzeń wokół mnie rozrywała się na tysiące kawałeczków, wśród tumanów pyłu i gruzu mignęły mi twarze pilotów. Jeden wysoki i chudy, drugi mały i łysy. Wyglądali na zaskoczonych. Pewnie po raz pierwszy odwozili pasażerów prosto do domów. Wysoki chudzielec miał twarz wykrzywioną przerażeniem, drugi natomiast przejawiał objawy paniki. Nie słyszałem ich zbyt dobrze ze względu na łomot, ale ten z otwartymi ustami musiał głośno wrzeszczeć.

Cofnąłem się, ale rozpadający samolot, w dodatku Boeing 747, nie zatrzymał się ot tak. W idiotycznym geście zasłoniłem twarz rękoma, skrzywiłem się żałośnie i zacisnąłem powieki. Wciąż miałem nadzieję, że to wszystko jest tylko koszmarem.

Czekałem więc. Niezbyt długo. Może ułamek sekundy, który jednak ciągnął się dla mnie w nieskończoność. Potem uderzenie. Poczułem się tak, jakby ktoś wymierzył mi potężny policzek, który pchnął mnie na ścianę, a następnie zmiażdżył. Wtedy zrobiło się cicho i ciemno. Coś takiego zawsze zaskakuje. Nie tylko pomyłka kontrolerów lotów boeingów, lecz także nasz własny koniec.

Nie chcę dziś umierać. Jestem na to za młody.

Żadnych obrazów, dźwięków, żadnych doznań. Ciii... To źle wróży... Przez system nerwowy wciąż płyną życiodajne soki. Może moje ciało jeszcze uda się „odzyskać”? Przy odrobinie szczęścia ratownicy nadejdą w porę, pobudzą znów serce, zlepią jako tako połamane członki. Dłuższy czas poleżę w łóżku, lecz w końcu wszystko będzie jak dawniej. Będzie się mówiło, że przeżyłem istnym cudem.

No dobra. Czekam na pomoc. Nadejdą. Gdzież się podziali? Już wiem... O tej porze dnia pewnie wszędzie są korki.

Nie mogę się poddać. Śmierć to o jedno poddanie się za dużo. Muszę rozruszać umysł. Muszę myśleć. Ale o czym?

Na przykład o piosence z dzieciństwa.

Bum tralala

chłapie fala,

Po głębinie

Statek płynie...

Jak to dalej szło?

Cholera, pamięć zaczyna strajkować. Biblioteka zamknięta.

Mój mózg zatrzymał się, wiem to, ale... wciąż myślę. Kartezjusz się mylił. Można „już nie być”, a „wciąż myśleć”. To nawet coś więcej niż myślenie: mam pełną świadomość tego, co się dzieje wokół mnie. Wszystkiego. Nigdy w życiu nie byłem równie świadomy.

Czuję, że teraz wydarzy się coś ważnego. Czekam. O, już. Mam wrażenie... Mam wrażenie, że... coś ze mnie wychodzi! Wydzielam jakieś opary. Opary, które przyjmują kształt mojego ciała. Coś na kształt przeźroczystego odbicia mnie samego!

Czy to właśnie jest „dusza”? Ten „inny ja” przepuszczający światło wydobywa się z mojego ciała przez górną część czaszki. Boję się, a jednocześnie jestem bardzo podekscytowany. Potem padam na ziemię.

„Inny ja” przygląda się mojemu dawnemu ciału. Wokoło rozrzucone są moje szczątki. No cóż, nie ma sensu dłużej się oszukiwać, chyba że znajdzie się jakiś chirurg pasjonat układanek... Nie da się już tego odratować.

Dobry Boże, co za uczucie! Lecę. Wznoszę się. Z dawnym ciałem łączy mnie, niczym pepowina, tylko srebrna nitka. Lecę dalej i dalej, a srebrna nić ciągnie się za mną.

Po głębinie

Statek płynie

To ja jestem tym statkiem. Moje ciało unosi się na wodzie. Lecę. Oddalam się od mojego dawnego mnie. Coraz dokładniej widzę Boeinga 747. Samolot jest całkowicie rozbity. Patrzę z lotu ptaka na mój dawny blok. Przypomina ciasto francuskie - piętra położyły się jedne na drugich.

Dryfuję nad dachami domów. Jestem w niebie. Co ja w ogóle tutaj robię?

Jestem profesorem na wydziale antropologii w Paryżu i myślę, że zdołam odpowiedzieć na pańskie pytanie. Za początek ludzkiej cywilizacji uznaje się moment, w którym niektóre naczelnie przestały wyrzucać ciała swych zmarłych na śmietnik, a zaczęły pokrywać je muszlami i kwiatami. Pierwsze ozdobione groby odkryto w pobliżu Morza Martwego. Datuje się je węglem ¹⁴C na 120 000 lat. Oznacza to, że dawno temu ludzie wierzyli, iż następstwem śmierci jest jakiś „magiczny” fenomen. Nie da się też nie zauważyć, iż równocześnie pojawiła się sztuka abstrakcyjna, starająca się opisać ową „magię”. Nieco później powstały pierwsze dzieła fikcyjne, utwory autorów starających się wyobrazić sobie stan „po śmierci”. Prawdopodobnie sami chcieli się tym sposobem uspokoić...

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Coś mnie ciągnie w górę. Cudowne światło. Wreszcie się dowiem. Co się z nami dzieje po śmierci? Co znajduje się ponad naszym światem?

Lot nas miastem.

Lot nad planetą.

Wychodzę poza sferę okołoziemską. Srebrna nitka naciąga się coraz bardziej, aż wreszcie pęka.

Nie da się już zawrócić. Moje życie w skórze Michaela Pinsona, całkiem sympatycznego gościa, naprawdę dobiegło końca.

W chwili gdy opuszczam „życie”, zdaję sobie sprawę, że do tej pory zawsze uważałem śmierć za coś, co przytrafia się tylko innym. Za legendę. Albo za jakąś próbę, której ja nie zostanę nigdy poddany.

Każdy kiedyś umiera. Dla mnie to „kiedyś” nastąpiło dzisiaj.

Myślę, że po śmierci nie ma nic. Zupełnie nic. Myślę, że nieśmiertelność osiągamy, płodząc dzieci, które również będą płodzić dzieci i tak dalej... To one przenoszą w czasie naszą małą pochodnię...

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

2. WIELKI SKOK

Wiem już, że nie mam wyboru. Ziemia jest tylko odległym okruszkiem. Szczątki mojego dawnego ciała zostały właśnie odnalezione przez ratowników.

To dziwne, ale zdaje mi się, że słyszę ich głosy. „Co za okropny wypadek! Nie codziennie samolot uderza w wieżowiec! I jak tu odszukać wszystkie ciała w tej betonowej magmie?”.

No cóż, to już nie mój problem.

Wciąga mnie cudowna poświata. Kieruję się w stronę środka galaktyki. W końcu go widzę. Kontynent zmarłych to czarna dziura pośrodku Drogi Mlecznej.

Przypomina odpływ z umywalki, wciągający wszystko wir. Zbliżam się. Można by go porównać do pulsującego kwiatu, olbrzymiej orchidei ze świetlistej mgiełki.

Ta czarna dziura wciąga wszystko: układy słoneczne, gwiazdy, planety, meteoryty. Mnie także.

Przypominam sobie rysunki map świata zmarłych. Siedem Niebios. Docieram do... Pierwszego Nieba. To niebieski, stożkowaty teren. Z zewnątrz otacza go powłoka z gwieździstego pyłu.

Co roku na Ziemi rodzą się miliony istot ludzkich. Zmieniają tony mięsa, owoców i warzyw w tony odchodów. Poruszają się, rozmnażają, by w końcu umrzeć. Nie ma w tym nic niezwykłego, choć taki właśnie jest sens naszej egzystencji. Rodzić się. Jeść. Poruszać się. Rozmnażać. Zdechnąć.

W międzyczasie czujemy, że nasze istnienie ma jakieś znaczenie, bo z naszych ust wydobywają się dźwięki, a nasze nogi i ramiona poruszają się. Mówię wam:

jesteśmy maluczcy, skończymy jako gnijące ścierwo, by na koniec obrócić się w pył.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

U progu świata zmarłych wyczuwam czyjąś obecność. Wokół mnie inni nieboszczycy, niczym motyle, wędrujące monarchy, pędzące w stronę światła.

Ofiary wypadków drogowych. Skazani na śmierć, którzy właśnie zostali straceni. Torturowani więźniowie. Nieuleczalnie chorzy. Pechowy pieszy, któremu doniczka spadła na głowę. Niedouczony turysta, który pomylił żmiję z zaskrońcem. Majsterkowicz, który zadrapał się zardzewiałym gwoździem, nie będąc zaszczepionym przeciwko tężcowi.

Niektórzy sami się o to prosili. Piloci, amatorzy lotów we mgle, niemający pojęcia o korzystaniu z instrumentów nawigacyjnych. Narciarze szusujący poza wyznaczonymi trasami, którzy nie zauważyli przepaści. Spadochroniarz, któremu w locie spłonął spadochron. Nieuważni treserzy dzikich zwierząt. Motocykliści przekonani, że jednak zdołają wyprzedzić tę ciężarówkę...

To dzisiejszy narybek. Pozdrawiam ich.

Nieco dalej niemal ocierają się o mnie znajome postaci. Rose, moja żona! Amandine, dawna kochanka!

Pamiętam.

Znajdowały się w pomieszczeniu obok, w chwili gdy Boeing 747 spadł na nasz budynek w Buttes-Chaumont. To z nimi przeżyłem wielką przygodę „tanatonautów”.

Tanatonauci, od greckiego słowa *thanatos* oznaczającego „śmierć” i *nautes* - „żeglarz”. Określenie to wymyślił mój przyjaciel Raoul Razorbak. Wokół słowa powstała cała nauka. Wraz z nauką pojawili się pionierzy. Zbudowaliśmy tanatodromy i zainaugurowaliśmy nową gałąź badań eksperymentalnych - tanatonaucykę.

Naszym celem było odkrycie *terra incognita* zaświatów. Dopieiliśmy swego. Unieśliśmy zasłonę ostatniej istniejącej tajemnicy - związanej z ludzką śmiercią. Wspominały o nich wszystkie religie, wszystkie mitologie opisywały je poprzez mniej lub bardziej precyzyjne metafory, my jednak pierwsi zaczęliśmy mówić o zaświatach jako o „normalnym” kontynencie.

Obawialiśmy się, że nie uda nam się doprowadzić naszych badań do końca. Fakt, że ów Boeing 747 spadł, niby przypadkiem, na nasz budynek, jest dowodem na to, że zaczęliśmy przeszkadzać komuś „na górze”.

I znów widzę to, co już kiedyś odkryliśmy... tym razem to jednak podróż w jedną stronę. Nici łączące nas z naszymi ciałami zostały zerwane - wiem już, że powrót do mojej dawnej skóry jest niemożliwy. Odpływ umywalki wsysa nas w coraz węższy tunel. Przemierzamy w całości tę trasę i docieramy do ściany z miękkiej i matowej błony. Ponieważ mach 1 oznaczał pierwszą barierę dźwięku, ja i moi towarzysze nadaliśmy nazwę „Moch 1” pierwszej ścianie śmierci. Dzisiaj, wspólnie, pokonujemy ją.

Waham się. Pozostali prą naprzód z dużą pewnością siebie. Trudno. Ruszam także. Przed nami...

Skandal. To prawdziwy skandal. Jestem pielęgniarzką na oddziale paliatywnym. Codzienne towarzyszenie ludziom w chwilach agonii sprawiło, że wyrobiłam sobie na ten temat pewne zdanie. I uważam, że to skandaliczne. Staramy się zachowywać tak, jakby śmierci nie było. Wnuki patrzają, jak pewnego dnia karetka pogotowia zabiera dziadka do szpitala. Nie widzą go przez kilka tygodni, aż w końcu pewnego pięknego ranka ktoś przez telefon oznajmia im, że dziadek nie żyje. Rezultat: najmłodsze pokolenia nie wiedzą, czym tak naprawdę jest śmierć. Gdy dzieci dorastają, starzeją się i stają w obliczu własnej śmierci - ogarnia je panika. Nie tylko dlatego, że tym razem to one będą musiały zniknąć, lecz także dlatego, że czeka je wielka niewiadoma. Jeśli miałabym coś poradzić dzieciom, powiedziałabym: Nie bójcie się, odwiedźcie dziadków w szpitalu! To będzie dla was najlepsza lekcja... życia.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Przedostaję się przez pierwszą barierę i widzę przed sobą... Drugie Niebo: czarną krainę wszystkich lęków.

Materializują się jako potwory, wychodzą z najskrytszych głębin mojej wyobraźni. Ciemność. Dreszcze. Witają mnie szydercze zmory i współczesne demony.

Na dziewięciu stromych ścieżkach spotykam moje najstraszniejsze koszmary. Wciąż jednak widzę bijące ze środka światło, które cały czas wskazuje mi właściwą drogę.

Staję twarzą w twarz z moimi skrytymi w półcieniu lękami. Dochodzę do kolejnych wrót, do matowej błony. Moch 2. Przechodzę przez nie i docieram do...

Jestem wdową i towarzyszyłam mojemu mężowi w jego ostatnich chwilach. Proces ten można podzielić na pięć etapów. Z początku nie godził się na śmierć. Chciał, by nasze życie toczyło się jak dawniej, opowiadał o tym, co będziemy robić, gdy wróci do domu po chorobie. Następnie, gdy lekarze stwierdzili, że nie ma już dla niego nadziei, wpadł w wielką złość. W pewnym sensie szukał winnego. Oskarżał swojego lekarza prowadzącego o brak kompetencji. Mnie zaś o to, że umieściłam go w nieodpowiednim szpitalu. Twierdził, że chce tylko jego pieniędzy i robię wszystko, by wreszcie dostać po nim spadek. Skarżył się, że wszyscy go porzucili i że bliscy nie odwiedzają go wystarczająco często. Trzeba przyznać, że był tak nieuprzejmy, iż nawet dzieci niechętnie przychodziły do szpitala. Wreszcie uspokoił się i wszedł w trzecią fazę, którą można by zakwalifikować jako „fazę sprzedawcy dywanów”. Targował się: no dobrze, jestem skazany, ale chciałbym przynajmniej dożyć do moich najbliższych urodzin, albo przynajmniej do mistrzostw świata w piłce nożnej. Żebym chociaż zobaczył półfinały. No, przynajmniej ćwierćfinały. Kiedy pojął, że naprawdę z nim źle, wpadł w depresję. To było straszne. Nie chciał z nikim rozmawiać ani nic jeść. To tak, jakby nagle sobie odpuścił. Przestał walczyć, stracił całą energię. Przypominał boksera, który przestaje się bronić i opada na sznury otaczające ring w oczekiwaniu na dobitcie. Wreszcie wszedł w piątą fazę: akceptację. Odzyskał uśmiech. Zażądał walkmana, by móc słuchać swojej ulubionej muzyki. Najbardziej lubił Doorsów, to mu przypominało czasy młodości. Umarł z uśmiechem na ustach, ze słuchawkami na uszach, słuchając: This is the end.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

...czerwonej krainy moich fantazji, po niebieskim świecie u wejścia i czarnym świecie strachu. Tu materializują się moje żądze.

Jestem w Trzecim Niebie. Odczuwam przyjemność, żar, ciepłą wilgoć. Rozkosz. Konfrontacja z najbardziej ekstrawaganckimi fantazjami seksualnymi, najskrytszymi marzeniami. Na jakiś czas tu grzęznę... W moim umyśle pojawiają się wyjątkowo ekscytujące obrazy. Najgorętsze i najbardziej prowokujące aktorki i modelki błagają, bym je wziął w objęcia.

Moja żona i była kochanka padają z kolei w ramiona pięknych efebów.

Chciałbym tu pozostać, lecz czuję się zmuszony skoncentrować na świetle, niczym nurek, który nie może oddalić się od prowadzącego go sznura. Pokonuję Moch 3.

Chcielibyśmy, żeby śmierć nie istniała. Ale właściwie to dobrze, że istnieje - takie jest moje zdanie. Najgorsza rzecz, jaka mogłaby nam się przydarzyć, to nieśmiertelność. Ależ byśmy się nudzili, prawda?

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Czwarte Niebo: pomarańczowa kraina. Terytorium cierpienia z powodu minionego czasu. Pochód zmarłych ciągnie się aż po horyzont, prawie jak kolejka do kasy kinowej.

Sądząc po ich ubraniach, niektórzy zdają się tu czekać od stuleci. Chyba że to statyści filmu katastroficznego, ofiary wypadku na planie. Tak czy owak niektórzy znajdują się tu już od dłuższego czasu.

Czekają.

Pomarańczową krainę chrześcijanie nazwaliby z pewnością czyścicem. Czuję, że i my powinniśmy stanąć na końcu kolejki i czekać. Jednak już na Ziemi zawsze wolałem wypchać się przed pozostałych. Zachowanie to przysporzyło mi zresztą wielu kłopotów, a nawet stało się powodem kilku bójek na pięści. W każdym razie wymijamy kolejkę. Chociaż niektórzy protestują, krzyczą, że nie mamy prawa, nikt nas nie zatrzymuje.

Zmierzając ku początkowi kolejki, cofam się wraz z historią i odkrywam bohaterów bitew homeryckich, o których czytałem na lekcjach w szkole, filozofów greckich, królów państw, które już dawno zniknęły z map.

Miałbym ochotę poprosić ich o autograf, lecz miejsce i okoliczności niespecjalnie się do tego nadają.

Rose, Amandine i ja przelatujemy nad zmarłymi. Stanowią rozległą rzekę płynącą w stronę światła (Styks?). Wejście do pomarańczowej krainy jest jej źródłem, w miarę jak posuwamy się naprzód, rzeka zwęża się coraz bardziej, aż wreszcie staje się niewielkim strumyczkiem. W głębi widać jeszcze jedną matową ścianę. Pokonujemy Moch 4.

Nigdy nie myślę o śmierci. Boję się, że mogę ją tym sprowokować. Żyję tu i teraz, a potem niech się dzieje, co chce - zobaczymy.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Oto jesteśmy w Piątym Niebie. Żółta kraina. Świat Wiedzy. Tutaj poznajemy wielkie tajemnice ludzkości. Przechwytyję po drodze kilka cennych informacji, których niestety nie zdołam już przekazać nikomu z żyjących.

Ogarnia mnie poczucie własnej mądrości. Subtelne głosy wyjaśniają mi kwestie, których nigdy wcześniej nie mogłem pojąć. Jedną po drugiej poznaję odpowiedzi na pytania, które zadawałem sobie przez całe dotychczasowe życie.

Ogonek zmarłych kurczy się.

Wielu nieboszczyków zwleka - są zafascynowani odpowiedziami na pytania, które zawsze tak bardzo ich dręczyły. Strumyk zmienia się w strumyczek. Staram się nie dać oszołomić tymi frykasami dla umysłu. Dążę do światła. Wychodzę z Moch 5 i czuję...

Zdziwienie.

Tak, rzekłbym - obustronne zdziwienie. Zostałem niedawno zwolniony za dobre sprawowanie po odsiedzeniu kary trzydziestu lat więzienia. Mogę więc teraz mówić bezkarnie. Zabiłem czternastu ludzi. Kiedy zabijałem, dziwiłem się na widok zaskoczonych i wzburzonych ludzi, którym właśnie oznajmiałem, że zamierzam położyć kres ich życiu. Najwyraźniej wyobrażali sobie, że życie należy do nich, tak jak samochód, pies czy dom.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

...że znajduję się w Szóstym Niebie. Odkrywam Piękno. Wizje jak ze snów, wrażenie kolorów i harmonii. Czuję się brzydki i głupi. Wielu nieboszczyków grzęźnie tutaj, zafascynowanych Pięknem.

Rose, moja żona, ciągnie mnie za ramię. Musimy iść dalej i nie dać się usidlić przez ten widok.

Idziemy naprzód. Jest nas coraz mniej.

Opuszczamy Moch 6 i docieramy do Siódmego Nieba, do białej krainy.

Tutaj migracja dusz zdaje się kończyć. Światło wydobywa się z głębi łańcucha górskiego. Najwyższy szczyt emanuje intensywnym blaskiem. Kieruję się w jego stronę. Wąska ścieżka prowadzi na Równinę Sądu.

Pośrodku długa rzeka zmarłych jest już zaledwie strużką. Płynie kropla za kroplą. Każda dusza czeka, by stojąca przed nią została wezwana do okienka, robi wtedy kolejny krok i staje na specjalnej, wyznaczającej granicę linii.

Rose, Amandine i ja wciskamy się do kolejki.

Podchodzi do nas przeźroczyta istota. Już na pierwszy rzut oka wiem, kto to. Klucznik. Odźwierny bramy do raju. Dla Egipcjan to Anubis, bóg zmarłych, dla hinduistów - Jama, Charon, przewoźnik na rzece Styks - dla Greków, Merkury, przewodnik dusz - dla Rzymian i święty Piotr - dla chrześcijan.

- Proszę za mną...

Rosły brodacz popatrzył na mnie z lekką wyższością.

- Zgoda.

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Super, słyszy to, co mówię. Prowadzi nas wprost na Wyżynę Sądu Ostatecznego. Stajemy przed trzema sędziami, którzy przypatrują nam się w milczeniu. Słyszę, jak święty Piotr informuje ich:

Nazwisko: Pinson

Imię: Michael

Narodowość: francuska

Włosy w ostatnim życiu: brązowe

Oczy: brązowe

Wzrost w ostatnim życiu: 1,78 m

Znaki szczególne: brak

Wada: brak wiary w siebie

Zalety: ciekawość

Wiem, kim są sędziowie. Oni również przyjmują różne imiona w zależności od mitologii: Zeus, Temida, Tanatos dla Greków. Maat, Ozyrys, Thot dla Egipcjan. Izanami, Izanagi, Omoi-kane dla Japończyków. Trzej archaniołowie: Gabriel, Michał i Rafał dla chrześcijan.

- Zważymy teraz twoją duszę - oznajmia najwyższy z trzech, Gabriel.

Czyli ta ektoplazma rzeczywiście jest moją duszą...

- Osądźmy ich wszystkich naraz - dodaje najgrubszy, Rafał.

Rozprawa nie trwa długo. Archaniołowie oskarżają nas o zdradzenie zbyt wielu sekretów dotyczących zaświatów, o podzielenie się wiedzą, którą zdobyliśmy podczas naszych badań w dziedzinie tanatonautyki - a jest ona zarezerwowana jedynie dla Wielkich Wtajemniczonych. Nie mieliśmy prawa wyjawiać ludziom sensu życia i śmierci.

- Gnani ciekawością, odkryliście Siedem Niebios i opowiedzieliście o nich w sposób czysto... bezinteresowny i laicki!

- Nikt nie wydał wam pozwolenia na szerzenie tego typu tajnych informacji.
- Gdybyście przynajmniej skryli je za otoczką paraboli i mitologii...
- Gdybyście chociaż uzależnili wyjawienie ich od przejścia pewnej inicjacji...

Archaniołowie wymieniają wszystkie szkody, jakie mogły wyrządzić zdradzone przez nas sekrety o świecie zmarłych.

- Ludzie mogliby zacząć popełniać samobójstwa wyłącznie z pobudek „turystycznych”, z chęci „zwiedzenia” Raju!

- Na szczęście zareagowaliśmy w porę, by stłumić w zarodku wasze nietaktowne działania!

Archaniołowie stwierdzili, że chyba będą zmuszeni zniszczyć wszystkie dzieła na temat tanatonautów oraz wszystkie księgarnie i biblioteki je przechowujące. Uznali, że trzeba będzie sfalszować pamięć kolektywną ludzkości, by wymazać z niej wszelki ślad naszych badań. Na szczęście okazało się, że nie będzie to konieczne. Książka o tanatonautach nie wywołała właściwie żadnego oddźwięku. Nieliczni czytelnicy, którzy sięgnęli po nią przypadkiem, pomyśleli pewnie, że to zwykła powieść science fiction, jakich wiele. Wydarzenie, jakim było ukazanie się naszej książki, nie zostało w żaden sposób dostrzeżone, utonęło w morzu innych publikacji.

Na tym bowiem polega współczesna cenzura. Polega już nie na tuszowaniu, lecz na gubieniu ważnych treści w masie innych. Drażliwe książki dusi się w natłoku nudnych i banalnych pozycji.

Tak więc archaniołowie nie muszą interweniować bezpośrednio. Musimy jednak zostać ukarani za to, że wzbudziliśmy ich niepokój. Jest tylko jeden możliwy werdykt: winni.

- Jaka czeka nas kara? - pyta Amandine. - Piekło?

Trzej archaniołowie spoglądają na nią pobłaźliwie.

- Piekło? Przykro nam, ale coś takiego nie istnieje. Jest tylko Raj albo... Ziemia. Ci, którym się nie udaje dostać do Raju, skazywani są na reinkarnację i powrót na Ziemię.

- Czyli właściwie można powiedzieć, że Ziemia jest Piekłem - stwierdza z rozbawieniem archanioł Rafał.

Archanioł Gabriel dodaje:

- Reinkarnacja to trochę jak matura. Kiedy oblewamy egzamin, powtarzamy klasę. Jeśli o was chodzi, właśnie oblaliście. Wracacie zatem do punktu wyjścia, czeka was powtórka z życia.

Pochylam głowę.

Rose - moja żona, Amandine - moja przyjaciółka i ja, wszyscy myślimy sobie:

„Kolejne życie na marne”.

Ile osób przed nami musiało podobnie westchnąć?

Jednak następni nieboszczycy niecierpliwia się. Musimy zwolnić miejsce. Święty Piotr odprowadza nas w stronę góry. Wspinamy się na jej wierzchołek, z którego bije potężny promień światła. To właśnie ono nas tu doprowadziło. Tuż pod nim widnieją dwa wejścia do korytarzy biegnących do wnętrza góry. Pierwszy otwór ma brunatną otoczkę, drugi zaś niebieską. Brunatny prowadzi ponownie w stronę Ziemi, niebieski wiedzie do krainy aniołów. Nie ma żadnych drogowskazów, lecz jak wszędzie tutaj, informacje zapisane są bezpośrednio w naszych umysłach.

Skinąwszy nam głową na pożegnanie, święty Piotr oddala się, pozostawiając nas przed brunatnym korytarzem.

- Do zobaczenia wkrótce, po waszym kolejnym życiu! - rzuca lakonicznie.

Ruszamy w głąb tunelu. W połowie drogi zatrzymuje nas błona podobna do tych, które odgradzały Siedem Niebios od siebie. Kiedy pokonamy tę przeszkodę, runiemy w dół do kolejnego życia. Amandine spogląda na mnie, gotowa do drogi.

- Żegnajcie, przyjaciele. Postarajmy się odnaleźć w naszym przyszłym istnieniu.

Dyskretnie puszcza do mnie oko. Nie udało jej się zdobyć mnie jako stałego partnera w tym życiu, liczy więc, że uda jej się to w następnym.

- Naprzód w stronę nowych przygód! - woła, rzucając się w dół.

Rose przytula się do mnie. Szepczę jej do ucha słowa, którymi tanatonauci wznoszą swój okrzyk bojowy podczas wielkich bitew na kontynencie zmarłych.

- Ty i ja, razem, przeciwko tym wszystkim imbecydom!

Nie mamy ciała, by mogły one złączyć się w uścisku, nasze dwie ektoplazmy całują się więc w usta. Moje wargi nie czują nic, lecz mój „byt” czuje się wzruszony.

- Razem... - powtarza jak echo Rose.

Jeszcze przez chwilę trzymamy się za ręce. Za końce palców. Nasze palce wskazujące stapiają się w jedno, następnie tylko się muskają, wreszcie rozdzielają się.

Rose odwraca się, by zakończyć już tę przykrą chwilę, i rusza w stronę swojej nowej inkarnacji.

No dobra, teraz moja kolej. Zapuszczam się energicznym krokiem w głąb korytarza, powtarzając sobie, że muszę w następnym życiu pamiętać, iż kiedyś byłem tanatonautą.

Moja ektoplazma drży. Wreszcie dowiem się, co kryje się za tą ścianą...

Po drugiej stronie śmierci znajduje się...

Dobry chwyt! Oto co się liczy! Dobry chwyt i odpowiednia ilość talku na dłoniach. Jestem cyrkowym akrobatą. Trapezistą. Bez siatki. Przy dobrym chwycie wiem, że nic mi nie grozi. Zresztą nigdy nie myślę o śmierci i dobrze mi z tym. Wiem, że kiedy się spojrzy w dół, łatwo wtedy spaść. Więc nie znam śmierci. I tak, mówiąc między nami, wolałbym rozmawiać o czymś innym. Widział pan już mój występ?

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

3. APELACJA

...ręka. Czyjaś ręka łapie moją duszę i nieruchomieje.

Przeźroczysty osobnik uniemożliwił mi skok, a teraz oświadcza, rozwścieczony, że to skandal, iż mój proces odbył się podczas jego nieobecności.

- To niezgodne z procedurą, musimy to powtórzyć.

Dla Rose i Amandine też wszystko mogłoby potoczyć się inaczej, ale dla nich jest już za późno. Zaszły już zbyt daleko w głąb korytarza. Ja mogę jednak stanąć ponownie przed Sądem.

Mój rozmówca jest niskim, brodatym człowieczkiem o rozgorączkowanym spojrzeniu ukrytym za binoklami. Ciągnie mnie, popycha, naciska. Twierdzi, że jest moim „aniołem stróżem”.

A więc miałem swojego anioła stróża? Kogoś, kto czuwał nad moimi poczynaniami? Może nawet pomagał... Wiadomość ta dodaje mi otuchy i zadziwia jednocześnie. A zatem nie byłem sam. Przez całe życie ktoś mi towarzyszył. Przyglądam mu się uważniej.

Ta krucha sylwetka, ta bródka, te okulary rodem z dziewiętnastego wieku... Wydaje mi się, że gdzieś go już widziałem.

Mężczyzna przedstawia się: Emil Zola.

- Emil Zola, autor *Terminalu*? - Do usług, proszę pana. Ale nie czas teraz na uprzejmości. Czas nas goni. Pośpieszmy się.

Twierdzi, że śledzi moje życie od samego początku i zapewnia, że nie powinienem się

teraz poddawać.

- Intryga... hm, to znaczy karma była dobra. Skok nieudany. Ale przede wszystkim procedura osądzenia duszy nie została dopilnowana. Wyrok jest niesprawiedliwy.

Krzywdzący. Antyspołeczny.

Emil Zola wyjaśnia mi, że zgodnie z literą obowiązującego w Raju prawa anioł stróż powinien być obecny podczas ważenia mojej duszy, by móc w razie potrzeby posłużyć mi za adwokata.

Wyciąga mnie z tunelu i popycha w stronę miejsca, gdzie wciąż siedzą trzej archaniołowie. Przepychając się, dociera do nich i żąda wznowienia procesu. Grozi, że nada tej sprawie rozgłos. Obiecuje, że jego interwencja wejdzie do orzecznictwa. Powołuje się na wszystkie zasady obowiązujące w Raju. Grzmi:

- Oskarżam archaniołów o oszustwo podczas ważenia duszy mojego klienta. Oskarżam archaniołów o odrzucenie naprędce niewygodnego dla nich procesu. Oskarżam wreszcie Sąd Niebieski o to, że zależało mu na jak najszybszym odesłaniu tej duszy, której jedynym grzechem jest nadmierna ciekawość!

Najwyraźniej archaniołowie nie spodziewali się takiego przedstawienia. Zapewne nie co dzień ktoś ośmiela się podać w wątpliwość słuszność ogłoszonego przez nich wyroku.

- Panie Zola, bardzo proszę. Musi pan przyjąć werdykt Sądu Niebieskiego.

- Nie ma mowy, panie Archaniele Gabrielu. Mówię i powtarzam, że rozpatrując mojego klienta jedynie pod kątem jego działań jako tanatonauty, zapomnieli sędziowie pochylić się, jak powinni to uczynić, nad jego życiem i codziennymi uczynkami. Tymczasem od tego powinno się zacząć. Nalegam, bowiem pan Michael Pinson wiódł bardzo przykładne życie. Był dobrym mężem, ojcem, obywatelem, wyjątkowym przyjacielem, jego bliscy mogli zawsze na niego liczyć. Całe jego życie było doskonałe i prawe. Liczne były jego szczodre gesty, a w zamian każe mu się wrócić i cierpieć na Ziemi. Nie pozwolę, by jego dusza została tak bezceremonialnie spalona!

Po chwili milczenia Rafał rzekł:

- Hm... Co pan o tym sądzi, panie Pinson? W końcu to pan jest głównym zainteresowanym, jak mniemam. Czy chce pan ponownie stanąć przed sądem?

Teraz, gdy wszyscy, których kocham, Rose, Amandine, Raoul i Freddy, nie są już przy mnie, czuję się nieco demotywowany. Muszę jednak przyznać, że zapal Emila Zoli łatwo się udziela. Gdyby Dreyfus miał innego obrońcę, bez wątpienia jego sprawa nigdy nie zostałaby ponownie rozpatrzona.

- Chcę zostać... ponownie osądzony.

Emil Zola promienieje.

Archaniołowie wyglądają na niezadowolonych.

- No dobrze, dobrze, jeszcze raz zważymy tę duszę - zgadza się archanioł Michał.

Od śmierci mamy odnoszę wrażenie, że moje życie straciło wszelki sens. Jestem tutaj, to prawda, ale wciąż żyję tylko wspomnieniami o niej. Była dla mnie wszystkim. Teraz czuję się zagubiony.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

Mój proces może wreszcie odbyć się jak należy. Trzej archaniołowie przedstawiają mi minione życie i pomagają skomentować każdy dobry i zły uczynek. Kryteriami przy ocenie moich działań są ewolucja, empatia, atencja i chęć czynienia dobra. Widzę moje życie jako mozaikę ulotnych chwil, jak film wideo, którego niektóre fragmenty przewijane są szybciej, inne w zwolnionym tempie. Czasami obraz zatrzymuje się, bym mógł lepiej zdać sobie sprawę z tego, co się wówczas wydarzyło.

Wreszcie rzucam ostatnie trzeźwe i zdystansowane spojrzenie na wszystkie dokonania Michaela Pinsona. Nim mnie osądzą, sam się osądzę. Dziwne uczucie. A więc takie było moje życie? Przede wszystkim uderza mnie fakt, że tyle czasu zdołałem zmarnować. Bałem się. Stwierdzam, że zawsze powstrzymywał mnie strach przed nieznanym.

Jak na istotę, której największą zaletą jest ciekawość, to doprawdy paradoksalne zjawisko. Ileż inicjatyw zahamował ów strach!

Ciekawość pozwoliła mi jednak także odciąć się od rutyny, od skostnienia bytu. Mogło być gorzej.

Widząc się ponownie, dostrzegam jeszcze mój pociąg do pustelniczego trybu życia. Ileż to razy chciałem po prostu być sam, w spokoju, z dala od ludzi, na jakiejś bezludnej wyspie albo w szałasie uczepionym skalnego występu...

Moje życie przypomina teraz obraz, a archaniołowie niczym wprawni krytycy sztuki wyjaśniają mi, w jaki sposób mógłbym jeszcze poprawić owo dzieło i dlaczego jest ono jedyne w swoim rodzaju. Gratulują mi nawet niektórych czynów, zasługujących najbardziej na uznanie.

Inne momenty mojej egzystencji są mniej chwalebne. Niewielkie przejawy lenistwa w większości przypadków. Głównie w celu osiągnięcia świętego spokoju.

Każdy z moich uczynków jest długo dyskutowany. Mój adwokat stara się jak może.

Archanioł Michał sumuje dodatnie i ujemne punkty. Słyszałem, że potrzebuję 600, aby uniknąć reinkarnacji. Obliczenia są bardzo dokładne: każdemu kłamstwu, każdemu miłosnemu porywowi, każdemu wyrzeczeniu i każdej inicjatywie przypisana jest pewna liczba punktów. Pod koniec Archanioł Michał podaje wynik: 597 na 600.

Nie zdałem. Niewiele brakowało, ale jednak się nie udało.

Adwokat zrywa się na równe nogi.

- Twierdzę, że obliczenia zostały sfałszowane i żądam nowego przeliczenia punktów. Prześledźmy jeszcze raz wszystkie uczynki po kolei. Oskarżam...

Słyszę za nami zniecierpliwione westchnięcia dusz, które czekają na swoją kolej. Archanioł Gabriel, wyraźnie zmęczony tymi wszystkimi „oskarżeniami” wysuwanymi przez mojego anioła stróża, poddaje się: archaniołowie szybko naradzają się, śpieszno im bowiem, by się nas wreszcie pozbyć. Nowy werdykt:

- Dobrze, świetnie, dosyć tego, wygrał pan. Zaokrąglamy do 600. Zostaje pan uwolniony z kręgu reinkarnacji. Może pan sobie pogratulować, że trafił pan na tak upartego anioła stróża - mówi święty Michał.

Emil Zola klaszcze w dłonie, zachwycony.

- Prawda zawsze w końcu triumfuje!

Archaniołowie oznajmniają mi, że z 600 punktami jestem odtąd szóstką.

- Co to jest szóstka?

- Istota na szóstym poziomie świadomości. Jeśli tylko sobie tego życzysz, możesz się uwolnić od cielesnego więzienia.

A więc mam wybór. Wrócić na Ziemię, by w nowej inkarnacji zostać Wielkim Wtajemniczonym mającym za zadanie naprowadzać ludzi na właściwą drogę - zachowałbym wówczas niejasne wspomnienie swego pobytu w Raju. Druga opcja pozwoliłaby mi zostać aniołem.

- A kim właściwie jest „anioł”?

- Istotą ze światła odpowiedzialną za trzy dusze ludzkie. Musi doprowadzić do tego, by choć jedna z nich opuściła krąg reinkarnacji. Tak jak to właśnie uczynił dla ciebie Emil Zola.

Rozmyślałem przez chwilę. Obydwie propozycje są kuszące.

- Pospiesz się, za tobą wielu czeka na swoją kolej - mruknął Archanioł Gabriel. - No więc, jaka jest twoja decyzja?

Śmierć? Nie mam się czego obawiać. Wiem, że czuwa nade mną mój anioł stróż, który chroni mnie przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Kiedyś, gdy

przechodziłem przez ulicę, poczułem nagle, że po prostu muszę się cofnąć. Możecie mi wierzyć albo nie, ledwie zrobiłem krok w tył, jakiś motor, którego wcześniej nie zauważyłem, po prostu otarł się o mnie. Jestem pewien, że to mój anioł stróż mnie ostrzegł.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

4. ANIOŁ

- Chcę być aniołem.

- To dobry wybór, nie pożałujesz go - zapewnia mnie Emil Zola.

Archaniołowie nalegają, byśmy zrobili miejsce dla następnych w kolejce. Mój anioł stróż ciągnie mnie do wejścia drugiego tunelu w górze. Z jego ścian bije niebieska poświata, na myśl przychodzi mi podświetlony od dołu diament.

Emil Zola zostawia mnie przed tą oświetloną jaskinią i jeszcze raz mi gratuluje. Wchodzę do tunelu. Wejście znów zasłania błona. Unoszę ją niczym kurtynę w teatrze. Po drugiej stronie, pośrodku korytarza, stoi wyprostowany nonszalancki jegomość.

- Witam wśród aniołów. Jestem pańskim aniołem instruktorem.

- Anioł instruktor? A któż to taki?

- W procesie kształtowania duszy przejmuję pałeczkę po aniele stróżu - oznajmia nieznamy, jakby to była najbardziej oczywista rzecz.

Przyglądam mu się.

Przypomina Kafkę. Długie, szpiczaste uszy. Oczy w kształcie migdałów. Trójkątna, lisia twarz. Rozgorączkowane spojrzenie.

- Nazywam się Wells.

- Wells? Ten Wells?

Jego oblicze rozciąga się w uśmiechu.

- Nie, nie. Jestem Edmund Wells, nie mam nic wspólnego z H.G. Wellsem czy Orsonem Wellesem, jeśli o to panu chodziło. Ale przyznam, że lubię swoje nazwisko. Wie pan, co ono znaczy po angielsku? „Studnie”. Mogę być studnią, z której będzie pan czerpał do woli. Ale skoro przyjdzie nam spędzić razem trochę czasu, może przejdziemy na „ty”?

- Nazywam się Pinson, Michael Pinson. I nie mam nic wspólnego z ptakiem¹.

Wells poklepuje mnie po ramieniu, choć wcale tego nie czuję.

- Bardzo mi miło, aniele Michaelu.

Dziwnie się czuję, słysząc słowo „anioł” w bezpośrednim towarzystwie mojego własnego imienia, jakby coś w rodzaju „doktora” czy „mistrza”.

- Czym się zajmowałeś w „cywilu”? - pytam go.

- W ostatnim życiu, zanim opuściłem krąg reinkarnacji? No więc, powiedzmy, że byłem badaczem, trochę tak jak ty. Z tym że mnie bardziej niż to, co „nad nami”, interesowało to, co „pod”... Podziemie.

- Podziemie?

- Tak, życie ukryte pod skorupą ziemską. Leśne krasnale.

Ramię w ramię idziemy przez niekończący się, wydrążony w skale tunel. Nagle zatrzymuję się.

- Edmund Wells. Edmund Wells...

Powtarzam sobie to imię w zamyśleniu. Gdzieś już o nim czytałem. W jakiejś gazecie. Czekam, aż wróci mi pamięć. Jest!

- Czy przypadkiem nie byłeś zamieszany w morderstwo producenta środków owadobójczych?

- Chyba gorzej z tobą.

„Leśne krasnale”... Marszczę czoło.

- To ty skonstruowałeś aparaturę do porozumiewania się z mrówkami!

- Nazwałem ją „Kamieniem z Rosetty”, gdyż służyła do komunikacji pomiędzy dwiema najbardziej skomplikowanymi cywilizacjami naszej planety, które mimo to nie potrafiły nawzajem się docenić: ludźmi i mrówkami.

Odnoszę wrażenie, że słyszę w jego głosie pewną nostalgię.

- Przyuczę cię do „zawodu” anioła, zapoznam z obowiązkami, metodami i możliwościami - zmienia temat Edmund Wells. - Przede wszystkim nie możesz zapomnieć, że już sam fakt bycia tutaj jest WYJĄTKOWYM PRZYWILEJEM.

Tłucze mi dalej do głowy:

- ROZUMIESZ PRZYNAJMNIJ, ŻE MÓC JUŻ SIĘ WIĘCEJ NIE ODRADZAĆ JEST NAJPIĘKNIEJSZYM PREZENTEM, NA JAKI CZŁOWIEK MOŻE LICZYĆ?

Zaczyna do mnie docierać, że zostałem uwolniony z kręgu reinkarnacji.

¹ Pinson (franc.) - zięba (przyp. tłum.)

- A czego dokładnie mnie nauczysz?

5. ENCYKLOPEDIA

SENS ŻYCIA: „Ewolucja jest celem wszystkich działań”.

Na początku była...

Zero: Pustka.

Pustka uczyniła miejsce dla materii. Ona zaś dała:

Jeden: Minerale.

Minerał ewoluował w kierunku życia. Otrzymaliśmy więc:

Dwa: Roślinę.

Roślina zmieniła się w ciało ruchome. Tak powstało:

Trzy: Zwierzę.

Ewolucja sprawiła, że zwierzę zyskało świadomość. Tak powstał:

Cztery: Człowiek.

Człowiek rozwijał się, a świadomość pozwoliła mu zyskać dostęp do mądrości. Dzięki temu powstał:

Pięć: Człowiek myślący.

Ów bystry człowiek ewoluował w stronę czystej jaźni, wolnej od wszelkiej materii. Następnym etapem był już:

Sześć: Anioł.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

6. EDMUND WELLS

- Czyli jestem szóstką?

- Czyli jesteś „aniołem” - poprawia mnie Edmund Wells.

- Byłem przekonany, że anioły mają aureolę nad głową, a na plecach skrzydełka.

- Wyobrazenie to ma antyczne korzenie. Aureola nawiązuje do metalowej płytki, jaką Rzymianie osłaniali pomniki świętych chrześcijańskich, by chronić je przed ptasimi odchodami. Skrzydełka zaś na plecach mają tradycję, której początków szukać należy w sztuce Mezopotamii, gdzie były one znakiem przynależności do wyższego świata. Tak więc nietrudno było o skrzydlate konie, byki i lwy...

- Na czym właściwie polega bycie aniołem?

Spoglądam na swoją dłoń. Tęczowy blask, którego do tej pory nie zauważyłem, otacza moje ciało, od którego bije teraz granatowa poświata.

- Zmiany fizyczne nie są najistotniejsze - ciągnie Edmund Wells. - Nowy stan, w jakim się znajdujesz, sprawia, że odtąd inaczej patrzysz na istoty i rzeczy.

Edmund Wells wyjaśnia mi, na czym będzie polegał mój nowy zawód. Zostaną mi powierzone trzy dusze ludzkie. Muszę się postarać, by choć jedna z nich zdobyła 600 punktów, stała się „szóstką” i opuściła tym sposobem krąg reinkarnacji. Moim zadaniem będzie podążać za nimi i pomagać im w ich życiu na Ziemi. Po śmierci posłużę im za adwokata podczas ważenia duszy przed sądem trzech archaniołów.

- Tak jak Emil Zola uczynił to dla mnie przed chwilą?

Edmund Wells kiwa głową.

- Dzięki temu Emil Zola mógł wstąpić na wyższy poziom anielskiej ewolucji.

Rozumiem już, skąd ten upór u Emila Zoli w obliczu moich sędziów i wielki entuzjazm po tym, jak udało mu się osiągnąć sukces.

- Na czym polega „wyższy poziom anielskiej ewolucji”?

Mój mentor tłumaczy, że po przebyciu każdego etapu otrzymam dodatkowy zasób wiedzy. Teraz muszę jedynie wypełnić moje zadanie jako anioł, po czym przejdę inicjację do wyższego świata.

Prowadząc te rozważania, docieramy do końca tunelu. Brzeg otworu wyjściowego promienieje tym samym diamentowym blaskiem w kolorze granatu, który bił od wejścia. Przed nami rozciąga się „kraina aniołów”.

Anioły? Przykro mi, nie wierzę. To tylko kwestia mody. Raz jest moda na anioły, raz na kosmitów. Pożywka dla próżniaków i przesądnych. Mogą dzięki temu zapomnieć o bezrobociu i kryzysie gospodarczym.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

7. KRAINA ANIOŁÓW

Ogarniam wzrokiem olbrzymią panoramę rozciągającą się przede mną.

- Nie musisz chodzić po podłożu - przypomina mi Edmund Wells. - Koniec z grawitacją, uwolniliśmy się od materii. Możesz przemieszczać się w przestrzeni, dokąd chcesz i jak chcesz.

Gdyby nie to, że podłoże było przezroczyste, lekko zabarwione na mleczny kolor, można by sądzić, że wciąż znajdujemy się na „normalnym” ludzkim terytorium.

Edmund Wells pomaga mi się zorientować w tej nowej przestrzeni:

- Na zachodzie znajduje się równina, po której anioły przechadzają się, gdy mają ochotę na pogawędkę. Na północy strome góry, a w nich jaskinie, w których możemy odizolować się na jakiś czas i побыć w samotności. Chodź. Wespnijmy się na górę.

Z tego miejsca cała kraina przypomina mi oko. Pośrodku białego terytorium w kształcie migdała znajduje się turkusowy krąg. Niczym tęczęwka. To las błękitnych drzew. Środek tęczęwki zajmuje czarne jezioro - źrenica. Jednak w przeciwieństwie do prawdziwej ludzkiej źrenicy, jezioro to nie ma kształtu okręgu, lecz... serca. Raj jest więc turkusowym okiem, spoglądającym na mnie czarnym sercem źrenicy.

- To Jezioro Poczęć - oznajmia mi Edmund Wells.

Podchodzimy do tej ciemnej strefy. Otaczające nas turkusowe drzewa przypominają pinie o płaskich i gęstych wierzchołkach.

Pod drzewami - anioły. Większość z nich siedzi po turecku, lewitując metr nad ziemią, pod gałęziami, a przed nimi unoszą się trzy okręgi tworzące kształt trójkąta. Anioły kontemplują je z dużym zainteresowaniem. Niektórzy są zdenerwowani, inni podekscytowani. Przyglądają się na zmianę każdemu z okręgów.

Na przestrzeni wielu kilometrów tysiące aniołów siedzą tak i patrzą. Mam ochotę poobserwować ich przez chwilę, lecz mój instruktor już ciągnie mnie ku górze.

- Cóż to za drzewa?

- Tak naprawdę to nie są drzewa, służą do poprawiania emisji i odbioru fal pochodzących z Ziemi.

Zataczamy w powietrzu kręgi. Odkrywam południe, doliny, w których anioły zbierają się na narady w podgrupach.

Skręcamy.

Na wschodzie jeszcze jedno wejście, od którego bije zielony blask. Migocząca

światlista jasność. Czarne odbłaski jeziora, turkusowe drzew i perliste podłoża.

- Szafirowe Wrota to wejście do krainy aniołów, tamtędy się tu dostałeś.

Edmund Wells wskazuje mi na wschodzie pobłyskującą na zielono jaskinię.

- Szmaragdowe Wrota to wyjście, nimi właśnie opuścisz to miejsce po zakończeniu swojej anielskiej misji. Chodźmy porozmawiać na zachodniej równinie. Znam spokojny zakątek, gdzie będziemy mogli odbyć pierwszą lekcję.

Sekret cyfr stanowi temat pierwszej lekcji danej mi przez Edmunda Wellsa. Wyjaśnia mi, że forma cyfr używanych na Zachodzie ma pochodzenie indyjskie i wytycza drogę ewolucji życia. Pozioma linia oznacza przywiązanie, łuk - miłość, skrzyżowanie - wybór.

1: Mineral. Prosta pionowa kreska bez łuku czy linii poziomej. Brak przywiązania, brak miłości. Mineral nie wie, co to uczuciowość.

2: Roślina. Linia przywiązania do ziemi: korzeń. Nad nią łuk miłości zwrócony ku niebu: liść lub kwiat kochający światło.

3: Zwierzę. Dwa łuki miłości. Zwierzę kocha ziemię i niebo. Brak linii przywiązania oznacza, że z niczym się nie łączy. Targane emocjami.

Mam wrażenie, że gdzieś to już słyszałem. Po co mi się to zatem powtarza? Czy biorą mnie tu za głupca?

- Te informacje dotyczące kształtu cyfr indyjskich wydają ci się banalne - ciągnie Edmund Wells - a jednak przekazują prawdziwe tajemnice, prawdziwe sekrety i prawdziwe arkana ewolucji świadomości. Dlatego właśnie tak ważne jest bezustanne ich powtarzanie. Świat ewoluuje zgodnie z symboliką cyfr indyjskich.

Edmund Wells wraca do swoich rysunków na tablicy z chmur.

- 4: Człowiek. Symbolizuje go krzyż. Czyli ma wybór. Znajduje się na skrzyżowaniu, w miejscu, gdzie podejmuje się decyzje co do nowych kierunków, jakimi będzie się podążać. Człowiek może zejść do stadium zwierzęcia „3” lub wspiąć się wyżej.

Mój instruktor kreśli w powietrzu kształt cyfry 5.

- 5: Mędrzec. Pozioma linia przywiązania do nieba i łuk miłości skierowany ku ziemi. Jego umysł buja w obłokach, a serce kocha świat...

- Jakby odwrotność „dwójki” - stwierdzam, wreszcie zaciekawiony lekcją...

- ...5 ewoluuje w stronę... jeszcze większej dawki świadomości. Wolności. Złożoności. 5 chce się uwolnić z cielesnego więzienia narzucającego mu strach i ból. Chce stać się „szóstką”.

Edmund Wells zapisuje cyfrę 6.

- 6 jest jedną wielką krzywą. Łukiem miłości, gdyż anioł kocha. Spójrz na tę spiralę.

Miłość biegnie z góry, z nieba ku ziemi, by następnie zwrócić się do swego środka. Ta miłość zatacza krąg, by zakończyć na umiłowaniu samego siebie.

- Czy wszystkie „szóstki” są takie same?

- Nie. Ale tylko „szóstki” są do tego zdolne. A ja mam zamiar zmienić cię tak, byś stał się godnym tej nazwy.

- Co z siódmką?

Edmund Wells zrobił niezadowoloną minę.

- Dzisiejsza lekcja kończy się na szóstce. Możesz poznać wyłącznie samego siebie. Skup się na obecnym zadaniu i nie rozpraszaaj myśli. Nie jestem maszyną, która będzie odpowiadać na wszystkie twoje pytania. Chodź!

Ponownie wznosi się nad ziemię. Muszę się przyzwyczaić do tego sterowania ciałem w trzech wymiarach, tak jakbym nurkował. Tyle tylko że podczas nurkowania ruchy są ociężałe i zwolnione przez opór wody, tu zaś każdy gest jest płynny.

Są też inne czynności, z którymi muszę się oswoić, na przykład: z nieoddychaniem.

Stwierdzam, że do tej pory moje ciało kołysało się, niemal bezwiednie, w rytm ruchu płuc. Dyskretny metronom odmierzał całe moje istnienie. Tutaj zanikł. Znalazłem się w nieskończoności i bezcielesności.

Edmund Wells oznajmia mi, że teraz pora na wybranie pionków, którymi rozegram swoją partię. Ciągnie mnie nad brzeg czarnego jeziora w kształcie serca. Przyglądając się mu uważniej, dostrzegam na jego powierzchni obrazy. Jezioro to swego rodzaju olbrzymi ekran, a właściwie mozaika tysięcy maleńkich ekraników. Na każdym z nich widać nagie, splecione w uścisku i poruszające się rytmicznie ciała. Nie muszę przecierać swoich nieistniejących oczu. Nie śnię, to naprawdę są uprawiające miłość pary.

- Czy to kącik... filmów porno?

Edmund Wells wzrusza ramionami.

- To Jezioro Poczęć, nad którym przelatywaliśmy chwilę temu. Tutaj wybierzesz rodziców istot, które weźmiesz pod swoją opiekę.

Wokół nas inne anioły w towarzystwie swoich instruktorów przyglądają się maleńkim obrazom falującym na powierzchni jeziora.

- Mam patrzeć, jak się kochają?

- Tak jest. Najpierw jednak zdradzę ci jeszcze jeden wielki sekret. Przepis na duszę.

8. ENCYKLOPEDIA

PRZEPIS NA DUSZĘ: Dusza ludzka uzależniona jest od trzech czynników: dziedziczności, karmy i wolnej woli. Oto jak rozkładają się ich pierwotne proporcje:

25% dziedziczności,

25% karmy,

50% wolnej woli.

Dziedziczność: na początku na duszę w jednej czwartej wpływają geny, poziom wykształcenia, środowisko i jego jakość, zależne od rodziców.

Karma: na duszę, również w jednej czwartej, wpływają elementy zachowane z poprzedniego życia, niezaspokojone żądze, błędy i rany, które stale będą dręczyć jej podświadomość.

Wolna wola: dusza jest w połowie wolna, by decydować o sobie, nie kierując się żadnym wpływem zewnętrznym.

25%, 25% i 50% to początkowe proporcje. Przy 50% wolnej woli każda istota jest w stanie zmodyfikować ów przepis. Może oswobodzić się spod wpływu dziedziczności, odrzucić piętno moralne narzucone jej przez rodziców. Może też uwolnić się od karmy, wyrzekając się popędów drążących podświadomość. Tak zatacza się krąg. Paradoksalnie - człowiek może też dzięki wolnej woli wyrzec się... własnej wolnej woli.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

9. TRZY POCZĘCIA: NARODZINY - 9 MIESIĘCY

Przyglądam się temu wrzeniu ludzkości. Jeśli dobrze zrozumiałem, wybierając spośród tych wszystkich par, zdecyduję o 25% dziedziczności istot, które będę miał pod swoją opieką.

Dryfuję w powietrzu nad Jeziorem Poczęć. Przyglądam się ekranom. Znajdują się tam pary z każdego kontynentu, z każdego kraju i każdego ludu.

Niektórzy obejmują się w łózkach, inni na stołach kuchennych, w windach, na plażach, w krzakach...

Osobliwe obrazy, jeśli wziąć pod uwagę, że uchwycono w ten sposób najintymniejsze chwile dwojga ludzi. Jak tu wybrać? Przyzwyczajony do słuchania własnej intuicji,

zatrzymuję się ostatecznie na parze, której ruchy wydają mi się stosunkowo najbardziej harmonijne. Mężczyzna jest brunetem o bladej i poważnej twarzy. Kobieta również jest brunetką, ma długie włosy i wygląda na miłą. Wskazuję na nich palcem.

- Wybieram tych - mówię.

Edmund Wells informuje mnie, że to francuska rodzina z Perpignan, o nazwisku Nemrod. Średnio zamożni księgarze. Wielodzietni. Cztery córki. Do tego kot. Mój instruktor stuka delikatnie w ekran, chcąc zaznaczyć, że to poczęcie jest już zarezerwowane.

- Teraz żaden inny anioł nie będzie mógł ci już go podebrać.

Następnie analizuje DNA rodziców i przekazuje mi wynik badania:

- Mmm...

- Co?

- Nic poważnego. Choroby dróg oddechowych od strony ojca. Będzie pokasływał.

- A od strony rodzicielki?

Mój mentor ponownie oddaje się analizie.

- Rude włosy.

W moim umyśle pojawia się przyspieszona wizja spotkania spermatozoidu i oocytu. Widzę dwadzieścia trzy męskie i dwadzieścia trzy żeńskie chromosomy.

- Chłopiec czy dziewczynka?

Edmund Wells bacznie przygląda się zespoleniu dwóch gamet i oznajmia:

- XY, będzie chłopiec. Przejdźmy do następnego.

Długo szukam, wreszcie wybieram parę o skórze w kolorze miodu. Są oboje tak piękni, że mogą dać życie jedynie pięknemu dziecku.

- Czarnoskórzy Amerykanie z Los Angeles - przedstawia ich Edmund Wells.

Matka modelka, ojciec aktor. Rodzina Sheridan. Zamożna burżuazja. To będzie ich pierwsze dziecko, bardzo wyczekiwane, gdyż matka poddana była długiemu leczeniu, podejrzewano ją nawet o bezpłodność. DNA rodziców bardzo satysfakcjonujące. Żadnych upośledzeń fizycznych.

- XX, będzie dziewczynka.

Dochodzę do wniosku, że cała ta klasyfikacja XX, XY jest jakby wyjęta prosto z Biblii. Słynne „zebro" odebrane Adamowi to może po prostu odjęcie dolnej nóżki z „X", które zmienia się przez to w „Y".

Po raz kolejny dopuszczam do głosu moją intuicję i decyduję się na ostatnią parę.

- Rosjanie z Sankt Petersburga - oznajmia mi Edmund Wells. Nazwisko: Czechow. Biedna rodzina. Ojciec i matka na bezrobociu. To będzie ich pierwsze dziecko. Para poznała

się niedawno, każde z nich mieszka osobno. Najprawdopodobniej nie będą mieli więcej dzieci. Doskonale DNA. XY, wygląda mi to na silnego chłopca.

Edmund Wells sprawdza coś wielokrotnie, odbierając fale, które on jeden potrafi zrozumieć. Wreszcie unosi głowę i podsumowuje:

- Dwóch chłopców i dziewczynka, niezły skład. Francuzi trochę słabego zdrowia, Amerykanie w porządku, Rosjanie - okazy zdrowia. Możemy dzięki temu sprawdzić wpływ warunków fizycznych na osobowość.

Zaciera ręce z zadowoleniem.

- Doskonale, doprawdy doskonale! - woła, redagując w myślach trzy fiszki, które zapisane zostają w moim umyśle.

Skupiony dodaje jeszcze:

- Mogę już powiedzieć, że Francuz będzie się nazywał... Jacques, Amerykanka... Venus, a Rosjanin... Igor. No proszę, masz tu trzech niezłych „klientów”.

- „Klientów”?

- To techniczne określenie na dusze, które znajdują się pod naszą opieką. Jesteśmy dla nich w pewnym sensie adwokatami, a oni naszymi klientami.

- Jakie jest teraz moje zadanie?

- Odczekać siedem miesięcy, by dowiedzieć się, jaką otrzymają karmę.

- Siedem miesięcy? To długo!

- Na Ziemi - owszem. Tutaj czas jest pojęciem względnym i nie jest absolutny.

Uśmiecha się.

- Zresztą dla wszystkich czas jest względny, każdy przecież odbiera go na swój sposób.

I zaczyna recytować z pamięci:

- Żeby poznać wartość roku, zapytaj studenta, który oblał decydujący egzamin. Żeby poznać wartość miesiąca, zapytaj matkę, która wydała na świat wcześniaka. Żeby poznać wartość tygodnia, zapytaj wydawcę tygodnika. Żeby poznać wartość godziny, zapytaj zakochanego, który czeka na spotkanie. Żeby poznać wartość minuty, zapytaj człowieka, który właśnie spóźnił się na autobus. Żeby poznać wartość sekundy, zapytaj tego, kto stracił ukochaną osobę w wypadku samochodowym. Żeby poznać wartość ułamka sekundy, zapytaj srebrnego medalistę olimpijskiego.

Następnie dodaje żartobliwie:

- Żeby poznać wartość ludzkiego przeznaczenia, zapytaj swojego anioła instruktora. Nie zwracamy uwagi na drobne okoliczności, na chwile bez znaczenia dla naszych klientów.

Patrzemy tylko na ważne momenty i decydujące wybory.

Edmund Wells oddała się. Musi jeszcze przeszkolić inne początkujące anioły.

Zostaję sam, zafascynowany, kontemplując migoczącą powierzchnię Jeziora Poczęć, gdzie tysiące par właśnie się kochają, dając początek nowej ludzkości. Mam ochotę zachęcić ich, gdyż im większą odczuwać będą przyjemność, tym bardziej udane będą owoce tego poczęcia.

10. ENCYKLOPEDIA

JAJECZKO: Przez długi czas uważano, że to najszybszy ze spermatozoidów zapładnia oocyt. Dziś wiemy, że jest inaczej. Około stu spermatozoidów dociera niemal jednocześnie do komórki jajowej, która każe im czekać na swojej powierzchni. Jak w poczekalni. Na co czeka?

Tak naprawdę zajęta jest dokonywaniem wyboru pomiędzy kandydatami. Jakimi kryteriami się kieruje? Od niedawna już to wiemy. Oocyt wybiera spermatozoid, którego kod genetyczny najbardziej różni się od jej własnego. Tak jakby już w tym pierwszym stadium nasze komórki wiedziały, że natura wzbogaca się poprzez różnicowanie, a nie podobieństwo. Decydując się na wybór najbardziej „obcego”, komórka jajowa daje wyraz pierwszej z biologicznych mądrości: unikać problemów związanych z pokrewieństwem. Im bardziej bowiem dwa kody genetyczne są zbliżone, tym większe ryzyko chorób genetycznych.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

11. NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

- Hej, szczywany lisie, bawimy się w podglądactwo?

Drgnąłem. Ten głos!

- Widok tych wszystkich kopulujących ziemian przyprawia mnie o mdłości. Poca się,

dyszą. Poza tym... to frustrujące, patrzeć na kochające się pary, podczas gdy my sami już nigdy nie zaznamy cielesnej rozkoszy.

Odwracam się. Raoul RAZORBAK!

Niezdarny, chudy, o szpiczastym nosie, wyciągniętej, prostokątnej twarzy o drapieżnym wyrazie. Bawi się swymi dużymi dłońmi o długich palcach. Wygląda dokładnie tak samo, jak w dniu, gdy spotkałem go po raz pierwszy na cmentarzu Pere-Lachaise. Urzekł mnie. Jego pewność siebie, niewymuszony sposób bycia, wiara w możliwość spełnienia marzeń zmieniły sens mojego życia.

- Raoul! Cóż ty tutaj robisz?

Kłęczy sobie spokojnie, z podwiniętymi nogami.

- Poprosiłem o inkarnowanie mnie w roślinę, chciałem trochę odpocząć. W drodze wyjątku otrzymałem na to zgodę. Byłem więc winoroślą, sładziłem winne grono, którego kiście zebrano. Wytworzono ze mnie wino, wypito je i oto jestem tu ponownie, zachowawszy cały kapitał punktów. Mój anioł stróż uczynił, co należy, bym otrzymał status anioła.

- A niech mnie! Nie spodziewałem się zobaczyć cię w Raju!

- W Raju? Chyba żartujesz! Ten Raj jest gorszy niż hospicjum! Można tu umrzeć z nudów! Trzeba stąd zwać jak najszybciej i wyruszyć na dalsze odkrywanie wszechświata!

Jest wyraźnie poruszony.

- Tutaj, to jedna wielka biurokracja! Zarządza się, szpieguje i nadzoruje śmiertelników. I to ma być przyjemność! Nigdy nie chciałem skończyć jako urzędnik. Och, Michael, powinniśmy byli wrócić na Ziemię jako Wielcy Wtajemniczeni. Daliśmy się nabrać. Aniołowie, a niech mnie! Jeśli nie zaczniemy działać, zostaniemy tutaj przez sto tysięcy lat, patrząc na kolejnych klientów. To zesłanie!

Cieszę się, że znów spotkałem swojego najlepszego przyjaciela, mimo iż nic się nie zmienił - jak zwykle w gorącej wodzie kąpany! Nagle poczułem się pewniej. Nie jestem tu sam. Ziemski przyjaciel odnaleziony tutaj, na górze, to prawdziwy uśmiech losu.

Wyciąga ramiona w kierunku łańcucha górskiego z otaczających nas chmur.

- Mówię ci, to najbardziej uciążliwe więzienie! Zobacz, jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron! Tak naprawdę jesteśmy w Piekło!

- Raoul, bluźnisz!

- Ależ skąd. Wiem, że Piekło nie istnieje, ale przyznam ci się, że żałuję. Bawiłbym się o wiele lepiej pośród kotłów, w otoczeniu nagich, lubieżnych kobiet, harpii i diabłów, w atmosferze rozpusty i tańczących czerwonych ogników, trochę tak jak w Trzecim Niebie, rozumiesz? Zamiast tego tylko biel i błękit, chmury i przeźroczyści kompani - nic zabawnego

w gruncie rzeczy. Ech, zwać stąd, wyjechać, ruszyć przed siebie, jeszcze raz przeżyć naszą przygodę z dwudziestego pierwszego wieku. Przesunąć granicę Nieznanego. Wrócić do epepei tanatonautów. Zbliżyć się do Nieznanego.

Kładzie mi ręce na ramionach.

- Od zarania ludzkości istnieją tacy, którzy chcą wiedzieć, „co znajduje się za górami”. Ty i ja, Michaelu, jesteśmy w grupie tych, którzy wyruszą tam pierwsi. Jesteśmy odkrywcami i zostaniemy nimi na zawsze. Więc, przyjacielu, proponuję ci wyprawę do następnej *terra incognita*.

Przyglądam się Raoulowi uważniej. Zachował swój wygląd Sherlocka Holmesa, a ja znów wcielam się przy nim w rolę wiernego doktora Watsona. Jaką przygodę mi jeszcze zaproponuje? Dotarliśmy do Raju, wiemy już przecież wszystko... Co moglibyśmy jeszcze odkryć?...

Śmierć? Tak, myślałem o tym. Chciałbym umrzeć we śnie. Zasypiam, śnię i umieram. Następnie chciałbym zostać skremowany. Tak będzie taniej dla rodziny. Postawię na kominku niewielką urnę i nie będą musieli przychodzić z kwiatami na mój grób. Co do spadku, to... mmm! No dobra, powiem wam! Schowałem pieniądze w figurce hipopotama w piwnicy, za komodą stylizowaną na ludwikowską. Wystarczy ją przesunąć. Ten, kto je znajdzie, będzie mógł je sobie zatrzymać.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

12. WYBÓR DUSZ: MINUS 2 MIESIĄCE

Edmund Wells klepie mnie po ramieniu.

- Dusze lada moment zagnieżdżą się w ciałach twoich klientów. Nie ma czasu do stracenia. Chodź za mną.

Zostawiam Raoula samego. Mój instruktor prowadzi mnie w stronę spokojnej strefy na południu i prosi, bym usiadł po turecku przy wejściu. Stąd możemy objąć wzrokiem całą anielską krainę.

- Doskonałe miejsce, by śledzić nadchodzący bieg wydarzeń.

Ujmuje mnie za rękę i skierowuje wewnętrzne strony moich dłoni ku niebu. Ma wtedy miejsce niesamowite zjawisko. Trzy kule spływają w naszym kierunku i osiadają między moimi dłońmi. Jedna nad lewą ręką, druga nad prawą, a ostatnia nieco powyżej, dokładnie między dwoma pierwszymi. Całość tworzy lewitujący trójkąt.

- Dzięki tym kulom nie tylko ujrzysz dusze twoich klientów, lecz także będziesz mógł ich słyszeć i kontrolować ich poczynania.

Delikatnie pociera każdą z kul, sprawiając, że rozbłyskują światłem. Wewnątrz dostrzegam swoich klientów, mam wrażenie, że korzystam z kamery zapisującej obraz płodu w brzuchu matki. Kule są pomarańczowe, gdyż moi klienci pływają się w płynie owodniowym.

- Nauczę cię jeszcze jednego określenia w żargonie anielskim. Te kule kontroli dusz, które masz właśnie przed sobą, nazywamy „jajami”. Bo wysiadujemy je jak kury swoje jaja.

Edmund Wells siada koło mnie.

- Teraz pora na przyznanie duszy.

- Można je wybierać?

Uśmiecha się.

- Nie. W tym wypadku interweniuje świat nad nami, „siódemka”.

Czekamy. Jedna po drugiej kule rozbłyskują, jak gdyby dokonało się w nich wyładowanie elektryczne. Edmund Wells przygląda się pierwszej rozpalonej kuli i oznajmia mi, że Jacques otrzymał właśnie duszę Indianina żyjącego w ubiegłym stuleciu. Był wędrownym gawędziarzem, chodzącym od plemienia do plemienia, by przekazywać legendy swego ludu. Pewnej nocy na jego obozowisko napadli poszukiwacze złota. Próbował się ukryć, lecz napastnicy dogonili go i złapali. Obciążili mu jego długie czarne warkocze nasączone niedźwiedzim tłuszczem, z których był taki dumny, a następnie powiesili.

Liczba punktów uzyskana przy ważeniu duszy: 350.

Edmund Wells bada drugą kulę, która właśnie rozbłysła. Igorowi przydzielono duszę francuskiego astronauty. Samotnik, miał trudne dzieciństwo, kłótliwą matkę. Poznał życie w więzieniu, lecz wykupił się dzięki niebezpiecznym wyprawom w kosmos, na które zgłosił się na ochotnika. W wyniku zawodu miłosnego odebrał sobie życie podczas jednej z wyjątkowo ryzykownych misji...

Liczba punktów uzyskana przy ważeniu duszy: 470.

Co do trzeciej kuli, Venus stała się właśnie schronieniem dla duszy bogatego Chińczyka, zmarłego już ponad dwa wieki temu. Epikurejczyk, choć wątłego zdrowia, miał słabość do dobrego jedzenia i pięknych kobiet. Zaliczał się do przyjaciół samego cesarza i

bywał w towarzystwie najpotężniejszych osób w państwie. Podczas jednej z podróży przez prowincję napadli go rabusie, którzy obrabowali go, by następnie pochować żywcem. Długo miotał się pod ziemią. Straszliwa śmierć...

Liczba punktów uzyskana przy ważeniu duszy: 320.

- Nieźle - kiwa głową z zadowoleniem Edmund Wells. - Dwie z twoich dusz przekraczają 333 punkty.

- A co oznacza posiadanie 333 punktów?

- Chodzi tu o średnią poziomu świadomości. Jeśli doda się punkty zdobyte przez dusze sześciu miliardów istot ludzkich i wyciągnie się z nich średnią, otrzymamy właśnie 333. Oznacza to, że mimo wszystko większość ludzi znajduje się bliżej ziemi niż nieba. Na nas spoczywa ciężar zwiększenia wartości owej średniej.

Przyglądam się moim „klientom” w ich „jajach”.

- Naszym celem - ciągnie Edmund - jest podniesienie poziomu świadomości. „Gdy jedna dusza się wznosi, cała ludzkość wznosi się wraz z nią”.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli uda mi się podnieść poziom przynajmniej jednego z moich klientów, cała ludzkość wespnie się z poziomu 333 na 334?

- Postępy nie są aż tak spektakularne. Znaczna liczba ludzi musiałaby przejść pewną ewolucję, żeby średnia zwiększyła się o jeden punkt - wyjaśnia mój mentor.

Prosi mnie, bym uczestniczył w narodzinach moich podopiecznych, by nałożyć na nich, tuż po wyjściu z brzucha matki, anielski odcisk. Ten gest połączy nas - anioła stróża i strzeżonego śmiertelnika. Pozwoli im to zapomnieć o poprzedniej karmie.

- Wystarczy dotknąć ich pod nosem, by stworzyć rynienkę - Edmund pokazuje ów gest, dotykając mojej twarzy. - Ale potem, ostrzegam, masz całkowity zakaz wracania na Ziemię!

13. ENCYKLOPEDIA

WSPÓŁPRACA-WZAJEMNOŚĆ-PRZEBACZENIE: W 1974 roku filozof i psycholog Anatol Rapoport z Uniwersytetu w Toronto wysunął tezę, iż „najskuteczniejszymi” sposobami zachowywania się w stosunku do drugiego człowieka są: 1) współpraca, 2) wzajemność i 3) przebaczenie. Oznacza to, że jeśli dany osobnik, struktura lub grupa napotyka innego osobnika, strukturę lub grupę, w jego interesie leży zaproponowanie przymierza, następnie -

zgodnie z regułą wzajemności - osobnik ten może dawać drugiemu tyle, ile od drugiej strony otrzymuje. Jeśli tamten mu pomoże, on także pomaga, jeśli drugi wykaże się agresją, ten również okaże swoją wrogość, w taki sam sposób i o takim samym natężeniu. Na koniec przychodzi czas na przebaczenie i propozycję współpracy. W 1979 roku matematyk Robert Axelrod zorganizował turniej autonomicznych programów komputerowych naśladowujących ludzkie zachowania. Jedynym wymogiem było uzupełnienie każdego z programów o funkcję komunikacji, pozwalającą na ich porozumiewanie się między sobą.

Do Roberta Axelroda nadesłano 14 dyskietek z programami - ich autorami byli głównie jego koledzy z uczelni. Każdy program rządził się innymi prawami zachowań (najprostsze miały zaledwie dwie linijki kodu, najbardziej skomplikowane - około stu). Miał zwyciężyć ten, który zdobędzie największą liczbę punktów. Niektóre programy stosowały strategię polegającą na jak najszybszym wyeksploatowaniu przeciwnika, skradzeniu jego punktów i zmienieniu partnera. Inne próbowały radzić sobie same, strzegąc zdobytych punktów i unikając kontaktów z tymi, które mogłyby je im odebrać. Jeszcze inne stosowały zasady typu: „Jeśli przeciwnik okazuje wrogość, zażądać, by przestał, a następnie przystąpić do wymierzania kary” lub „Współpracować, a następnie zdradzić przez zaskoczenie”.

Każdy z programów przeciwstawiono 200 razy każdemu z pozostałych.

Zwyciężył program Anatola Rapoporty, wyposażony w funkcję zachowania WWP (Współpraca-Wzajemność-Przebaczenie). Co więcej, program WWP, umieszczony pośród innych, z początku przegrywał w obliczu agresywnych przeciwników, wreszcie jednak zwyciężał, a nawet stawał się „zaraźliwy”. W miarę jak inne programy orientowały się, że stosuje najskuteczniejszą metodę zdobywania punktów, same przyjmowały jego postawę. Prawo WWP okazało się więc najbardziej opłacalne na dłuższą metę. Każdy może je zastosować w życiu codziennym. Oznacza to, że należy zapomnieć o wszystkich obelgach, jakimi obrzuca nas kolega z pracy i stale proponować mu wspólne działanie. Dowiedziono, że ta metoda popłaca. To nie zwykła uprzejmość, lecz metoda zadbania o własny interes, którego skuteczność wykazała informatyka.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względne i absolutnej, tom IV

14. PŁÓD JACQUES. MINUS 2 MIESIĄCE

No proszę, jakie to dziwne... Pływam. Znajduję się w worku wypełnionym mętnym płynem. To moja matka? Zapewne.

Pamiętam swoje poprzednie życie. Byłem Indianinem. Opowiadałem historie przy ognisku. A potem nadeszli Biali. Zabili mnie. Powiesili.

Teraz wracam na ziemię. Pytanie, gdzie dokładnie? Do jakiego kraju, do jakiej epoki, do jakich rodziców? Trochę się boję.

Słyszę głosy. To pewnie moja nowa matka. Co mówi? Aż dziw, że tak dobrze ją rozumiem. Mama mówi o mnie. Mówi, że nazwie mnie Jacques. Mówi, że w nocy ją kopię, a wtedy widzi przez skórę moje piętki. A więc lubi to? Dobra, no to znów zaczynamy wierzcąć!

Mówi, że chce stosować haptonomię.

- Co to jest haptonomia? - pyta ją przyjaciółka.

- Technika pozwalająca na współuczestnictwo ojca w ciąży. Kładzie on ręce na brzuchu żony sygnalizując tym sposobem, że jest drugą istotą zwracającą uwagę na płód.

To prawda. Wczoraj czułem jego dłonie. Więc mam nie tylko mamusię, lecz także tatusia.

Mama wyjaśnia, że ja, Jacques, doskonale rozpoznaję dłonie mojego ojca i gdy tylko tatuś położy je na jej brzuchu, ja od razu się w nie wtulam.

Ciągnę za pępowinę. Nudzi mi się tutaj. Ciekawe, jak będzie na zewnątrz.

15. PŁÓD VENUS. MINUS 2 MIESIĄCE

A więc istnieję.

To dziwne. Wiem, że jestem tylko płodem, a jednak wiele odczuwam. Nie na zewnątrz. Koło mnie.

Jestem ściśnięta, a nienawidzę tego. Nie mogę znieść myśli, że moje ciało ma skrepowane ruchy. Staram się zidentyfikować to, co mnie tak ogranicza, aż nagle dostrzegam, że tuż koło mnie znajduje się mój brat bliźniak!

Mam brata bliźniaka!

Domyślam się, że oboje jesteśmy złączeni z naszą mamą za pośrednictwem pępowin, ale na dodatek sami również jesteśmy połączeni. Możemy więc się porozumiewać.

- Kim jesteś?

- A ty kim jesteś?
 - Jestem malutką dziewczynką w brzuchu mamy.
 - A ja jestem małym chłopczykiem.
 - Cieszę się, że mam towarzystwo. Zawsze mi się wydawało, że życie płodowe to samotne doświadczenie.
 - Chcesz, żebym ci opowiedział o sobie?
 - Oczywiście.
 - W poprzednim życiu popełniłem samobójstwo. Zostało mi jeszcze trochę drogi do pokonania, zostałem więc oddelegowany tutaj, żeby dokończyć swoją karmę. A ty?
 - Ja byłam starym Chińczykiem. Bogatym i potężnym mandarynem. Miałam mnóstwo służących i kobiet.
- Poruszam się. Wspomnienia sprawiają, że mam ochotę przekreślić się nieco i rozprostować.
- Przeszkadzam ci?
 - Trochę tu ciasno, przyznaję. Ja pewnie też trochę ci zawadzam.
 - Dla mnie to nie ma znaczenia. Wolę ciasnotę w miłym towarzystwie niż swobodę w ciemności i samotności.

16. PŁÓD IGOR. MINUS 2 MIESIĄCE

A więc istnieję.

Niewiele jestem w stanie dostrzec. Tylko czerwonopomarańczowe otoczenie. Słyszę. Bicie serca. Odgłosy trawienne. Głos mamy. Mówi rzeczy, których nie rozumiem.

- Nie-chcę-zachować-tego-dziecka.

Bełkot.

Nasycam się sylabami, chcąc odnaleźć dawną wiedzę i możliwość interpretacji słów. Głos męski. Pewnie taty.

- Głupia jesteś. Już mu nawet nadałaś imię: Igor. W chwili gdy zaczynamy nazywać rzeczy, te zaczynają istnieć naprawdę.

- Na początku chciałam, ale teraz już go nie chcę.

- Już jest za późno, powtarzam ci. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Teraz żaden

lekarz nie przerwie twojej ciąży.

- Nigdy nie jest za późno. Nie mamy środków na utrzymanie dzieciaka, lepiej pozbyć się go od razu.

Śmiech.

- Jesteś zwykłym śmieciem! - woła mama.

- Jestem pewien, że w końcu go pokochasz! - nalega tata.

Łkanie.

- Mam wrażenie, że w moim ciele zagnieździł się nowotwór, który rośnie we mnie i mnie niszczy. Ta myśl mnie brzydzi.

Ktoś odchrząkuje.

- Zresztą rób, co chcesz! - woła tata. - Mam już dość twojego ciągłego jęczenia. Idę sobie. Koniec z nami. Radź sobie sama.

Trzaśnięcie drzwiami. Mama płacze, potem krzyczy. Mija dłuższa chwila. Nagle spada na mnie grad uderzeń pięściami. Tata odszedł. A więc to mama sama bije się w brzuch. Pomocy!

Nie uda jej się. Próbuję się zemścić serią kopniaków. Łatwo tak atakować mniejszego, szczególnie gdy jest uwięziony i nie może uciec.

17. ENCYKLOPEDIA

HAPTONOMIA: Po drugiej wojnie światowej Franz Veldman, holenderski lekarz ocalony z obozu koncentracyjnego, stwierdził, że świat zmierza ku zagładzie, gdyż nie zaczyna się kochać dzieci wystarczająco wcześnie.

Zauważył, że ojcowie, zajęci głównie pracą lub wojną, niemal nie troszczą się o swoje potomstwo, zanim to nie wejdzie w wiek dojrzewania. Zaczął wówczas szukać sposobu, by zainteresować ojca dzieciństwem lub nawet ciążą. W jaki sposób? Poprzez kładzenie rąk na brzuchu rodzicielki. Wymyślił haptonomię, z greckiego haptō - „dotykać” i nomos - „prawo”.

Prawo dotykania.

Ojciec może zaznaczyć swoją obecność i nawiązać pierwszy kontakt z dzieckiem, jedynie głaszcząc napiętą skórę na brzuchu matki. Doświadczenia wykazały, że bardzo często płód potrafi rozpoznać, który z rozmaitych dotyków należy do ojca. Najzdolniejsi ojcowie potrafią nawet sprowokować dzieci do piruetów wewnątrz brzucha i przemieszczania się od jednej

ręki do drugiej. Tworząc już we wczesnym stadium ciąży trójkąt „matka-ojciec-dziecko”, haptonomia wpływa na zwiększenie poczucia odpowiedzialności ojca. Ponadto matka czuje się mniej samotna w przebiegu swojej ciąży. Dzieli się doznaniem z ojcem, opowiada mu, co czuje, gdy partner kładzie ręce na jej brzuchu i na dziecku. Haptonomia nie jest oczywiście receptą na szczęśliwe dzieciństwo, otwiera jednak nowe możliwości w życiu uczuciowym zarówno matki, jak i ojca oraz płodu. Swego czasu, w starożytnym Rzymie, istniał zwyczaj otaczania ciężarnej kobiety przez kumy (cum mater - „która towarzyszy matce”). Nie ulega jednak wątpliwości, że osobą, która tak naprawdę powinna towarzyszyć matce, wciąż pozostaje ojciec.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

18. POMYSŁY RAOULA

Obserwuję moje kule.

Rodzice Jacques'a stosują haptonomię. Doskonałe warunki do wylęgu.

Igor jest bity. Bardzo złe warunki do wylęgu. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Venus będzie miała brata bliźniaka. Nie wiem, czy to dobrze czy źle.

- Tracimy tu czas. Stańmy się znów tymi, którymi byliśmy kiedyś. Przesuńmy granice poznane - powtarza mi w kółko Raoul, który ponowił swój atak, gdy tylko Edmund Wells zniknął.

Znajdujące się pod moją opieką jaja obracają się powoli. Wskazuję na nie ruchem głowy.

- Nie będę tak się cały czas do nich kleił. Co mam zrobić, żeby się ich pozbyć?

Raoul pokazuje mi, że wystarczy tylko odwrócić wnętrza dłoni w stronę ziemi, by kule odleciały. Już po chwili pędzą na północny wschód, jak małe zdalnie sterowane samolociki.

- Dokąd odlatują?

- Gdzieś w góry.

Odwracam ponownie dłonie i natychmiast trzy kule pojawiają się przede mną. Zaczynam pojmywać ten system. Raoul złości się.

- Przestań się bawić. Potrzebuję twojej pomocy, Michaelu! Przypomnij sobie nasz

slogan tanatonautów: „Dalej, coraz dalej w nieznane!”.

Unoszę głowę ku niebu.

- Nie ma już nic nieznanego. Jedyne poczucie odpowiedzialności za płody.

Raoul prosi, bym poleciał z nim na wschód. Zmieniliśmy punkt obserwacyjny, lecz wciąż istnieje pewna niewiadoma. Nie wiemy, co znajduje się nad krainą aniołów. Dolatujemy do wschodniej granicy ich terytorium.

- Co zamierzasz zrobić?

Ruchem głowy wskazuje na Szmaragdowe Wrota.

- Wiesz dobrze, że będziemy mogli przejść na drugą stronę, gdy ocalimy przynajmniej jednego człowieka - mówię.

Raoul zamachał mi rękami przed oczyma:

- Czy ty naprawdę jeszcze niczego nie zrozumiałeś? Nasi klienci to krety, którzy nigdy nie ewoluują!

19. PŁÓD JACQUES. MINUS 1 MIESIĄC

Stałem się nerwowy. Wierząc się w brzuchu mamy, zaplątałem się w pępowinę. Owinęła mi się wokół szyi - po raz kolejny przeżywam chwilę, gdy mnie powieszono. Panikuję, by następnie znieruchomieć. Gdy przestaję się ruszać, udaje mi się oswobodzić.

20. PŁÓD VENUS. MINUS 1 MIESIĄC

Płyn owodniowy stał się gorzki. Co się dzieje?

- Hejże! Bliźniaku! Mamy problem! Śpisz?

Bliźniak nie odzywa się dłuższą chwilę.

- Czuję się taki zmęczony, bardzo zmęczony... Mam wrażenie, że pustka ogarnia całe moje wnętrze...

Staram się pojąć, co się dzieje, bo jeśli o mnie chodzi, to cały czas delectuję się przepyszny jedzeniem. Likierem inteligencji, cukru i miłości. Nagle wzdrygam się:

- Przejmuję twoją energię!

- A więc to tak - szepcze on. - Znam to zjawisko.

Wypowiada się z trudem.

- Jesteśmy bliźniakami z zespołem TTTS². Wiem, o co chodzi, bo w poprzednim życiu byłem ginekologiem-położnikiem. Zostało mi trochę wspomnień z tego okresu.

- Wyjaśnij mi.

- A więc wytworzyliśmy między nami połączenie, naczynie krwionośne, które łączy nas bezpośrednio, niezależnie od organów naszej matki. To tylko mała żyłka, lecz jest ona wystarczająco duża, by dokonywała się między nami wymiana płynów. To dlatego tak dobrze słyszymy się nawzajem. Dlatego też jedno z nas, a konkretnie ty, nie może powstrzymać się przed pobieraniem krwi od drugiego. Jeśli nie wyjmą nas stąd w najbliższych dniach, obawiam się, że wyssiesz mnie na dobre.

Zadrżałam.

- A wtedy?

- A wtedy umrę.

Milczy, wycieńczony, lecz ja nalegam:

- Czy oni o tym wiedzą, tam na zewnątrz?

Odpowiedź pada po dłuższej chwili:

- Wiedzą chyba o bliźniakach, ale nie mają pojęcia, że pompujesz ode mnie krew. Nadali nam wczoraj imiona, obojgu. Ty spałaś, ale ja wszystko słyszałem. Ty będziesz się nazywać Venus, a ja George. Witaj, Venus!

- Hm... Witaj, George! Przerazona, zaczynam kopać.

- Hej! Tam, w górze!! Zróbcie coś! Trzeba wywołać poród. George umiera!

Tupię niecierpliwie. George uspokaja mnie.

- Przestań, już jest za późno. Będę żył w tobie. Zawsze będę w tobie, moja Venus.

21. PŁÓD IGOR. MINUS 1 MIESIĄC

² TTTS - *Twin to twin transfusion system*, zespół przetoczenia krwi między płodami (przyp. tłum.)

Zapadłem w lekki sen. Mama płacze. Mówi sama do siebie i pije dużo wódki. Upija się i lekko kręci mi się w głowie. Chyba chce mnie otruć. Ale moje ciało przyzwyczaja się do tego stanu i rozwija własną odporność na alkohol.

Nie, mammo, nie uda ci się mnie pozbyć w taki sposób. Chcę się urodzić i to będzie moja zemsta.

Nagle czuję gwałtowne uderzenie. Upadam. Moja twarz jest zgnieciona. Co się dzieje? Słyszę, jak matka bełkocze: „Dorwę cię, dorwę. Zdechniesz, uda mi się”. Kolejne uderzenie.

Próbuję pojąć, co się dzieje wokoło i chyba już się domyślam. Matka rzuca się na ziemię, na brzuch - chce, żeby pękł!

Trzymam się ze wszystkich sił. Wreszcie matka daje za wygraną.

Czekam na kolejny atak. Czym mnie jeszcze potraktuje? Drutem? Trzymaj się, Igor. Dasz radę. Na zewnątrz jest tak pięknie...

22. TAJEMNICA SIÓDEMEK

Raoul ciągnie mnie w stronę starej anielicy, którą rozpoznaję - widziałem jej zdjęcia w gazetach - to Matka Teresa.

- Na Ziemi była chodzącą szczodrością. Święta. Tutaj jednak opiekuje się już czwartą serią klientów i wciąż jej się nie udaje. Jeśli Matce Teresie nie dane jest zostać „siódemką”, to wierz mi, nikomu się to nie może udać.

Stara kobieta wygląda na wystraszoną, spogląda na swoje kule i pokrzykuje rozdrażniona, jak gdyby właśnie sparzyła się wrzątkiem, wyjmując prawdziwe jajka z wody.

- Edmund Wells mówił mi, że życie stawia nas w obliczu tylko takich problemów, które jesteśmy w stanie pokonać.

Raoul przyjmuje swoją najbardziej pogardliwą minę.

- Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy? Nie dysponujemy nawet wiedzą, która pozwoliłaby nam zmierzyć poziom naszej ignorancji.

- W żółtej krainie wiedzy poznałem odpowiedzi na pytania, które zadawałem sobie jako śmiertelnik. Edmund Wells wyjawiał mi sekret kształtu cyfr - czyli kierunek ewolucji świadomości. To wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

- Tak sądzisz? Swego czasu byliśmy tanatonautami, mędrkami. „Piątkami”. Teraz

jesteśmy aniołami. „Szóstkami”. Następnym etapem jest zmienienie się w „siódemkę”. Czym jest jednak „siódemka”?

- „Siódemka” to istota, która osiągnęła wynik 700 punktów - ryzykuję.

Gdybym nie był bezcielesny, Raoul z pewnością potrząsnąłby mną jak drzewem owocowym.

- Ale konkretnie, czym jest „siódemka”? Superaniołem? Inną istotą? Jeśli zastanowisz się nad różnicą między biednymi „piątkami” i nami, „szóstkami”, przyznasz, że jest nad czym myśleć.

Mój przyjaciel jest poruszony, ale ja pozostaję ostrożny. Raoul zaczyna snuć marzenia:

- Bycie „szóstką” może być czymś wspaniałym. Szukałem tekstów na ten temat. Podobno nad aniołami znajdują się „cherubiny” i „serafiny”. Jest mowa o „dominacjach” i „tronach”. Chociaż osobiście podejrzewam, że poziom nad nami zajmują...

Szepcze, jak gdyby obawiał się, że ktoś go usłyszy:

- Bogowie.

To cały Raoul, mój stary przyjaciel, zawsze wysuwający najbardziej karkołomne hipotezy.

- Dlaczego mówisz „bogowie”, a nie „bóg”?

Najwyraźniej dobrze się przygotował.

- Po hebrajsku Bóg wymawia się „EL”, choć w tekstach widnieje słowo „ELOHIM”, co odpowiada formie liczby mnogiej.

Udajemy, że stawiamy kroki, poruszając na przemian nogami w powietrzu, tuż nad niby-podłożem, tak jak to robiliśmy na Ziemi.

- Rozmawiałeś o tym z innymi aniołami? Co one na ten temat sądzą?

- Myślą podobnie jak ja. Połowa z nich wierzy w Boga. Jedna trzecia to ateści. Pozostaje jedna czwarta, która - tak jak my - przyznaje, że nie wie, czy Bóg istnieje.

- Połowa, jedna trzecia i jedna czwarta to więcej niż jedna całość.

- To normalne. Są tacy, którzy uznają dwa punkty widzenia jednocześnie lub na przemian - sam przyznasz, że tak bywa.

Raoul podsumowuje:

- 4: ludzie, 5: mędrcy, 6: anioły, 7: bogowie. To wydaje się dość logiczne, prawda?

Nie odpowiadam od razu. Śmiertelnicy nie wiedzą nic o istnieniu lub nieistnieniu Boga, nie posiadają właściwie żadnych dowodów na poparcie swoich tez, powinni więc wykazywać się nieco większą skromnością.

Jeśli chodzi o Michaela Pinsona, którym kiedyś byłem, skłaniał się on zdecydowanie

ku agnostycyzmowi, z *agnôstos* („brak pewności”). Moim zdaniem agnostycyzm doskonale pasuje do słynnego twierdzenia Pascala, że bardziej opłacalne jest założenie istnienia Boga. Będąc jeszcze na Ziemi, stawiałem jeden do dwóch na to, że po śmierci zaczyna się nowe życie i że anioły i Raj naprawdę istnieją. Przygoda tanatonautów potwierdziła moje przypuszczenia. Na razie nie widziałem potrzeby zwiększania lub zmniejszania stawki, jeśli chodzi o wiarę w Boga. Jak dla mnie Bóg był hipotezą, której szanse wynosiły 50 procent.

Raoul ciągnął dalej:

- Tutaj mówi się, że jakieś zarządzenie nadeszło „z góry”: koniec z cudami, mesjaszami, prorokami, nowymi „objawionymi” religiami. Któż może dysponować taką władzą i mieć taki dar widzenia przyszłości podczas podejmowania ważnych decyzji, jeśli nie jeden lub kilku bogów?

Raoul jest zadowolony z wywołanego efektu. Zdaje sobie sprawę z mojego niezdecydowania. Czyżby moja kolejna misja miała polegać na staniu się bogiem? Nawet nie śmiem o tym myśleć.

- Te drzwi otwierają się na Olimp, jestem tego pewien - tłucze mi wciąż do głowy Raoul Razorbak, wskazując na Szmaragdowe Wrota.

Zażenowany udaję, że spoglądam na niewidzialny zegarek, wskazujący stopień dojrzałości moich podopiecznych.

- Dobra. Muszę teraz zejść na Ziemię, by wziąć udział w narodzinach moich klientów - mówię.

- Idę z tobą.

No proszę, cóż on znowu knuje?

- Chcesz zejść ze mną na Ziemię?

- Tak - odpowiada Raoul. - Dawno mnie tam nie było. A konkretnie odkąd ostatni raz postawiłem tam stopę.

- Wiesz dobrze, że nie wolno nam odwiedzać Ziemi poza tą właśnie okazją.

Raoul wykonuje podwójne salto, by pokazać, że ma ochotę rozerwać się nieco, przelatując jakiś spory odcinek.

- Zabrania się zabraniać. Dajże spokój, Michaelu, wiesz dobrze, że byłem i zawsze będę buntownikiem!

Wreszcie staje przede mną i przyjmując anielski wyraz twarzy, recytuje fragment *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* Edmunda Wellsa, tom IV, której nauczył się całej na pamięć.

23. ENCYKLOPEDIA

PRZESTĘPCA: Społeczeństwo potrzebuje przestępców. Prawa ustala się, by ktoś mógł ich nie przestrzegać. Jeśli każdy respektuje obowiązujące zasady i nagina się do norm szkolnictwa, pracy, obywatelstwa, konsumpcji, wtedy całe społeczeństwo staje się „normalne” i popada w stagnację.

Ujawnieni przestępcy zostają natychmiast wydani i wyłączeni z życia publicznego, w tym czasie jednak społeczeństwo ewoluuje i generuje jad, który zmusza je do wytwarzania antyciał. Uczy się dzięki temu pokonywać coraz to trudniejsze przeszkody. Choć niezbędni, przestępcy są składani w ofierze. Są regularnie atakowani, znieważani po to tylko, by w przyszłości inni osobnicy, „pośredni w stosunku do normalnych”, których można by nazwać „pseudoprzestępcami”, mogli popełniać te same przestępstwa, w łagodniejszej wersji, przetrawione, ujęte w system, rozbrojone. To oni właśnie zbiorą żniwo przekroczenia dotychczasowych norm.

Nie łudźmy się jednak. Jeśli nawet to właśnie „pseudoprzestępcy” staną się sławni, ich jedynym walorem będzie umiejętność dostrzeżenia tych, którzy pierwsi naruszyli prawo. Ci zaś zostaną skazani na niepamięć i umrą w przekonaniu, że nikt ich nie zrozumiał.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

24. WYPAD NA ZIEMIĘ

Przechodzimy przez Szafirowe Wrota.

Dyskretnie, by archaniołowie nas nie zauważyli, przemykamy się w stronę Styksu i idziemy wzdłuż brzegu. Pokonujemy siedem krain, zwanych też kontynentami śmierci, wychodzimy z głównego stożka, rzucając się w czarną przestrzeń i lecimy w stronę Ziemi. Jako aniołowie lecimy jeszcze szybciej niż jako zmarli. Mam wrażenie, że gnamy z prędkością światła. Wkrótce w oddali dostrzegamy naszą planetę. Wchodzimy w atmosferę w tym samym czasie, co cała masa maleńkich meteoroidów, które w zetknięciu z nią stają w płomieniach, i które nazywamy spadającymi gwiazdami.

Opuszczamy się w dół. Mijamy samolot z amatorami skoków spadochronowych.

Raoul ustawia się naprzeciw jednego z nich, który oczywiście nas nie widzi, i zabawia się, próbując go wyprzedzić. Proszę go, by dał sobie spokój z tą dziecinadą. Śpieszę się do jajka, z którego lada chwila ktoś się wykluje.

Lądujemy gdzieś na równinie w Toskanii.

Ogarnia mnie nostalgia. Czujemy się jak pierwsi astronauty powracający z misji w kosmosie. Z tym że nasz dom nie znajduje się już tutaj, lecz wysoko w górze... Mam wrażenie, że stałem się cudzoziemcem na własnej ziemi.

Raoul daje mi znak - nie mamy czasu do stracenia. Musimy jak najszybciej dotrzeć do szpitala w Perpignan, gdzie czeka na mnie mój pierwszy klient: Jacques Nemrod.

25. NARODZINY JACQUES'A

A więc za chwilę się narodzę.

Pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest oślepiające światło w głębi tunelu.

Coś mnie popycha. Coś mnie ciągnie. Pamiętam swoje poprzednie życie. Byłem Indianinem powieszonym przez poszukiwaczy złota. Moją ostatnią myślą było: „Nie mają prawa tak mnie zabić, gdy moje stopy nie dotykają ziemi”. Powiesili mnie. Udusiłem się. Duszę się.

Szybko. Raoul woła, że trzeba szybko zadziałać. Tłumaczy, co mam zrobić: nałożyć „anielski pocałunek”.

Obrazy masakry zapisują się na zawsze w moim umyśle. Nasze strzały przeciwko ich kulom. Nasze łuki przeciwko ich strzelbom. Obóz w płomieniach. Pojmanie. Moje warkocze odcięte i sznur wokół szyi.

Jacques wciąż przeżywa swoją śmierć. Jest zbyt nerwowy. Szepczę mu do ucha: „Cii... zapomnij o przeszłości”. Raoul każe mi go naznaczyć. Jak się do tego zabrać? Wyjaśnia mi, że trzeba przyłożyć palec wskazujący nad górną wargą, jakby chcąc zmusić kogoś do milczenia.

Kładę mój palec pod noskiem dziecka i odciskam rynienkę pod maleńkimi nozdrzami. Jacques uspokaja się.

Nie wiem, co się przed chwilą stało. Poczułem czyjaś obecność. W każdym razie całkowicie zapomniałem, kim poprzednio byłem. Wiem, że musiałem o czymś pamiętać, ale nie mam pojęcia, co to było. Zresztą czy miałem tylko jedno poprzednie życie? Nie, nie wierzę.

A więc za chwilę się narodzę.

Ciągną mnie w stronę światła. Słyszę krzyki.

Mama.

Słyszę głos, który rozkazuje:

- Proszę przeć. No dalej, proszę przeć raz po raz. Naśladujemy oddech psa.

Mama zaczyna sapać.

Inny głos:

- To trwa już zbyt długo. Stan dziecka nie jest najlepszy. Powinniśmy pomyśleć o cesarce...

- Nie, nie - mówi mama. - Zostawcie mnie. Poradzę sobie.

Znowu parcie. Porywają mnie fale. Zmierzam w stronę wąskiego przesmyku. Nogami naprzód ześlizguję się w stronę oślepiającego światła. Nagle palce u nóg znajdują się w lodowatej strefie. Mam ochotę podkulić je i schronić się w ciepłe, lecz ręce w gumowych rękawiczkach chwytają mnie i wyciągają ku lodowatej przestrzeni.

Moje nogi są już na zewnątrz, teraz pośladki, wreszcie brzuch. Ciągną dalej. Jeszcze tylko moje ramiona i głowa są bezpieczne. Reszta ciała drży z zimna. Znowu ktoś mnie ciągnie, na szczęście mój podbródek dobrze się zaklinował - nie dam się tak łatwo.

- Nie uda nam się, nie przechodzi - oświadcza położnik.

- Uda się, uda... - jęczy moja matka.

- Może pora na nacięcie krocza? - radzi jakiś głos.

- Czy to konieczne? - pyta moja mama bez entuzjazmu w głosie.

- Jeśli dalej będziemy tak ciągnąć, uszkodzimy mu głowę - pada odpowiedź.

Przez chwilę moje ciało znajduje się w chłodzie, głowa zaś w ciepłe, ramiona przyciśnięte mam do uszu. Nagle w pobliżu mojej twarzy pojawia się ostrze. Czuję, że coś rozdziera się wokół mnie, nacisk słabnie. Czuję ostatnie pociągnięcie i tym razem głowa przechodzi.

Otwieram oczy. Światło mnie razi. Czym prędzej je zamykam.

Ktoś mnie chwytają za nogi. Nie mam nawet czasu pomyśleć o tym, co się ze mną dzieje. Obracają mnie głową na dół. Aj! Aj! Dość tego maltretowania! Krzyczę ze złości. Oni też krzyczą.

Cóż, zapamiętam tę chwilę narodzin! Wrzeszczę wniebogłosey. Wygląda na to, że sprawia im to wyjątkową przyjemność. Śmieją się. Czyżby się ze mnie nabijali? Nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić, zaczynam płakać. Wciąż się śmieją. Podają mnie sobie z rąk do rąk. Hej! Nie jestem przecież jakąś tam zabawką! Ktoś dotyka mojego przyrodzenia i mówi:

- To chłopiec!

Patrząc obiektywnie, z punktu widzenia anioła, dziecko jest po prostu brzydkie... Raoul przygląda się noworodkowi i wybucha gromkim śmiechem jak za dawnych czasów.

- Naprawdę jest paskudny!

- Myślisz, że to się zmieni?

Lekarz obwieszcza, że mój klient waży trzy trzysta. Raoul poklepuje mnie po ramieniu, jak gdybym dokonał nie lada wyczynu.

- Wszystkie noworodki wyglądają na nieco przydeptane po wyjściu z brzucha matki. A kiedy wyciąga się je za pomocą kleszczy - przypominają gofry.

Urodziłem się.

- Jaki słodziutki! - gratulują sobie głosy, których wciąż nie rozumiem.

Wszyscy wrzeszczą na tej planecie. Czy nie potrafia szeptać? Za dużo tu światła, za dużo przeciągów, hałasu i zapachów. Wcale mi się tu nie podoba. Czy mogę wrócić tam, skąd przyszedłem? Nikt jednak nie pyta mnie o zdanie. Wszyscy zajęci są dyskusją, wygląda na to, że na bardzo ważny temat.

- Jak nazwiecie chłopca?

- Jacques.

Nadal wrzawa wokoło. Do mojego drżącego ciała zbliżają się nożyczki. Ratunku! Przecinają pepowinę i czują jeszcze większy chłód.

26. NARODZINY VENUS

Pamiętam moje poprzednie wcielenie. Byłam chińskim kupcem, bardzo bogatym i wpływowym. Podróżowałam w lektyce z moją świtą. Zaatakowali nas zbóje. Pojmali nas, a następnie kazali mi wykopać sobie własny grób, do którego mnie wrzucili. Błagałam, by

darowali mi życie w zamian za moje bogactwa. Do dołu wrzucili wraz ze mną jedną z moich służących. „Masz, zabaw się nieco!”. Potem zasypali nas ziemią. Miałem jej pełno w oczach. Służąca udusiła się pierwsza i czułem, jak życie opuszcza jej ciało. Starłem się wydostać, odgarniając ziemię rękoma, ale byłem zbyt gruby, żeby się spod niej uwolnić. Za dużo wystawnych uczt...

Duszę się. Nienawidzę przebywać w zamknięciu. Otwieram oczy. Gdy byłem chińskim kupcem, umarłem wśród ciemności. Teraz otwieram oczy, a wokół wszystko ma barwę czerwoną. Czuję się ściśnięta. Koło mnie nadal znajdują się zwłoki!

To George, mój brat bliźniak, którego zabiłam, wcale tego nie chcąc. Duszę się, chcę się stąd wydostać. Powietrza! Powietrza! Szamoczę się. Dziś moje ciało jest znacznie lżejsze. Uderzam, stukam, macham rękami i nogami. Ktoś musi mi pomóc stąd wyjść!

Stajemy przy łóżku Venus.

Coś tu nie gra. Staram się spojrzeć w głąb duszy dziecka, stwierdzam jednak, że nie potrafię. Tu rozciąga się granica naszych anielskich możliwości. Nie możemy czytać w myślach naszych klientów.

Najwyraźniej dręczy ją przeszłość. Chcę czym prędzej odcisnąć na niej swój znak, lecz Venus wciąż jest niespokojna, roztrzęsiona, mam trudności z przyłożeniem do niej swojego palca.

- Ma atak klaustrofobii - stwierdza Raoul.

- Już?

- Oczywiście. Czasami poprzednia śmierć pozostawia po sobie niekorzystne skutki. Nie lubi przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. Nie mamy czasu na „anielski pocałunek”. Szybko, musimy coś zrobić.

- Przekażę intuicję wykonania cesarki lekarzowi prowadzącemu.

Światło. Wreszcie wolność! Czyjeś ręce wydobywają mnie z mojego więzienia, wciąż jednak czuję jakiś ciężar uwieszony na mnie.

To zwłoki George'a! Trzyma mnie w objęciach, jak gdyby nie chciał, by nas rozdzielono. To obrzydliwe! Umarłem jako mężczyzna z ciałem kobiety w ramionach, a oto odradzam się jako kobieta uczepiona zwłok mężczyzny.

Pielęgniarki muszą użyć szczypców, by odgiąć jeden z paluszków George'a.

- Ciii... zapomnij o przeszłości.

W chwili gdy jej ciało zostaje wydobyte na zewnątrz, nakładam anielski znak nad jej wargami. Lekarze zbyt są zajęci odczepianiem od niej George'a, by popatrzeć na buźkę dziewczynki. W przeciwnym razie z pewnością dostrzegliby, jak maleńka rynienka zarysowuje się tuż pod jej nosem.

27. NARODZINY IGORA

A więc nadeszła chwila narodzin.

Pamiętam, że byłem astronautą. Pamiętam, że byłem zrozpaczony.

I oto stoimy przy Igorze. On także sprawia wrażenie zdenerwowanego. Wspomina poprzednie wcielenie i związane z nim traumatyczne przeżycia. Zbliżam się do niego i nakładam na niego anielski znak.

„Ciii... zapomnij o przeszłości”. On jednak nie chce się uspokoić. Naciskam nieco mocniej, trudno, najwyżej rynienka będzie głębsza. Wreszcie chłopiec odnajduje nieco spokoju.

Matka właśnie przewróciła się na ulicy. Do tej pory ignorowała wszystkie symptomy, trzeba się więc było tego spodziewać. Nudności. Zawroty głowy. Za każdym razem to ja byłem bity, to mnie wymierzała karę. Jak gdyby to była moja wina!

Tym razem odeszły jej wody, wokół mnie robi się sucho, a co gorsza mama zemdląła.

Ludzie podnoszą ją. Ktoś stwierdził, że ta pani musi być w ciąży. Inny krzyknął, że trzeba ją jak najszybciej zawieźć do szpitala.

- Już mi lepiej - oznajmia mama, odzyskując przytomność. - Zemdląłam tylko, gdyż za dużo wypiałam.

Na szczęście nikt jej nie słucha.

Szpital znajduje się daleko stąd. Samochód jedzie szybko. Czuję, jak podskakuje na drodze.

- Proszę odдыchać powoli - radzi kobiecy głos.

- To nic, to nic, chcę wrócić do domu - powtarza mama.

Zaczynam się dusić. Umrę, a wtedy ona wygra. Zaczynają się skurcze. Najwyższa pora. Para ludzi w samochodzie - wiem, że to para, bo rozróżniam męski i kobiecy głos -

zaczyna panikować. Samochód przyspiesza. Wstrząsy i skurcze nasilają się. Układam się we właściwej pozycji.

DALEJ, JESTEM GOTÓW.

- Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać - wzdycha mężczyzna. - Nigdy nie przyjmowałem żadnego porodu, jestem piekarzem.

Więc wyobraź sobie, że wyciągasz wielki chleb z pieca, ty ofermo!

- Dziecko umrze, umrze! - lamentuje dalej mężczyzna.

Nie liczcie na mnie. Na przekór wrogo nastawionej rodzicielce i tym dwojgu nieudacznikom mam ochotę żyć i będę żył.

Tędy do wyjścia: „Exit”.

Wystawiam głowę na zewnątrz. Nie było łatwo. Otwieram oczy i nic nie widzę. Obraz jest jakby zatarty.

- Owiń je w swoją kurtkę - rozkazuje kobieta.

Dobra, najgorsze za mną. Urodziłem się. Reszta powinna być prostsza.

- Już myślałem, że nigdy nie dotrzemy na miejsce. Nie wiedziałem, że poród może być aż tak ciężki!

- Szybko się o nim zapomina - pociesza mnie Raoul. - Ale widzisz, dobrze, że przyleciałem tu z tobą. Łatwiej wpływa się na kierowców i unika wypadków drogowych we dwóch.

- Dzieciaki są słodkie...

- Chyba żartujesz... To potwory! A koszmar dopiero się zaczyna. Wkrótce poznasz ich gorszą stronę.

- Co na przykład?

Raoul robi zmartwioną minę.

- WOLNĄ WOLE! Wolna wola pozwala im dokonywać wyborów życiowych. A więc daje im prawo popełniać błędy. Powodować katastrofy i nie musieć się nikomu z tego tłumaczyć. Odrzucać odpowiedzialność. I zapewniam cię, że korzystają z tego prawa. Ach, bardzo cię proszę, strzeż się, jak możesz, tych dwóch słów: „wolna wola”.

28. ENCYKLOPEDIA

POWSTAWANIE: Powstawanie małego człowieczka dokonuje się zazwyczaj w ciągu osiemnastu miesięcy. Po dziewięciu miesiącach zachodzi konieczność wydostania go z brzucha matki, głowa bowiem staje się już za duża. Gdyby pozwolić mu pozostać tam dłużej, mogłaby ona już nie zdołać przecisnąć się przez miednicę rodzieli. To tak, jakby nie dopasować kuli do średnicy lufy armatniej.

A zatem płód opuszcza maczyny brzuch, jeszcze zanim zostanie całkowicie ukształtowany. Rezultat: konieczność przedłużenia dziewięciu miesięcy życia wewnątrzmacicznego dziewięcioma miesiącami życia pozamacicznego.

W tym delikatnym okresie wylęgu bardzo ważna jest obecność matki. Zadaniem rodziców jest stworzenie uczuciowego „brzucha”, w którym noworodek będzie czuł się bezpieczny, kochany i akceptowany, tym bardziej że tak naprawdę wciąż się jeszcze nie narodził. W wieku dziewięciu miesięcy następuje tak zwana „żałoba dziecięca”, gdy dziecko zdaje sobie sprawę z różnicy między nim a światem zewnętrznym. Od tej chwili będzie się ono rozpoznawało w lustrze, jako element wyróżniający się na tle reszty otoczenia.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

29. POWSTAWANIE KLIENTÓW

Edmund Wells czeka na mnie przed Szafirowymi Wrotami. Skrzywił się lekko na widok Raoula, domyśliwszy się, że ten niezbyt ortodoksyjny anioł towarzyszył mi w wyprawie na Ziemię, lecz nie komentuje tego, ponieważ nie jest jego aniołem instruktorem.

- Jak ci poszło chrzczenie dzieci? - pyta niby mimochodem.

- Bez większych problemów!

Edmund Wells proponuje, byśmy udali się na południowy zachód anielskiej krainy. Mój mentor rozkłada ramiona, by wziąć zakręt w lewo, podążam za nim.

- Pora, bym ci wyjaśnił, na czym polega istota twojej roboty.

Wybiera spokojny zakątek w górach, gdzie po chwili lądujemy.

- Musisz nakierowywać swoich klientów na właściwą drogę. Każdemu z nich pisane jest co innego. Już dawno temu ich dusze obrały sobie pewne cele - w ciągu całego życia starają się poprawić, zmierzając w obranym kierunku. Ty niestety nic nie wiesz na temat tych misji. Oczywiście możesz się domyślić, na czym one polegają, dzięki zachowaniom twoich

klientów, lecz i tak jedynym obiektywnym kryterium ich ewolucji pozostaje liczba punktów otrzymana podczas Sądu. Ten, który obierze właściwą drogę, zobaczy, że jego ocena poprawia się po każdym życiu. A więc pamiętaj: 600 punktów i zaliczasz klienta.

- W jaki sposób mogę im pomóc?

Edmund ujmuje mnie za rękę, odwraca je tak, by przywołać trzy świetliste kule. Na naszych przeźroczytych twarzach odbija się migocząca jasność sferycznych ekranów.

- Masz do dyspozycji pięć środków działania: 1) intuicję, 2) sny, 3) znaki, 4) medium i 5) koty.

Zapisuję sobie to wszystko w pamięci. Edmund ciągnie dalej:

- Intuicja. Nakierowujesz klienta na to, co powinien uczynić, lecz w sposób tak delikatny, że często niemal dla niego niezauważalny.

- Sny?

- Oczywiście, chętnie przekazywalibyśmy im rozwiązania wszystkich problemów za pośrednictwem snów, lecz nie mamy takiego prawa. Musimy docierać do nich poprzez dyskurs oniryczny, w który wplatamy wskazówki pod postacią symboli. Jeśli twój klient znajdzie się w niebezpieczeństwie, sprawiasz, żeby przyśniło mu się, że traci zęby lub włosy. Problem ze snami polega na tym, że często zapomina się je zaraz po przebudzeniu albo niepoprawnie się je interpretuje. By przekazać wiadomość, trzeba czasami powtarzać ją przez kilka nocy z rzędu, za pomocą różnych symbolicznych opowieści. Anioły w roli reżyserów snów mają doprawdy wielkie pole do popisu. Każdy klient ma swój własny świat referencyjny, który warto świadomie wykorzystywać. Dlatego też właśnie wszystkie dzieła spisujące ogólną symbolikę snów są nic niewarte.

Gładzi ręką kulę Venus.

- Co ze znakami?

- Działają na podobnej zasadzie, co intuicja. Chodzi tu o bezpośrednie interwencje, które niestety nie zawsze odnoszą właściwy skutek. Swego czasu ludzie podejmowali decyzje, obserwując lot ptaków lub wnętrzości kurczaka. Wtedy mieliśmy łatwiejsze zadanie. Teraz sami musimy wymyślać znaki. Szczekający pies ostrzegający, by nie kierować się w tamtą stronę... Zardzewiałe drzwi, które nie chcą się otworzyć...

- Medium?

- Do stosowania z ostrożnością. Medium to osoba, która otrzymała zdolność słyszenia anielskich głosów. Istnieje jednak pewien szkopuł, a nawet dwa. Przede wszystkim zdarza się, że zostajemy źle zrozumiani. Poza tym medium lubi czasami używać swojego daru do wykorzystywania słuchaczy. Tak więc decyduj się na medium tylko wtedy, gdy wszystkie

inne sposoby zawiodą.

- A... koty?

- Koty przypominają trochę media. Z tym że nie ciągną ze swych zdolności żadnych zysków. Mają jednak inną wadę: nie mówią i nie mogą przekazywać bezpośrednich ostrzeżeń.

Zastanawiam się. Środki interwencji, jakie otrzymałem do dyspozycji, wydają mi się istotnie dość skromne, by walczyć przeciwko zagrożeniom wynikającym z wolnej woli.

- Czy to wszystko?

Edmund Wells głaszcze kulę Igora.

- Odpowiednie wykorzystywanie pięciu środków działania może dać całkiem dobre wyniki.

Przeciągam się.

- Świetnie, zawsze marzyłem o tym, by sterować ludźmi. Prawdziwi mężczyźni, prawdziwa kobieta, to o wiele bardziej interesujące niż gra komputerowa w stylu „niech wasz bohater przeżyje w nieprzyjaznym otoczeniu”.

- Zaraz, zaraz, nie masz prawa się bawić. Spoczywa na tobie wielki obowiązek. Musisz spełniać ich życzenia. A jeśli mówię „życzenia”, mam na myśli absolutnie wszystkie życzenia.

- Nawet te sprzeczne z ich interesem?

- Na tym właśnie polega wielka przewaga ich 50% wolnej woli. Nie możesz jej tknąć. Musisz spełniać nawet najokropniejsze z ich zachcianek.

Raoul miał rację. Naszym wrogiem nie jest diabeł czy jakiegokolwiek inne niematerialne zło. Naszym wrogiem jest ludzka wolna wola.

30. JACQUES. 1 ROK

Jestem niemowlakiem.

Nie lubię, jak rodzice podnoszą mnie, chwytając pod pachami. Lubię, jak biorą mnie za pupę i mogę usiąść w zagłębieniu wewnętrznych stron ich dłoni.

Tata często podrzuca mnie w powietrze. Boję się, że uderzę o sufit. Dlaczego tatusiowie czują się zmuszeni podrzucać swoje dzieciaki do góry?

Wszystkiego się boję. Mam ochotę schować się pod kołdrę, chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju.

Przedstawiono mi małą dziewczynkę - to ponoć moja siostra. Wygląda na zadowoloną z tego, że mnie widzi, bo ciągle wkłada mi do buzi różne przedmioty, mówiąc: „Tak, tak, dzidziusiu, trzeba jeść”. Układa mnie w swoim wózku dla lalek i biega, krzycząc: „Dzidzius jest brudny! Trzeba go wykapać i umyć mu oczka szamponem!”.

Wokoło jest więcej dziewczynek, które twierdzą, że są moimi siostrami. Postrzegam je jako istoty interesujące, choć potencjalnie niebezpieczne. Niektóre mnie całują, inne ciągną za włosy, jeszcze inne karmią butelką albo łaskoczą.

Odkryłem, że nasza rodzina ma też kota. To chyba najspokojniejsze stworzenie w całym domu. Jego futerko jest tak mięciutkie jak pluszowy miś, a do tego mruczy głęboko, co bardzo lubię.

Siostry próbują nauczyć mnie chodzić. Już raz się przewróciłem i wspomnienie siniaków sprawia, że nie mam ochoty powtarzać tego doświadczenia. Pozycja pionowa budzi mój niepokój. Na czworakach spada się z mniejszej wysokości.

Prócz kota uspokajającymi elementami w domu są jeszcze nocnik i telewizor. Kiedy siedzę na nocniku, nikt mi nie przeszkadza. Telewizor zaś ma tę właściwość, że cały czas się rusza, a do tego mruczy jak kot.

W telewizji cały czas można oglądać różne historie. Uwielbiam historie. Sprawiają, że zapominam o moich lękach.

31. VENUS. 1 ROK

Jestem obsypywana pocałunkami i poświęca mi się mnóstwo uwagi. Mama powtarza mi ciągle, że jestem najpiękniejszą dziewczynką na całym świecie. Widziałam się w lustrze i rzeczywiście, wyglądam olśniewająco. Mam długie, czarne jak heban włosy, jedwabistą skórę w kolorze miodu i zielone oczy. Podobno gdy się urodziłam, nie byłam nawet pomarszczona, w przeciwieństwie do innych noworodków. Mama wytłumaczyła mi, że to dlatego, iż wyciągnięto mnie bezpośrednio z jej brzucha.

Przedstawiono mi starszego pana, ojca mamusi. Nazywają go „dziadziusiem”, a dziadzius zamęcza mnie swoimi mokrymi pocałunkami. Nienawidzę mokrych całusów.

Chyba musi brakować mu bliskości innych ludzi, skoro pozwala sobie na takie ślinienie.

Wieczorem żądam, by zapalano mi małą lampkę koło łóżka, żeby uniknąć pogrążenia się w ciemnościach. W przeciwnym razie mam wrażenie, że jakiś złoczyńca kryje się pod moim materacem i chce złapać mnie za nogi.

Nie cierpię też, jak się mnie owija kołdrą. Zawsze muszę mieć wolne nogi. Bo inaczej to mnie denerwuje, oj, jak mnie to denerwuje! Poza tym jeśli spod łóżka nagle wyskoczy potwór, unieruchomiona nie będę mogła uciec.

Nie jem też wszystkiego. Biorę do ust tylko to, co delikatne i słodkie. Lubię rzeczy piękne, miłe i słodkie.

32. IGOR. 1 ROK

Muszę przeżyć.

Uciekam z wanny, gdy mama próbuje mnie utopić. Uciekam jej z łóżka, gdy stara się mnie udusić poduszką. Umiem się wyślizgiwać. Umiem uprzedzać zagrożenia.

Umiem obudzić się w środku nocy, gdy tylko gdzieś w pobliżu zapali się światło.

Umiem, dzięki doskonałemu słuchowi, odgadnąć, że ona czai się za mną.

Umiem być zwinny i szybki. Szybko uczę się chodzić. Żeby lepiej uciekać.

33. ENCYKLOPEDIA

INSTYNYKT MACIERZYŃSKI: Wielu z nas wyobraża sobie, że miłość matki to naturalne i automatyczne ludzkie uczucie. Nic bardziej mylnego. Aż do końca dziewiętnastego wieku większość kobiet należących do burżuazji w krajach zachodnich powierzała swoje dzieci mamce i więcej już się nimi nie zajmowała. Chłopki zresztą nie różniły się od nich tak bardzo. Omotywały dzieci ciasno obszernymi chustami, po czym wieszały na ścianie w pobliżu pieca, żeby nie marzły.

Umieralność niemowląt była bardzo wysoka, a rodzice nie wiązali z nimi wielkich nadziei, wiedzieli bowiem, że istnieje tylko pięćdziesiąt procent szans na to, że ich dzieci przeżyją

wiek młodzieńczy.

Dopiero na początku dwudziestego wieku władze państwowe pojęły znaczenie ekonomiczne, społeczne i militarne owego słynnego „instynktu macierzyńskiego”.

Powoli powstał całkiem nowy rynek: pieluszki, butelki, sztuczne mleko, nocniki i zabawki. Mit Świętego Mikołaja rozprzestrzenił się po świecie.

Producenci artykułów dla dzieci, za pośrednictwem przeróżnych reklam, stworzyli obraz odpowiedzialnej matki, a szczęśliwe dzieciństwo stało się niejako nowoczesnym ideałem.

Paradoksalnie to właśnie dzisiaj, gdy miłość rodzicielska afiszowana jest niemal na każdym kroku, będąc jedynym niekontestowanym uczuciem cechującym społeczeństwo, podrastające dzieci wyrzucają swoim matkom, że te niedostatecznie się o nie troszczyły. Później wylewają swoje żale i urazę do rodzicielki, leżąc na kozetce u psychiatry.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

34. ŚWIAT NAD NAMI

Dzięki moim kontrolnym kulom obserwuję przydzielonych mi klientów pod każdym kątem, tak jakbym miał do dyspozycji dwadzieścia kamer. Jedna myśl i otrzymuję plan panoramiczny, widok ogólny, zbliżenie. Moje kamery obracają się w dowolnych kierunkach, krążą wokół klientów, filmują postacie drugoplanowe, statystów i całe otoczenie. Panuję nie tylko nad kątem ujęć, lecz także nad oświetleniem. Widzę moich bohaterów nawet wtedy, gdy pogrążeni są w ciemnościach. Dostrzegam każdy ich szczegół poprzez strugi padającego deszczu. Mogę przeniknąć w głąb ich ciała, zobaczyć bijące serce i procesy trawienne w żołądku. Ukryte przede mną są jedynie ich myśli.

Raoul nie podziela mojego entuzjazmu.

- Kiedyś też mnie to cieszyło. W końcu jednak zdałem sobie sprawę ze swojej bezsilności.

Przygląda się kuli Igora.

- Hm... nie najlepiej to wszystko wygląda.

Wzdycham.

- Martwię się o Igora. Ta jego matka w końcu go zabije.

- Dziecko znienawidzone przez matkę... - rozważa na głos Raoul. - Niczego ci to nie przypomina?

Zastanawiam się przez chwilę, lecz nie znajduję odpowiedzi.

- Felix - szepcze Raoul.

Drgnąłem. Felix Kerboz, nasz pierwszy tanatonauta! Jego także nienawidziła własna matka. Podekscytowany przyglądam się uważniej karmie Igora i stwierdzam, że istotnie, mój Rosjanin to reinkarnacja naszego byłego towarzysza, pioniera tanatonautyki.

- Jak to możliwe?

Raoul Razorbak wzrusza ramionami.

- W chwili gdy Felix stał przed anielskim sądem, pojęcie „tanatonauta” nie weszło jeszcze do słownika, został więc zaklasyfikowany jako „astronauta”.

Przywołuję na myśl wspomnienie tego dość prostego chłopca, który chcąc szybciej wydostać się z więzienia, w zamian za amnestię testował niebezpieczne lekarstwa, a wreszcie zgłosił się jako ochotnik do pierwszego lotu tanatonautycznego. Był więc pierwszą osobą, która udała się na kontynent zmarłych i z niego powróciła. Muszę jednak przyznać, że ukarano go nieco zbyt surowo, przydzielając mu w obecnym życiu tak nienawistną matkę, biorąc pod uwagę fakt, że i poprzednia nie darzyła go ciepłymi uczuciami.

Raoul tłumaczy mi, że to rzecz zupełnie normalna. W przypadku gdy jakiś problem nie został rozwiązany podczas jednej egzystencji, zostaje automatycznie przetransferowany do następnej.

- Dusza Feliksa Kerboza nie zdołała wydostać się z kręgu reinkarnacji, nie udało jej się też zrozumieć własnej matki, będzie więc starała się to uczynić podczas nowego wcielenia, jako Igor Czechow. To zapewne „siódemki”, ci „z góry”, czyli „bogowie”, podjęli taką decyzję. Jeśli i tym razem nie uda mu się rozwiązać problemu z matką, ciekawe, jak bardzo wyrodną matką obdarzą go w kolejnym życiu?

Marszczę czoło.

- Nie wyobrażam sobie kogoś gorszego niż matka Igora.

Raoul Razorbak zaśmiał się szyderczo.

- Wierz mi, w tej kwestii możesz zaufać „tym z góry”. Mają niezwykle płodną wyobraźnię, jeśli chodzi o wymyślanie nowych prób dla ludzi. Kolejny awatar Igora-Feliksa będzie być może musiał stawić czoło uroczej, lecz nadmiernie zaborczej kobiecie, która stłamsi go swoją zazdrosną miłością.

- Ależ to istne znęcanie się nad człowiekiem!

Twarz mojego przyjaciela zapada się pod wpływem smutku, widzę też, że jego ręce

zaczynają drżeć.

- Zaczynasz chwytać. Odnoszę wrażenie, że tam, na górze, ktoś torturuje naszych klientów, zanurzając ich głowy pod wodę, czekając na jakąś reakcję z ich strony. Uważają, że dopiero znalazłszy się na samym dnie basenu, człowiek potrafi odbić się i wypłynąć na powierzchnię. Nie wiem, kim są ci „bogowie”, lecz nie jestem pewien, czy tak naprawdę zależy im na ludzkim szczęściu.

- Co mogę zrobić, aby mu pomóc?

Raoul Razorbak zaciska pięści.

- Niestety niewiele. Jesteśmy piechurami w tej armii. Stoimy w pierwszym szeregu, patrzymy na ogólne nieszczęście, lecz to oficerowie odpowiedzialni za całą strategię podejmują decyzje.

Czuję, jak ogarnia mnie bezsilność. Raoul potrząsa mną, wściekły.

- To właśnie dlatego musimy za wszelką cenę dowiedzieć się, kim są ci oficerowie i kto nimi dowodzi, kim są „siódemki”, kim są „bogowie”, którzy wykorzystują nas, anioły, i tych tam na dole, śmiertelników.

Po raz pierwszy, być może widząc rozpacz Igora, docierają do mnie argumenty mojego przeźroczyściego przyjaciela. Wciąż jednak nie jestem gotów postąpić wbrew prawom obowiązującym w krainie aniołów.

35. JACQUES. 2 LATA

Dzisiaj rodzice zostawili mnie z opiekunką, która wyszła właśnie na balkon na papierosa. Rozmawia tam przez telefon. Droga jest wolna. Kierunek: kuchnia. To cudowne miejsce, które od zawsze chciałem lepiej poznać. Jest tam mnóstwo migoczących światełek, białych, czerwonych, a nawet zielonych. Wdycham zapach ciepłego cukru, mleka, płynnej czekolady i słony dym. W ciągu ostatnich dni ciągle to robię. Poza tym stałem się ekspertem od wspinaczek. Ciekawe, co tam jest na górze?

Na szczęście koło kuchenki stoi krzesło. Jeśli wdrapię się na nie, może uda mi się do niej dosięgnąć.

Jacques poparzy się, jeśli ściągnie na siebie rondel z gotującą się wodą na makaron. Trzeba go ratować. Rozpatruję po kolei każdy ze środków działania, jakimi dysponuję.

Intuicja.

Próbuję przeniknąć umysł opiekunki. „Dziecko! Dziecko w niebezpieczeństwie. W kuchni!”.

Niestety rozmowa z ukochanym pochłonęła ją całkowicie.

Staram się dotrzeć do umysłu małego Jacques'a, lecz jego czaszka jest niczym sejf, do którego w żaden sposób nie umiem się dostać.

Znaki.

Na parapecie okiennym siedzą wróbelki, ćwierkają głośno, chcąc odwrócić uwagę malca. Ten jednak, zafascynowany rondlem, nie widzi ich ani nie słyszy.

Medium. Nie znajduję żadnego w okolicy.

Co robić?

Nie dosięgam. Muszę stanąć jeszcze bliżej. Muszę złapać ten długi, wystający nade mną patyk i sprawdzić, dlaczego wydaje z siebie kłęby dymu i hałas.

Koty. Zostaje mi kot.

Na szczęście w domu jest kot! Podłączam się do jego umysłu. Przy okazji dowiaduję się wielu rzeczy na jego temat. Przede wszystkim to nie kot, tylko kotka i nazywa się Mona Lisa. Zadziwiające, że podczas gdy umysł człowieka jest dla mnie całkowicie niedostępny, umysł kota widzę jak na dłoni. „Trzeba ocalić tego małego chłopca!” - nadaję komunikat. Problem polega na tym, że Mona Lisa doskonale zrozumiała mój przekaz, lecz wcale nie ma ochoty zareagować. Kotka urodziła się w tym domu i nigdy z niego nie wychodziła. Całe dni siedzi nieruchomo przed telewizorem, przez co stała się otyła. Wstaje tylko trzy razy dziennie, by pochłonąć miskę rozgotowanego makaronu i spreparowane krokiety, za którymi przepada.

Nigdy nie polowała, nigdy nie biła się z innymi kotami, nigdy też nie wyszła na spacer.

Całe życie siedziała tutaj, w ciepłym mieszkaniu, wpatrując się w telewizor. Mona Lisa ma swoje ulubione programy i wykazuje duże zainteresowanie grami polegającymi na zadawaniu kandydatom pytań w stylu: „Jak się nazywa stolica Republiki Wybrzeża Kości Słoniowej?”.

Kotka uwielbia, gdy ludzie się mylą albo gdy wielka wygrana przechodzi im koło

nosa. Ludzkie przygnębienie podnosi ją na duchu i utwierdza w przekonaniu, że o wiele lepiej jest być kotem.

Ma pełne zaufanie do swoich właścicieli. Nie, właściwie trzeba to nazwać inaczej: ona nie traktuje ich jak właścicieli, lecz jak... jako poddanych. Niesamowite. To zwierzę jest przekonane, że światem rządzą koty, że to one sterują tymi grubymi, dwunożnymi dostarczycielami zadowolenia.

Nadaję komunikat:

- Rusz się, uratuj małego człowieka.

Kotka ma to w głębokim poważaniu.

- Jestem zajęta - odpowiada bezczelnie zwierzę. - Nie widzisz, że oglądam telewizję?

Wnikam jeszcze głębiej do jej mózdzku.

- Jeśli teraz nie wstaniesz, dzieciak umrze.

Mona Lisa spokojnie czyści wąsy.

- Wszystko mi jedno. Zrobią sobie nowego. Zresztą za dużo dzieciaków w tym domu.

Tyle hałasu, bieżaniny. Poza tym ciągle ciągną mnie za wąsy. Nie lubię małych ludzi.

I jak tu przekonać kotkę do ocalenia dziecka?

- Słuchaj, kocie, jeśli natychmiast nie ruszysz się stąd i nie uratujesz Jacques'a, spowoduję zakłócenia nadajnika telewizyjnego.

Nie mam pojęcia, czy jest to w mojej mocy, najważniejsze jednak, że do kocicy przemówił ten argument. Najwyraźniej waha się. Czytam w jej umyśle wspomnienia zakłóconych przez burze programów, zaśnieżonego ekranu... Bywało nawet jeszcze gorzej: zepsuty odbiornik albo strajk. Te przerwy zawsze psuły jej humor.

- Dzień dobry, kotku. Chyba po raz pierwszy przychodzisz i ocierasz się o mnie. Jaki ty jesteś miłutki, a twoje futerko jest takie mięciutkie! Wolę bawić się z tobą niż tym patykiem, tam w górze.

36. VENUS. 2 LATA

Wczoraj dłuższą chwilę stałam przed lustrem. Stroiłam różne miny, ale nawet z wykrzywioną twarzą podobałam się sobie.

Rodzice włożyli mi różową pieluszkę. Mówią, żebym tam robiła „siusiu” i „kupkę”. Nie wiem, o czym oni w ogóle mówią. Pytam: „co siusiu?”, a mama mi pokazuje. Przyglądam się żółtemu płynowi. Wącham go. Obrzydliwe. W jaki sposób z tak ładnego ciała, jak moje, może wyciekać tak śmierdząca ciecz? Złoszczę się. To takie niesprawiedliwe. No i noszenie pieluch mnie upokarza!

Podobno wszyscy ludzie bez wyjątku robią „siusiu” i „kupkę”. W każdym razie tak twierdzą mamusia i tatuś, ale ja im nie wierzę. Muszą przecież istnieć tacy, którzy uniknęli tego przekleństwa. Boli mnie główka. Często boli mnie główka.

Zdarzyło się coś bardzo ważnego, o czym zapomniałam. Dopóki sobie tego nie przypomnę, ciągle będzie mnie bolała.

37. IGOR. 2 LATA

Mama chce mnie zabić.

Wczoraj zamknęła mnie w pokoju z otwartym oknem. Wiał lodowaty wiatr, który przenikał mnie do szpiku kości, ale ja na szczęście uodporniłem się na zimno. Dałem radę. Zresztą nie miałem wyboru. Wiem, że jeśli się rozchoruję, ona nie będzie mnie leczyć.

- Zakpiłem sobie z ciebie, mamo. Ciągle żyję. I o ile nie zbierzesz się na odwagę, żeby mnie dźgnąć nożem w brzuch, będę żył, przykro mi.

I tak mnie nie słucha. Leży w łóżku ze swoją wódką.

38. SZMARAGDOWE WROTA

Wraz z Raulem szukam innego przejścia do krainy „siódemek”. Lewitujemy, podążając na wschód, wznosimy się na sam szczyt jednej z gór i próbujemy przedostać się na zbocze położone po drugiej stronie - tam jednak zatrzymuje nas niewidzialna bariera.

- Mówiłem ci, kraina aniołów to zwykłe więzienie - mruknął posepnie Raoul.

Niby przypadkiem pojawia się przed nami Edmund Wells.

- Hola, hola, panowie! Co tu kombinujecie?

- Mamy dość tej roboty. Nasze zadanie jest niewykonalne - oznajmia prosto z mostu Raoul, przyjmując wyzywającą pozę, opierając ręce na biodrach.

Edmund Wells ma świadomość, że sprawa nie będzie łatwa.

- A ty co sądzisz na ten temat, Michaelu?

Raoul odpowiada za mnie.

- Ledwie pękły skorupki jajek, a już jest po ptakach. Przydzielili mu lęklivego i nieporadnego Jacques'a, narcystyczną i próżną Venus i Igora, którego matka chce wykończyć. Sama radość!

Edmund Wells nie zaszczycił mojego przyjaciela nawet jednym spojrzeniem.

- Zwracam się do Michaela. Co ty o tym sądzisz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Mój instruktor nalega:

- Chyba nie tęskno ci do życia, jakie wiodłeś jako śmiertelnik? Przypomnij sobie swoje ostatnie wcielenie.

Znalazłem się między młotem a kowadłem. Szerokim gestem Edmund Wells wskazuje na horyzont.

- Wiem, że cierpiełeś. Bałeś się. Chorowałeś. Teraz jesteś czystą jaźnią. Uwolnioną od ciała.

Mówiąc to, Edmund przenika przeze mnie.

Raoul wzrusza ramionami z wyrazem obrzydzenia na twarzy:

- Ale straciliśmy zmysł dotyku. Nie możemy nawet tak naprawdę usiąść.

Szkicuje w powietrzu kształt krzesła i siada na nim, przenikając je na wylot.

- Nie starzejemy się - wysuwa kolejny argument Edmund Wells.

- Ale nie mamy świadomości upływającego czasu - odbija piłeczkę Raoul. - Żadnych sekund, minut, godzin, nocy i dni. Żadnych pór roku.

- Jesteśmy wieczni.

- Ale nie obchodzimy urodzin!

Argumenty padają jeden po drugim.

- Nie cierpimy...

- Nic już właściwie nie czujemy.

- Porozumiewamy się za pomocą samych umysłów.

- Ale nie możemy słuchać muzyki.

Edmund Wells nie daje się zbić z tropu.

- Latamy z zawrotną prędkością.

- Lecz nie czujemy na twarzy dotyku wiatru.

- Nie musimy spać.

- A przez to nie śnimy!

Mój mentor stara się zdobyć jakieś punkty, lecz Raoul nie daje za wygraną:

- Żadnych przyjemności. Koniec z życiem seksualnym.

- Ale też koniec z bólem! Mamy za to dostęp do wszelkiej wiedzy - odpiera atak Edmund Wells.

- Nie ma tu nawet... książek. Nie widziałem ani jednej biblioteki w tym Raju...

Mój instruktor nie znajduje nic, by odeprzeć ten cios.

- To prawda, nie mamy książek... ale... ale...

Myśli intensywnie, wreszcie odpowiada:

- Ale... nie potrzebujemy ich! Każde życie śmiertelnika to niezwykle pasjonująca intryga. Lepsza niż wszystkie powieści i filmy: obserwacja zwykłego, ludzkiego życia dostarcza nam przecież tyle nagłych zwrotów akcji, tyle niespodzianek, smutków, radości, zawodów miłosnych, sukcesów i porażek... A co najważniejsze, te historie są PRAWDZIWE!

Teraz Raoul Razorbak nie wie, co powiedzieć. Edmund Wells puszy się jednak nadal:

- Kiedyś byłem, jak i wy, buntownikiem.

Podnosi głowę, jakby oglądając deszczowe chmury. Wreszcie postanawia ustąpić:

- Hm... Chodźcie. Spróbuję zaspokoić waszą ciekawość, zdradzając wam pewną tajemnicę.

39. ENCYKLOPEDIA

RADOŚĆ: „Obowiązkiem każdego człowieka jest pielęgnowanie swojej radości wewnętrznej”. Niestety wiele religii zapomniało o tym przykazaniu. Większość świątyń to posępne i zimne budowle, zaś muzyka liturgiczna jest pompatyczna i smutna. Księża ubierają się na czarno. Rytuały celebrują męczeństwo, rywalizując w przedstawianiu okrutnych czynów. Tak jakby tortury, którym poddawano proroków, miały dodawać im autentyczności.

Czyż radość życia nie jest najlepszym sposobem, by podziękować Bogu - jeśli istnieje - za dar życia? A jeśli Bóg istnieje, dlaczego miałby być istotą posępną?

Jest jednak kilka wyjątków: Daodejing, swego rodzaju księga filozoficzno-religijna, proponuje nam naśmiewanie się ze wszystkiego, łącznie z nami samymi, oraz gospel, którego hymny

skandowane są radośnie przez czarnoskórych Amerykanów podczas mszy i pogrzebów.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

40. IGOR. 5 LAT

Po wielu nieudanych próbach mama najwyraźniej zrezygnowała z zamordowania mnie. Wciąż tylko pije i patrzy na mnie spode łba. Nagle rzuca w moją stronę szklanką. Uchylam się, jak zawsze, a szkło z hukiem rozbija się o ścianę.

- Może nie uda mi się cię zabić, ale nie pozwolę, żebyś mi jeszcze długo uprzykrzał życie - oznajmia mi.

Wkłada kurtkę i bierze mnie za rękę, wychodzimy pod pretekstem zrobienia zakupów, choć czuję dobrze, że nie zamierza chodzić ze mną po sklepach. Moje przypuszczenia potwierdzają się, gdy zostawia mnie, a raczej porzuca, na dziedzińcu przed kościołem.

- Mamo!

Oddała się szybkim krokiem, po chwili jednak wraca i rzuca mi pozłacany medalik. Wewnątrz znajduje się zdjęcie jakiegoś faceta z potężnym wąsem.

- To twój ojciec. Odszukaj go sobie. On z przyjemnością się tobą zajmie. Żegnaj!

Siadam na mokrym śniegu. Muszę przeżyć. Muszę. Płatki śniegu opadają na mnie gęstym puchem.

- Co tutaj robisz, mój mały?

Podnoszę przemarzniętą głowę i spoglądam na mężczyznę w mundurze.

41. VENUS. 5 LAT

W ciągu dnia rysuję, a nocą śpię niespokojnym snem. Dużo śnię. Śni mi się, że jakieś zwierzę siedzi uwięzione w mojej głowie i ze wszystkich sił stara się z niej wydostać. To mały króliczek, który skubie sobie od wewnątrz moją czaszkę, powtarzając w kółko: „Musisz o

mnie pamiętać". Budzę się czasami ze straszliwą migreną. Tej nocy ból był bardziej dotkliwy niż zazwyczaj. Wstaję i idę do tatusia i mamusi. Śpią. Jak oni mogą spać, kiedy mnie tak bardzo boli głowa? Chyba tak naprawdę mnie nie kochają.

Rysuję swój ból i rysuję istotę, która siedzi we mnie i draży mnie od wewnątrz.

42. JACQUES. 5 LAT

Boję się. Nie wiem dlaczego, ale boję się. Wczoraj wieczorem w telewizji puszczały tak zwany western. Byłem oniemiały z przerażenia. Cały się trząsałem. Moja rodzina była zaskoczona.

Dzisiaj rano siostry wbiegły do pokoju, udając kowbojów, chcąc mnie nastraszyć. Uciekam na drugi koniec mieszkania, ale dziewczyny dopadają mnie w salonie. Biegnę do kuchni. I tu mnie złapały. Biegnę w stronę łazienki. Tam też mnie dorwą. - Oskalpujemy cię! - grozi Mathilde, najmłodsza. Dlaczego mówi mi takie niemiłe rzeczy? Siostry gonią mnie aż do pokoju rodziców. Później próbują mnie złapać w pralni, na szczęście udaje mi się umknąć między ich nogami. Jestem w panice. Gdzie się schować? Wpadam na pewien pomysł. Barykaduję się w toalecie. Dla większego bezpieczeństwa zamykam drzwi na zasuwkę. Słyszę, jak siostry się dobijają, ale nie boję się już, drzwi są solidne. Czuję się tu jak w bezpiecznej fortecy. Nagle dziewczyny przestają walić pięściami w drzwi. Słyszę rozmowę.

- Co się tutaj dzieje? - pyta tata.

- Jacques zamknął się w toalecie - piszczą siostry.

- W toalecie? Cóż ty tam, do diabła, wyprawiasz? - dziwi się ojciec.

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl. Powtarzam zdanie, którego tatuś zawsze używa, gdy chce spokojnie posiedzieć w toalecie i które strasznie denerwuje mamusię.

- Czytam książkę.

Za drzwiami zapada cisza. Wiem, że w tym domu słowo „książka” budzi natychmiastowy respekt.

- To co, wyważamy drzwi? - proponuje przymilnym głosem Mathilde.

Pełne napięcia oczekiwanie.

Wreszcie słyszę głos taty:

- Skoro siedzi w toalecie z książką, trzeba go zostawić w spokoju.

Czegoś się nauczyłem. Kiedy wszystko idzie nie po mojej myśli, trzeba zamknąć się w łazience i czytać książkę.

Siadam na sedesie i rozglądam się. Po mojej prawej leży sterta gazet, a nade mną znajduje się półka - podręczna biblioteczka taty. Biorę jedną z książek. Strony wypełnione są przylegającymi do siebie literami, których nie umiem rozszyfrować. Patrzę na okładki innych pozycji. Na szczęście jest tu też album dla dzieci, z licznymi obrazkami. Znam go. Tata czytał mi go już przed snem. Opowiada o olbrzymie w krainie liliputów i o lilipucie w krainie olbrzymów. Główny bohater nazywał się chyba Guliwer. Patrzę na obrazki i próbuję pojąć sens liter tak, by powstały z nich słowa. To za trudne. Zatrzymuję się na dłużej przed ilustracją wielkoluda spętanego przez tłum maleńkich ludzików.

Kiedyś, kiedy będę już umiał czytać, zamknę się w toalecie na długo, bardzo długo i będę czytał i czytał, tak że wreszcie zapomnę o tym, co się dzieje za drzwiami.

43. CZTERY KULE PRZEZNACZENIA

Edmund Wells ciągnie nas w stronę przesmyku wśród skalistych gór północnego wschodu. Mój instruktor wskazuje nam wejście, po czym wślizgujemy się do labiryntu tuneli, które doprowadzają nas w końcu do olbrzymiej groty oświetlonej przez cztery kule wysokie na mniej więcej pięćdziesiąt metrów, lewitujące dwa metry nad ziemią.

Anioły instruktorzy latają wokół nich niczym muszki wokół fosforyzujących, wiszących melonów.

- Wstęp tutaj mają teoretycznie jedynie anielscy instruktorzy. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że tak bardzo chcieliście zobaczyć coś, czego pozostałe anioły nie mają prawa ujrzeć - i czego zresztą nawet nie próbują - postanowiłem zaspokoić choć w niewielkim stopniu waszą ciekawość.

Podchodzimy bliżej.

Cztery kule są identycznej wielkości, lecz różnią się zawartością.

W pierwszej kryje się dusza świata mineralnego.

Druga zawiera duszę świata roślinnego.

Trzecia - duszę świata zwierzęcego.

Czwarta - duszę świata ludzkiego.

Podchodzę do pierwszej. Pośrodku drga migoczące jądro. Czyżby to była dusza Ziemi? Słynna Gaja? Starożytna *Alma mater!*

- A więc ziemia posiada duszę?

- Oczywiście. Żyje, a wszystko co żywe, obdarzone jest duszą - odpowiada Edmund Wells.

Po chwili od niechcienia dodaje:

- A wszystko co posiada duszę, ma potrzebę ewoluowania.

Zafascynowany odrywam wzrok od kul.

- Wszystko żyje? Nawet kamienie?

- Nawet góry, potoki, kamyki - lecz ich dusze należą do niższego poziomu. By go zmierzyć, wystarczy przyjrzeć się natężeniu świetlistego jądra, wtedy instynktownie poznamy wartość duszy.

- A więc - stwierdzam - przyjmując tę kosmogonię, minerał znajdujący się na poziomie I powinien otrzymać 100 punktów, roślina - 200, zwierzę - 300, a człowiek - 400.

- Sam zmierz!

Dostrzegam istotnie duszę Ziemi, lecz liczba jej punktów nie jest równa 100 - przekracza ją znacznie... ma 163 punkty! Druga kula, obejmująca lasy, pola i kwiaty, również posiada nie 200, lecz 236 punktów! Dusza zwierząt ma 302 punkty. Ludzkość zaś znajduje się na poziomie 333 punktów.

- Co? - wołam zdziwiony - ludzkość nie ma nawet 400 punktów?

Edmund Wells potwierdza:

- Jak już ci mówiłem, na tym właśnie polega nasza praca. Mamy dążyć do podciągnięcia ludzkiej średniej, by ludzie wreszcie stali się... ludźmi. Prawdziwymi „czwórkami”. Ale jak sam możesz właśnie stwierdzić, człowiek nie znajduje się jeszcze na należnym mu miejscu. Nie można też powiedzieć, że znajduje się w połowie drogi pomiędzy zwierzęciem na poziomie 3 a mędrcem z poziomu 5. To człowiek jest owym „brakującym ogniwem”. Ech, i pomyśleć tylko, że Nietzsche używa pojęcia „nadludzie”! Nim człowiek stanie się „nadczołowiekiem”, niech lepiej stanie się najpierw człowiekiem!

Nachylam się nad kulą ludzkości i spoglądam na nieco ponad sześć miliardów kuleczek, z których każda mieści w sobie świetliste jądro.

Raoul Razorbak milczy, lecz domyślam się, że i on jest pod wrażeniem; wraz ze mną kontempluje ludzkie dusze.

Edmund Wells zbliża się do kuli.

- Oto cała gromada naszych „klientów”, tutaj toczy się najważniejsza gra. Moim

zdaniem jeśli ludzkość nie podaży nagle w stronę autodestrukcji, może już za kilkaset lat ludzie staną się prawdziwymi ludźmi, prawdziwymi „czwórkami”.

Potrzebny jest jednak wielki nakład pracy, naszej anielskiej pracy, by wydzwignąć ich na właściwy poziom.

Mój instruktor emituje do naszych umysłów obraz wykresu. Jest nastawiony optymistycznie. Postęp ludzkości to funkcja wykładnicza. Dzięki nowoczesnym środkom transportu, a więc dzięki zwiększeniu się liczby podróży, komunikacji globalnej, rozprzestrzenianiu się kultury na skalę światową i dzięki mediom - coraz liczniejszym i coraz bardziej dostępnym - mędrcy (czyli „piątki”) wywierają coraz większy wpływ na resztę ludzi.

- Zauważcie, jak ludzie żyli dawniej i jak żyją dzisiaj. Niegdyś obawiali się drapieżników. Dziś zamykają je w ogrodach zoologicznych. Dawniej skazani byli na częste głodowanie, zmuszeni byli pracować w pocie czoła. Teraz człowiek ma coraz więcej wolnego czasu, który może poświęcić na rozmyślanie. A gdy człowiek myśli, zadaje sobie pytania. U progu trzeciego tysiąclecia możemy śmiało stwierdzić, że szansa na podciągnięcie średniej świadomości gatunku ludzkiego nigdy jeszcze nie była tak duża. Kiedyś, na przykład w antycznej Grecji, szanowano jedynie „obywateli”, czyli osoby wolne lub wyzwolonych niewolników. Z biegiem czasu pozostali „marginalizowani” ludzie zyskali sobie prawo do obywatelstwa.

44. ENCYKLOPEDIA

TOLERANGA: Za każdym razem gdy ludzie poszerzają pojęcie „pobratymca” o nowych członków, oznacza to, iż odtąd uważają te istoty, dotychczas uznawane za gorsze, za wystarczająco do nich podobne i zasługujące na ich współczucie. Możemy też przyjąć, że wówczas nie tylko nowi członkowie plemienia robią krok do przodu, lecz także cała ludzkość pokonuje kolejny etap ewolucji.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

45. DOBRZY I ŹLI

Kula ludzkości... Domyślam się, że to tutaj powracają jaja znajdujące się pod moją opieką za każdym razem, gdy oddalają się na północny wschód. Rozumiem też, że dusze wchłonięte przez jedną wielką kulę oddziaływają na siebie i szukają wspólnej harmonii. Pewne zdanie Edmunda Wellsa dzwoni mi cały czas w uszach: „Wystarczy jedna dusza, by unieść całą ludzkość”. Czyżby chodziło tu o słynną „noosferę” Teilharda de Chardin? Miejsce, w którym mieszają się wszystkie ludzkie świadomości?

- Ale gdybyśmy my, anioły, nie robili niczego, czy ludzie nie ewoluowaliby sami z siebie?

- Jesteśmy pasterzami kierującymi nasze stado na właściwą drogę. Choć zapewne dzięki pracy, jaką anioły wykonały do tej pory, ludzie tak czy owak zmierzają już we właściwym kierunku.

- W takim razie może moglibyśmy ich zostawić...

Edmund nawet nie komentuje tej uwagi.

Raoul nalega:

- A jaki kolejny stopień ewolucji czeka nas, anioły? Świat bogów?

Edmund Wells unosi brwi ze zdumieniem.

- Jesteście zabawni, wy młodzi. Chcecie wszystko wiedzieć od razu. Nie umiecie pozbyć się starych, ludzkich nawyków. Popatrzcie lepiej uważnie na wasze kule, a zdacie sobie sprawę, że cały ten osad zwyczajów typowych dla śmiertelników przeszkadza wam i ciąży. Zamiast zasypywać mnie gradem ludzkich pytań, spróbujcie zachowywać się, jak przystało na anioły!

Po tych słowach nasz mentor odwraca się na pięcie i odmaszerowuje wielkimi krokami. Biegnie w stronę Matki Teresy, by natrzeć jej uszu. Z tego co udaje mi się usłyszeć z tej odległości, Matka Teresa ma wśród swoich klientów jednego z szefów państw, którego nakłania do ciągłego zwiększania podatków od wzbogacenia. Edmund Wells tłucze jej do głowy, że biednych nie uszczęśliwia się poprzez szykanowanie bogatych.

Podchodzę bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- Droga Matko Tereso, chwilami nadmiernie pani wszystko upraszcza. Jak mawiał jeden z moich przyjaciół, „nie wystarczy odnosić sukcesy, trzeba też umieć czerpać przyjemność z patrzenia na porażki innych”. On żartował, ale pani naprawdę podziela tę opinię. Jest pani przekonana, że ludzka bieda będzie łatwiejsza do zniesienia, jeśli cała

ludzkość będzie ją klepać. A powinniśmy przecież, wręcz przeciwnie, dążyć do tego, by wszyscy ludzie byli bogaci!

Matka Teresa robi minę upartego uczniaka, przekonana, że to mimo wszystko ona ma rację.

Jeśli o mnie chodzi, uważam, że Matka Teresa, spędziwszy całe życie wśród biedaków, próbuje odtworzyć swoje dawne środowisko i odnaleźć jakieś punkty orientacyjne. Biednych ludzi znała od zawsze. Z bogatymi sprawa już nie jest taka łatwa. Święta kobieta została zmuszona do zainteresowania się kursami giełdowymi, kolekcjami odzieży, kolacjami na mieście, modnymi restauracjami, depresjami, alkoholizmem, cudzołóstwem, talassoterapią, krótko mówiąc - wszystkimi problemami bogatych.

Matka Teresa słucha napomnień Edmunda Wellsa, przetrawia jego słowa i wreszcie oznajmia:

- Powinnam być może namówić mojego prezydenta do wszczęcia akcji mającej na celu kontrolę urodzin w biednych dzielnicach. „Róbcie dzieci, tylko jeśli macie środki, by się nimi zająć, w przeciwnym wypadku sięgną one po narkotyki i zejną na drogę przestępczą”. O to chodzi?

- Zawsze warto spróbować - wzdycha Edmund Wells.

Stwierdzam, że nasz instruktor przypomina cierpliwego pedagoga. W pewnym sensie szanuje... wolną wolę aniołów.

Raoul odlatuje w stronę horyzontu. Podążam za nim.

- Edmund Wells wie, kim są „siódemki”. Wie też, co się znajduje nad nami.

- Nie zdradzi nam tego, widziałeś, jak zareagował tym razem - odpowiadam.

- On nie piśnie ani słówka, to prawda. Ale jest jeszcze jego książka...

- Jaka książka?

- *Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej*. Zaczął ją pisać jeszcze jako śmiertelnik, a teraz kontynuuje owo dzieło w swym niebieskim życiu. Zauważyłeś, że ciągle cytuje nam jej fragmenty? Gromadzi tam całą swoją wiedzę, opisuje odkrycia i przeróżne ciekawostki. Trzy pierwsze tomy powstały na Ziemi, do dziś korzystają z nich śmiertelnicy. Czwarty tom jednak redagowany jest tutaj...

- Do czego zmierzasz?

Mój przyjaciel wykonuje pętlę w powietrzu, by po chwili znów znaleźć się przy mnie.

- Edmundowi Wellsowi tak bardzo zależy na szerzeniu wiedzy, że z pewnością znalazł sposób, by zmaterializować czwarty tom encyklopedii swojego autorstwa.

- Przecież nie ma już do dyspozycji pióra, ołówka, nie mówiąc o maszynie do pisania

czy też komputerze. Może gromadzić całą wiedzę, jaką tylko ma ochotę, lecz ta na zawsze pozostanie jedynie w eterze.

Te argumenty nie przemawiają jednak do Raoula.

- Chyba nie sądzisz, że jest aż tak szalony, by spisać największe sekrety Raju w postaci jakiegoś manuskryptu ukrytego gdzieś na Ziemi?

Raoul jest niewzruszony.

- Pamiętasz ten fragment *Encyklopedii* zatytułowany: „Koniec ezoteryzmu”? Napisał tam wyraźnie: „Teraz wszystkie tajemnice oddane zostają do wiadomości publicznej. Musimy pogodzić się bowiem z faktem, że rozumieją je jedynie ci, którzy mają ochotę zrozumieć”.

Krążymy nad Rajem.

- Wszystkie sekrety PRÓCZ tajemnicy „siódemek"! Nie umiem sobie mimo wszystko wyobrazić Edmunda Wellsa powierzającego człowiekowi arkana Raju, by ten spisał je w książce...

Mój przyjaciel rozpromienia się, jak gdyby cały czas czekał, aż wypowiem te słowa.

- Kto wie?

46. ENCYKLOPEDIA

KONIEC EZOTERYZMU: Niegdyś osoby mające dostęp do podstawowej wiedzy o naturze człowieka nie mogły wyjawiać jej całej naraz. Prorocy wystawiali się za pomocą paraboli, metafor, symboli, aluzji i niedomówień. Bali się, że posiadana przez nich wiedza zbyt szybko się rozprzestrzeni. Obawiali się też, że zostaną źle zrozumiani. Wymyślali obrzędy inicjacji, mające na celu wyłowienie tych, którzy będą godni usłyszeć najważniejsze informacje. Tworzyli hierarchię dostępu do wiedzy.

Czasy się zmieniły. Teraz wszystkie tajemnice oddane zostają do wiadomości publicznej. Musimy pogodzić się bowiem z faktem, że rozumieją jedynie ci, którzy mają ochotę zrozumieć. „Głód wiedzy" jest najpotężniejszym napędem ludzkości.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

47. IGOR. 7 LAT

Pan w mundurze okazał się milicjantem. Był piękny. Wysoki. Silny. Pachniał czystością. Wziął mnie na ręce.

Strzepnął ze mnie śnieg i zaprowadził do najbliższego sierocińca. Wreszcie znalazłem się z dala od największego niebezpieczeństwa. Z dala od mamy. Minęły już ponad dwa lata, odkąd tu jestem.

W sierocińcu są jeszcze inne dzieci porzucone przez rodziców. Jesteśmy wyrzutkami społeczeństwa, niekochanymi, niechcianymi, tymi, którzy nigdy nie powinni się byli urodzić.

Co mi tam, przynajmniej żyję.

Miejsce to przypomina schronisko dla porzuconych psów, z tym że weterynarz przychodzi tu rzadziej i gorzej nas karmi.

Inne dzieciaki są nerwowe. Ja na szczęście jestem silny. Kiedy znajdę się w tarapatach, nie rozmyślam, tylko rzucam się naprzód i walę na oślep. Najczęściej celuję w brzuch przeciwnika. Mam opinię brutala, ale wolę to, przynajmniej inni czują przede mną respekt. Wyznaję zasadę - najpierw wzbudzić lęk, a dopiero potem się zaprzyjaźniać. Szybko do mnie dotarło, że gdy jesteś miły dla ludzi, od razu wierzą, że jesteś też słaby.

Śpimy w czterech w pokoju. Oprócz mnie jest tam trzech na „W”

Wania to mały Ukrainiec - jego ojciec alkoholik zbyt często trafiał jego głową w ścianę.

Władimir jest największy z naszej bandy. Nie wiem, jak mu się udaje utrzymać taką tuszę, biorąc pod uwagę ilość jedzenia, jaką nam tutaj wydzielają.

Wasył - cichy chłopiec. Gdy się już zdecyduje coś powiedzieć, to zawsze mówi coś interesującego, ale nie robi tego zbyt często. To on nauczył nas grać w pokera.

Poker jest fantastyczny. W ciągu jednego wieczora można osiągnąć apogeum szczęścia lub popaść w najgłębszą rozpacz, wszystko w przyspieszonym tempie. Gdy Wasył gra, jego twarz nieruchomieje, jakby była z marmuru. Mówi: „Nie ma znaczenia, czy się ma złe czy dobre karty, trzeba tylko umieć grać złymi kartami”. Albo: „Nie liczą się te karty, które masz w ręce, ale te, które twój przeciwnik myśli, że masz”. Wasył cały czas międli w ustach słomkę.

Uczy nas wysyłać fałszywe sygnały radości albo rozczarowania, aby wprowadzać w błąd przeciwników. Dzięki niemu poznaję w szkole pokera i rozwijam zmysł obserwacji. Podoba mi się to. Świat jest pełen detali, które dostarczają nam niezbędnych informacji.

Wasył mawia:

- Niektórzy zawodowcy grają tak świetnie, że nawet nie patrzą w swoje karty. Mają dzięki temu pewność, że nie zdradzi ich wyraz twarzy.

- Skąd więc wiedzą, kto wygrał?

- Dowiadują się tego w ostatniej chwili. Po zakończeniu zakładów wykładają karty na stół i wtedy okazuje się, komu karta poszła dobrze, a komu nie.

Wasył nie został porzucony. Jego rodzice nie bili go. To on uciekł z domu w wieku sześciu lat. Milicja złapała go, lecz nikomu nie udało się wyciągnąć z niego informacji, kim jest i skąd pochodzi. A ponieważ gliny miały lepsze rzeczy do roboty niż wszczynanie wielkiego śledztwa w sprawie małego uciekiniera, wsadzili go do sierocińca razem z nami.

Wasył nigdy nie wspomina swojego wcześniejszego życia. Może nawet miał bogatych rodziców, ale po prostu nie chce ich już więcej oglądać. Opuścił ich ot tak, pod wpływem impulsu, z potrzeby przeżycia przygody. Wasył to naprawdę niezły gość.

Czasami dzieci odchodzą z sierocińca, są adoptowane przez ludzi, którzy chcą być rodzicami. Na początku marzyłem o tym. O rodzicach, którzy pojawią się i zabiorą mnie stąd... Szybko jednak pojąłem, że to jedno wielkie oszustwo. Podobno te tak zwane adoptowane dzieci dostawały się do siatek przestępczych zajmujących się prostytutką albo do nielegalnych pracowni, gdzie zmuszano je do szycia piłek lub składania zabawek na sprzedaż na Zachód.

Nienawidzę dzieci z Zachodu. Nawet w podziemiach sierocińca, podczas tak zwanych „warsztatów rozwijania zdolności manualnych”, każą nam składać lalki albo zabawki elektroniczne. Wykorzystują nas, nie płacąc ani grosza, ot co!

Kiedy koledzy pakują swoje manatki i wyruszają do swoich „adoptowanych rodziców”, nabijamy się z nich i wołamy za nimi: „Co tym razem? prostytutka czy nielegalna praca?”. Ale tak naprawdę zazdrościmy im, bo oni być może znaleźli sobie rodziców, a my nie.

Wczoraj Wania pobił się z bandą Piotra. Wrócił do nas cały we łzach. Piotr zmusił go do pokazania mu naszego sejfu i ukradł nam wszystkie papierosy. Nie puścimy tego płazem.

Natychmiast udajemy się do pokoju Piotra. Drzwi nie są zamknięte, ale wewnątrz nie ma nikogo. Jest aż za spokojnie. To musi być pułapka.

Pająk wspina się prędko w stronę sufitu - intuicja podpowiada mi, że to znak. Niepokojący znak. Pająk - pułapka.

Za późno. Piotr i jego kumple schowali się pod łózkami. Wskakują i grożą nam nożami sprężynowymi.

Pająk miał rację.

Moje silne pięści na nic się tu nie przydadzą. Stoimy z opuszczonymi rękami, podczas gdy wspólnicy Piotra rozbierają nas i palą nasze ubrania. Szef bandy oznajmia, że jeśli kiedykolwiek ukradniemy jakieś papierosy, musimy oddać im połowę, w przeciwnym wypadku dosięgnie nas bolesna kara.

- Jeśli chcecie żyć z nami w zgodzie, musicie nam płacić.

W końcu odwraca się w moją stronę, przykłada ostrze noża do mojego pępka i mówi:

- Któregoś dnia przerobię ci buźkę.

Nie mogę nic zrobić, to on ma nóż. Przechodzimy nago przed resztą dzieci. Historia szybko obiegła sierociniec i wiemy, że straciliśmy twarz.

Za oknem pada śnieg. Niedługo święta, ale tutaj nikt nie wierzy w Świętego Mikołaja: gdyby istniał, podarowałby nam rodziców, którzy nie chcieliby się nas pozbyć. Choć z okazji Bożego Narodzenia każdy z nas ma prawo do jednej pomarańczy i do kilku kosteczek prawdziwej baraniny. Obieram swoją pomarańczę i wypowiadam życzenie. Święty Mikołaju, jeśli mnie słuchasz: chciałbym, żeby Piotra ktoś dźgnął nożem w brzuch.

48. VENUS. 7 LAT

Tej nocy miałam dziwny sen. Śniła mi się bójka między chłopakami. W pewnej chwili jeden z nich zwrócił się do mnie i powiedział: „Któregoś dnia przerobię ci buźkę”.

Wczoraj wieczorem oglądałam w telewizji program na temat chirurgii estetycznej. Wyjaśniano w nim właśnie, w jaki sposób przerabia się twarze. Mama niemal przyssała się do ekranu. Zazwyczaj kiedy w telewizji pokazują krew, rodzice każą mi iść spać, ale tym razem byli tak zafascynowani, że zapomnieli o mojej obecności.

Mama oznajmiła, że ona także chętnie poszłaby pod nóż, żeby sobie przerobić twarz. Powiedziała, że lepiej nie czekać do ostatniej chwili: im wcześniej się to robi, tym lepszy jest rezultat.

Tata mówi, że operacja jest bardzo droga, ale mama stwierdziła, że uroda nie ma ceny, w szczególności jeśli jest narzędziem pracy. Tata oświadczył, że dla niego wygląd również stanowi niezbędny atut, ale woli po prostu pielęgnować swoje ciało i ujędrniać skórę, ćwicząc, a nie korzystając ze skalpela.

Tata miał za złe mamie, że ta wydaje za dużo pieniędzy. Potem chciał ją pocałować, ale mama go odepchnęła. Powiedziała, że chyba już na nią wcale nie patrzy, bo gdyby patrzył, zobaczyłby jej zmarszczki i sam zacząłby się zastanawiać, jak się ich pozbyć. Dodała też, że kobieta nigdy nie jest doskonała i w pewnym wieku musi zabrać się za swoją twarz.

Czy to prawda? Czyżby uroda nie była skarbem, który zdobywa się raz na całe życie?

Pokłócili się. Mama wyrzucała tacie, że ten spotyka się z młodszą od niej panienką. Tata oświadczył, nie ma żadnej panienki i ma już powyżej uszu tych wszystkich oskarżeń. Mama z kolei upierała się, że każda kobieta ma prawo dbać o swoją urodę i jeśli tato nie sfinansuje jej operacji, ona nie zawaha się wypłacić pieniędzy ze wspólnego konta.

Tata powiedział: „Ani się waż”. Następnie wypowiedzieli standardowe zdanie: „Nie przy małej”, po czym poszli do swojego pokoju. Stamtąd nadal słychać było ich krzyki. Jakieś przedmioty rozbijały się o ziemię i o ściany. Wreszcie po jakimś czasie nastąpiła cisza.

Jest wiele rzeczy, które dziwią mnie w zachowaniu dorosłych. Posiedziałam jeszcze chwilę przed telewizorem, żeby zobaczyć do końca program.

Następnie, jak to mam w zwyczaju, usiadłam przed lustrem w moim pokoju i rozmyślałam. Skoro mama potrzebuje operacji plastycznej, żeby być jeszcze piękniejszą, w takim razie ja także.

Co mogłabym zmienić, żeby być jeszcze piękniejszą? Przyglądam się bacznie swojej twarzy i już wiem: nos.

Mój nos jest za długi. Święty Mikołaju, jeśli mnie słuchasz, spełnij, proszę, moje największe marzenie: chciałabym mieć operację plastyczną skrócenia nosa.

49. JACQUES. 7 LAT

- Przestań zadawać tyle pytań, Nemrod.

- Ale...

- Denerwujesz mnie, Nemrod. Po prostu naucz się tego, co zadane i tyle. Ciągłe tylko bujasz w obłokach i zadajesz miliony pytań. Ja natomiast wołałabym odpowiedzi.

Dzieci podśmiewają się. Spuszczam głowę. Nauczycielka każe nam uczyć się różnych rzeczy na pamięć, a ja mam z tym problemy. Staram się wbić sobie do głowy tabliczki dodawania i odejmowania. W zerówce miałem straszne kłopoty z nauczeniem się alfabetu,

pisania imienia, nazwiska i adresu. Nie byłem w stanie pojąć odmiany czasowników. Nie umiem nawet zapamiętać kodu do drzwi we własnym domu. Ileż razy stałem przed drzwiami, cały zmarznięty, i próbowałem różne kombinacje cyfr? Relacje z innymi dziećmi też nie układają mi się najlepiej. Ponieważ jestem rudy i noszę okulary, nazywają mnie „marchewką w binoklach” albo „zardzewiałym gwoździem”. Chyba urodziłem się na niewłaściwej planecie.

Najlepiej czuję się w towarzystwie Mona Lisy. Zawsze służy mi dobrą radą. Wczoraj miałem do rozwiązania trudne zadanie z matematyki: test wyboru. Mona Lisa zawsze kładła łapę na dobrych odpowiedziach!

Jeśli nie jestem z tej planety, to może z kociej?

W zeszłym tygodniu przechodziłem koło sklepu z zabawkami i zobaczyłem tam niesamowity statek kosmiczny z całą masą migoczących światełek. Może taką rakieta dałoby się polecieć w kosmos i odnaleźć moją prawdziwą planetę? Jestem pewien, że mieszkają tam rudowłose istoty, a blondynów i brunetów przezywa się „kukurydzianymi głowami” i „gnojowymi łbami”.

Na mojej planecie nie zmusza się do uczenia na pamięć wierszyków, bo wszyscy wiedzą, że to niczemu nie służy. Nie potrzeba też kodów, żeby wejść do własnego domu. Wkrótce święta Bożego Narodzenia. Poproszę Świętego Mikołaja, żeby przyniósł mi ten statek kosmiczny.

Opowiedziałem o nim Mona Lisie. Wygląda na to, że popiera mój wybór.

50. ŻYCZENIA

Siedzę sobie po turecku, lewitując, pod drzewem w turkusowym lesie. Jezioro Poczęć chlupocze przyjemnie po prawej stronie. Trzy kule drgają nad moimi dłońmi. Za każdym razem gdy podłączam się do umysłów moich klientów, odczuwam lekki ból. Jak gdyby kontakt z czyimś ciałem pozwalał mi odzyskać odrobinę wrażliwości na bodźce cielesne.

Podchodzi do mnie Edmund Wells. Dotyka czubkiem palca kulę Igora, muska ręką kulę Venus.

- Teraz przynajmniej znasz najdogodniejsze sposoby oddziaływania na każdego z nich. Obserwacja znaków w wypadku Igora. Sny dla Venus. Kot dla Jacques'a. Ale uwaga, czasami

twoi klienci sumują kilka sposobów, a czasami je zmieniają. Nie możesz wpaść w rutynę. Więc jakie są ich życzenia świąteczne?

- Igor życzy sobie... żeby jeden z jego kolegów został dźgnięty nożem w brzuch. Venus marzy o operacji plastycznej nosa, a Jacques prosi o jakąś plastikową zabawkę w kształcie pojazdu kosmicznego. Czy naprawdę muszę spełnić wszystkie ich życzenia?

Mój instruktor traci cierpliwość.

- Zostając aniołem, zobowiązałeś się, że nie będziesz kwestionował tej zasady. Nie wolno ci oceniać życzeń, twoja rola polega jedynie na ich spełnianiu.

- Kto wymyślił te reguły? Kto uważa, że spełnianie tych marzeń ma jakikolwiek sens? Czyżby Bóg?

Edmund Wells udaje, że nie usłyszał mojego pytania. Nachyla się nad jajami z miną zaniepokojonego kuchcika. Przygląda im się z różnych stron, rozmyśla przez chwilę i wreszcie oznajmia:

- Teraz, gdy już opanowałeś znajomość pięciu sposobów działania, nauczę cię trzech taktyk. Od najprostszej po najtrudniejszą. Pierwsza taktyka to tak zwana metoda kija i marchewki. Polega ona na motywowaniu klienta do dążenia naprzód, bądź to obiecując mu nagrodę, bądź też grożąc mu karą. Druga taktyka to „ciepło-zimno”. Należy bardzo szybko stosować miłe i przykre niespodzianki i sprawić, by klient stał się bardziej uległy. Trzecią taktykę nazywam „kulą bilardową”. Należy oddziaływać na osobę, która z kolei będzie oddziaływać na twój klienta.

Następnie mój zadowolony z wygłoszonego przez siebie wykładu mentor odchodzi. Ledwie oddalił się kilka kroków, a już Raoul Razorbak, mój kusiciel, pojawia się przede mną.

- Chodźmy za nim.

Dyskretnie podążamy za nim wśród drzew, aż docieramy na niewielką polankę, gdzie Edmund Wells, siedząc po turecku, utrzymuje nad dłońmi jedną kulę, nie zaś trzy, której bardzo uważnie się przygląda. Czyżby instruktorzy mieli pod opieką jedną, starannie dobraną duszę?

Jajo migocze.

Edmund Wells porusza wargami. Przemawia do kuli.

- Czy jesteś gotowy, Ulissesie Papadopoulosie? Oto nowe hasło do *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*.

Słyszymy go, jak dyktuje rozdział na temat wpływu języka na myśl. Nie wierzę własnym uszom. Edmund Wells przekazuje swoją wiedzę człowiekowi na Ziemi. I to nie byle jakiemu człowiekowi, poprawiam się. Raoul miał rację. Nasz instruktor posługuje się

medium, obawia się bowiem, że myśli nieprzelane na materialny nośnik mogą po prostu się ulotnić.

- Ten śmiertelnik, ten Ulisses Papadopoulos, wie zatem więcej niż anioły - szepcze mój przyjaciel. - Chodźmy go zobaczyć. Coś czuję, że to będzie bardzo ciekawe doświadczenie...

51. ENCYKLOPEDIA

KWESTIA JĘZYKA: Język, którym się posługujemy, wpływa na nasz sposób myślenia. Na przykład we francuskim, obfitującym w synonimy i słowa o podwójnym znaczeniu, możemy pozwolić sobie na liczne niuanse dyplomatyczne. Język japoński, gdzie znaczenie słowa określane jest za pomocą intonacji, wymaga ciągłej uwagi i panowania nad emocjami. Wiele poziomów uprzejmości zmusza dodatkowo rozmówców do natychmiastowego umiejscowienia się w hierarchii społecznej.

Język ma nie tylko znaczenie edukacyjne i kulturalne, lecz zawiera także elementy wpływające na dane społeczeństwo: zarządzanie emocjami oraz zasady etyczne. Liczba synonimów w danym języku dla słów „kochać”, „ty”, „szczęście”, „wojna”, „nieprzyjaciel”, „obowiązek” i „natura” jest znamieną dla wartości wyznawanych przez naród posługujący się tym właśnie językiem. Trzeba też wiedzieć, że nie sposób wywołać rewolucji bez zmiany języka i słownictwa. To bowiem język przygotowuje umysły na zmianę mentalności.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

52. JACQUES. 7 LAT

Pod choinkę dostałem mój wymarzony statek kosmiczny. Ależ się ucieszyłem! Ucałowałem rodziców, a potem zjedliśmy dużo świątecznego jedzenia. Gęsie wątróbki, ostrygi, łosoś wędzony z koperkiem, indyk w sosie kasztanowym i Bûche de Noël³.

Nie mogę pojąć, co im tak smakuje w tych - świątecznych daniach.

Moja starsza siostra Suzon tłumaczy mi, że wątróbka pochodzi od specjalnie tuczonej gęsi, młodsza siostra Marthe zapewnia, że homary wrzuca się żywe na wrzącą wodę, a mama prosi nas, byśmy sprawdzili, czy ostrygi są na pewno żywe, polewając je sokiem z cytryny. Jeśli małże się ruszają, oznacza to, że można je zjeść.

Po posiłku opowiadaliśmy sobie kawały. Tatuś opowiedział jeden, który bardzo mnie rozbawił.

- To historia gościa, którego potrąciła ciężarówka. Podnosi się, ale nagle nadjeżdża motor i wpada na niego. Facet wstaje, ale nadbiega koń i go tratuje. Wstaje, ale prawie natychmiast samolot wlatuje mu niemal prosto w twarz. Wtedy ktoś woła: „Zatrzymajcie karuzelę, mamy tu rannego!”.

Z początku nie rozumiałem, o co chodzi, ale kiedy już pojąłem, śmiałem się przez godzinę. Dowcipy, których w pierwszej chwili nie rozumiem, rozśmieszają mnie potem najbardziej.

Kawały to takie krótkie bajki. Dobry dowcip wymaga scenerii, bohatera i sytuacji kryzysowej albo trzymającej w napięciu akcji, które trzeba bardzo szybko przedstawić, nie nadużywając słów. Wymagają również zaskakującego zakończenia, a to też nie jest łatwe do wykonania. Muszę nauczyć się wymyślać kawały - wydaje mi się, że to będzie dobre ćwiczenie.

Kawały mają tę zaletę, że można je bezpośrednio testować. Opowiada się je i od razu widać, czy są śmieszne. Nie da się oszukiwać. Kiedy ludzie nie rozumieją naszego kawału albo uważają, że nie jest śmieszny, po prostu się nie śmieją. Zaryzykowałem.

- Wiecie, jak się zbiera papaję?

Wszyscy zaprzeczyli.

- Wi-widelcem.

Wszyscy się uśmiechnęli. Nikt się nie roześmiał. Pudło.

- Milutki - powiedziała mama, głaszcząc mnie po głowie.

Urażony ukryłem się w toalecie i zamknąłem drzwi na zasuwkę. To była moja zemsta. Siedziałem tam bardzo długo i nie pozwalałem nikomu wejść. Wreszcie wujek zaproponował wyważenie drzwi. „No może jednak lepiej nie”, stwierdził tata. Wygrałem. WC to naprawdę świetna kryjówka.

Przez następne kilka dni doskonale się bawiłem moim statkiem kosmicznym. Żeby miał gdzie lądować, zbudowałem planetę kosmitów i pięciu małych ludków z papieru

³ Bûche de Noël - ciasto bożonarodzeniowe w kształcie polana drewna (przyp. tłum.)

toaletowego, kleju i pociętych na paski plastikowych butelek. Moja planeta jest czerwona, niebo i woda są na niej czerwone. Całość pomalowałem na czerwono lakierem do paznokci - na szczęście mama jeszcze się nie zorientowała.

Następnie zabrałem się do spisywania przygód moich bohaterów. To historia o czterech astronautach lądujących na czerwonej planecie, pełnej potężnych kosmicznych wojowników, którzy niczego się nie boją. Astronaucci zaprzyjaźniają się z nimi i poznają ich kodeks honorowy oraz sztukę walki, które całkowicie różnią się od tych obowiązujących na Ziemi.

Mona Lisa schrupała jednego z moich astronautów. Dzięki temu wpadłem na pomysł, by włączyć do mojej opowieści potwora, olbrzymią Angorę, której trzeba się za wszelką cenę wystrzegać. Teraz chciałbym, żeby ktoś przeczytał moją opowieść. Bo jeśli miałbym pisać dla samego siebie, to bez sensu!

53. VENUS. 7 LAT

Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Przymierzałyśmy z mamą ubrania w bardzo eleganckim butikiu w Beverly Hills i jakiś pan podszedł do mnie i pogłaskał mnie po włosach. Mama zawsze mnie przestrzegala: „Nie pozwalaj się dotykać, nie bierz cukierków od nieznajomych”. Ale tym razem mama była razem ze mną i jakoś nie przegoniła tego pana.

- Chciałbym zrobić jej kilka zdjęć. Jestem fotografem i robię właśnie katalog dla dużej firmy produkującej ubrania dla dzieci - oświadczył.

Mama odpowiedziała, że sama jest modelką, dobrze zna ten zawód i nie chce, żeby córka też przeżywała to piekło.

Potem z jakiegoś powodu zaczęli rozmawiać o cyfrach. Za każdym razem kiedy pan mówił jakąś liczbę, mama podawała inną, trochę wyższą. Rodzaj gry. W końcu mama powiedziała ostatnie słowo i wróciliśmy do domu.

Tydzień później mama zaprowadziła mnie do pomieszczenia bardzo mocno oświetlonego. Wszyscy krzatali się koło mnie. Zrobiono mi makijaż. Uczesano mnie. Ubrano. Wszyscy powtarzali, że jestem piękna, ale to akurat wiem już od dawna. Jakaś pani zapewniała mnie, że jestem „najpiękniejsza”. Doskonała.

No dobrze, skoro nikt z nich nie zauważył mojego feleru, czyli za długiego nosa, ja nie będę im o nim przypominać. Kazali mi usiąść na krześle i robili mi zdjęcia z wielu ujęć. Uwielbiam odgłos flesza. Mruczy jak dzikie zwierzę, które szykuje się do skoku, potem błysk i wszystko zaczyna się od nowa.

Następnie stałam na tle z chmur i udawałam, że bawię się lalką. Mama przyglądała mi się z dumą. Pan, którego wtedy spotkałyśmy, też tam był i znowu grał z mamą w liczby i chyba mama znowu wygrała. Podkreślała, że dokonałam czegoś niezwykłego i że w nagrodę spełni moje życzenie. Cokolwiek by to było, spełni je.

Zażyczyłam sobie być naprawdę doskonałą.

- Jesteś doskonała - powiedziała mama.

Rozpłakałam się.

- Nie. Mój nos jest za długi. Konieczna jest operacja plastyczna.

- Żartujesz! - zaśmiała się mama.

Ale ja nalegałam:

- Ty przecież zoperowałaś sobie zmarszczki i uda...

Zapadła cisza. Mama zawahała się, by po chwili oświadczyć:

- Zgoda. Przejdiesz do historii jako najmłodsza dziewczynka, która poddała się zabiegowi chirurgii estetycznej. Chodźmy.

Znalazłam się w specjalistycznej klinice, pod opieką chirurga dr. Ambrosia Di Rinaldiego, dawnego rzeźbiarza, który przekwalifikował się na pracę z ludzkim ciałem. Nazywają go tu Michałem Aniołem skalpela. Podobno to on wylansował większość popularnych aktorek, a nie ich agenci i rzecznicy prasowi. Chirurdzy to prawdziwi łowcy talentów. Ale ciii... to tajemnica, ludzie nie muszą o tym wiedzieć. Ambrosio jest wyjątkowo zdolny, operując mnie, weźmie pod uwagę wzrost, jaki osiągnę w przyszłości.

Zostałam uszpona na stole operacyjnym, a kiedy się obudziłam, moja twarz była cała obandażowana. Chciałam jak najszybciej zobaczyć mój nos, ale trzeba było poczekać jeszcze kilka dni, aż całość się zrośnie.

W oczekiwaniu, aż znikną ślady po operacji, siedziałam w swoim pokoju. Oglądałam swój ulubiony film *Kleopatra* z Liz Taylor. Liz Taylor jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Kiedy dorosnę, zostanę Liz Taylor. Prawdziwa Kleopatra też miała, podobno, za długi nos. Może to taka klątwa rzucona na zbyt pięknych ludzi? Ale mam przewagę nad Kleopatrami. Za jej czasów nie istniała jeszcze chirurgia plastyczna, choć sztukę bandażowania opanowano już wtedy doskonale.

Moja operacja nosa była zaledwie pierwszym krokiem na drodze podboju szerokiej

publiczności.

Mam teraz kolejne marzenie: chcę zostać prawdziwą gwiazdą.

54. IGOR. 7 LAT

Od czasu swego zwycięstwa nad nami Piotr zwiększył wymagania. Pobiera haracz od chłopców ze wszystkich pokoi. Nóż sprężynowy pomaga mu w egzekwowaniu jego praw.

Od niedawna w warsztacie zajmujemy się pakowaniem papierosów do pudełek. Piotr rozkazał nam kraść regularnie po jednej paczce i mu oddawać. Rozwinął handel, w który zamieszanych jest też wielu dorosłych opiekunów.

Piotr otacza się gwardią przyboczną, a jego porucznicy sięją wśród nas postrach tym większy, że są właściwie całkowicie bezkarni. Kiedy nasi strażnicy chcą nas do czegoś zmusić, robią to za pośrednictwem Piotra, który wie, jak się do nas dobrać. Wymyślił cały wachlarz męczarni dla upartych i dla tych, którzy usiłują wykręcić się od płacenia tak zwanego „podatku piotrowego”. Zaczyna się od przypalania papierosem, potem nacina się nożem, a na końcu garbuje skórę na wszystkie możliwe sposoby.

Mam już dość tego miejsca. Nawet moi przyjaciele, trzej „W” - Wasyl, Wania i Władimir, w końcu ulegli autorytetowi Piotra, który żąda, by go traktować jak „carewicza”.

W obliczu jego bandy moja siła nie zdaje się na nic. Jeśli uderzę jednego z nich, wszyscy pozostali od razu rzucą się na mnie.

Piotr wybrał Wanię na swojego kozła ofiarnego. Jedno skinienie głowy i banda Piotra pastwi się nad nim. Próbowaliśmy kilkakrotnie go bronić, ale wtedy sami nieźle oberwaliśmy, zaś opiekunowie udawali, że tego nie widzą.

Wasyl w końcu się zbuntował. „Musimy uciekać z tego piekielnego sierocińca!” - powiedział. Postanowiliśmy więc wykopać tunel. Nasza sypialnia znajduje się w pobliżu muru otaczającego budynek. Jeśli wszystko potoczy się po naszej myśli, będziemy mogli cieszyć się wolnością na świecie bez Piotra, bez jego bandy i naszych opiekunów.

Tego ranka wezwano mnie do dyrektora. Idę, wlokąc się noga za nogą. W gabinecie, prócz dyrektora, zastaję jeszcze umundurowanego mężczyznę. Sądząc po całej masie medali, jaką ten gość przyczepił sobie do piersi, musi być kimś super - ważnym. Dyrektor zwraca się do mnie łagodnie:

- Igor, bardzo mi przykro.

- Ja nic nie zrobiłem, psze pana, to nie ja - odpowiadam odruchowo, sądząc, że być może nasz tunel został odkryty.

Dyrektor zrobił minę, jak gdyby niczego nie usłyszał.

- Igor, przykro mi, gdyż będziesz musiał opuścić naszą instytucję, którą - zdaję sobie z tego sprawę - traktujesz jak dom rodzinny. Otwiera się przed tobą nowa droga...

- Więzienie?

- Ależ nie! - woła dyrektor. - Adopcja.

Słyszając te słowa, moje serce zaczyna bić szybciej. Dyrektor ciągnie dalej:

- Pan Afanasjew, tu obecny, pragnął spotkać się z tobą z zamiarem adoptowania cię. Naturalnie możesz też wyrazić swoje zdanie na ten temat.

Adoptować mnie?

Przyglądam się mężczyźnie. Uśmiecha się dobrotliwie. Wygląda sympatycznie. Jego oczy są błękitne. No i te wszystkie medale... Mężczyźni w mundurach z dużą liczbą medali robią na mnie wrażenie.

Podchodzę bliżej. Mężczyzna ładnie pachnie. Zapewne jego żona nie może mieć dzieci i dlatego chcą mnie adoptować. Mój przyszły tata ujmuję mnie pod brodę.

- Zobaczysz, spodoba ci się u nas. Moja żona piecze wyśmienite ciasta, w szczególności te czekoladowe.

Ciasta! Już mi ślinka cieknie. Tutaj dostajemy ciastka tylko z okazji urodzin prezydenta, a i tak są robione na bazie świńskiego tłuszczu i sacharyny, które pozostawiają w ustach ohydny smak. Ach, czekolada! Już sobie wyobrażam moją przyszłą mamę. Uśmiechnięta blondynka o pulchnych, białych rękach idealnych do wyrabiania ciasta.

- Myślałem, że już jestem za stary na adopcję.

- Pan Afanasjew jest pułkownikiem lotnictwa. Ma prawo do wyjątków. Nie chciał niemowlęcia, tylko dużego i zdrowego chłopca.

W sypialni nikt nie chciał uwierzyć w moją historię. Władimir starał się sprowadzić mnie na ziemię.

- Smutna prawda jest taka, że zabierają nas z tego więzienia i wysyłają w jeszcze straszniejsze miejsca.

- Taa... - przytaknął Wania. - Na dodatek powiedzieli wprost, że wybierają cię ze względu na twój wygląd.

Władimir dodał:

- Pułkownik lotnictwa... Sporo mówi się o handlu rekrutami. To znana rzecz.

- A ty co o tym sądzisz, Wasyl? - pytam.

Wasyl wzrusza ramionami i proponuje partyjkę pokera. Przegrywam pierwszą rozgrywkę... Wasyl wpycha sobie wygraną do kieszeni i postanawia podzielić się ze mną swoją opinią wielkiego mędrca.

- Sądzę, że lepiej zrobisz, pomagając nam kopać tunel.

Z początku jego obojętność zbija mnie z tropu, gdyż Wasyl zawsze stara się służyć dobrą radą, tym razem jednak mam wrażenie, że egoizm wziął w nim górę.

- Jesteście zazdrośni, bo będę miał tatę i mamę, a wy tymczasem nadal będziecie tu gnić.

Mam ochotę zostawić ich i sobie pójść, ale ostatecznie nigdzie nie idę i gram dalej w pokera. Władimir podnosi stawkę do dwudziestu papierosów i zwraca się do mnie, nie patrząc mi jednak w oczy.

- Potrzebujemy cię do kopania tunelu.

Wybucham:

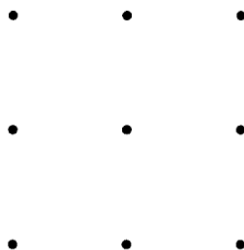
- Nigdy nie uda nam się go wykopać! Za rok wciąż będziecie się nad nim męczyć!

Wkrótce nie będę sierotą. Będę miał nową rodzinę. Koledzy należą już do przeszłości. Nasze rozstanie będzie bolesne, ale im szybciej odetnę się od trzech „W”, tym lepiej dla mnie.

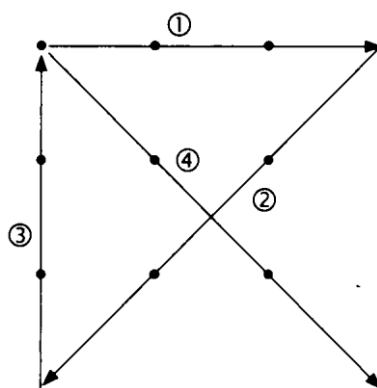
Teraz mam już prawdziwego tatę i tylko jedno życzenie: wydostać się stąd.

55. ENCYKLOPEDIA

WYDOSTAĆ SIĘ STĄD. Zagadka: Jak połączyć te dziewięć punktów czterema pociągnięciami ołówka, nie odrywając ręki od papieru?



Rozwiązanie:



Czasami znalezienie rozwiązania przychodzi z trudnością, gdyż nasz umysł zawęży się do granic rysunku. Tymczasem nigdzie nie jest powiedziane, że nie możemy przekroczyć tych granic. Morał: Żeby pojąć dany system, należy... wydostać się z niego.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

56. PAPADOPULOS

Edmund Wells ogłasza koniec ezoteryzmu; to prawda, jego sekrety nie są zbyt dobrze ukryte.

Ulisses Papadopoulos jest mnichem eremita. Wybudował sobie domek, zgromadził spory zapas jedzenia, mający wystarczyć mu do końca jego dni, i zamurował drzwi wejściowe.

Jego pustelnia nie została wzniesiona byle gdzie. Znajduje się w miejscu najwyższej położonym i najbardziej oddalonym od innych siedzib ludzkich, na zboczach Andów w pobliżu miasta Cuzco, w Peru.

Tam właśnie Ulisses Papadopoulos medytuje i pisze. Jest niskim mężczyzną o czarnej, zmierzwionej brodzie i długich paznokciach wątpliwej czystości. Gdy się żyje od ponad dziesięciu lat w pomieszczeniu o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, a w odwiedziny przychodzą jedynie pająki, prędzej czy później rezygnuje się z wysiłków higienicznych i dbania o należyty strój.

Mnich zajęty jest właśnie notowaniem ostatniego aforyzmu Edmunda Wellsa, gdy wpraszamy się do niego z wizytą. Hasło encyklopedii wyraźnie twierdzi, że aby zrozumieć jakiś system, należy wydostać się poza jego granice. Bardzo nas to cieszy, Raoula i mnie.

Czyż nie to właśnie robimy? Gdy podchodzimy bliżej, chcąc przeczytać zapiski mnicha, Papadopulos przerywa nagle swoje zajęcie.

- Kto tu jest?

Zimny prysznic. Śmiertelnik zauważył naszą obecność! Szybko, schowajmy się za szafę.

Węszy.

- Czuję pana. Jest pan tutaj, prawda?

Ten mały człowieczek jest doprawdy wyjątkowym medium. Kręci się i wierci niczym kot, który dostrzegł mysz.

- Czuję, że pan tu jest, święty Edmundzie.

Staramy się powstrzymać blask bijący od naszych aureoli.

- Jest pan tutaj, święty Edmundzie. Wiem to, czuję to.

Gdyby ktoś mi kiedykolwiek powiedział, że będę aniołem ukrywającym się przed ludźmi...

- Już od dawna na pana czekam - szepce skryba. - Posiadanie wiedzy absolutnej to jedno, ale samotność potrafi dać się we znaki...

Raoul i ja trwamy w nieruchomej pozycji.

- Jestem mistykiem, ale moja wytrzymałość ma też swoje granice. Twierdził pan, że będzie mi dyktował we śnie wszystko to, co powinienem zapisywać. Rzeczywiście, co rano budzę się z gotowym tekstem w głowie, ale nigdy nie udało mi się pana zobaczyć...

Kulimy się coraz bardziej za szafą. Nagle mnich woła:

- Udało się. Namierzyłem pana, święty Edmundzie!

Podchodzi do naszej kryjówki, już się przymierza do odsunięcia szafy, lecz w ostatniej chwili zmienia zdanie i wraca na środek pomieszczenia.

- No cóż, skoro tak, wypowiadam umowę! - rzuca z wściekłością. - Przykro mi, ale nie znoszę, gdy się mnie traktuje tak nieuprzejmie.

Zdenerwowany grecki mnich chwytą młotek i zaczyna kruszyć cegły, którymi zamurowane jest wejście.

Przez nas skryba chce opuścić pustelnię! Trącam Raoula łokciem.

Nie możemy mu na to pozwolić. Edmund Wells nigdy nam tego nie wybaczy.

- Witaj, świecie! Witajcie, piękne dziewczyno! - wrzeszczy podekscytowany mnich. - Rezygnuję ze ślubów czystości! Rezygnuję ze wszystkich ślubów! Ze ślubu milczenia! Ze ślubu modlitwy! Witajcie restauracje i pałace! Niech żyje prawdziwe życie!

Każde zdanie poparte jest uderzeniem młotka.

- Dziesięć lat straconych na przepisywaniu filozoficznych aforyzmów, dziękuję serdecznie! A potem przychodzi do mnie taki jeden, nie mówi ani dzień dobry, ani dobry wieczór! Ech, już się więcej na to nie nabiorę. Religia to pułapka na braciszków zakonnych. A ja, jak głupi, od razu zgodziłem się na zamknięcie w górskiej pustelni i notowanie myśli pierwszej lepszej świetlistej istoty, jaka mi się objawiła...

- Jeden z nas musi się poświęcić - mówię.

- Ty - odpowiada Raoul.

- Ja nie. Ty.

Greki cały czas wali młotkiem w ścianę, nucąc pod nosem *The Wall* Pink Floydów.

- ...*We don't need your education...*

Okruchy cegieł latają w powietrzu, wzbijając obłoki pyłu. Energicznym ruchem wypycham Raoula z naszej kryjówki za szafą. Zakonnik staje jak wryty. Zobaczył go. To prawdziwe medium o szerokim wachlarzu możliwości. Klęka oszołomiony i składa ręce, jak do modlitwy.

- Wreszcie! Objawienie! - woła mężczyzna, zachwycony.

- Ech... - bąka Raoul, dodając dla lepszego efektu nieco blasku swojej aureoli.

Ależ z niego kabotyn! Przyjemność, jaką sprawia mu bycie widzialnym dla ludzi ze skóry i kości, jest silniejsza niż wszystko inne. Ulisses Papadopoulos wielokrotnie kreśli w powietrzu znak krzyża i pada u stóp Raoula.

- Hm... Cóż... - mój przyjaciel stara się zyskać na czasie. - Więc tak... z pewnością... tak... oto jestem.

- Wielkie to dla mnie szczęście! Widzę pana, widzę pana, święty Edmundo. Na własne oczy! Na moje własne oczy!

Powodowany być może wyrzutami sumienia, Raoul poprawia go:

- Hm... nie jestem Edmund, jestem Raoul, kolega Edmunda, tego, który ci dyktuje *Encyklopedię*. Niestety nie mógł przyjść i pozwolił mi się zastąpić.

Mnich nie słyszy zbyt dobrze i Raoul musi mu powtarzać wielokrotnie te same zdania, czasami wręcz sylaba po sylabie, by ten zdołał zrozumieć, o co mu chodzi. Grek wyciąga dłonie w stronę niewyraźnej zjawy.

- Najpierw święty Edmund, a teraz święty Raoul! Święty Raoul! Święty Raoul! Jestem błogosławiony! Jestem na służbie u dwóch świętych - woła Papadopoulos.

- Doskonale - mówi Razorbak. - Powiedz mi, proszę, czy w *Encyklopedii* jest mowa o cyfrze siedem?

- O cyfrze siedem? - dziwi się mnich. - Hm... Oczywiście, święty Raoulu. Wszędzie po

trochu.

- Pokaż mi - rozkazuje anioł.

Mnich rzuca się w stronę księgi, ślini kciuk i zaczyna energicznie wertować kartki. Znajduje najpierw hasło na temat symboliki siódemki w tarocie. Potem drugie, dłuższe hasło przypominające o znaczeniu cyfry siedem w mitach i legendach. Trzeci fragment na temat siedmiu szczebli drabiny Jakuba...

Problem z *Encyklopedią wiedzy względnej i absolutnej* polega na tym, że wrzucono do niej naprawdę wszystko. Myśli naszego mentora krążą we wszystkich kierunkach. *Encyklopedia* zawiera nie tylko przemyślenia filozoficzne, lecz także przepisy kulinarne, anegdotki naukowe, zagadki, badania socjologiczne, portrety różnych postaci i informacje rzucające nowe światło na historię Ziemi. Co za chaos! Żeby wszystko przeczytać, musielibyśmy się tu bardzo często pojawiać!

Raoul sugeruje skrybie, by ten zaopatrzył księgę w indeks albo przynajmniej w spis treści i zaczął numerować strony. Przewraca kartki. Natrafia na testy psychologiczne i na wywiady z gwiazdami. Wreszcie znajduje coś interesującego. W jednym z haseł autor twierdzi, że z punktu widzenia geograficznego świat siódemek wcale nie przylega do świata szóstek. Oznacza to, że należałoby szukać „tam, gdzie najmniej spodziewalibyśmy się go znaleźć”.

Nagle nas, którzy nie odczuwamy już ciepła ani zimna, dotyka lodowaty podmuch.

- Wędrujące dusze! - niepokoje się Raoul.

Przed nami pojawia się około dziesięciu duchów. Wyglądają niemal jak my, z tym że pochłaniają światło, zamiast je emanować.

Raoul, z większym stażem pobytu w Raju, wyjaśnia mi, że te ektoplazmy to samobójcy, przedwcześnie zmarli lub ofiary morderstw. Ich dusze są do tego stopnia niespokojne, że wolą zostać na Ziemi i rozwiązać swoje problemy z przeszłości, niż wznieść się do nieba i oczyszczać poprzez życie w innym wcieleniu.

- Czyli, krótko mówiąc, są to ludzie, którzy nawet jako umarli nie chcą uznać, że nie żyją?

- Albo nie mogą. Niektórych gnębi żądza zemsty, innym zależy na tym, by przybrać postać ducha i nawiedzać swoich prześladowców.

- Czy mogą nam zaszkodzić?

- Nam nie, ale Papadopolosowi - owszem.

Protestuję.

- Ale my jesteśmy aniołami, a oni zwykłymi wędrującymi duszami.

- Oni jednak bliżsi są ludziom niż my.

Raoul obawia się, że to my doprowadziliśmy duchy do greckiego mnicha. Wędrujące dusze cały czas poszukują ciał, które mogliby nawiedzać, a my wskazaliśmy im medium, pojawiając się na Ziemi.

Dusze napływają ze wszystkich stron. Jest ich już około trzydziestu. Wyglądają dokładnie tak, jak w chwili własnej śmierci. Mamy przed sobą inkaskich wojowników, wciąż pokrytych ranami zadanych im przez rusznice konkwistadorów. Można by sądzić, że znaleźliśmy się w powieści H.P. Lovecrafta! Ten, który wygląda na ich szefa, jest najstraszniejszy ze wszystkich. Nie ma głowy. Staję jak najbliżej Raoula i pytam:

- Jak się zabierzemy do ich pokonania?

57. VENUS. 7 LAT

Lustro. Mój nowy nos sprawia, że uważam się za jeszcze piękniejszą. Chodzę do szkoły dla dzieci gwiazd, gdzie nauczają się metodą doktora Hatkinsa. Pozwala się nam robić to, na co mamy ochotę i kiedy mamy ochotę, by nasze popędy same mogły dojść do głosu. Ja zazwyczaj ograniczam się do rysowania małego, uwięzionego ludzika.

- Kto to? - pyta pedagog. - Twój tatuś? Mamusia?

- Nie. To Inny.

- Jaki inny? Książę z bajki?

Tłumacząc:

- Nie, to Inny, ten, o którym czasami śnię.

- No właśnie, i tym Innym, o którym śniesz, jest bez wątpienia książę z bajki - informuje mnie pani pedagog. - Też go kiedyś szukałam, aż wreszcie znalazłam, gdy spotkałam swojego męża.

Nic mnie tak nie denerwuje jak dorośli, którzy nie słuchają dzieci i którym wydaje się, że zjedli wszystkie rozumy. Wrzeszczę:

- Nie! Inny nie ma nic wspólnego z księciem z bajki! To więzień! Utknął i nie może wyjść. Ja tylko mogę mu pomóc, ale najpierw muszę sobie przypomnieć.

- Co sobie musisz przypomnieć?

Nie mam czasu na takie bzdury. Odwracam się do niej plecami.

W zeszłym tygodniu wezwano mnie na sesję zdjęciową dla pewnego czasopisma. To dzięki mamie, która robi mi reklamę u siebie w pracy. Pozowałam dwie albo trzy godziny na taborecie z bukietem kwiatów. Chyba miały to być zdjęcia do jakiegoś kalendarza. Mama siedziała obok i grała w grę, w której trzeba wypowiadać coraz większe liczby i kończyć słowem „dolarów”. Mama powiedziała mi, że staję się kimś bardzo ważnym. Nazwała mnie nową Shirley Temple. Nie wiem, kim jest ta dziewczyna. Zapewne jedną z tych starych aktorek, na które moja mama lubi się powoływać. Zresztą dla mnie wszystkie, poza Liz Taylor, są brzydkie.

58. JACQUES. 7 LAT

Od kilku tygodni do szkoły chodzi nowa uczennica. Zawsze kiedy pojawia się ktoś nowy, mam ochotę pomóc mu zintegrować się z resztą klasy.

Ta nowa jest dość specyficzna. Jest od nas starsza. Ma osiem lat. Prawdopodobnie musiała powtarzać klasę, chociaż nie wygląda na nieuka. Mieszka w cyrku. Ciągłe się przeprowadza, dlatego niełatwo jej nadać za programem szkolnym.

Dziewczynka nazywa się Martine. Dziękuje mi za miłe przyjęcie, przyjmuje moje rady i pyta, czy umiem grać w szachy. Odpowiadam, że nie, a ona wyjmuję z tornistra niewielką plastikową szachownicę i chce mnie uczyć. W szachach podoba mi się to, że szachownica jest jak mała scena teatralna, na której tańczą i walczą małe marionetki. Martine mówi, że każda z figurek ma swój kod zachowań. Niektóre poruszają się małymi kroczkami: to są pionki. Inne ślizgają się daleko: wieże. Jeszcze inne mogą przeskakiwać przez inne pionki: to skoczki.

Martine jest mistrzynią w grze w szachy. Mimo swojego młodego wieku startuje już w turniejach symultanicznych z dorosłymi.

- Nie ma w tym nic trudnego. Dorośli nie spodziewają się, że mała dziewczynka będzie umiała ich czymś zaskoczyć, a ja tymczasem atakuję. Zaczynają grać defensywnie, co oznacza, że stają się przewidywalni: dzięki temu zyskuję przewagę. Martine twierdzi, że żeby wygrać, trzeba pamiętać o trzech zasadach. Na początku partii należy jak najszybciej wyprowadzić swoje figury z ostatniej linii i pozwolić im wejść do akcji. Następnie należy zająć centrum szachownicy. Wreszcie wzmocnić swoje silne punkty, zamiast starać się ratować te słabe.

Szachy stały się moją pasją. Rozgrywamy z Martine partie na czas, podczas których nie wystarczy planować jednego, lecz co najmniej sześć logicznie połączonych ruchów naprzód.

Martine mówi, że jestem dobry w ataku, ale niespecjalnie sprawdzam się w obronie, więc ją proszę, żeby nauczyła mnie lepiej się bronić.

- Nie. Pamiętaj, musisz wzmacniać silne punkty, żeby uzupełnić braki w słabszych. Nauczę cię być jeszcze bardziej skutecznym w ataku, wtedy wcale nie będziesz musiał się bronić.

Tak też właśnie robi. Staram się myśleć coraz szybciej. Kiedy gram, mam wrażenie, że przestrzeń i czas ograniczają się do szachownicy, gdzie wszystko się rozgrywa. Za każdym razem przez mój umysł przebiega mała myszka, eksplorując labirynt wszystkich możliwych tras, by wybrać tę najszybszą i najlepszą.

Martine powtarza mi pewną anegdotkę z eseju Edgara Allana Poe'go pod tytułem *Maelzel's Chess Player*. To historia pewnej maszyny, która potrafiła wygrać w szachy z każdym człowiekiem. Na końcu dowiadujemy się, że wewnątrz niej siedział karzeł. Cóż za wspaniała pointa! Aż czuję ciarki na plecach. Podobno zresztą to prawdziwa historia.

Martine, Edgar Allan Poe i szachy nadają mojemu życiu nowy sens. Wprowadzam teraz o wiele więcej napięcia do moich opowiadań, których większość bazuje na szachach. Moi bohaterowie często uwikłani są w rozgrywkę, której reguł nie znają i podlegają niewidzialnym prawom, których nawet nie są w stanie sobie wyobrazić.

Proponuję Martine, że przeczytam jej moje najnowsze opowiadania. Zgadza się. Czyżbym wreszcie znalazł słuchacza? Szepczę jej do ucha przygodę dwóch białych krwinek, które eksplorują ludzkie ciało w poszukiwaniu bakterii. Gdy wreszcie ją łapią, okazuje się, że jedynym celem drobnoustroju było przedostanie się do społeczeństwa komórek. Na końcu bakteria zostaje przyjęta do ciała - jednak pod warunkiem, że pozostanie w miejscu, w którym jej obecność będzie pożyteczna.

- Czyli gdzie?

- W systemie trawiennym, gdzie będzie przyczyniać się do rozkładu pokarmu.

Martine śmieje się.

- Nieźle to wymyśliłeś! Jak na to wpadłeś?

- Widziałem w telewizji program o bakteriach.

- Nie, chodzi mi o to, dlaczego przyszła ci ochota na poszukiwanie lepszego świata - twoja bakteria tak naprawdę szuka idealnego społeczeństwa.

- Wydaje mi się, że ludzki organizm jest właśnie takim idealnym społeczeństwem. Nie

ma w nim współzawodnictwa, nie ma przywódców, wszyscy różnią się od siebie, a zarazem się uzupełniają, no i dążą do osiągnięcia wspólnego celu.

Martine mówi, że moja historia jej się podoba. Całuje mnie w policzek. Próbuję zrobić to samo, ale mnie odpycha.

- Kiedy napiszesz jeszcze inne opowiadania, możesz mi je przeczytać - szepcze.

59. IGOR. 7 LAT

Moi nowi rodzice mają przyjść po mnie dziś wieczorem. Założyłem sztuczny, nylonowy smoking, który dostałem z okazji świąt. Wypolerowałem buty smalcem. Spakowałem walizkę. Nie rozmawiam już z innymi. W południe nie jem obiadu. Za bardzo się boję, że poplamie sobie ubranie. W bibliotece przejrzałem szybko książkę o dobrych manierach. Wiem już, że widelec kładzie się po lewej stronie talerza, a nóż po prawej. Wiem, że do mięsa podaje się białe wino, a do ryby czerwone. Albo właśnie odwrotnie. Wiem, że innym bogatym ludziom trzeba wręczać wizytówki, by łatwiej można było się później odnaleźć, nie musząc natykać się na biednych.

Przeanalizowałem też medale, które nosi na piersiach mój przyszły tato: świadczą nie tylko o tym, że należy on do elity wojsk powietrznych, lecz także o tym, że stracił wiele nieprzyjacielskich samolotów. Armia powietrzna... Czuję się gotów, by zacząć gardzić piechotą i marynarką. Niech żyje lotnictwo! Lata się nad armią wroga i zabija z daleka, nie widząc, ani nie mogąc go dotknąć. Niech żyje armia! Niech żyje wojna! Śmierć nieprzyjacielowi! Śmierć Zachodowi!

Gdy już oficjalnie zostanę „synem pułkownika”, prawdopodobnie będę znał wszystkie posunięcia naszych oddziałów, będę wiedział wszystko o sekretnych misjach, o których nawet nie pisze się w gazetach. Jestem pewien, że zataja się przed nami wiele naprawdę interesujących rzeczy: masakry, akty przemocy itd. Trzej „W” z mojej sypialni doprowadzają mnie do rozpacz. Wystarczyło, że wstąpiłem w szeregi bogatej rodziny, a już biedacy zaczynają działać mi na nerwy.

Dwunasta, trzynasta, siedemnasta. Żegnaj się z opiekunami, siadam i wyczekuję dziewiętnastej w moim ślicznym niedzielnym smokingu, który zaczyna już lekko puszczać w szwach. Pojawia się Wania, przygląda mi się ze złością i rzuca:

- Ten twój pułkownik to z całą pewnością jakiś pedofil!

- Mówisz tak, bo jesteś zazdrosny. Nie wiesz nawet, jak smakuje dobre, czekoladowe ciastko.

- Jesteś zwykłym zdrajcą!

Wiem, że Wania liczył, że będę go chronił i mu pomagał, ale nie mogę przecież siedzieć tu bez przerwy i być do jego dyspozycji. Uspokajam się.

- Zobaczysz, któregoś dnia i tobie się poszczęści, a wtedy zachowasz się dokładnie tak jak ja.

Mój nowy tatuś ma przyjść po mnie o dziewiętnastej. O dziewiętnastej trzydzieści będę już z całą pewnością w domu, z rodziną, jedząc czekoladowe ciastka, prawdziwe ciastka na maśle i z prawdziwą czekoladą.

Osiemnasta trzydzieści. Jeszcze tylko pół godziny i skończę raz na zawsze z tym sierocińcem. Będę miał rodzinę i miłość.

Osiemnasta czterdzieści pięć. Wasyl staje przede mną z dziwną miną. Chce, żebym poszedł z nim do pomieszczenia z prysznicami. Zgromadziło się tam sporo osób, wyglądają na poruszonych. Wszystkie twarze zwrócone są w stronę sufitu, a tam dostrzegam powieszonoego Władimira z karteczką na szyi: „Ukrywał papierosy, żeby nie płacić podatku”. Niełatwo było wciągnąć tak wysoko mojego tłustego kolegę. Jest cały siny, wyciąga język w groteskowy sposób, a to sprawia, że ta scena jest jeszcze bardziej przerażająca.

- To Piotr... to Piotr... go zabił! - mówi z trudem Wania.

Wasyl milczy, ale jego spojrzenie jest twarde jak skała.

Podchodzi do mnie, kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi do swojej kryjówki, której nigdy wcześniej nie widziałem. Z kawałka płótna odwija długi i błyszczący przedmiot. To nóż.

Przyglądam mu się. Nie znalazł go, ani nie kupił. Sam go zrobił. Wykuł go w tajemnicy w warsztacie po zajęciach. Wygląda jak prawdziwy sztylet wojenny.

- Jesteś z nas wszystkich najsilniejszy. Musisz pomścić Władimira.

Ogarnia mnie przerażenie. Myślę o moim nowym tacie, pułkowniku wojsk lotniczych. Któregoś dnia pozwoli mi wejść na pokład swojego samolotu. Któregoś dnia nauczy mnie latać... Widzę też Władimira, opychającego się cały czas, dłubiącego w nosie, paskudne prosię. Widzę, jak je, śliniąc się i bekając głośno. Władimir.

- Przykro mi - mówię do Wasyla. - Poszukaj sobie kogoś innego. Moi nowi rodzice przyjdą po mnie za pół godziny. Już mnie nie interesują tutejsze awantury.

Odwracam się, gdy nagle słyszę za sobą czyjś głos.

- Ależ to Igor... Igor, który też nie zapłacił podatku.

Piotr.

- Ależ się wystroileś, kolego. Prawdziwy burżujski dzieciak. Przepiękny smoking, byłyby z niego świetne szmatki do kurzu.

Wasył próbuje niepostrzeżenie wsunąć mi do ręki sztylet. Nie chwytam go.

- Nie można umknąć przed własnym przeznaczeniem - szepcze mi cicho do ucha.

- Więc jak, Igor, bijemy się czy pozwalasz nam spokojnie dorobić trochę frędzli do twojej marynarki? Będzie zdecydowanie modniejsza.

Chłopaki z bandy Piotra zwijają się ze śmiechu.

Nie odpowiadać na prowokacje. Wytrzymać jeszcze dwadzieścia minut. Zaledwie dwadzieścia minut. Przy odrobinie szczęścia może mój przyszły tato pojawi się przed czasem.

Próbuję uciec, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. „Carewicz” i jego świta zbliżają się. Jeszcze mam wybór. Siedzieć cicho albo wykazać się odwagą.

Dzieci z innych sypialni otaczają nas kręgiem, zajmują najlepsze miejsca do oglądania spektaklu.

- No i jak tam, Igor. Masz pietra?

Trzęsą mi się ręce. Nie mogę teraz wszystkiego zaprzepaścić.

Piotr oblizuje ostrze swojego noża sprężynowego. Sztylet Wasyła cały czas znajduje się w zasięgu mojej ręki.

- Tym razem nie wystarczy blef - szepcze mój eksprzyjaciel. - Nie masz wyboru, musisz wyłożyć karty na stół.

Wiem dokładnie, czego nie powinienem robić. Nie mogę dotknąć sztyletu. Myślę o czekoladowych ciastkach, o lataniu samolotem, o medalach pułkownika. Wytrzymać. Jeszcze tylko kilka minut. Opanować nerwy. Opanować umysł. Gdy tylko znajdę się w przytulnym domu pułkownika, wszystko to stanie się tylko jeszcze jednym nieprzyjemnym wspomnieniem.

- Patrzcie, jak trzęsie portkami! Igor to tchórz! Chodź, poprawię ci nieco buźkę!

Być może straciłem kontrolę nad moimi członkami, ale usta wciąż są mi wierne.

- Nie chcę się bić - artykułuję z trudem.

Tak, tak, jestem tchórzem. Chcę nowych rodziców. Wystarczy, że wybiegnę na korytarz, a znajdę się poza zasięgiem noża sprężynowego. Uciekać. Uciekać. Jeszcze mam czas.

Wtem Wania wciska mi sztylet w dłoń, zmuszając mnie, bym go chwycił. Moje palce się poruszają. Nie, nie, nie, nie zamykajcie się na tej rękojeści, zabraniam wam. Wania zagina

siłą moje palce.

Znów widzę twarz mamy. Czuję ból w żołądku. Moje oczy nabiegają krwią. Nic już nie widzę. Czuję tylko sztylet, który zagłębia się w miękkiej tkance, w brzuch Piotra, w miejsce, które mnie samego tak bardzo boli.

Piotr patrzy na mnie zaskoczony. Jak gdyby myślał: „Tego się nie spodziewałem. Chyba rzeczywiście nie jesteś aż takim tchórzem, jak myślałem”.

Piotr uznaje tylko przemoc, szanuje więc siłę swoich przeciwników. Być może cały czas w gruncie rzeczy szukał kogoś, kto utrzyma mu nosa.

Czas zatrzymuje się. Na obliczu Wasyla pojawia się lekki uśmiezek, widoczny właściwie jedynie w kącikach ust. Po raz pierwszy czytam w jego spojrzeniu: „Jesteś niezły!”.

Wokoło dzieci biją brawo. Nawet świta Piotra patrzy na mnie z uznaniem. Chyba rzeczywiście nie spodziewali się, że to ja będę górą. Wiem już, że nie muszę się ich więcej obawiać. Przeskoczyłem do innego świata. Zaprzepąściłem moją jedyną szansę na to, by zyskać prawdziwą rodzinę, a mimo to czuję się dobrze. Wydaję z siebie zwierzęcy ryk. Okrzyk zwycięstwa nad przeciwnikiem i z powodu przegranej przynależności.

Władimir został pomszczony, a ja... a ja... wszystko przegrałem.

Po moich dłoniach spływa krew Piotra. Wypowiedziałem życzenie, żeby ktoś zadał Piotrowi cios nożem w brzuch. Moje życzenie się spełniło. Jakże teraz tego żałuję! Odpycham kompanów Piotra, którzy widzieliby mnie w roli nowego szefa bandy.

Jeszcze tego samego wieczora okręt samochód przyjeżdża po nas, po mnie i po Wanię, żeby nas zawieźć do kolejnego etapu naszej życiowej drogi: do poprawczaka dla młodocianych przestępców w Nowosybirsku.

60. ENCYKLOPEDIA

POZIOM ORGANIZACJI: Atom ma swój własny poziom organizacji. Molekuła ma swój poziom organizacji. Komórka ma swój poziom organizacji. Zwierzę ma swój poziom organizacji, a nad nim planeta, Układ Słoneczny i galaktyka. Wszystkie te struktury nie są jednak niezależne jedne od drugich. Atom oddziałuje na cząsteczkę, cząsteczka na hormon, hormon na zachowanie zwierzęcia, a zwierzę na planetę.

Komórka potrzebuje cukru, zmusza więc zwierzę do polowania i zdobywania jedzenia. Polując na pożywienie, człowiek zaczął odczuwać potrzebę poszerzania swojego terytorium,

a w rezultacie zaczął wręcz budować rakiety i wysyłać je w kosmos. U astronauty, w wyniku stresu spowodowanego awarią maszyny, rozwinie się wrzód żołądka. Z powodu wrzodu niektóre atomy tworzące ścianę żołądka stracą swoje elektrony, które oderwą się od jądra. Cofnięcie kamery, zbliżenie, od atomu po przestrzeń kosmiczną. Patrząc na to z tego punktu widzenia, śmierć żyjącej istoty jest tylko formą transformacji energii.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

61. WŁADCA INKÓW

Wędrujące dusze otaczają Ulissesa Papadopolosa. Każda z nich szepcze mu do ucha:

- Pozwól mi cię przeniknąć.

- Dlaczego chce pan mnie przeniknąć, święty Raoulu? - pyta Papadopolos.

- Widzisz - stwierdza z żalem Raoul - do tego śmiertelnika łatwiej docierają słowa wędrujących dusz niż nasze.

Nagle dochodzi do mnie, że być może niektórzy prorocy porozumiewający się z aniołami rozmawiali w rzeczywistości po prostu z wędrującymi duszami, które podszywały się pod nas.

- Pozwól mi cię przeniknąć - powtarza duch.

Grecki mnich jest zdezorientowany. „Widzi” Raoula, ale nie może pojąć, dlaczego ten nagle zmienił głos i składa mu takie propozycje. By rozwiązać wszelkie wątpliwości, zaczyna się modlić. W miarę jak się modli, dusza zaczyna opuszczać jego ciało. Niebezpieczeństwo.

Wtrącam się:

- Hej! Duchy! Dlaczego błaznicie tu po Ziemi?

Jeden z nich łaskawie odwraca się od zdobyczy i odpowiada mi:

- Musimy zemścić się na konkwistadorach, którzy nas zamordowali. Ten mnich jest jednym z ich przedstawicieli, będziemy więc go nawiedzać. Mogę zapewnić, że żadnemu egzorcysty nie uda się nas wypędzić z jego ciała.

- Chłopaki! - woła Raoul. - Nie wstyd wam atakować tego biednego człowieka?

Wybierzcie sobie godnego was przeciwnika!

Ta przestroga ani trochę ich nie wzrusza:

- Mamy się zabrać za anioły? W jakim celu? Wolimy uderzać w słabe punkty. W waszych „klientów”, jak ich nazywacie.

Niestety, modląc się usilnie, mnich zaczyna naprawdę opuszczać swoje ciało. Wędrujące dusze otaczają wianuszkami jego czaszkę, z czubka której zaczyna wyłaniać się dobrze widoczna, biała forma jego ektoplazmy.

Krzyczę:

- Nie! Zostań w swoim ciele! Przestań się modlić!

Ale mnich mnie nie słyszy, a wędrujące dusze kłębią się wokół niego, chcąc pomóc mu jak najszybciej pozbyć się ciała. Nieszczęsnego Papadopulosa łączy z ciałem jeszcze tylko cienka srebrna niteczka. Naiwny, myśli, że osiągnął pełną ekstazę mistyczną, gdy tymczasem właśnie daje się zniszczyć.

Chcąc zyskać na czasie, próbuję odwrócić uwagę przeciwników rozmową. Wędrujące dusze są dość zdziwione, że okazują im aż takie zainteresowanie. Zgadniają się zmniejszyć nieco nacisk na Papadopulosa i opisują nam swoje cierpienie. Wędrujące dusze to cierpiące istoty. Relacjonują nam swój dramat.

Papadopulos powraca do swego ciała i mdleje.

Historia poprzedniego życia tych duchów jest naprawdę poruszająca. Wraz z nimi przeżywam męczarnie, jakim zostali poddani, i zaczynam ich rozumieć. Poznaje odwieczną kulturę Inków. Widzę, jak spokojne życie prowadzili przed pojawieniem się najeźdźców ze Wschodu. Przed moimi oczyma pojawiają się niewyraźne widoki z Cuzco sprzed tragedii, kult słońca, sceny życia codziennego tej zaawansowanej cywilizacji. Zaczynam rozumieć Inków; moja troska z początku ich dezorientuje, lecz po jakimś czasie uspokaja.

- Czy możecie pomóc nam wejść do nieba? - pyta w końcu jeden z inkaskich wojowników.

Odpowiadam, że nie wiem, ale zamykam oczy i po chwili już czuję, że mogę. To jeden z naszych anielskich przywilejów. Żeby wędrująca dusza przedostała się do Raju, wystarczy jej pozwolić prześlizgnąć się wzdłuż mojego kręgosłupa w taki sposób, by wydostała się przez górę czaszki.

Duchy Inków oznajmiają jednak, że nie będą mogły odejść, dopóki ich przywódca nie odzyska głowy. Owym zdekapitowanym duchem jest Atahualpa, ostatni wielki wódz Inków, zamordowany przez Francisca Pizarra w 1533 roku. Hiszpan, udusiwszy nieprzyjaciela, pozbawił go głowy w jednym celu: chcąc uniemożliwić mu wstąpienie do Raju. Najeźdźca znał podstawy religii Inków. Uważali oni, że reinkarnacja jest możliwa tylko pod warunkiem, że ciało stanie przed obliczem bogów nienaruszone. Pizarro ukrył więc głowę celowo, by całą

społeczność ogarnął strach.

Jeden z duchów mówi nam, że podobno między głową męczennika i jego ciałem powstała „światlista ścieżka”, mająca ułatwić scalenie.

- Czy mit ten nie zainspirował przypadkiem peruwiańskiego ruchu maoistycznego, zwanego Świetlistym Szlakiem, o którym zrobiło się dość głośno w latach osiemdziesiątych?

- Istotnie. Zainspirowaliśmy tych rebeliantów. W tamtym czasie byliśmy gotowi uczynić wszystko, by scalić ciało naszego króla.

Wraz z Raoulem staramy się rozwiązać ten problem. Odnajdujemy królewską głowę, przeglądając sekretne archiwa Biblioteki Watykańskiej. Znajduje się ona w jamie, niedaleko Quipayan, ostatniego miejsca zwycięstwa Inków nad nieprzyjacielem. Naprowadzamy na to odkrycie ekspedycję amerykańskich archeologów, która odnajduje głowę i łączy ją z ciałem znajdującym się w jednym z peruwiańskich muzeów.

Ciało władcy Inków zostało odtworzone, jego dusza zaczyna emanować blaskiem. Od tak dawna na to czekał... W zamian oferuje nam swoją pomoc. Wyjaśniamy mu cel naszych poszukiwań: jesteśmy aniołami i chcemy dowiedzieć się, kto stoi ponad nami.

Atahualpa zastanawia się chwilę.

Wreszcie mówi, że jako władca Inków i Syn Słońca naturalnie posiada wiedzę na temat kosmogonii swojego ludu. Nad aniołami jest Bóg, lecz nie umie nam powiedzieć, w jaki sposób moglibyśmy to sprawdzić.

Raoul twierdzi, że nad aniołami znajduje się kraina „siódemek”. Czy liczba ta kojarzy mu się z czymś konkretnym?

Nagle inkaski władca przypomina sobie, że któregoś dnia, gdy jako wędrująca dusza przechadzał się po ambasadzie Korei Południowej w Peru, spotkał pewną niezwykle młodą dziewczynę. Zdawała się ona posiadać nieprzeciętną wiedzę, a w dodatku najwyraźniej również pochodziła z bardzo daleka. Świat, który dręczy minione istnienia, jest według Atahualpy światem wyższym niż świat ludzi, a także wyższym niż kraina aniołów. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że tamta dziewczyna, zwykła śmiertelniczka, kryła w głębi swej duszy sekret krainy „siódemek”. Jak już mieliśmy to okazję sprawdzić w wypadku Papadopulosa, świetne istoty lubią czasami wykorzystywać ludzi do ukrycia swoich sekretów i skarbów. Chowają je w ich podświadomości, niczym w najbezpieczniejszej skrytce.

- Kim była ta dziewczyna? - pyta Raoul.

Atahualpa nachyla się ku nam i szepcze:

- Nathalie Kim, córka ambasadora Korei w Peru.

Po tych słowach dawny monarcha amerykańskich Indian przybiera poważną minę i rozkazuje swoim wojownikom, by ustawili się w szeregu. Są gotowi do wyruszenia do Raju.

Jeden po drugim, inkascy żołnierze oplatają nasze stopy, wspinają się po naszych plecach, by wreszcie pojawić się u szczytu głowy. Raoul i ja wykrzywiamy twarze z bólu, gdyż za każdym razem gdy wędrująca dusza nas przenika, odczuwamy odłamki jej minionego cierpienia.

Po ich odejściu, gdy ponownie zostajemy sami, zwracam się do przyjaciela z pytaniem:

- Nathalie Kim? Znasz ją? Co to za jedna?
- Jedna z moich klientek - odpowiada w zamyśleniu Raoul.

62. VENUS. 8 LAT

Cierpię na lunatyzm. Wstaję w środku nocy i spaceruję po dachu. Nienawidzę, gdy moje ciało odmawia mi posłuszeństwa. To tak, jakby ten Inny, uwięziony we mnie, miał ochotę rozprostować kości.

Po przebudzeniu dręczy mnie migrena. Być może Inny nie ma jeszcze dość i wciąż drąży mnie od wewnątrz...

Od czasu gdy po raz pierwszy wzięłam udział w sesji fotograficznej jako modelka, mam wiele nowych propozycji. Jestem coraz bardziej popularna. Mama załatwia formalności z agencjami i negocjuje w moim imieniu.

Mam osiem lat i zarabiam na siebie. W normalnych warunkach wszyscy powinniśmy nie posiadać się ze szczęścia, niestety tata i mama ciągle się kłócą. Rozmawiają o „forsie małej”. To zapewne aluzja do mnie, jeszcze jedno słowo dorosłych, którego nie rozumiem. Mama twierdzi, że to ona ustala warunki kontraktów, więc należy jej się procent od tego, co zarobię. Tata wtrąca, że „to dziecko zrobiliśmy przecież we dwoje, nie?” i dodaje: „Poza tym mała jest bardziej podobna do mojej matki niż do ciebie”.

Lubię, gdy rodzice przypisują sobie wkład w moją urodę. Mama krzyczy wtedy coraz głośniej. Oznajmia, że wynajęła prywatnego detektywa, który śledzi tatę i rzuca mu w twarz zdjęcia „z tą twoją laseczką”.

Tata powiedział mamie:

- Tak czy owak starzejesz się, moja droga, muszę zacząć rozglądać się za kimś, kto cię zastąpi.

Mama mówi tacie, że nie umie się kochać. To nieprawda. Uwielbiam, kiedy tatuś obsypuje mnie pocałunkami i zapewnia mnie, że mnie kocha. Tata odpowiada, że nie istnieją impotenci, tylko nieudolne kobiety.

Mama wymierza mu policzek.

Tata jej oddaje.

Mama mówi, że skoro tak, to ona wyprowadza się do swojej matki. Bierze jakąś figurkę i rzuca ją w kierunku taty. Wtedy on wypowiada rytualne zdanie: „Nie przy małej”. Idą do swojego pokoju i dalej wrzeszczą, a po jakimś czasie następuje cisza i słyszę, jak mama jęczy: „tak” i „och, och, och” i znowu „tak, tak” i „nie, nie”, jak gdyby nie umiała się zdecydować.

Nikt nie przyszedł mnie pocałować na dobranoc albo opowiedzieć bajkę. Płakałam, a potem zaczęłam się modlić. Chcę, żeby moi rodzice mniej się kłócili, a więcej mną zajmowali.

63. JACQUES. 8 LAT

- Hej, mały! Chcesz się bić?

- Nie - odpowiadam kategorycznie.

- Boisz się nas?

- Tak.

- Hm... bardzo się nas boisz?

- Bardzo.

Moja reakcja zaskoczyła chłopaków wymuszających haracz. Zazwyczaj każdy odpowiada, że się nie boi. Ot tak, dla brawury. Żeby sobie dodać otuchy. Ja nie muszę udawać odważnego.

Szef bandy czeka, aż spojrzę mu w oczy, aż rzucę mu wyzwanie, ale ja wbijam wzrok w niebieską linię horyzontu.

To Martine nauczyła mnie omijać spojrzeniem niebezpieczne psy, włóczęgów i pijaków, gdyż zawsze traktują to jako prowokację. Za to podczas gry w szachy powinno się

nie spuszczać wzroku z grzbietu nosa przeciwnika, patrzeć dokładnie między jego oczy. To go dekoncentruje. „Ma wrażenie, że czytasz w jego myślach”, powiedziała Martine.

Bez wątplenia ta dziewczyna nauczyła mnie wielu rzeczy. Nauczyła mnie też szanować przeciwnika. Według niej prawdziwe zwycięstwo to takie, które odnieśliśmy z minimalną przewagą. „Jeśli pokonamy przeciwnika ze zbyt dużą łatwością, to się nie liczy”.

- Hej, kpisz sobie z nas? - pyta przywódca łobuzów.

- Nie.

Jeszcze jedna rada Martine. Wystarczy odpowiadać rozsądnie tym, którzy zachowują się w stosunku do nas agresywnie, a łatwiej będzie zbić ich z tropu.

Idę spokojnie dalej. Tamci wyraźnie się wahają. Wahający się napastnik - wiem to, odkąd gram w szachy - zostaje o krok w tyle. Wykorzystuję okazję i mijam ich spokojnie.

Mój oddech jest regularny, bicie serca również. Żadnego skoku adrenaliny. Dobra, udało mi się pokonać tę przeszkodę, choć wiem, że za kilka minut, gdy tylko uzmysłowię sobie niebezpieczeństwo, jakie właśnie mnie ominęło, poczuję napływający atak paniki. Moje serce zacznie bić jak szalone i będę trząsł się ze strachu. Wtedy jednak nieprzyjaciół będzie już daleko za mną i nie będzie miał okazji rozkoszować się przerażeniem, jakie we mnie wzbudził.

Co dziwne, zawsze zaczynam bać się z opóźnieniem. W danym momencie, cokolwiek by się działo, zachowuję zimną krew, wyglądam na spokojnego, a dopiero kwadrans później strach eksploduje w mojej głowie.

Ciekawe.

Rozmawiałem o tym z Martine. Ona twierdzi, że to forma reakcji obronnej, którą musiałem sobie wypracować jeszcze jako małe dziecko. Za pierwszym razem, gdy zostałem zaatakowany, mój mózg opracował sposób na przeżycie. Martine uważa, że moje zamiłowanie do pisania opowiadań jest związane z tym pierwotnym strachem. Pisząc, mszczę się, wyżywam. Iluż złoczyńców, potworów, smoków i morderców posiekałem wirtualnie na kawałki za pomocą mojego pióra?

Pisanie to moja obrona, mój sposób na utrzymanie się przy życiu. Tak długo, jak będę pisał, źli mnie nie przestraszą.

Liczę, że pisarstwo pozwoli mi na znalezienie wyjścia z jeszcze wielu niebezpiecznych sytuacji życiowych.

Jestem w trakcie redagowania kolejnego tekstu z myślą o Martine. To historia tchórzliwego chłopca i pewnej kobiety, która go chroni i sprawia, że poznaje samego siebie.

64. IGOR. 8 LAT

Narzekalem na sierociniec w Sankt Petersburgu. Nieslusznie. Poprawczak dla mlodocianych przestepcow w Nowosybirsku jest znacznie gorszym miejscem. W sierocińcu jedlismy wiory miesne, lecz przynajmniej byly swize. Tutaj sa zepsute. Od kiedy tu jestem, moj system odpornościowy zdecydowanie sie wzocnil.

W sierocińcu posciel byla stęchła. Tutaj az roi sie w niej od tlustych pluskiew wielkości mojego paznokcia. Nawet myszy sie ich boją. W sierocińcu śmierdzialo moczem, tutaj - padliną.

Bardzo dlugo zalowalem, ze podjalem decyzje o pomszczeniu Wladimira, choc moglem odejsc z pulkownikiem. Pewnego dnia dowiedzialem sie, ze moj eksprzyszly tatuś zostal aresztowany. Okazalo sie, ze nalezal do siatki pedofilskiej. Chlopaki miały racje. Jak widać, nie mozna juz nawet ufac odznaczeniom wojskowym...

Pierwszego dnia pobytu w poprawczaku, gdy spałem, skradziono mi wszystkie rzeczy. Nocą w całym budynku panuje hałas. Slychac krzyki, a moja wyobraźnia zaczyna pracowac na wysokich obrotach.

Wania tez tu jest. Poniewaz to on podal mi noz, dyrektor uznal go za wspolwinnego. Niestety zdazył juz tu powaznie oberwac. Mozna by pomyslec, ze przyciaga ciosy... Probowalem mu pomoc. Powiedzial, ze bedzie mi za to dozgonnie wdzieczny. Wania stal sie jakby moim mlodszy bratem.

Tutaj tez pracujemy w warsztacie. Sieroty, przestepcy, wieźniowie to przeciez najtansza sila robocza dla przedsioborców. Nadal robie zabawki dla dzieci z Zachodu.

65. NATHALIE KIM

Przetestowalem taktyke „cieplo-zimno” na Venus: poddawalem ja na przemian przyjemnościom wynikajacym z sukcesow w pracy jako modelka i przykrości sluchania malostkowych klótni rodzicow.

Taktyke kuli bilardowej testowalem na Igorze, wplywajac na jego przyjaciol, by zmusili go do wziecia odpowiedzialności za swoje czyny podczas konfrontacji z Piotrem.

Jacques'a poddalem próbie kija i marchewki: sprawialem, by mial ochote przypodobac

się Martine, strasząc go jednocześnie bandą opryszków. Stałem się kowalem ich dusz. Dopracowuję je za pomocą intuicji, snów i kotów. Cały czas mam jednak poczucie, że jedynie pomagam im toczyć się wytyczoną już ścieżką. Moje kule rozbłyskują światłem i dostrzegam, że rezultat nie jest jednak aż tak pozytywny, jak sądziłem. Prawdę mówiąc moje stadko nie posuwa się do przodu tak, jak bym sobie tego życzył. A jeśli już robi krok naprzód, to nie najodpowiedniejszą ścieżką.

Raoul uśmiecha się, widząc moje rozczarowanie.

- Tak naprawdę nie możemy im pomóc. Nie jesteśmy w stanie przestrzec ich przed popełnianiem największych głupstw.

Znając defetyzm mojego przyjaciela, wolę zmienić temat rozmowy.

- A ta słynna Nathalie Kim, o której wspomniał władca Inków?

Raoul odpowiada, że przeanalizował jej przypadek i nie zauważył w niej niczego ciekawego. Zresztą nie rozumie, dlaczego miałyby być w jakikolwiek sposób wyjątkowa. Jej karma, dziedziczność i pierwsze decyzje wolnej woli są jak najbardziej typowe dla przeciętnej istoty ludzkiej.

- To znaczy?

- To znaczy, że popełnia mnóstwo głupstw.

Podaje mi jej jajo, bym sam je obejrzał.

Nazwisko: Kim

Imię: Nathalie

Narodowość: koreańska

Włosy: czarne

Oczy: czarne

Znak szczególny: lubi się śmiać

Słaby punkt: naiwność

Mocne punkty: dojrzałość, odwaga

Twarz okrągła niczym księżyc, długie ciemne warkocze, czarne oczy w kształcie migdałów. Nathalie Kim jest figlarną dwunastolatką. Jej stroje nawiązują do mody hipisowskiej z lat siedemdziesiątych, nosi sandały i sukienki indyjskie. Mieszka ze swoją rodziną w Limie, w Peru, gdzie jej ojciec pełni funkcję ambasadora Korei Południowej.

Mili rodzice, korzystne warunki do wylęgu, liczba punktów przy urodzeniu: 564.

Podskakuję.

- 564! 564 na 600! Ależ ona... praktycznie rzecz biorąc, już osiągnęła cel!

Raoul Razorbak wygląda na rozczarowanego.

- Tak ci się tylko wydaje! To po prostu stara dusza. Jak gdyby najgorszy uczeń, w kółko powtarzający klasę, który w końcu zacznie zdobywać dobre oceny. Wciąż kończy się jednak na tym, że potem wszyscy drepczą w miejscu, nie mogąc dotrzeć do mety.

- Piękna jak ta lala, bogata, inteligentna, pod opieką kochających rodziców, któż to właściwie jest, ta Nathalie Kim? Przecież to wymarzona klientka!

- Nie robię sobie złudzeń.

Jeszcze raz przyglądam się osobliwemu jaju. W rezydencji ambasadora Nathalie Kim pobiera lekcje u prywatnego nauczyciela, w towarzystwie swoich dwóch starszych braci. Rodzeństwo bardzo nudzi się w Peru, gdyż nie wolno im wychodzić, kiedy i dokąd tylko chcą. Wymyślają więc zabawy tylko dla ich trójki. W tej chwili Nathalie czyta braciom dzieło na temat hipnozy, zatytułowane: *Hipnoza dla każdego*. Nachylam się nad jajem i stwierdzam, że zamierza ona właśnie przetestować jedną z lekcji na swoim najstarszym bracie, Jamesie, piętnastolatku.

Prosi brata, by ten zamknął oczy, zrelaksował się i wyobraził sobie, że jest twardą deską. James zamyka oczy, próbuje się skoncentrować, lecz nagle wybucha śmiechem.

- To nie działa! - martwi się Nathalie.

- Jeszcze raz, obiecuję, że nie będę się już śmiał - mówi James.

Nathalie stwierdza jednak zdecydowanie:

- Tu jest napisane, że jeśli ktoś raz się roześmiał, to znaczy, że nie da się go zahipnotyzować.

- Na pewno się da. Zacznijmy od początku, uda się.

- Przykro mi, James. Niewielu ludzi jest podatnych na hipnozę. Zgodnie z tym, co piszą w tej książce, to zaledwie 20 procent całej populacji, a ty najwyraźniej nie należysz do tej grupy. Nie masz daru. Hipnotyzowany musi być bardzo zmotywowany, żeby mogło się udać - to od niego zależy sukces całego doświadczenia. Hipnotyzer uświadamia mu tylko, że jest zdolny do wprowadzenia się w ten stan.

Willy, lat trzynaście, zgłasza się na ochotnika do kolejnej próby. Zaciska powieki z tym większym zaangażowaniem, że widział, jak jego bratu się nie udało, a on tak bardzo chce udowodnić swojej siostrze, że jest podatny na hipnozę. Jak gdyby to był powód do dumy.

- Jesteś sztywny jak deska - intonuje monotonnym głosem Nathalie. - Twoje mięśnie są sztywne, nie możesz się ruszać.

Chłopak zaciska pięści, powieki, napina się.

- Jesteś sztywny, twardy, suchy, jesteś kawałkiem twardego drewna...

Nathalie daje znak Jamesowi, by stanął za bratem i oznajmia:

- Jesteś deską i teraz jak deska opadniesz do tyłu.

Willy, sztywny, wyprostowany, pada na wznak. James łapie go za ramiona, a Nathalie chwyta za nogi. Kładą jego głowę na oparciu jednego krzesła, zaś stopy na oparciu drugiego. Nic go nie podtrzymuje, a mimo to nie spada.

- To działa! - woła James oczarowany.

- W książce jest napisane, iż ciało potrafi być tak sztywne, że można na nim usiąść.

- Jesteś pewna? Nie złamiemy mu kręgosłupa?

Dziewczyna wspina się na nieruchomego brata, lecz ten nie ugina się nawet pod jej ciężarem. Nathalie staje mu na brzuchu. James dołącza do niej. Nastolatki są zachwycone, że *Hipnoza dla wszystkich* się sprawdziła.

- Umysł ludzki kryje w sobie niezbadane tajemnice - mówi z przejęciem Nathalie. - Postawmy go teraz do pionu.

Znów chwytają nogi i ramiona Willy'ego, którego oczy wciąż są zamknięte, a ciało sztywne.

- Zaczę teraz odliczać, gdy dotrę do zera, obudzisz się - rozkazuje Nathalie.

- Trzy, dwa, jeden... zero!

Ze strony Willy'ego nie ma najmniejszej reakcji - nie porusza się żadna część jego ciała, nawet powieka. Zabawa przestaje być aż tak wesoła.

- Niczego nie rozumiem. Nie daje się wybudzić - niepokoi się Nathalie.

- Może nie żyje? Co powiemy rodzicom? - martwi się James.

Dziewczyna zaczyna nerwowo wertować kartki książki.

- „Jeżeli podmiot nie wybudza się, należy powtórzyć odliczanie, bardziej rozkazującym tonem i wymawiając zero, klasnąć głośno w ręce”.

Ponownie odliczają, klaszczą w dłonie i tym razem „podatny na hipnozę” brat otwiera oczy.

Westchnienie ulgi.

- Co czułeś? - pyta hipnotyzerka.

- Nic. Niczego nie pamiętam, ale to było raczej przyjemne uczucie. Co się działo?

Mina Raoula Razorbaka wyraża powątpiewanie. Ja z kolei uważam, że Nathalie Kim istotnie ma w sobie coś wyjątkowego. Przyglądam się uważniej historii jej duszy. W poprzednim wcieleniu Koreanka była tancerką z Bali. Utonęła.

Jeszcze wcześniej miała wiele wcieleń artystycznych: grała na tam-tamie na Wybrzeżu Kości Słoniowej, była maltańskim malarzem miniaturzystą, rzeźbiarzem drewnianych figurek na Wyspie Wielkanocnej. Jako człowiek, nigdy nie bardzo wierzyłem w teorię reinkarnacji. Dziwili mnie ci wszyscy ludzie, którzy widzieli się w roli bohaterów książek historycznych: przywódców wojskowych, badaczy, artystów, gwiazd, kurtyzan czy księży. Biorąc pod uwagę fakt, że jeszcze w 1900 roku 95 procent populacji ludzkiej zajmowało się pracą na roli, mogło się to wydawać co najmniej osobliwe.

Stwierdzam, że każde z wcieleń Nathalie Kim spędza stosunkowo dużo czasu w Czyścicu.

- Dlaczego jej reinkarnacja trwa aż tak długo?

Raoul stara się wyjaśnić:

- Niektóre dusze są niecierpliwe i przepychają się przez tłum zmarłych, by jak najszybciej stanąć przed sądem. Inne, jak już miałeś okazję zauważyć, czekają spokojnie w kolejce.

Rzeczywiście, przypominam sobie, że w pomarańczowej krainie natknąłem się na dusze poruszające się nonszalanckim krokiem, nieśpiesznie, w stronę miejsca, gdzie będzie odbywał się ich sąd.

- Niektórym pokonanie tej trasy zajmuje całe wieki. Inni, gdy ich życie dobiega końca, hop! Pędzą czym prędzej na ring, próbując zwyciężyć w walce o jak najszybsze opuszczenie kręgu reinkarnacji. Poprzednie życie Nathalie Kim zapewne doświadczyło ją boleśnie. Z przyjemnością więc odetchnęła sobie nieco, nim ponownie przyjęła ludzką powłokę.

Raoul wyjaśnia, że Nathalie miała już sto trzynaście wcieleń, jednak zaledwie osiem z nich można było uznać za interesujące.

- Co sprawia, że dane życie można uznać za „interesujące”? I co dzieje się w tych „nieinteresujących”?

- Nic specjalnego, prawdę mówiąc. Rodzi się, bierze ślub, rodzi dzieci, znajduje przyjemną pracę i umiera w łóżku po ukończeniu osiemdziesięciu lat. To zmarnowane życie, bez misji, bez konkretnego celu, bez większych przeszkód do pokonania.

- Takie istnienia są naprawdę niepotrzebne?

Raoul kręci przecząco głową. Uważa, że te łagodne życiorysy służą do tego, by wypocząć pomiędzy dwoma „ważnymi” żywotami. Niektórzy męczennicy, niedocenieni artyści, ludzie walczący o sprawy skazane na niepowodzenie docierają do Raju tak zmęczeni, że błagają o spokojną reinkarnację.

- Moja Nathalie zaznała stu pięciu istnień wypoczynkowych i ośmiu interesujących,

lecz prawdopodobnie trudnych do zniesienia.

Zauważam, że gdyby zgromadzić w muzeum wszystkie dzieła jej autorstwa, można byłoby zappełnić wiele sal.

- Dlaczego wciąż jeszcze nie uwolniła się z kręgu reinkarnacji?

- Niemal osiągnęła już ten cel - mówi Raoul. - Lecz jej zachowanie nigdy nie było wystarczająco uduchowione, by pozwolić jej pokonać ostatni etap.

- Na czym polegał jej problem?

- Na braku miłości. Dusza Nathalie jest zbyt wrażliwa. Czy była kobietą, czy też mężczyzną, nigdy nie miała pełnego zaufania do swoich partnerów. Nigdy nie zdołała zatracić się w miłości, zresztą zazwyczaj okazywało się, że słusznie. Jednak unikanie owych „błędów” sprawiło, że nie poznała, czym jest kochanie całym sercem.

Rozumiem teraz lepiej pesymizm mojego przyjaciela: jego klientki nie blokuje głupota, lecz wręcz przeciwnie: zdrowy rozsądek!

Wracamy, żeby spojrzeć, co się dzieje w ambasadzie Korei w Limie. Dzieci jedzą właśnie podwieczorek. Najstarszy chłopiec uwielbia ciasto cytrynowe, młodszy - krem czekoladowy, a Nathalie - „pływającą wyspę”.

66. ENCYKLOPEDIA

PRZEPIS NA „PŁYWAJĄCĄ WYSPĘ”: Zaczynamy od żółtego i słodkiego oceanu, po którym będzie pływać nasza wyspa: krem angielski.

Zagotować mleko. Oddzielić białka z sześciu jajek. Żółtka ubić z 60 g cukru. Dodać ciepłe mleko. Wymieszać. Zagęścić krem na wolnym ogniu, cały czas mieszając. Nie gotować.

Ocean gotowy. Pora na wyspę - białą górę lodową.

Białka ubić z 80 g cukru i szczyptą soli.

Gotować 20 min w kąpeli wodnej. Ostudzić. Wlać krem do naczynia, a następnie delikatnie ułożyć na nim białą masę. Podawać na zimno.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

67. STARY PRZYJACIEL

Raoul Razorbak nadal jest przekonany, że Nathalie Kim niczym nie różni się od innych klientów. Wpada jednak na nowy pomysł, który ma przyczynić się do przełomu w naszej sprawie.

- Chodź ze mną.

Podlatujemy ramię w ramię w kierunku południowo-wschodnim. Na jednym z pagórków dostrzegamy grupę aniołów, otaczających ciasnym kręgiem pewnego osobnika - przypominają fanów zgromadzonych wokół ulubionego piosenkarza. Artysta jest wyraźnie przepełniony energią i mówi, żywo gestykulując...

Freddy Meyer!

Stary, niewidomy rabin nie zmienił się ani trochę! Niski, pulchny, łysy, z nosem jak kartofel, na którym osadzone są ciemne okulary - z tym że tutaj jego kalectwo nie ma już żadnego znaczenia. W świecie aniołów niewidomy anioł widzi tyle samo, co każdy inny.

Raoul trąca mnie łokciem. Niepotrzebnie, przecież pamiętam. Z Freddyem każda wyprawa badawcza, odkrywczą czy śledczą nie mogła być lepiej przeprowadzona. Był najdokładniejszym, najbardziej entuzjastycznie nastawionym, najbardziej perfekcyjnym bohaterem epoki tanatonautycznej. To on wpadł na pomysł, by spletać razem srebrne nitki, zapewniając tym samym większe bezpieczeństwo lotów grupowych. Freddy wymyślił też pierwsze strategie wojen ekto plazmowych. Wyprawa w jego towarzystwie dostarczała zawsze niezapomnianych emocji.

Zajmujemy miejsce wśród gromadki widzów i słuchamy naszego przyjaciela, który opowiada... dowcip.

- To historia alpinisty, który spada w głęboką przepaść, lecz udaje mu się jedną ręką uchwycić gałęzi. „Na pomoc! Ratunku! Czy ktoś mnie uratuje?” - wrzeszczy zrozpaczony. Pojawia się przed nim anioł i mówi: „Jestem twoim aniołem stróżem. Zaufaj mi. Ocalę cię”. Alpinista zastanawia się przez chwilę, wreszcie mówi: „Hm... a nie ma nikogo innego?”.

Anioły parskają śmiechem. Ja także. To typowo anielskie poczucie humoru. Muszę się dostosować.

Tak się cieszę ze spotkania z dawnym kompanem. Kto twierdził, że w Raju jest nudno? Freddy nas ocali. Daję mu znak. Dostrzega nas i podbiega.

- Michael! Raoul!

Ściskamy się serdecznie.

Powracają wspomnienia: pierwsze spotkania, wspólne majsterkowanie, pierwsze fotele startowe, pierwsze wyprawy do Raju, wojny ektoplazmowe przeciwko Nizarytom.

- Pozwólcie, że wam przedstawię moich nowych kumpli! - mówi Freddy.

Otacza nas oddział świetlistych istot, wśród których rozpoznaję wiele znanych twarzy: Groucho Marx, Oscar Wilde, Wolfgang Amadeusz Mozart, Buster Keaton, Arystofanes, Rabelais...

- Zwą nas rajskimi komikami. Przed pojawieniem się tutaj nie miałem pojęcia, że Mozart był takim żartownisiem. Zawsze ma w zanadru jakąś wesołą historyjkę. Nie mylić z Beethovenem - ten był raczej mrukiem.

- A twoi klienci? - dopytuję się.

Freddy wzrusza ramionami. Nie ma już zapału do swojej anielskiej pracy. Nie zajmuje się już duszami. Ma dość ludzi. Ratować ich? Stracił wiarę, że to możliwe. Podobnie jak Raoul, jest przekonany, że wspomnienie ewolucji ludzkich dusz jest zadaniem ponad siły nawet najzdolniejszych aniołów.

Arystofanes twierdzi, że na sześć tysięcy pięćset dwudziestu siedmiu klientów ani jeden nie osiągnął sukcesu. Buster Keaton narzeka, że przydzielano mu jedynie Lapończyków przygnębionych brakiem słońca. Oscar Wilde odpowiada, że to nic w porównaniu z jego Hindusami, wśród których nietrudno o teściowe podpalające sari synowych, by uzyskać odszkodowanie. Groucho Marx jakoś sobie radzi z Czerwonymi Khmerami, załatwiający porachunki w walkach w dżungli.

Rabelais wznosi ręce w górę, wspominając dzieciaki ze slumsów w Sao Paulo, wachające klej od rana do wieczora, których średnia długość życia wynosi czternaście lat.

Mogłoby się wydawać, że najbardziej dramatyczne przypadki przydziela się komikom.

- To zbyt trudne. Większość z nas w końcu się poddaje. Nie da się pomóc ludziom.

Podnoszę argument Edmunda Wellsa:

- A jednak sama nasza obecność tutaj jest dowodem na to, że da się opuścić krąg reinkarnacji. Jeśli nam się udało, inni też muszą być do tego zdolni.

- Być może z ludźmi jest tak samo jak ze spermatozoidami - stwierdza Raoul. - Zaledwie jeden na trzydzieści milionów dostaje się do jajeczka. Jeśli o mnie chodzi, to nie mam cierpliwości, by przetestować trzydzieści milionów dusz w oczekiwaniu na pozwolenie przekroczenia Szmaragdowych Wrót.

Mój przyjaciel jest wyraźnie uradowany, że nie on jeden chce dać za wygraną. Freddy Meyer jest po jego stronie. On również nie może znieść opieki nad duszami - porzuca je więc i pozostawia samym sobie. Stracił wszelką ambicję. Ma zamiar spędzić resztę swojej

egzystencji, bawiąc się w najlepsze i zapominając o świecie śmiertelników. Stracił wiarę w ludzkość. Wierzy już tylko w humor.

Co takiego sprawiło, że wesoły alzacki rabin zmienił się w rozczarowaną świetlistą istotę?

- Holokaust - szepcze. - Ludobójstwo dokonane na Żydach podczas II wojny światowej.

Pochyla głowę złamany.

- Stąd wszystko widzi się dokładniej. Wszystko się rozumie. Ma się dostęp do wszystkich informacji. Dzisiaj już wiem to, czego nie mogłem przeczytać na Ziemi. To przekracza wszelkie wyobrażenie.

- Ja...

- Nie, ty nie wiesz. Kolejki przed komorami gazowymi, dzieci wyrywane z objęć matek, rzucone o ściany pieców krematoryjnych, doświadczenia medyczne na żywych istotach ludzkich... Trzeba znaleźć się tutaj, by zobaczyć to i pojąć. Nie umiem oderwać się od tych wizji.

Staram się znaleźć jakieś wytłumaczenie:

- Może te wszystkie potworności wydarzyły się dlatego, że anioły przestały interesować się swoją pracą, tak jak ty teraz.

Freddy jednak nie słucha. Kładzie mi rękę na ramieniu i zaczyna się śmiać.

- Nie chcę już nic więcej wiedzieć. Chcę tylko się śmiać, śmiać i śmiać... Upijać się śmiechem i dowcipami aż do końca świata! Śmiejmy się i zapominajmy!

Jakże się zmienił, mój drogi Freddy. Czyżby humor mógł uzależniać? Klaszcze w dłonie.

- Cóż, atmosfera robi się tu jakaś ponura. Szybko, dowcip potrzebny od zaraz. DOWCIP! - domaga się były rabin tanatonauta.

Nie jest łatwo cokolwiek powiedzieć po tych wszystkich wspomnieniach, mimo to Oscar Wilde podejmuje się rozwiać opary przygnębiających opowieści Freddy'ego.

- To historia o Jezusie, który podróżuje ze swoją Matką. Docierają do niewielkiej osady. Jezus zauważa cudzołożnicę oraz tłum szykujący się, by ją ukamienować. Jezus staje w obronie kobiety, mówiąc: „Ten, który jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień”. Wszyscy zebrani, poruszeni, odkładają swoje kamienie. Jezus już ma uwolnić kobietę, gdy nagle olbrzymia cegła trafia w nieszczęsną cudzołożnicę. Jezus odwraca się i mówi: „Mamo, nie uważasz, że tym razem lekko przesadziłaś?”.

Wybuchy śmiechu zdają się nieco wymuszone.

- Całe szczęście, że nie ma w pobliżu Jezusa - mówi Buster Keaton poważnym tonem.
- Bardzo nie lubi, gdy się żartuje z Jego Matki.

Groucho Marx ciągnie dalej:

- Pewien facet cały czas narzeka, że nie udaje mu się wygrać w lotto. Pojawia się przed nim anioł stróż i mówi: „Słuchaj, chętnie ci pomogę wygrać, ale... wypełnij chociaż jeden kupon!”.

Wszyscy znają już ten dowcip, ale i tak pokładają się ze śmiechu.

Raoulowi i mnie jakoś nie udziela się ogólna wesołość, która wydaje się nienaturalna.

I wtedy właśnie pojawia się Marilyn Monroe. Rzuca się w objęcia Freddy'ego. Jako anioł wciąż ma ów charakterystyczny urok, tę magię, która uczyniła z Normy Jean Baker prawdziwą legendę. Uważam, że to niesprawiedliwe, iż gwiazdy zmarłe w kwiecie wieku tu w Raju są równie piękne jak na Ziemi, podczas gdy na tych, które odeszły po długiej starości, jak na przykład Louise Brooks albo Greta Garbo, czas odciska swoje piętno na wieczność.

- Nie muszę wam chyba przedstawiać tej pani - mówi rabin przekornie.

Freddy czule głaszcze Marilyn po plecach i gdybym nie wiedział, że wszyscy tu jesteśmy pozbawieni seksualności, zacząłbym ich podejrzewać o romans. Tak naprawdę tych dwoje bawi się, naśladując dawne gesty świadczące o intymności, choć ich palce nie natrafiają już na nic namacalnego. Zastanawiam się, co ta piękność widzi w małym, łysym i okrągłym jegomościu - jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, to... humor. Marilyn dostarcza Freddy'emu wdzięku. W zamian on oferuje jej swój śmiech.

- Panno Monroe, niech mu pani wytłumaczy... - mówi Raoul.

- Przykro mi, Holokaust wywarł na mnie równie duży wpływ. Wie pan, przeszłam na judaizm przed poślubieniem Arthura Millera.

Chciałbym wypytać Marilyn o prawdziwe okoliczności jej śmierci, ale moment wydaje mi się nie najlepszy.

- Z początku - ciągnie Marilyn - Freddy schodził na Ziemię, na tereny byłych obozów koncentracyjnych i pomagał błędzącym tam wciąż duszom dostać się do Raju. W końcu dał sobie z tym spokój. Zbyt wielu śmiertelników doświadczyło zbyt ogromnego cierpienia, przy całkowitej obojętności niebios i pozostałych narodów. Gatunek zdolny do takich zbrodni nie jest godny ocalenia. Jeśli o mnie chodzi, to rozumiem Freddy'ego, zresztą sama też nie mam już ochoty robić czegokolwiek dla ludzi - ucina, a w jej głosie słychać źle skrywaną wściekłość.

- Zamiast tracić nadzieję, czy nie lepiej by było spróbować to zrozumieć? - sugeruje Raoul.

- Doskonale. A zatem pytam. Dlaczego te zbrodnie zostały popełnione bezkarnie?

Pytam: dlaczego? Dlaczego? DLACZEGO? - krzyczy Freddy.

Chwila zmieszania. Wreszcie Raoul odpowiada:

- Ponieważ organizacja zaświatów jest o wiele bardziej złożona, niż nam się wydaje. Powinniśmy dowiedzieć się, kto decyduje tam w górze, kto zarządza krainą aniołów. Dopóki nie wyregulujemy kosmicznego zegara, Holokaust pozostanie tajemnicą, a nawet będzie istniała groźba, że się powtórzy! Zamiast zatracać się w bólu, lepiej by było, gdybyście pomogli nam rozgryźć tajemnicę „siódemek” i zapobiec kolejnym hekatombom.

Rabin Meyer pozostaje niewzruszony:

- Ludzkość nie jest zdolna do ewolucji. Ziemia dąży do autodestrukcji. Ludzie nie kochają się nawzajem. Nie życzą sobie dobrze. Co krok napotykam na fanatyków, nacjonalistów, integrystów, ekstremistów... Nic się nie zmieniło. Nic tak naprawdę nie może się zmienić. Nietolerancja kole w oczy bardziej niż kiedykolwiek.

Teraz moja kolej, by wstawić się za śmiertelnikami:

- Ludzkość porusza się po omacku. Trzy kroki naprzód, dwa do tyłu, lecz w rezultacie robi postępy. Jesteśmy na poziomie 333 punktów i wkrótce osiągniemy 334. To są fakty. Jeśli nawet my, anioły, damy za wygraną, kto będzie ratował ludzi?

Freddy odwraca się do nas plecami, jakby zmęczony całą rozmową.

- Niech sobie śmiertelnicy radzą sami. Kiedy sięgną dna, być może obudzi się w nich instynkt samozachowawczy.

Rabin dołącza do swoich przyjaciół i woła:

- Chodźcie, chłopaki, śmiejmy się, a ludzkość zostawmy własnemu losowi!

68. ENCYKLOPEDIA

VANUATU: Archipelag Vanuatu został odkryty na początku siedemnastego wieku przez Portugalczyków na niezbadanej jeszcze wówczas części Pacyfiku. Zamieszkuje go kilkadziesiąt tysięcy ludzi, żyjących zgodnie z osobliwymi regułami.

Nie istnieje tam, na przykład, koncepcja większości narzucającej mniejszości swoje zdanie. Jeśli mieszkańcy nie zgadzają się, rozmawiają między sobą tak długo, aż osiągną porozumienie. Oczywiście każda taka dyskusja musi zająć trochę czasu. Niektórzy są uparci i nie dają się przekonać. Dlatego też populacja Vanuatu spędza trzecią część dnia na czczej

gadaninie, mającej za cel przekonanie pozostałych do własnych opinii. Gdy dyskusja dotyczy danego terytorium, może zająć nawet lata, albo nawet setki lat, zanim wreszcie osiągnie się konsensus. W międzyczasie sprawa pozostaje w zawieszeniu.

Gdy wreszcie po upływie dwustu lub trzystu lat wszyscy mówią już jednym głosem, problem zostaje w pełni rozwiązany i nikt nie żywi urazy, gdyż nikt nie może uznać się za stronę przegraną. Cywilizacja Vanuatu jest organizacją klanową. Każdy klan należy do innego cechu rzemieślniczego. Jeden klan specjalizuje się w rybołówstwie, inny w rolnictwie, garncarstwie itd. Klany wymieniają się między sobą. Rybacy pozwolą na przykład na dostęp do morza w zamian za możliwość korzystania z zasobów leśnych.

Specjalizacja klanów sprawia, że gdy w klanie rolników rodzi się dziecko wykazujące wrodzony talent do garncarstwa, opuszcza ono swoich bliskich i jest adoptowane przez rodzinę garncarzy, którzy pomagają mu rozwijać jego talent. Podobnie stanie się z dzieckiem garncarzy, które ma ochotę zostać rybakiem. Praktyki te zaszokowały pierwszych podróżników zachodnich, bowiem z początku sądzili, że mieszkańcy Vanuatu po prostu kradną sobie nawzajem swoje dzieci. Nie była to jednak żadna przemoc, lecz wymiana, mająca na celu optymalny rozwój każdej istoty ludzkiej.

W wypadku konfliktu na poziomie prywatnym mieszkańcy Vanuatu posługują się złożonym systemem umów. Jeżeli mężczyzna z klanu A zgwałci dziewczynę z klanu B, obydwie klany nie rozpoczynają wojny. Wzywają natomiast swoich „przedstawicieli wojennych”, czyli klan niezamieszany w sprawę, z którym związani są przysięgą. Klan A powołuje wówczas klan C, a klan B - klan D. System pośredników wystawia do walki osoby o niewielkiej motywacji do wyprawiania innym flaków, nie są one bowiem bezpośrednio zaangażowane w spór. Walczy się do pierwszej krwi, po czym każdy woli się wycofać, uważając, że spełnił swoje zadanie jako sprzymierzeniec. W Vanuatu wojny toczą się więc bez nienawiści i bez niepotrzebnego pastwienia się nad ofiarami, wynikającego z próżności i dumy.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

69. JACQUES. 14 LAT

Szkoła to moje więzienie. WC to moje schronienie. Kiedy się tam zamykam, rozmyślam. Moje oceny nieco się poprawiły, ale brak dobrej pamięci uniemożliwia mi brylowanie.

Martine opuściła liceum. Cyrk, w którym pracują jej rodzice, odjeżdża. Sibelius, jej

ojciec, jest hipnotyzerem. Chyba widziałem już kiedyś jego występ w telewizji. Objechawszy okolice Perpignan, artyści udają się teraz do Peru. Przed rozstaniem Martine powtarzała mi:

- Staraj się pracować nad swoimi mocnymi stronami, zamiast zwalczać słabe.

Tak więc Martine odjechała, a ja mam wrażenie, że wraz z nią straciłem wiele z mojej siły. Naszą nauczycielką francuskiego w tym roku jest kobieta o długich rudych włosach, ubierająca się w obcisłe koszulki - panna Van Lysebeth. Ta niezwykła istota oczarowała nas wszystkich. Chcąc lepiej nas poznać, pani poprosiła nas o napisanie opowiadania na dowolny temat.

Cała klasa zaszemrała. Obowiązujący system szkolnictwa nie nauczył nas samodzielności. Uczniowie marudzą. Inni się skarżą.

- Ale proszę pani, nie umiemy tak. Musimy mieć zadany temat.

- Spróbujcie. Sprawdźmy, jaki będzie rezultat.

Po raz pierwszy nauczyciel popuszcza nam cugli. Ta nowa wolność bardzo mi pasuje. Zabieram się do pisania opowiadania pod tytułem: „Papież”. Wyobrażam sobie, że podczas kolejnego konklawe komputer zajmie miejsce pośród *papabili*. Nikt lepiej niż maszyna nie może reprezentować chrześcijaństwa. Koniec kompromisów ze środowiskami gospodarczymi i politycznymi. Koniec z osobistymi ambicjami. Zatem kardynałowie wprowadzają wszystkie zasady chrześcijaństwa do programu komputerowego, który następnie umieszczają we wnętrzu człekopodobnego robota o imieniu Pius 3,14. Jego wybór na papieża miałby według nich same zalety. Jedyne Pius 3,14 może pełnić swoją funkcję dożywno bez obawy, że zachoruje lub się zestarzeje. Jeśli jakiś szaleniec strzeli do niego, zawsze będzie się dało odzyskać program z jego wnętrza. Ponadto Pius 3,14 nie ogranicza się do konkretnej epoki historycznej czy specyficznego wycinka dziejów ludzkości; można go informować o wszystkim w miarę ewolucji społeczeństwa. Robot będzie się bezustannie „reformował”, dopasowując do nowych zwyczajów. Tak więc, dzięki najnowocześniejszej technologii, chrześcijaństwo będzie mogło zostać uznane za religię najbardziej dopasowaną do swych wyznawców.

Pius 3,14 wyposażony jest naturalnie w sztuczną inteligencję, która pozwala mu rozwijać własną logikę, opierając się na myśli Jezusa i własnych obserwacjach.

Na końcu mojego opowiadania Pius 3,14, informatyczny papież, zaczyna pojmować, czym tak naprawdę jest Bóg, co moim zdaniem jest prawdziwą misją papieża. Problem w tym, że stwierdza, iż Bóg jest tak słaby, że o wiele lepiej byłoby go zastąpić komputerem... Taka jest pointa mojego opowiadania.

Tydzień później, kiedy panna Van Lysebeth oddaje nam wypracowania, zaczynając od

najwyższych ocen po najniższe, moje zatrzymuje i prosi mnie, żebym został po zakończeniu lekcji.

- Niezwykłe opowiadanie! - mówi. - Cóż za wyobraźnia! Czy to w telewizji widziałeś podobne rzeczy?

- Raczej w książkach.

- Jakich książkach?

Wymieniam:

- Kafka, Edgar Allan Poe, Tolkien, Lewis Carroll, Jonathan Swift, Stephen King...

- Dlaczego ograniczasz się do literatury fantastycznej, a nie zainteresujesz się klasykami?

Nachyla się, szuka czegoś w szufladzie i podaje mi *Salambo* Gustawa Flauberta.

- Masz, przeczytaj to. Jeszcze jedno pytanie: jakie zazwyczaj dostajesz oceny z francuskiego?

- Mierne i dostateczne mniej, ale najczęściej... mierne.

Oddaje mi moje wypracowanie, gdzie na marginesie widnieje „5-” zapisane czerwonym atramentem oraz uwaga: „Dużo oryginalnych pomysłów. Spędziłam miłe chwile, czytając twoje opowiadanie”.

Panna Van Lysebeth lubi dyskutować ze mną po lekcjach. Rozmawiamy o historii literatury światowej. Opowiada mi o śledztwach sędziego Di autorstwa Roberta van Gulika i o *Mahabharacie*. Wciąż otwiera przede mną nowe horyzonty. Pewnego dnia zaproponowała, że podwiezie mnie do domu. Nieco się dziwię, bo wybiera niewłaściwą drogę, ale nic nie mówię. Zatrzymuje auto na poboczu pustej drogi i spogląda mi głęboko w oczy. Nadal się nie odzywam, widząc, jak jej ręka puszcza kierownicę i dotyka mojej dłoni.

- Daleko zajdziesz w pisarstwie - twierdzi.

Następnie rozpina moją koszulę.

- Lubię być pierwsza. Będę pierwszą, prawda?

- Ja... to znaczy... to zależy, o co chodzi... Hm... jeśli... - bełkoczę.

Ręka panny Lysebeth porusza się po moim ciele z krepującą powolnością.

- Czytałeś już teksty erotyczne Jeana de La Fontaine?

- Hm... nie... A warto?

Zamiast usłyszeć odpowiedź, czuję, że jej ręka dociera w bardzo wrażliwe miejsce. Nie protestuję, zaskoczony tą inicjatywą i osobliwością całej sytuacji. Niczym małe, myszkujące zwierzątko prawa dłoń panny Lysebeth wyzwala moje ciało z pętających je ubrań, podczas gdy lewa ręka siłuje się z przeróżnymi gumkami, tkaninami i guzikami jej

własnego stroju.

Potem następuje chwila całkowitej paniki, nieopanowanego strachu, który stopniowo ustąpił pewności siebie, a w końcu żywemu zainteresowaniu dla tekstów Jeana de La Fontaine, które być może zbyt pochopnie ominąłem.

70. IGOR. 14 LAT

Zacząłem pić. Im więcej piję, tym bardziej nienawidzę Zachodu. Pewnego dnia rozpęta się wojna między nami i bogatymi krajami zachodnimi. Nie mogę się doczekać, kiedy to nastąpi. Za każdym razem, gdy ktoś mi dokucza, za każdym razem, gdy rozgniatam jakąś pluskwę, za każdym razem, gdy narzuca mi się kolejne ograniczenia, powtarzam sobie, że to wszystko wina Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych.

W jakiejś porzuconej przez kogoś gazecie przeczytałem artykuł o młodej Amerykance - Venus Sheridan - dokładnie w moim wieku, top modelce i miliarderce. Myślę sobie, że gdy podbijemy te wszystkie dekadencjonalne kraje, pokażę jej, do czego zdolny jest silny, pracowity słowiański chłopak, w porównaniu z otaczającymi ją tam z pewnością głupkami.

Nocą obserwuję gwiazdy przez okno. Jedną z nich musi być planeta Wenus. W marzeniach kocham się z obrazem mojej amerykańskiej gwiazdy. Wiem, że pewnego dnia spotkam ją, istotę z krwi i kości. A wtedy...

71. VENUS. 14 LAT

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Venus”.

Cała armia nieproszonych gości, przyjaciół mojej mamy, opanowała salon. Za nic w świecie nie wyjdę ze swojego pokoju. Wczoraj dostałam pierwszą miesięczkę. Myśląc, że zrobi mi tym przyjemność, mama powiedziała, że „wreszcie stałam się prawdziwą kobietą” i że będę teraz mogła „poznać, czym jest miłość mężczyzny”.

Nienawidzę swojego ciała. Całymi dniami przesiaduję w swoim pokoju, nie pozwalam nikomu mnie odwiedzać i próbować pocieszyć.

Jednak zew reflektorów jest silniejszy. Przekonuję samą siebie, że trzeba jakoś żyć i iść naprzód.

Koniec z dziecięcymi ubrankami. Jestem teraz nastolatką, młodą gwiazdą, której wszyscy pożądają. Kręcę reklamę jakiegoś napoju gazowanego. Scenariusz wymaga, żebym wyrwała puszkę z rąk pewnego młodzieńca i wypila jej zawartość przed nim, prowokując go.

Wieczorami, w domu, rodzice nadal się kłócą: teraz już otwarcie się nienawidzą. Wojna została wypowiedziana. Pojęłam w końcu, że „forsa” to pieniądze i że im więcej ich zarabiam, tym bardziej rodzice się kłócą. A przecież te wszystkie dolary nie należą ani do mamy, ani do taty, tylko do mnie.

Mam nadzieję, że nie tkną ich, tylko będą trzymać na koncie w oczekiwaniu na dzień, w którym będę mogła z nich skorzystać.

Wiem już, na co wydam mój skarb. Kupię sobie biżuterię i zaplanuję kolejne operacje plastyczne (na przykład dołek w podbródku - myślę, że byłoby mi z nim do twarzy - Ambrosio na pewno zrobiłby z tego małe arcydzieło).

Chwilowo najbardziej potrzebuję korków do uszu. Co wieczór wrzaski. Co wieczór tata albo mama wykrzykują: „Gdyby nie mała, dawno by mnie tu nie było!”.

Te ich spory naprawdę zaczynają doprowadzać mnie do rozpacz. Pewnego dnia wpadłam na pomysł, w jaki sposób przyciągnąć ich uwagę. Przestałam jeść.

Testuję tę metodę podczas wieczornego posiłku. Nie tykam żadnego z dań. Ich reakcja przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Rozmawiają ze mną. Od bardzo dawna coś takiego nie miało miejsca. Mówią mi: „Musisz jeść”. Odpowiadam: „Im modelka je mniej, tym lepiej”. Mama protestuje. Tata krzyczy na mamę, że wpoila mi te wszystkie idiotyczne pomysły. Kłótnia znów wisi w powietrzu, lecz spoglądam na nich i coś ich powstrzymuje. Ponownie nachylają się nade mną, chcąc mnie przekonać, bym przełknęła choć kilka kęsów.

Zgadzam się, lecz z dnia na dzień napięcie rośnie, gdyż coraz bardziej ograniczam sobie porcje.

Cieszę się. Znalazłam wreszcie sposób, by przejąć kontrolę nad rodzicami. Kiedy nie jem, przestają się kłócić, a na dodatek zaczynają się mną interesować.

Mam ich w garści!

Oczywiście niełatwo wyrzec się tej małej przyjemności, jaką jest jedzenie, ale gra jest warta świeczki. Zresztą im mniej jem, tym mniejszy odczuwam głód. Wszystko z korzyścią dla mojego ciała, które zaczyna przybierać dokładnie taką formę, jakiej wymaga się od top modelek. Staję się cieniutka jak patyczek. Wspaniale! Mogę oddziaływać na swoje ciało, nie odwołując się do chirurgii plastycznej.

Co więcej, odkąd niemal nie jem, zanikł mi okres. Dodatkowa korzyść. Dlaczego wcześniej nie wpadłam na ten prosty sposób?! Mogę jednocześnie kontrolować swoje ciało i rodziców.

Teraz, gdy zaczęli się mną interesować, nie chcę już nigdy więcej słyszeć ich kłótni.

72. POBOŻNE ŻYCZENIA

Sadowię się nad brzegiem Jeziora Poczęć, pod rozłożystą turkusową sosną. Odwracam dłonie wnętrzem do góry i moje trzy kule powoli nadlatują. Dusze migoczą. Przyglądam się im uważnie pod różnymi kątami i podsumowuję ostatnie czternaście lat. Jacques nie uczy się dobrze, ale pisze opowiadania. Wypracowanie o papieżu przyniosło pożądany efekt, podsyłam mu więc w snach jeszcze bardziej oryginalne pomysły.

Venus jest powierzchowna, lecz zarabia na życie jako modelka. Chce, żeby jej rodzice przestali się kłócić... Hm... Namówię ich na rozwód.

Igor utknął w poprawczaku, lecz łatwo nawiązuje przyjaźnie i jest bardzo dojrzały jak na swój wiek. Zastosuję tu metodę „kuli bilardowej”, oddziałując na jego otoczenie, by wydostać go w końcu z tego miejsca. Nadszedł czas, by zaczął spotykać się z innymi ludźmi.

Postać Edmunda Wellsa pojawia się przede mną.

- Jak tam twoi klienci?

Pokazuję mu moich podopiecznych, zadowolony, że nie spotkały ich jeszcze poważne problemy.

- Muszę cię jeszcze czegoś nauczyć - mówi mój instruktor. - Tych troje nie zostało ci powierzonych przypadkiem. Mają pewien związek z twoją własną naturą. Każda z tych dusz reprezentuje jedną z cech, nad którą sam powinienes pracować. Suma osobowości trojga klientów rekonstruuje osobowość anioła. Igor plus Jacques plus Venus równa się Michael. Jesteś trójcą.

A więc o to chodzi! Pielęgnując moje trzy kule, oddaję się swego rodzaju superpsychoanalizie... Edmund Wells, zapewne przyzwyczajony do reakcji, jaką powoduje to wyznanie, bierze mnie za ramię.

- Czyż do tej pory się nie zorientowałeś, że sporo cię łączy z twoimi klientami? Tak jak Jacques - chciałeś pisać. Jak Igor - chciałeś być twardzielem. Jak Venus - chciałeś się

podobać.

- A więc Jacques to moja wyobraźnia, Igor - moja odwaga, a Venus - uwodzicielstwo...

- Jacques to także twoja bojaźliwość, Igor - twoja brutalność i Venus - twój narcyzm.

Klienci to twoje odkupienie... Mają sprawić, byś zdał sobie sprawę z tego, kim tak naprawdę byłeś.

Kierując nimi, działałam więc pośrednio na samego siebie... Po raz kolejny dociera do mnie, że jedynie częściowo pojąłem niezwykle złożone reguły tej gry. Edmund Wells oddala się, a w pobliżu już widzę Raoula Razorbaka.

- Powiedział ci? Kapujesz już? Nie wiem, kto tam w górze pociąga za sznurki, ale trzeba przyznać, że jest to dość perwersyjna rozrywka! Te „siódemki” albo bogowie nieźle bawią się naszym kosztem. Konfrontują nas z poszczególnymi obliczami naszych osobowości i patrzą, jak na to reagujemy.

- Chcesz powiedzieć, że „siódemki” analizują anioły tak, jak my analizujemy śmiertelników?

Mój przyjaciel kiwa głową.

- Tak, wszystko to zaczyna do siebie pasować - jak rosyjskie matryoski. Kontroler jest kontrolowany, a obserwator obserwowany.

- Być może „siódemek” pilnują z kolei „ósemki” i tak dalej.

- Hola, hola! Fantazjujesz! - dokucza mi Raoul. - Poprzestańmy na dowiedzeniu się, kim są ci, którzy nami manipulują!

W głosie Raoula usłyszałem wyzwanie. W jego mniemaniu „siódemki” to wrogowie. Znam go, nienawidzi, jak się go do czegokolwiek zmusza. Duma każe mu czuć się wolnym.

Raoul przygląda się moim kulom.

- Czy systematycznie spełniasz ich życzenia?

- Tak.

Rechocze.

- Ja też z początku byłem miłym aniołkiem. I co? Im bardziej starałem się zrobić im przyjemność, tym bardziej stawali się kapryśni.

- Trudno, nie mamy innego wyjścia, jak im pomagać, prawda?

- Mylisz się - uzmysławia mi Raoul. - Możemy też zsyłać na nich „próby”. Edmund zapewne mówił ci o kiju i marchewce. Pierwsze porażki tuszowałem łagodnie, lecz w końcu postanowiłem dać im też kilka kopniaków, by wreszcie ruszyli się z miejsca. I zapewniam cię, że to działa! Są jak dzieci. Niczego nie rozumieją, dopóki nie dasz im w skórę.

- Czym w praktyce jest twoje „dawanie w skórę”?

- Spełniam ich życzenia, lecz jednocześnie poddaję ich próbom, które zmuszają ich do przeskoczenia samych siebie, albo przynajmniej do zadawania sobie pytań. Moja rada: nie wahaj się przed stawianiem ich w sytuacjach kryzysowych, które zmuszą ich do rozmyślenia. Sam Edmund Wells wspomina o tej metodzie w *Encyklopedii*. Nazywa ją „Kryzysem podawania w wątpliwość” - KPW.

- A którą z metod ty preferujesz?

- Zamiast chronić klientów, wystaw ich na niebezpieczeństwo. Zamiast trzymać ich z dala od przepaści, popchnij ich w stronę krawędzi. Dzięki temu poznają swoje możliwości, co zwiększy ich wiarę w siebie. Zapewniam cię, że nie oszczędzam moich klientów i przez to funkcjonują o wiele lepiej. Doceniają dane im życie. Ich życzenia stają się bardziej przemyślane: przeżyć, wyzdrowieć... Wszystkie wielkie dusze cierpiały, pokonując trudne przeszkody. Właśnie w ten sposób powstawały ludzkie legendy...

Wciąż nie czuję się w pełni przekonany do tego pomysłu.

- Nie mam pewności, czy potrafię być tak twardy w stosunku do swoich klientów. Zacząłem się do nich przywiązywać.

Raoul przewraca oczami.

- Więc dalej ich oszczędzaj i zobaczymy, którzy, twoi czy moi, otrzymają wyższe oceny końcowe.

- Czy to zakład?

- Jeśli chcesz - zgadza się. - Niech każdy z nas stosuje swoją metodę anielskiej kontroli, a na końcu sprawdzimy, kto ma rację.

Pytam Raoula, jak się mają sprawy z Nathalie. Przywołuje swoje kule i razem przyglądamy się duszom, małym rybkom szamoczącym się w okrągłych akwariach.

- Wiesz już, dlaczego władca Inków nam poradził, byśmy zaczęli ją postrzegać jako klucz do tajemnicy „siódemek”?

- Pewnie - wzdycha Raoul. - Od tego czasu nie przestaję jej obserwować. Nathalie, Nathalie, Nathalie... Dziewczynka próżnująca w ambasadzie w Ameryce Południowej.

- A zanim zaczęła żyć jako człowiek, kim była?

- Miała status zwierzęcia. Konkretnie ostrzygi perłodajnej. Nikt jej nie podniósł. Umarła ze starości, wraz ze swoją perłą.

Obchodzę kulę dookoła.

- Przyjrzyjmy się jej poprzednim wcieleniom. Musi w nich być coś, czego poprzednio nie zauważyliśmy. Niemożliwe, by mylił się ktoś tak jasnowidzący, jak wódz Inków.

Odtwarzamy, niczym długą taśmę filmową, historię wszystkich poprzednich wcieleń

dziewczynki. Nagle podskakuję. Daty! Między datami jej śmierci i kolejnych narodzin dostrzegam olbrzymie luki, chociaż nie spędzała tych okresów w Czyścúcu.

- Zgadza się - przyznaje Raoul. - Masz rację. Ani na Ziemi, ani w Raju... Więc gdzie wtedy była? Jeszcze jeden element kosmicznego zegarmistrzostwa, który został przed nami zatajony... Istnieje jakieś miejsce, inne niż Ziemia albo Raj, dokąd mogą migrować dusze...

- Zarezerwowane dla wybitnie uzdolnionych jednostek, takich jak Nathalie Kim? Myślisz, że to może być kraina „siódemek”?

- Czemu nie? Tylko Nathalie może to wiedzieć.

73. ENCYKLOPEDIA

KULT KOBIETY: U źródeł większości cywilizacji znajduje się kult bogini matki, któremu oddają się kobiety. Rytuály nawiązują do trzech najważniejszych wydarzeń w życiu każdej z nich: 1) miesiączki, 2) macierzyństwa i 3) śmierci. Mężczyźni postanowili skopiować owe prymitywne religie. Księża przywdziali długie, kobiece suknie.

Nawet dziś szamani syberyjscy ubierają się w kobiece stroje w dniu swoich inicjacji. We wszystkich wyznaniach odnajdujemy postać bogini matki założycielki.

Chcąc rozprzestrzenić religię katolicką wśród ludów pogańskich, pierwsi chrześcijanie podkreślali znaczenie Dziewicy Maryi, przy czym oryginalność nowej bogini miała polegać właśnie na jej dziewictwie.

Dopiero w Średniowieczu chrześcijaństwo postanowiło oderwać się od dawnego kultu kobiety. We Francji rozpoczęły się prześladowania adoratorów „Czarnych Dziewic”, a „czarownice” płonęły na stosach (w znacznie większych ilościach niż „czarownicy”).

Od tamtej pory mężczyźni próbują za wszelką cenę wykluczyć kobiety z domeny mistycyzmu. Nie tylko nie ma już kultu kobiety, lecz także nie ma już kapłanek. Żegnamy się w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

74. JACQUES. 16 LAT

W tym roku panna Van Lysebeth została oddelegowana ze szkoły w Perpignan. Czuję podobne przygnębienie jak wtedy, gdy odeszła Martine. Dlaczego kobiety porzucają mnie wtedy, gdy jestem do nich najbardziej przywiązany?

Przy pożegnaniu panna Van Lysebeth, podobnie jak Martine, dała mi pewną radę: „Szukaj swojego miejsca. Kiedy je znajdziesz, nie będziesz już musiał walczyć”. Wręczyła mi też kartkę z tekstem napisanym na maszynie.

Kiedy już zostałem sam, przyjrzałem się uważnie tekstowi. Była to kserokopia fragmentu *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej* Edmunda Wellsa, tom II.

Ustęp wybrany przez pannę Van Lysebeth dotyczył doświadczenia, jakiemu poddano w 1998 roku szczury w mieście Nancy. Oto co przeczytałem:

„Szczury są doskonałymi pływakami. By sprawdzić tę ich właściwość, naukowcy z wydziału badania zachowań Uniwersytetu w Nancy przygotowali klatkę z jednym wejściem do tunelu prowadzącego pod wodą wzdłuż małego baseniku. Nie ma możliwości wydostania się na powierzchnię, gdyż tunel zamknięty jest od góry za pomocą płyty. Szczury muszą więc przepłynąć na bezdechu cały basen, by dotrzeć do pożywienia wydawanego przez podajnik ziaren umieszczony na drugim końcu. Z początku wszystkie szczury próbowały pływać po ziarno. Po jakimś czasie rozdzieliły między siebie różne role. W klatkach liczących sześć szczurów pojawiły się dwa osobniki wykorzystujące pozostałe, dwa wykorzystywane, jedno zwierzę samodzielne i jedno popychadło.

Wykorzystywane szczury płynęły po ziarna, a wykorzystujące je zabierały. Dopiero gdy te się nasyciły, zwierzęta wykorzystywane ośmiały się same pożywić. Popychadło zaś, niezdolne do przepłynięcia basenu ani do sterroryzowania pozostałych, nie miało innego wyboru, jak tylko zadowolić się resztkami.

Wszystkie szczury maltretowały popychadło, wszystkie szczury wykorzystujące były wykorzystywanych - zapewne w celu przypomnienia o przydzielonej im roli. Najbardziej zaskakujący jest jednak fakt, że jeśli w jednej klatce zgromadzi się sześciu wykorzystujących, zwierzęta te będą walczyć całą noc, a nad ranem pojawi się znów dwóch wykorzystujących, dwóch wykorzystywanych, jeden działający samodzielnie i jedno popychadło.

Podobnie stanie się, jeśli zbierzemy razem szczury wykorzystywane, samodzielne albo popychadła. W każdym przypadku podział ról będzie ten sam.

Eksperyment modyfikowano, wprowadzając do klatki nawet dwieście szczurów. Po długiej nocnej bitwie rankiem zaobserwowano, że powstała klasa wykorzystujących, która wytworzyła sobie kilka warstw podwładnych. Ci nie musieli już nawet terroryzować wykorzystywanych, gdyż inni robili to za nich. Co ciekawe: znajdujące się na samym dole

popychadła były jeszcze bardziej maltretowane. Jak gdyby na znak ostrzeżenia, trzy z nich zostały poćwiartowane przez pozostałych towarzyszy i ukrzyżowane na siatce klatki.

Naukowcy z Nancy poszli jeszcze dalej w swoich badaniach. Otworzyli czaszki zwierząt biorących udział w doświadczeniu i zrobili sekcję ich mózgow. Okazało się, że zwierzęta, u których znaleziono najwięcej oznak stresu, nie były popychadłami lub osobnikami wykorzystywanymi, lecz właśnie wykorzystującymi, które bały się utraty swojego uprzywilejowanego statusu i konieczności pływania po pożywienie".

Wielokrotnie wracam do tego artykułu, by lepiej zrozumieć jego znaczenie. Dlaczego pannie Van Lysebeth zależało, bym przeczytał właśnie ten tekst? Zapewne, cytując jej słowa, ma on mi ułatwić „znalezienie mojego miejsca na ziemi". Gdy tylko zbierze się więcej niż dwóch osobników, wśród ludzi zaczynają powstawać zależności - wyłaniają się wykorzystujący i wykorzystywani. Dlatego właśnie rewolucjoniści z pokładu „Bounty", buntownicy i idealisci, w końcu pozabijali się nawzajem. To wyjaśniałoby także porażkę komunizmu i chrześcijaństwa, a także porażkę każdego innego ruchu politycznego, mającego u swych podstaw bunt, utopię lub mistycyzm.

Edmund Wells opisuje w gruncie rzeczy przekleństwo życia w grupie. Jakikolwiek by były oryginalne intencje, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał wejść innym na głowę. A jeśli nawet wykorzystujący odmówią wypełniania przydzielonej im roli, wykorzystywani zmuszą ich do tego! Robotnicy wymagają tego od swoich przełożonych, wyznawcy od swoich guru, a obywatele od prezydentów. Wolność napawa ludzi strachem przed samodzielnym myśleniem i braniem na siebie odpowiedzialności...

Chcę być jednostką Autonomiczną...

Oraz Anarchistą, Autodydakta i Agnostykiem.

75. VENUS. 16 LAT

Moje życzenie się spełniło. Rodzice przestali się kłócić. Sześć miesięcy temu, zamiast „do widzenia", przed wyjściem z domu tata zawołał: „Mam już dość życia z histeryczką i anorektyczką! Rozwodzę się, mój adwokat skontaktuje się z tobą". Mam szesnaście lat. Jestem już duża. Zarabiam na życie. Nie będę już marnować moich modlitw na prośby o pogodzenie się rodziców. Wolę prosić o coś, co sprawi przyjemność mnie samej.

Wczoraj w nocy śniło mi się, że wygrałam konkurs piękności. Wszyscy padali mi do stóp i mówili, że jestem najszczuplejsza i najpiękniejsza. Wygląda mi to na nowy cel, który powinnam osiągnąć: wygrać eliminacje do konkursu Miss Universe. Zabawne określenie, Miss Universe... Tak jakby jury było przekonane, że nigdzie poza Ziemią, w całym kosmosie, nie ma piękniejszej...

76. IGOR. 16 LAT

W poprawczaku ćwiczę mój talent pokerzysty. Udaje mi się rozszyfrować nie tylko wyraz twarzy przeciwników, lecz także niemal niezauważalne ruchy rąk, ramion, skurcze źrenicy.

Udaje mi się nawet, nie patrząc na kogoś bezpośrednio, wyczuć, że jego brwi lekko się unoszą z zaskoczenia lub zadowolenia. Umiem też czytać z żyłek na twarzy: pulsowanie w skroni lub na szyi. Ruch jabłka Adama wskazuje na to, że ktoś przełknął ślinę. Lecz najbardziej wymowną częścią ciała są wargi.

Niewiarygodne, jak te dwa różowe mięśnie potrafią zdradzać myśli moich przeciwników. Niewielu graczy potrafi zapanować nad ustami. Jeśli o mnie chodzi, znalazłem na to sposób - zapuściłem wąsy, które ocieniają tę część twarzy. Mają one jeszcze tę zaletę, że zasłaniają rynienkę nad moją górną wargą, zbyt głęboką, przypominającą zajęczą wargę.

Gram ze strażnikami. O papierosy. Nalegają, bym pił z nimi wódkę; wyobrażają sobie, że pijany będę miał mniejsze szczęście. Nie wiedzą jednak, że wódkę znam od dawna, odkąd byłem w brzuchu mojej matki. Udaję, że jestem lekko wstawiony. I znów wygrywam.

- Na pomoc!

Rozpoznaję głos Wani. Biegnę, porzuciwszy sekwens w kolorze, na który postawiłem dwieście papierosów. Po raz kolejny mój przyjaciel wpakował się w sytuację bez wyjścia. Jakiś olbrzym stara się właśnie pozbawić go przytomności. Jak zwykle ratuję mojego podopiecznego, ale Wania korzysta z okazji, wydobywa nie wiadomo skąd jakąś butelkę i roztrzaskuje ją na czaszce napastnika. Ten zwała się ciężko na ziemię.

Po chwili nadbiegają strażnicy. Za nimi dyrektor. Pyta, kto jest za to odpowiedzialny. Wania wskazuje na mnie. Nagle dociera do mnie, że on mnie nienawidzi. Nienawidzi mnie od pobytu w sierocińcu w Sankt Petersburgu, gdyż od tamtego czasu zawdzięcza mi wszystko. Nienawidzi mnie bardziej za każdym razem, gdy przychodzę mu z pomocą. Niezdolny do

spłacenia swojego długu, popadł w nienawiść.

Wiele rzeczy można wybaczyć, lecz nie to, że ktoś nam pomógł.

To już druga rzecz, jakiej nauczyłem się w poprawczaku. Pomagać tylko tym, którzy potrafią to znieść i nie będą mi tego później wyrzucać. A niewielu jest takich.

Potem wszystko toczy się bardzo szybko. Nie próbuję nawet przedstawiać mojej wersji wydarzeń, wiem, że nikt mi nie uwierzy. Każdy widzi, jaki Wania jest drobny, a ja z kolei rośły - nikt nie ma wątpliwości, kto uporał się z leżącą na ziemi ofiarą.

I tak nie chciałem zostać w poprawczaku. Dobrze się składa. Zostaję odesłany do azylu dla chorych psychicznie w Brześciu.

77. SIBELIUS

Niewielka salka wytapetowana jest na czerwono. Wraz ze swoimi braćmi Nathalie uczestniczy w seansie hipnozy. Jak przystało na prawdziwych pasjonatów, zarezerwowali miejsca w pierwszym rzędzie.

Mistrzem ceremonii jest Sibelius, francuski hipnotyzer. W świetle reflektorów pojawia się w czarnym smokingu wykończonym jedwabiem. Gdy tylko podnosi się kurtyna, Sibelius zaczyna wychwalać możliwości sugestii. Wygłasza krótki wykład naukowy, z którego wynika, że wystarczy tylko uparcie do czegoś przekonywać, a ludzie nam uwierzą. Twierdzi nawet, że potrafiłby przekonać każdego z obecnych na sali do tego, że jest deską. Czy jest ktoś chętny do tego eksperymentu? Wstaje młody mężczyzna w jeansach, podnoszone siedzenie głośno trzaska.

Bardzo szybko Sibelius sprawdza, czy nowy królik doświadczalny jest czuły na jego prośby. „Jest pan sztywny jak deska, całkiem sztywny” - powtarza do znudzenia, aż wreszcie woła: „Jest pan deską! Sztywny jak deska, nie może się pan ruszyć, jest pan deską, deską!”. Przy pomocy nastoletniej asystentki, niewiele starszej od Nathalie, mistrz układa zahipnotyzowanego mężczyznę między dwoma krzesłami: głowa leży na jednym, nogi na drugim. Zaprasza trzech widzów, by wspięli się na brzuch królika doświadczalnego, który jak to porządna deska, nie ugina się pod ich ciężarem.

Owacje.

Nathalie Kim klaszcze ze wszystkich sił. Ta sztuczka jest jakby potwierdzeniem jej

własnej pracy. Mimo niewielkiego nakładu sił dziewczyna radzi sobie nie gorzej niż zawodowiec.

Tym razem Sibelius wzywa na scenę pięciu ochotników. Nathalie rzuca się pierwsza, ubrana w muślinową, indyjską sukienkę i fiołkowo-niebieskie bolerko. Czarne proste włosy opadają jej na ramiona.

Hipnotyzer rozdaje swoim gościom banany, zachęca ich, by obrali je ze skóry i spróbowali, jak smakują.

- Jak smakuje ten owoc? - pyta.

- Jak banan - odpowiadają wszyscy chórem.

- Doskonale. Teraz przekonam was do tego, że to nie jest żaden banan, lecz kwaśna cytryna!

Nathalie zaczyna przyglądać się uważnie bananowi, który trzyma w rękach. Sibelius zwraca się do niej.

- Panienska ma śliczne, złote okulary. Jest panienska krótko- czy dalekowszdem?

- Krótkowszdem - odpowisz dziewczynka.

- Bardzo mi przykro zatem. Ta sztuczka nie dziszła na krótkowszdzów. Proszę wrócić na swoje miejsce. Potrzebny nam będzie inny ochotnik, najlepiej bez okularów.

Nathalie wraca do swoich braci.

- Wyprosił mnie, bo odkryłam jego szachrajstwo. W skórcie banana znajduje się maleńka dziurka. Musiał tam wstrzyknąć sok z cytryny za pomocą strzykawki.

Na scenie wszyscy ochotnicy obierają swoje banany i każdy po kolei potwierdza, że wyczuł w nim smak cytryny.

Brawa. Nathalie Kim wstaje i woła:

- To oszust! - z wściekłością w głosie dziewczynka demaskuje strategię mistrza.

Sala milknie na chwilę oszołomiona, lecz po chwili rozlegają się pierwsze głosy: „Chcemy zwrotu za bilety, chcemy zwrotu za bilety”. Wśród gwizdów i szyderych okrzyków Sibelius znika za kulisami. Kurtyna opada, a ochotnicy wracają na swoje miejsca, zbici z tropu.

Nathalie korzysta z zamieszania i wymyka się do garderoby, gdzie artysta siedzi przed lustrem i zmywa makijaż, starając się nie poplamieć swojego stroju scenicznego.

- Co za tupet, żeby tu przyjść! Zepsuła mi panienska cały występ. Proszę natychmiast stąd wyjść!

Nathalie nic sobie nie robi z takiego przyjęcia.

- Całkowicie zdyskredytował pan hipnozę, jaka szkoda! Zapewne nie wierzy pan w nią

wystarczająco. Ja jednak wiem, że to działa i metoda ta powinna opuścić cyrki i jarmarczne estrady, by wejść na uniwersytety i do laboratoriów!

- Ma panienka rację - mówi Sibelius spokojniejszym tonem, nadal przemywając twarz gąbeczką. - Hipnoza działa, ale nie za każdym razem. Ja jednak nie mogę brać na siebie tego ryzyka i zepsuć sobie występ. Jestem więc zmuszony uciekać się do zabezpieczeń.

- Jakich zabezpieczeń?

- Skoro interesuje się panienka hipnozą, powinna wiedzieć, że działa ona zaledwie na 20 procent ludzi. Zygmunt Freud zdał sobie z tego sprawę, gdyż stosował tę metodę na swoich pacjentach. Podczas moich spektakli muszę prosić o pomoc znajomych, którzy zgłaszają się na ochotników.

Nathalie Kim marszczy brwi.

- A więc zna się pan na hipnozie?

- Oczywiście! - oburza się artysta. - Studiowałem ją bardzo dogłębnie. Robiłem nawet doświadczenia naukowe.

Dostrzegając przyganę na ślicznej twarzyczce swojej rozmówczyni, Sibelius wzdycha:

- Trzeba przecież jakoś zarabiać na życie. Mam rodzinę na utrzymaniu! Proszę nie oceniać ludzi pochopnie. Zobacz panienka, że kiedyś też będzie musiała sobie jakoś radzić, by wykarmić swoje dzieci.

Nie chcąc stracić ani jednego słowa z całej tej sceny, Raoul i ja niemal przylepiliśmy nosy do kuli. Zachwycony, mój przyjaciel zwierza mi się, że ma niepowtarzalną okazję rozwiązania zagadki małej Koreanki.

- Przy pomocy tego szarlatana?

- To nie jest wcale szarlatan - przerywa mi Razorbak. - Jest całkiem dobrym medium. Czuję, że mam nad nim władzę.

- Naprawdę?

- Tak, tak, już się z nim łączę. Tak jak z kotem. Istotnie, w dole Sibelius wygląda, jak gdyby dopadła go migrena. Obejmuje dłońmi głowę, Nathalie postanawia się więc dyskretnie wycofać.

- Proszę nie odchodzić - mówi Sibelius. - Nie przeszkadza mi panienka, tylko... coś mi mówi, że muszę teraz koniecznie panienkę zahipnotyzować...

Wreszcie pojmuję, o co chodzi mojemu wspólnikowi. Rzeczywiście, właśnie nadarza się okazja, by dowiedzieć się czegoś więcej o Nathalie.

- Wie panienka, na czym polega hipnoza? - pyta Sibelius.

- Tak, nie chwając się, razem z moimi braćmi nauczyliśmy się jej podstaw i muszę

przyznać, że mieliśmy całkiem niezłe rezultaty.

Mężczyzna przerywa jej:

- Czy praktykowała już panienka regresję?
- Nie, a cóż to takiego?
- To cofnięcie się do poprzednich wcieleń - wyjaśnia Sibelius.

Nathalie Kim wydaje się zaintrygowana.

- Czy to niebezpieczne? - pyta, by zyskać na czasie.
- Nie bardziej niż sama hipnoza - odpowiada artysta, poprawiając fryzurę.
- Czego doświadczyć?
- Własnych narodzin i być może ujrzeć panienka swoje poprzednie życie.

Raoul nalega, by jego młoda podopieczna zgodziła się na eksperyment. Odnoszę wrażenie, że robi to wbrew sobie. Sibelius zamyka drzwi na zasuwkę, wyłącza z gniazdka telefon i nakazuje dziewczynce, by zamknęła oczy i się zrelaksowała.

Eksperyment rozpoczęty.

Sibelius każe jej wyobrazić sobie schody, którymi ma zejść dziesięć stopni w głąb swojej podświadomości. Tak jak podczas nurkowania, należy dzielić podróż na etapy. Zejście dziesięć stopni w dół - lekkie rozluźnienie. Kolejne dziesięć stopni - głęboki relaks. Dalsze dziesięć - lekka hipnoza. Na poziomie czterdziestu stopni Nathalie znajduje się już pod wpływem głębokiej hipnozy.

- Proszę przywołać w pamięci wczorajszy dzień i mi go zrelacjonować.

Powieki Nathalie opuszczone są na czarne jak węgiel oczy, dziewczynka opisuje banalny dzień, jaki spędziła z braćmi w ambasadzie, studiując książki na temat buddyzmu tybetańskiego i szamanizmu.

- Proszę teraz opisać nam dzień sprzed tygodnia.

Nathalie ciągnie swoją opowieść na temat jeszcze jednego poranka i jeszcze jednego popołudnia - całkowicie bez znaczenia.

- Co się wydarzyło dokładnie miesiąc temu?

Dziewczynka waha się, lecz po chwili sobie przypomina.

Podobnie rzecz ma się z wydarzeniami sprzed roku, pięciu i dziesięciu lat. Nathalie szuka w myślach, trochę się jąka, aż wreszcie opowiada. Sibelius postanawia postawić ją w obliczu jej własnych narodzin.

Jednocześnie zdziwiona i wzruszona Koreanka mówi, że widzi się właśnie opuszczającą brzuch matki.

- Świetnie. Proszę spojrzeć w twarz płodowi i nałożyć na nią swoje dawne oblicze,

twarz osoby, którą była panienka w poprzednim wcieleniu. Proszę się w nią uważnie wpatrzeć i przeżyć raz jeszcze jej ostatnie chwile.

Nathalie Kim wstrząsają dreszcze. Temperatura jej ciała wzrasta gwałtownie, a twarz zaczyna wykrzywiać się w nerwowych grymasach. Raoul dokładnie instruuje Sibeliusa, o co ten ma pytać dziewczynkę. Ma go pod całkowitą kontrolą.

Pytam przyjaciela:

- Czy możemy tak postępować?
- Nie wiem, zobaczymy.

Wątle ciało jego klientki wstrząsane jest spazmami. Dziewczynka wije się niczym wąż.

- Przestań, Raoul. Widzisz przecież, że dziecko cierpi. Każ temu Sibeliusowi przerwać seans.

- Niemożliwe, jak się zaczęło, trzeba dobrać do końca.

Nathalie otwiera szeroko oczy, lecz jej wzrok sięga poza pokój - zwrócony jest w przeszłość.

- Co panienka widzi?

Nathalie wygląda na ogarniętą paniką. Oddycha z trudem, niemal się dusi. Na bolerku pojawiają się ślady potu.

- Przestań, Raoul. Przestań.
- Tak blisko celu? Nie ma mowy. Potem musiałbym zaczynać wszystko od nowa.
- Co panienka widzi? Co panienka widzi? - powtarza hipnotyzer.

Nathalie przez chwilę miota się niespokojnie, wreszcie nieruchomieje, jakby zastygła na widok jakiejś przerażającej sceny. Zaczyna mówić, lecz jej głos brzmi zupełnie inaczej:

- Umieram. Tonę. Duszę się. Na pomoc!
- Wszystko będzie dobrze, jestem tutaj - uspokaja ją Sibelius. - Proszę się cofnąć dalej

w głąb poprzedniego życia, a wtedy wydostanie się panienka z wody.

Strach rzeczywiście powoli opuszcza Nathalie. Dziewczynka już spokojnym tonem opowiada, dlaczego się topiła. Kapała się, na Bali, gdy wielka fala porwała ją daleko od brzegu. Nie udało jej się dotrzeć z powrotem. Czuła, jak woda wypełnia jej płuca. Stąd wzięły się jej dzisiejszy lęk przed wodą i ataki astmy.

Rozwiązanie tajemnicy poprzedniego wcielenia dodaje Nathalie pewności siebie i skłania ją do dalszej podróży w przeszłość. Dziewczynka opisuje swoje życie codzienne na wyspie archipelagu indonezyjskiego, muzykę, jedzenie, złożone reguły życia społecznego, naukę tańca, trudności ze zgromadzeniem kwoty niezbędnej do zakupu kostiumu

scenicznego, ćwiczenie palców, by dały się jak najbardziej wyginać.

- Udało się - grzmi rozradowany Raoul. - Trafiliśmy w sam środek jej duszy. Nikt poza nią nie ma dostępu do tego intymnego sejfu.

Nathalie relacjonuje swoje życie tancerki, a potem jeszcze wcielenie gracza na tamtamie w Wybrzeżu Kości Słoniowej, malarza miniaturzysty z Malty i rzeźbiarza w drewnie z Wyspy Wielkanocnej.

Raoul koncentruje się na sterowaniu słowami medium.

- A między tymi dwoma wcieleniami, co się działo? - pyta hipnotyzer.

Nathalie milczy dłuższą chwilę.

- Co się wydarzyło między dwoma wcieleniami? - nalega Sibelius.

Koreanka nadal milczy. Przestała się poruszać. Ledwo oddycha. Wydaje się spokojna, jak gdyby wreszcie otoczyła ją normalność, która jej nie przeraża.

- Ja...

- Gdzie się panienka znajduje?

- Ja... ja... jestem gdzie indziej.

- Gdzie? Gdzie? Na jakim kontynencie?

Znów dreszcze.

- Gdzie indziej. Nie na Ziemi.

Prawie słyszę głos Raoula, nakładający się na głos Sibeliusa.

- Nie na Ziemi?

- Wcześniej... w moim poprzednim wcieleniu, żyłam... żyłam na innej planecie.

78. ENCYKLOPEDIA

TRZY REAKCJE: W swoim dziele Pochwała ucieczki biolog Henri Laborit twierdzi, że wystawiony na próbę człowiek ma do wyboru trzy możliwości: 1) walczyć, 2) nie robić nic lub 3) uciekać. Walczyć: to najbardziej naturalna i najzdrowsza postawa. Ciało nie ponosi żadnych szkód psychosomatycznych. Cios zadany zmienia się w cios oddany. Ta postawa ma jednak kilka wad. Przede wszystkim wprowadza nas w spiralę powtarzającej się agresji. Zawsze kończy się na tym, że napotykamy kogoś silniejszego od nas, kto nas nokautuje.

Nie robić nic: chodzi o przełknięcie żalu i takie nasze działanie, jak gdybyśmy nie dostrzegli agresji. Postawa ta jest najlepiej przyjęta i najbardziej rozpowszechniona we współczesnym

społeczeństwie. Nazywamy ją „zahamowaniem działania”. Mamy ochotę sprać przeciwnika po pysku, ale biorąc pod uwagę ryzyko, że znajdziemy się w centrum uwagi, że sami oberwiemy i wejdziemy w spiralę agresji, wolimy stłumić tę wściekłość. Tym samym ów cios, którego nie zadamy przeciwnikowi, trafia w nas samych. Tego typu sytuacje stwarzają wprost idealne warunki do rozwoju chorób psychosomatycznych: wrzodów, łuszczycy, newralgii, reumatyzmu.

Trzecią możliwością jest ucieczka. Istnieje kilka ich rodzajów: Ucieczka chemiczna: alkohol, narkotyki, tytoń, środki antydepresyjne, uspokajające i nasenne. Ucieczka taka pozwala na wymazanie lub przynajmniej na złagodzenie przeżytej agresji. Zapominamy. Majaczymy. Śpimy. Wszystko, co złe, mija. Niestety ten typ ucieczki rozmywa również rzeczywistość i krok po kroku dany osobnik traci kontakt ze światem.

Ucieczka geograficzna: polega na nieustannym przemieszczaniu się. Zmieniamy pracę, przyjaciół, kochanków, miejsce zamieszkania. Wysyłamy nasze problemy w podróż. To ich nie rozwiązuje, a jedynie zmienia ich otoczenie, co mimo wszystko jest już samo w sobie odświeżające.

Wreszcie ucieczka artystyczna: polega na przekształceniu wściekłości, złości i bólu w dzieło sztuki, filmy, muzykę, powieści, rzeźby, obrazy... Wszystko, czego nie pozwalamy sobie wypowiedzieć na głos, wkładamy w usta fikcyjnym bohaterom. Może to nas wprowadzić w stan katharsis.

Ci, którzy zobaczą, jak bohaterowie mszczą ich własne zniewagi, sami poczują się lepiej.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

79. FREDDY JEST Z NAMI

- Na innej planecie! Chyba sobie żartujecie!

Tym razem Freddy Meyer jest poruszony. Owszem, nasz przyjaciel jest przekonany, że ludzkość zmierza ku zagładzie, lecz mimo wszystko ciekawość bierze w nim górę. Chce się dowiedzieć, jak działa „inna ludzkość”, gdzieś tam, daleko. Chciałby wiedzieć, czy autodestrukcja jest cechą charakterystyczną wszystkich planet zamieszkałych przez gatunki obdarzone inteligencją, czy też zarezerwowana jest tylko dla ludności ziemskiej.

Siada i zachęca nas, byśmy do niego dołączyli. Pozycja siedząca nie jest najbardziej

komfortowa ze wszystkich możliwych, gdyż tak czy owak lewitujemy, ale jest to zwykłe ludzkie przyzwyczajenie, którego naśladowanie sprawia nam przyjemność. Zapewne przypomina nam ona o tych długich dyskusjach przy kolacji, które niegdyś prowadziliśmy, siedząc wokół dużego stołu w Buttes-Chaumont.

- Znalezienie tej planety nie będzie rzeczą łatwą - prawi rabin. - Nasza galaktyka, Droga Mleczna, liczy 200 miliardów gwiazd. Wokół każdej z nich wiruje około dziesięciu planet, więc jest co robić, przyjaciele.

Raoul przypomina, że odkąd uwolniliśmy się od naszego ciała, możemy podróżować z zawrotną prędkością.

- To prawda, lecz przemieszczanie się po olbrzymim kosmosie można porównać do bardzo wolnego poruszania się po małym terytorium... Wszystko jest względne - podkreśla Freddy.

- No i od czego zacząć? Dokąd się kierować? Rozglądanie się za zamieszkaną planetą wśród niezamieszkanych to jak szukanie igły w stogu siana - skrzywiłem się i ja.

Moja uwaga wyraźnie zaciekała Freddy'ego.

- To kwestia metody. Żeby znaleźć igłę w stogu siana, wystarczy podpalić siano, a następnie przeszukać popioły za pomocą magnesu.

Jego twarz pojaśniała. Gdyby nie był aniołem, i do tego niewidomym, być może dostrzegłbym w jego spojrzeniu ten sam płomień, który ożywił niegdyś nas samych, gdy wyruszyliśmy na podbój innych światów.

- Chodźcie... pokonajmy granice nieznanego!

Raoul, który aż drży z zadowolenia, dodaje:

- Naprzód, na podbój... krainy bogów!

II

KULE I GWIAZDY

80. VENUS. 17 LAT

Od kiedy tato odszedł, mieszkam z mamą i muszę przyznać, że nie jest łatwo. Wszystkie te jej humory stają się dla mnie coraz trudniejsze do zniesienia.

Wieczorami zazwyczaj jemy kolację we dwie i się kłócimy. Mama wyrzuca mi, że nie dość dbam o linię. Przyznaję, że po okresie anoreksji wpadłam w bulimię. Nieobecność taty sprawia, że wciąż jestem głodna. Zjadam góry ciastek. Ciastka pomagają mi znieść moje życie i coraz mniej przyjemną atmosferę w studiach fotograficznych.

Panowanie nad swoim ciałem jest rzeczą przyjemną, ale uwolnienie się od wszelkich ograniczeń daje mi jeszcze większą satysfakcję.

Mam siedemnaście lat i odnoszę wrażenie, że wiele już przeżyłam i sporo zjadłam. Gdy chorowałam na anoreksję, moja waga spadła do trzydziestu pięciu kilo. Teraz, w fazie bulimicznej, ważę już osiemdziesiąt dwa kilo. Trzeba przyznać, że odkąd zaczęłam jeść, to jem do syta. Nie tylko ciasta, lecz także puszki groszku z pomidorami na zimno. Cukier w kostkach. Majonez wysysam bezpośrednio z opakowania, jak z butelki. No i do tego chleb z masłem posypany kakao. Mogę tego zjeść całe tony.

Kiedy mama się do mnie odzywa, to tylko po to, żeby robić mi wyrzuty. A przecież tyle razy jej powtarzałam, że kiedy mnie tak strofuje, robię się bardziej głodna. Efekt bumerangu - po odkryciu polegającym na możliwości kontrolowania ciała dzięki przydzielaniu mu małych dawek jedzenia, moja powłoka coraz bardziej mnie brzydzi. Traktuję ją jak śmietnik, który napelniam, chcąc się ukarać.

Cały czas mam coś w ustach: gumę do żucia, cukierek, kawałek anyżkowej ciagutki...

Odkąd nabrałam ciała, agencje modelek coraz rzadziej mnie angażują. Znaleźli się co prawda spryciarze, którzy proponowali mi zrobienie sesji „po/przed”, które następnie zaprezentuje się w reklamach jako „przed/po”. Będzie można dzięki temu zachęcać do diet, które miały mnie niby cudownie odchudzić.

Mama ciągle robi mi wyrzuty. Nie zarabiam już tak dobrze, a na dodatek moje obżarstwo sporo kosztuje. Im bardziej mama jest na mnie zła, tym większy odczuwam głód.

Moje jedyne źródło satysfakcji to Jim. Jim to uroczy chłopiec. Któregoś dnia, kiedy mama rzucała we mnie talerzami, przekonując mnie do swoich racji, trzasnęłam drzwiami,

chcąc uciec daleko od domu, i wtedy spotkałam Jima, sąsiada. Studiuję geografię. Ponieważ bardzo wcześnie rozpoczęłam swoją karierę modelki, nie uczyłam się zbyt długo, a zatem ktoś, kto jest na studiach, bardzo mi imponuje.

Długo rozmawialiśmy o dalekich krajach. Jim wytłumaczył mi, jak wielki jest świat i że moje problemy są stosunkowo niewielkie w porównaniu z ogromem Ziemi. Spodobała mi się ta myśl. Całowaliśmy się w świetle księżyca.

Tydzień później się kochaliśmy. To był mój pierwszy raz. Niezbyt dobrze mi poszło.

Próbuję przestać jeść, ale nie daję rady. Moja walka z jedzeniem jest naprawdę zażarta. Zaczynam zażywać środki przeczyszczające, żeby jedzenie nie spędzało zbyt dużo czasu w moim ciele. Od niedawna nauczyłam się też sprawnie wymiotować. Wystarczy włożyć dwa palce w głąb gardła i zwraca się wszystko do toalety.

Pytam Jima, czy uważa, że jestem gruba.

- Lubię grube - odpowiada.

Mówię mu, że kiedyś, zanim przytyłam, byłam tak piękna, że miałam nadzieję zostać Miss Universe. Odpowiada, że dla niego już jestem najpiękniejszą dziewczyną w całym wszechświecie.

Chcąc utrwalić to dobre wrażenie, wolę nie kochać się tego wieczora i rozstajemy się po skromnym pocałunku. Moja determinacja rośnie w siłę. Muszę odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. Zostanę Miss Universe.

Przekonuję mamę, że potrzebna mi liposukcja. I znów Ambrosio Di Rinaldi, Michał Anioł skalpela, bierze się za mnie. Jestem w pełni świadoma podczas zabiegu, który wykonuje się pod miejscowym znieczuleniem. Ambrosio wprowadza w moje uda grube rurki, a następnie uruchamia pompę wysysającą. W huku silnika dieslowskiego z mojego ciała wypływa płyn, który gromadzi się w przezroczystych zbiornikach. Z początku jestem nieco zaskoczona, widząc, że wysysana jest głównie krew - boję się, że się całkowicie wykrwawię. Jednak po chwili krew blednie, przybiera różowawy odcień, wreszcie zmienia się w jasnoróżową kremową substancję. Krem chantilly z grenadyną. Ambrosio di Rinaldi wyjaśnia mi, że musi umieszczać cewki w różnych miejscach, by uniknąć dziur, zwanych w żargonie medycznym „efektem blachy falistej”.

Ambrosio jest może drogi, ale na szczęście to mistrz w unikaniu „efektu blachy falistej”.

Po kremowej substancji pojawia się substancja o konsystencji ciasta. Mistrz wydobywa nadmiar tłuszczu z moich ud, co cieszy mnie tym bardziej, że nawet podczas fazy anorektycznej chudłam w górnej części ciała, a nie w dolnej.

Gdy opuszczam klinikę, Jim przynosi mi kwiaty. Ale teraz, kiedy znów jestem szczupła i piękna, nie ma mowy, żebym została z gościem, który gustuje w grubaskach!

Chcę zostać Miss Universe.

81. IGOR. 17 LAT

Narzekałem na poprawczak dla nieletnich przestępców w Nowosybirsku, ale teraz widzę, że niesłusznie. Azyl dla psychicznie chorych w Brześciu jest o wiele gorszy.

W poprawczaku jedliśmy zepsute odpadki, tutaj natomiast nie dostajemy wcale mięsa. Podobno świry stają się wtedy bardziej agresywne.

W poprawczaku w materacach kłębiły się pluskwy. Tutaj śpimy w hamakach z łańcuchów ze stali nierdzewnej.

W poprawczaku cuchnęło zgnilizną, tutaj czuć wszędzie eter. Tam wszystko było brudne, tutaj wszystko jest czyste.

Tam narzekałem na nocne wrzaski, tutaj słyszę śmiechy. Straszliwe śmiechy.

Tutaj mam tylko jednego sąsiada - Aleksandra.

Aleksander przez całą noc mówi do siebie. Twierdzi, że wszyscy wkrótce umrzemy. Jeźdźcy Apokalipsy już osiodłali swe konie. Żelazo, ogień, woda i lód wymierzą nam karę i zapłacimy za nasze błędy. Następnie Aleksander klęka, by modlić się i wrzeszczeć całymi godzinami, bijąc się przy tym w pierś: „Odkupienie! Odkupienie!”. Nagle nieruchomieje i przez resztę nocy jęczy: „Ummrrrę... Ummrrrę”.

Wczoraj Aleksander umarł. Zabiłem go. Nie miałem nic przeciwko niemu. Raczej chciałem oddać mu przysługę. Udusiłem go skarpetką, by uwolnić go od tego życia, w którym nie umiał się odnaleźć. W jego spojrzeniu widziałem raczej wdzięczność niż wściekłość.

Po tym incydencie pielęgniarze zawlekli mnie na oddział izolatek neurosensorycznych. Za czasów stalinowskich poddawano tu ludzi torturom. Dzisiaj miejsce to zmieniło się w rodzaj śmietnika dla szaleńców, nad którymi trudno zapanować. Pielęgniarki twierdzą, że po miesiącu osamotnienia sensorycznego pacjenci nie pamiętają już nawet, jak mają na imię. A kiedy postawi się ich przed lustrem, mówią: „Dzień dobry panu”.

Łapią mnie. Wrywam się. We czterech wpychają mnie do izolatki.

- NIEEEEE!

Trzask.

Pomieszczenie jest pomalowane na biało, nie ma okien. Nie ma nic. Ściany są białe. Goła żarówka świeci się dzień i noc, nie ma wyłącznika. Nie dociera tu żaden dźwięk. Brak jakichkolwiek znaków świadczących o obecności człowieka, prócz tego, który co osiem godzin podaje przez otwór wodnistą zupe.

Tracę poczucie czasu. Z mojego mózgu robi się papka. Nie mogę nawet popełnić samobójstwa, uderzając głową o ścianę, bo te są wyłożone gąbką. Próbowałem mimo wszystko, wpychając sobie język do gardła, jednak zawsze pojawiał się instynktowny odruch, który zmuszał mnie do odkaszlnięcia i zaczerpnięcia powietrza.

Wydawało mi się, że sięgnąłem już dna. Teraz wiem, że można upaść jeszcze niżej.

Tym razem jednak, nawet przy wielkim wysiłku wyobraźni, nie widzę, w jaki sposób sytuacja mogłaby się jeszcze bardziej pogorszyć. Gdybym znalazł się w sali tortur, miałbym przynajmniej nieco ruchu wokół siebie, kaci toczyliby ze sobą rozmowy, mógłbym zaczepić wzrok na maszynach, narzędziach i całym wystroju.

Tutaj nie ma nic. Nic.

Tylko twarz mamy, która jawi mi się co rano, mówiąc: „Byłeś niegrzeczny, za karę zamknę cię w szafie na całe życie”.

Traktują mnie tu gorzej niż zwierzę. Nikt nie ośmieliłby się zamknąć zwierzęcia w białym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu na całe lata i wciąż je karmić. Zwierzęciu pozwolono by po prostu zdechnąć. Mnie się żywi, żebym nie padł z głodu, tylko żebym stracił rozum. Tutaj nie leczy się wariatów. Bierze się normalnych ludzi i sprawia, że zmieniają się w szaleńców. Może jest to sposób na przejęcie kontroli nad społeczeństwem?

Muszę wytrwać.

Mam wrażenie, że moja głowa to wielka biblioteka, z której wyrzucane są książki. Za każdym razem gdy znika jedna mała książeczka, wysypują się z niej wyrazy, a ja tracę słownictwo. Następnie wyrzuca się większe tomy - moje wspomnienia. Jakie było moje wcześniejsze życie? Pamiętam pokera, Piotra (nazywał się Piotr czy może Borys?), trzej „W” (Wasył, Wania... i, dobry Boże, jakże się nazywał ten trzeci? Taki gruby...). Chwytam się pojedynczych wspomnień. W pokerze może być para, dwie pary, kareta i... (no jakże się nazywa ten układ z trzema identycznymi kartami i jedną parą?).

Myśli rodzą się w moim umyśle, a następnie przeskakują jak igła po zniszczonej płycie, robiąc miejsce kolejnym. Odnoszę wrażenie, że nie udaje mi się dokończyć żadnej myśli.

Tylko matka pozostaje wryta rozgrzanym do czerwoności żelazem w moim mózgu. Pamiętam każdy grymas jej twarzy z dnia, w którym mnie porzuciła na dziedzińcu przed kościołem. Chwytam się tego bólu. Dziękuję ci, mamó, przynajmniej na coś mi się przydasz. Matka jest ostatnim dowodem na moje istnienie. Określam się poprzez wściekłość, jaką odczuwam w stosunku do niej. Pewnego dnia być może zapomnę, jak mam na imię, nie będę już się rozpoznawał w lustrze, ale z całą pewnością będę o niej pamiętał.

Wreszcie któregoś ranka, popołudnia czy też wieczoru (minął tydzień, miesiąc czy rok?) drzwi się otwierają. Mam się stawić u dyrektora azylu.

Idąc, rozkoszuję się najdrobniejszymi informacjami, jakie docierają do mojego mózgu. Zapach chloru, łuszcząca się farba na ścianach korytarzy, śmiechy w oddali, dźwięk kroków, skrawki nieba przebłyskujące przez zakratowane okna, dotyk ręki pielęgniarzy, którzy trzymają mnie za ramiona, gdyż ręce wciąż są uwięzione w kamizelce związanej na plecach. Każde szczeknięcie: „Naprzód”, „Za nami”, brzmi dla mnie jak najpiękniejsza melodia.

Zostaję wepchnięty do gabinetu dyrektora. Koło niego stoi mężczyzna w mundurze. Mam wrażenie, jakbym ponownie przeżywał tę samą scenę, gdy milicjant ratuje mnie od zamknięcia na schodach kościoła lub gdy pułkownik armii powietrznej przychodzi po mnie do sierocińca, chcąc zaoferować mi rodzinę. Ciekawe, co ten mi zaproponuje?

Dyrektor patrzy na mnie z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Myślę o mamie. Może wiedziała, co mnie czeka i chciała mi oszczędzić tych wszystkich cierpień.

- Chcemy ci zaoferować ostatnią szansę na odkupienie twoich win. W Czeczenii znów trwają walki. Straty w ludziach są większe, niż zakładaliśmy. Armia potrzebuje ochotników, którzy wyruszą na front. Pułkownik piechoty Dukuskoff, tutaj obecny, stoi na czele oddziałów szturmowych. Dajemy ci wybór: możesz zostać tutaj w izolatce albo być wcielonym do jednostki komandosów.

82. JACQUES. 17 LAT

Udało mi się sprzedać moje opowiadania do pewnego czasopisma drukującego teksty science fiction. Dzięki temu zdobywam pierwsze własne pieniądze. W nagrodę wyjeżdżam sobie na wakacje na wybrzeże baskijskie. Tam spotykam Anais.

Anais jest malutką brunetką, niezwykle pociągającą, która nieco przypomina mi

Martine, z tym że jej twarz jest bardziej okrągła. Kiedy Anais się uśmiecha, w jej policzkach robią się dwa dołeczki.

Z Anais ciągle mamy ataki śmiechu. Nie mówimy nic, patrzymy tylko na siebie i wybuchamy śmiechem, bez powodu. Nasz dobry humor wszystkich denerwuje, co sprawia, że nasze porozumienie jest jeszcze głębsze.

Po powrocie obiecujemy sobie spotykać się najczęściej, jak tylko to będzie możliwe. Ale Anais mieszka w Bordeaux, a ja w Perpignan.

Pracuję nad dużym projektem: książką, która opisuje ludzkość z punktu widzenia „nieczłowieka”. To kryminał, którego bohaterami są... szczury prowadzące śledztwo w kanałach. Naturalnie dbam o szczegóły, czyli wszelkie zasady obowiązujące w społeczeństwie szczurów. Napisałem już pierwsze dwieście stron, które przynoszę Anais, żeby je oceniła.

Szybko czyta.

- Zabawne. Twój główny bohater to szczur z kępą rudych włosów na głowie.

- Wszystkie pierwsze powieści zawierają akcenty autobiograficzne - odpowiadam. - A do moich rudych włosów jestem bardzo przywiązany.

- Dlaczego szczury?

Tłumaczę jej, że szczury są jedynie pretekstem, że tak naprawdę chodzi o globalną refleksję nad życiem w grupie. Szukam formuły idealnego społeczeństwa, w którym wszyscy będą dobrze się czuli. Kiedyś napisałem opowiadanie, którego bohaterkami były dwie białe krwinki wędrujące po idealnym społeczeństwie, jakim jest ludzkie ciało. Teraz dla odmiany chcę pokazać, jak funkcjonuje społeczeństwo bezlitosne. Szczury są przykładem społeczności skutecznej, lecz całkowicie pozbawionej współczucia. Systematycznie eliminują słabe ogniwa: chorych, starych i wątłe młode. Współzawodnictwo ma tam wielkie znaczenie - wygrywa najsilniejszy. Pisząc na temat tego nieznanego nam świata, mam nadzieję, że czytelnicy zdadzą sobie sprawę z tej cząsteczki szczura, jaką mają w sobie.

Podczas kolejnej wizyty Anais przedstawia mnie swoim rodzicom. Jej rodzinne mieszkanie robi wrażenie. Obrazy wielkich mistrzów, stare meble, kosztowne bibeloty, nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z takim luksusem. Jej tato jest dentystą, mama także i mam wrażenie, że interes dobrze im się kręci. Anais też chce zostać dentystką. Tylko jej młodszy braciszek jeszcze nie wie, kim chce zostać w przyszłości. Wspomina coś o informatyce, ale zdziwiłbym się, gdyby wytrwał w tym postanowieniu. Chyba że zostanie informatykiem specjalizującym się w programach dentystycznych.

Cała rodzina szczerzy w uśmiechu piękne, białe zęby. Podczas kolacji ojciec Anais

pyta mnie, co chcę robić w przyszłości. Mówię, że mam zamiar zostać pisarzem.

- Pisarzem... A dlaczego nie chcesz poświęcić się jakiemuś... normalniejszemu zajęciu?

Odpowiadam, że pisarstwo jest moją pasją i wolę zarabiać mniej, lecz wykonywać zawód, który mnie bawi. Ale ojciec Anais nie śmieje się. Anais też zresztą nie.

Po posiłku tato Anais wypytuje mnie o zawody moich rodziców. Księgarze. Ojciec Anais pochyla głowę i wymienia swoich ulubionych pisarzy: Louis-Ferdinand Celine, Marguerite Duras... Przyznaję, że miałem okazję przewertować dzieła Duras i Celine'a i że raczej mnie one znudziły.

Tutaj powinienem był zauważyć, że matka zmarszczyła brwi. Anais daje mi znaki, których nie zauważam w porę.

Ojciec pyta, jaką literaturę sobie cenię. Wymieniam Poego i Kafkę, wtedy on wzdycha: Ach tak, rozumiem", co powinno skłonić mnie do milczenia, a nie do ciągnięcia wywodów na temat zalet fantastyki, kryminału i science fiction.

Ojciec przyznaje, że nigdy nie czytał tego typu dzieł. Wtedy wreszcie dociera do mnie, że coś tu nie gra i chcąc załagodzić sytuację, stwierdzam:

- Oczywiście, można powiedzieć, że istnieją dwa rodzaje książek: dobre i złe.

Wszyscy siedzą ze wzrokiem wbitym we własny talerz. Wreszcie matka wstaje i idzie do kuchni po deser.

Nieco później, ponieważ Anais zachwalała mnie jako asa w dziedzinie gry w szachy, ojciec nalega, byśmy rozegrali jedną partię. Skromnie twierdzi, że jest tylko niedzielnym graczem.

Wygrywam w czterech ruchach, stosując „metodę pasterza”, której nauczyła mnie Martine. Ojciec nie chce rewanżu.

Od tamtego czasu ja i Anais podróżujemy znacznie rzadziej. Któregoś dnia przyznaje mi się, że jej ojciec nie wyobraża sobie, iż mogłaby poślubić jakiegoś „linoskoczka”.

Koniec idylli.

Kontempluję zdjęcia Anais. Na każdym z nich się śmieje. Żałuję, że zgodziłem się spotkać z jej rodzicami.

By zapomnieć o ludzkich kłopotach, rzucam się w świat mojej powieści i zmuszam się do rozważań na temat tego, o czym może sobie myśleć szczur.

83. ENCYKLOPEDIA

PUNKT WIDZENIA ŻART:

„Przychodzi facet do lekarza. Na głowie ma cylinder. Siada i zdejmuje nakrycie głowy. Lekarz dostrzega wtedy żabę siedzącą na jego łysinie. Przygląda się uważniej i stwierdza, że żaba jest jakby przyspawana do skóry.

- Od dawna to trwa? - dziwi się lekarz.

Na co żaba odpowiada:

- Wie pan, doktorze, z początku to była zwykła brodawka na stopie".

Dowcip ten ilustruje pewną myśl. Czasami mylimy się w ocenie jakiejś sytuacji, gdyż patrzymy tylko z tego punktu widzenia, który wydaje nam się oczywisty.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

(Zacytowano dowcip Freddy'ego Meyera)

84. MOJE KULE

Zanim rzucę się w przestrzeń kosmiczną w poszukiwaniu innej planety, muszę najpierw poradzić sobie z problemami moich kul.

Sprawdzam, czy ich życzenia zostały spełnione. Igor chciał opuścić azyl dla umysłowo chorych w Brześciu - został wcielony do armii. Jacques chciał zagłębić się w pisarstwo - rozpoczyna pracę nad potężną powieścią. Venus wzięła się w garść.

- Jak się mają twoi podopieczni? - pyta Raoul.

Z dumą pokazuję mu moje kule.

- Trudno o lepszą sytuację.

Raoul zauważa, że powinienem być chyba jednak nieco bardziej sceptyczny. Właściwie to wcale nie jest z nimi aż tak dobrze... Ich życzenia zostają spełnione, ale oni sami nie czują się przez to lepiej. Venus nie ma już rodziny, miłości, nie ma nawet porządnego wykształcenia, które ułatwiłoby jej starcie ze światem. To w gruncie rzeczy bardzo delikatna i powierzchowna osóbka.

Reguły psychiatryczne sprowadziły Igora do poziomu warzywa. Brakuje mu uczucia.

Jest sam, bez pieniędzy, bez przyjaciół, nie wiedząc nawet, czym jest pocałunek kobiety w policzek, a ma przecież już siedemnaście lat! Został wysłany na front do Czeczenii wraz z komandosami Dukuskoffa - w skład tych oddziałów wchodzi wyrzutki społeczne, których przydziela się do misji skazanych na niepowodzenie. Natomiast Jacques żyje w świecie fantazji, a przez to traci kontakt z rzeczywistością i staje się powoli niezdolny do funkcjonowania w życiu codziennym.

- I ty twierdzisz, że „trudno o lepszą sytuację”?

Ponowne spojrzenie na tych troje ludzi, odpowiadających trzem cechom mojej osobowości, sprawia, że czuję się boleśnie dotknięty.

- Ha! Ha! Witaj wśród aniołów - śmieje się Raoul. - Mówili, że to będzie łatwa robota. Wolne żarty! Trudniej jest sprawić, by człowiek ewoluował, niż zmienić kamień w roślinę!

Raoul robi zatroskaną minę.

- Zresztą nasza przygoda nie wiąże się już z tą urzędniczą posadką. Musimy opuścić to pretensjonalne piekielko.

Raoul ma to swoje dziwne spojrzenie, które swego czasu, gdy jeszcze obleczeni byliśmy w powłokę cielesną, fascynowało mnie, a zarazem przerażało. Oznacza ono: „Popelnijmy do końca nasze błędy, gdyż inaczej nigdy nie będziemy wiedzieć, dlaczego nie powinno się ich popełniać”.

Proszę przyjaciela o krótką przerwę, bym mógł zaprowadzić nieco porządku w życiu moich klientów. Gdy będę miał pewność, że są na dobrej drodze, łatwiej mi będzie wyruszyć w podróż.

Udaje mi się wpłynąć na przewodniczącego jury Miss Universe, by wygrała Venus. Tworzę falę naturalnej sympatii całego oddziału komandosów Wilki pułkownika Dukuskoffa w stosunku do Igora. Wysyłam za pośrednictwem snu kilka zabawnych scen do powieści Jacques'a.

- Nie trać na nich czasu - burczy Raoul - wszechświat czeka na ciebie!

A potem nachyla się nad moim uchem i szepcze:

- Poza tym śmiertelnicy często radzą sobie lepiej bez naszego udziału.

85. VENUS. LAT 17,5

Moje wymodelowane dzięki chirurgii plastycznej ciało zostało odnowione tak, jak się odnawia okazynie kupiony samochód. Wyklepana karoseria, remont silnika i kokpitu... Wróciłam do formy. Bez przerwy wcieram kremy w brzuch, uda i pośladki. Znow zaczynam uprawiać sport: pływanie, jogging, stretching. Powoli zaczynam też panować nad apetytem.

Odnalazłam drogę do studia fotograficznego. Zaczęłam od kontraktów na kampanie reklamowe przeróżnych produktów spożywczych, następnie zaczęli odzywać się przedstawiciele firm odzieżowych, aż wreszcie - *haute couture*! Typowa kariera top modelki.

Powrót na rynek sprawił, że wybiłam się wyżej, niż udało mi się dotrzeć poprzednio. Upadek w otchłań, jaki miał miejsce po moich pierwotnych sukcesach, wzmocnił mnie. Nie daję już sobie w kaszę dmuchać. Jestem szanowana.

Na chłopaka wybrałam sobie modela. Mimo iż pracujemy w tym samym zawodzie, on go nie znosi. Wstydzi się pozowania i defilowania na pokazach. Esteban twierdzi, że jest to dla niego tymczasowe zajęcie.

Wybrałam go ze względu na jego urodę. Jest bardzo piękny, w typie „latino”. Dałam mu do zrozumienia, że jak tylko się nim znudzę, to wypluję go niczym pestkę wiśni. Ta perspektywa zamiast go odstraszyć, przywiązała go do mnie jeszcze bardziej. „Ách, Vénus, tilko ti mne rozumiesz”. Tak łatwo jest manipulować mężczyznami. Chyba już pojęłam, jak funkcjonują. Wystarczy jedynie, że kobieta przestanie być od nich uzależniona, a oni natychmiast zaczynają mieć ochotę zależeć od niej.

W łóżku Esteban jest niczym atleta żądny zwycięstwa w każdym biegu. Stara się ze wszystkich sił. Podejrzewam nawet, że stosuje doping. A wszystko to dla mojej przyjemności! Z początku utwierdzałam go w przekonaniu, że jest dobry, szybko jednak zrozumiałam, że lepiej będzie, jeśli pozostawię go w niepewności. Wciąż chcę więcej, a on to lubi.

Zasłużyłam sobie na to. Mam siedemnaście i pół roku i jestem cudowną istotą.

Dla odstresowania się zaczęłam palić. Papieros pozwala mi odpocząć, a nikotyna zmusza mnie do robienia sobie przerw w pracy. No i łączy ludzi. Mama też pali. Tylko kiedy razem palimy, podajemy sobie ogień, nie kłócimy się.

Mama mnie kocha, wiem, a mimo to czuję, że mnie wini za odejście taty. Wszystkie jej późniejsze przygody miłosne kończyły się katastrofą. Mam wrażenie, że gdy tylko ktoś jej wpadnie w oko, już zaczyna się szykować na porażkę. Jej towarzysze szybko zdają sobie z tego sprawę i to ich stresuje.

Muszę uwolnić się spod jej wpływu. Poza tym kiedy patrzę na przebieg jej kariery, stwierdzam, że nie mam czego zazdrościć. W swoim środowisku mama uważana jest już za

„babcię”. Dostaje oferty pracy wyłącznie od firm produkujących katalogi wysyłkowe.

W domu mama zaczęła tankować whisky i oglądać horrory. Totalny odlot.

Pojełam już zasady rządzące tym biznesem. Łatwo wspiąć się na szczyt i równie szybko z niego spaść, lecz im wyżej się wespniemy, tym większa szansa na to, że nie spadniemy.

Muszę wspiąć się bardzo wysoko. Muszę zostać Miss Universe. Ten tytuł pozwoli mi zdobyć bezterminowe kontrakty z najlepszymi agencjami top modelek i na korzystanie z wdzięków najprzystojniejszych mężczyzn.

Bardzo dbam o swoją dietę. Jem dużo warzyw i owoców, by moje ciało pozostało jędrne. Piję też dużo wody mineralnej, eliminując cukier i tłuszcz.

86. JACQUES. LAT 17,5

Matura ustna z filozofii. Pytanie: „Czy istnieje wolność myśli?”.

Po wysłuchaniu mnie egzaminujący mówi:

- Odnosisz się do zen, buddyzmu, taoizmu... Nie musimy szukać odniesień w Azji. Przeczytaj ponownie Montaigne'a, Spinozę, Nietzschego, Platona, a stwierdzisz, że oni też już wszystko zrozumieli.

Upieram się:

- W myśli wschodniej podoba mi się to, że opiera się ona na przeżytym doświadczeniu duchowym. Gdy mnich zen przez godzinę stoi nieruchomo, by opróżnić swoją głowę z wszelkich myśli, gdy jogin zwalnia oddech i bicie swojego serca, albo gdy taoista śmieje się aż do omdlenia, to nie są to tylko puste zdania, lecz doświadczenia.

Egzaminator wzrusza ramionami.

- Oczywiście, nie spieram się z tobą.

Mówiąc to, wygładza niewidzialną fałdkę na swojej eleganckiej marynarce.

Czuję wzbierającą we mnie falę złości. Zadawniona nienawiść nagle się uwalnia. On reprezentuje sobą wszystko, co od dzieciństwa tak mnie irytuje. Irytują mnie ci, którzy myślą, że zjedli wszystkie rozumy, których rozsadza pewność siebie i którzy nie chcą usłyszeć nic nowego, co mogłoby wytrącić ich z rytmu. Nauczyciel ma minę zadowolonego z siebie człowieka o maleńkiej władzy, zamierzającego ją wykorzystać, by nadać sens swojej

egzystencji - zasmuca mnie ten widok.

Wybucham:

- Zadaje mi pan temat: „Czy istnieje wolność myśli?”, a właściwie sam pan jej zabrania. Nie docenia pan oryginalności moich myśli. Chce pan po prostu sprawdzić, czy moje poglądy są podobne do pańskich, albo czy przynajmniej umiem je małpować.

- Spinoza powiedział coś, co idealnie tłumaczy twój błąd. Powiedział, że...

- Pańskie poglądy są tylko i wyłącznie bladą kopią wielkich myślicieli, na których się pan powołuje. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, jakie są pana własne refleksje? Czy w całym swoim życiu miał pan jakieś własne przemyślenie? Nie. Jest pan zwykłym... zwykłym... (szukam odpowiedniej obelgi)... zwykłą kserokopiarką.

Wychodzę, trzasnąwszy drzwiami. Po raz pierwszy w życiu jawnie się zbuntowałem.

Czuję niesmak do samego siebie. Jakim sposobem ten nic nieznaczący nauczyciel zdołał wyprowadzić mnie z równowagi?

Nie zdałem matury. Będę musiał radzić sobie bez niej.

Czuję się coraz bardziej jak „samodzielny szczur”. Wolę opuścić System.

Rodzice ganią mnie. Mają dość mojego lenistwa i kaprysów. Widzę przed sobą trzy wyjścia: walczyć, uspokoić się albo uciec.

Decyduję się na ucieczkę.

Nazajutrz rozbijam skarbonkę, przeliczam pieniądze zarobione na sprzedaży praw do moich opowiadań i wsiadam do pociągu jadącego do Paryża. Zabieram ze sobą kota Mona Lisę i komputer. W ciągu jednego popołudnia wynajmuję sobie małą kawalerkę na szóstym piętrze bez windy, w pobliżu Dworca Wschodniego. Łóżko zajmuje dziewięćdziesiąt procent powierzchni pomieszczenia.

Mona Lisa jest wściekła, bo nie mam tu telewizora. Skacze histerycznie po meblach. Wskazuje łapami kontakty i wejścia antenowe, tak jakbym sam ich nie widział.

Po kilku dniach spędzonych bez telewizora Mona Lisa wpada w odrętwienie. Nic nie je, ogania się od pieszczot, nie mruczy już wcale i parska, gdy tylko się do niej zbliżę.

Wczoraj znalazłem Mona Lisę martwą na stole, na którym mógłbym postawić telewizor... Grzebię jej ciało w zaroślach w parku miejskim. Zamiast kamienia nagrobnego wbijam w ziemię pilota od telewizora znalezionej w śmietniku. Następnie udaję się do schroniska dla bezdomnych zwierząt i adoptuję Mona Lisę II, która wygląda identycznie jak Mona Lisa I w młodości: to samo futro, to samo spojrzenie, ta sama postawa.

Tym razem nie popełniam już tego samego błędu. Z pieniędzy zaoszczędzonych na jedzeniu wpłacam pierwszą ratę na mały telewizor z promocji. Jest włączony od rana do

wieczora i Mona Lisa przesiaduje przed nim, mrugając tęsknie oczami.

Może to konsekwencja globalnej ewolucji tego gatunku. W moich kotkach nie drzemie już dziki drapieżnik. To tylko otyłe stworzenia, które nie są przystosowane do dżungli, lecz do telewizora i salonów z podłogą wymoszczoną wykładziną, nieakceptujące surowego mięsa, jedzące tylko suchą karmę.

Dostrzegam jednak małą różnicę między moimi dwiema Mona Lisami: pierwsza lubiła teleturnieje, druga zaś drży z rozkoszy, oglądając wiadomości. Nie rozumiem, co ten kot widzi w wojnach, kryzysach gospodarczych i trzęsieniach ziemi. Perwersyjne zwierzę.

Muszę z czegoś opłacać czynsz i raty za telewizor. Sprzedaż praw do opowiadań nie pokrywa wszystkich wydatków. Szukam pracy. Rozdaję ulotki. Dostarczam pizzę. Robię za kelnera w piwiarni.

Pracuję od trzynastej do północy. Życie pomocnika w restauracji to naprawdę nic przyjemnego. Kucharze łatwo wpadają w gniew, a klienci są niecierpliwi i kapryśni. Szef popędza. Jeden z kolegów wyjaśnia mi, że żeby jakoś to wytrzymać, trzeba się mścić. Pokazuje mi, jak się do tego zabrać. Nieuprzejmy klient? Plujemy mu do talerza.

- Niby nic wielkiego, ale dzięki temu unikam wrzodów.

Bieganie z sali do kuchni i z powrotem przyprawia mnie o ból nóg. Napiwki są nędzne. Wieczorem wracam do siebie wykończony i oglądam wiadomości.

Wojna w Czeczenii.

Panika w Europie z powodu choroby wściekłych krów. (Jedzenie ich mięsa powoduje degenerację komórek mózgowych i objawy jak przy chorobie Parkinsona). Hodowcy manifestują przeciwko nakazowi wybicia zakażonych zwierząt, wydanemu przez komisję w Brukseli.

Maniak wybierający swoje ofiary spośród najładniejszych gwiazd Hollywood morduje sławną aktorkę. Dusi ją sznurówką.

Hossa na giełdzie. Kolejna reforma systemu finansowego powoduje wzrost podatków. Strajk pracowników komunikacji publicznej. Wybory Miss Universe. Wybór nowego papieża w Watykanie.

Papież... Przez chwilę mam ochotę znów sięgnąć po moje dawne opowiadanie i przerobić je na powieść, ale biorąc pod uwagę prędkość, z jaką ewoluuje świat, mogłoby się okazać, że rzeczywistość wyprzedziła fikcję. Kto wie, czy naprawdę papieżem nie zostanie komputer. Wracam więc do książki o szczurach.

Narzucam sobie pewien rytm pracy. Postanawiam pisać codziennie od ósmej rano do wpół do pierwszej po południu, cokolwiek by się działo, gdziekolwiek bym był i z kim.

Kupuję na kredyt laptopa z ekranem LCD i zapisuję się na kurs, żeby nauczyć się szybciej pisać.

87. IGOR. LAT 17,5

Walę gościa w brzuch, żeby go zmusić do zeznań. W końcu wyjawia nam, że bateria przeciwpancerna kryje się w szopach, w górach. Koledzy gratulują mi.

A potem idą go rozstrzelać. Zostaliśmy wysłani na front południowy po krótkim i intensywnym trzytygodniowym szkoleniu.

Szybko nauczyłem się tego fachu. Prze się naprzód, zabija, bierze więźniów, torturuje ich, oni mówią i tym sposobem poznajemy nasz cel na dzień następny.

Nie muszę tu dodawać, że po pobycie w izolatce wojna w Czeczenii to dla mnie istny raj.

Nasze komando zostało ochrzczone Wilkami przez pułkownika Dukuskoffa. Wszyscy mamy na mundurach naszywki z głową wilka. Dobrze czuję się w wilczej skórze. Las, walka, braterstwo z innymi wilkami - wszystko to zdaje się wpisać w moją osobowość od zawsze. Ja tylko pozwoliłem obudzić się zwierzęciu przyczajonemu we mnie.

Rozbiliśmy obozowisko i jemy kolację zgromadzeni wokół ogniska w lesie. Nie jestem tu jedynym sierotą, ani jedynym byłym wychowankiem poprawczaka dla nieletnich w Nowosybirsku, ani jedynym byłym więźniem szpitala dla psychicznie chorych w Brześciu.

Nie musimy ze sobą o tym rozmawiać. W dzieciństwie zostaliśmy straszliwe zranieni, a dziś jesteśmy tutaj po to, by zadawać ból innym.

Nie mamy już nic do stracenia.

Nasz starszy sierżant wpoił nam jedno: „Siła nie ma żadnego znaczenia, liczy się prędkość”. Przypominał nam o dewizie naszego komanda Wilków: „Bądź szybki albo martwy”.

Powiedział nam też: „Chwilę, gdy przeciwnik szykuje się do natarcia, od tej, w której zostanie wam zadany cios, dzieli wieczność”.

Od tamtego czasu udało mi się dokonać wielu rzeczy pomiędzy momentem, gdy w spojrzeniu wroga pojawia się błysk, a tym, w którym pada cios.

Sierżant zmusza nas do mnóstwa ćwiczeń, by rozwijać naszą umiejętność panowania

nad czasem. Nauczył nas żonglować. Kiedy się żongluje, podrzuca się jedną piłkę, potem drugą, zanim jeszcze pierwsza spadnie i tak dalej. Pojęcie sekundy staje się szerokie. O ile w ciągu jednej sekundy większość ludzi potrafi policzyć do dwóch, to ja potrafię do siedmiu. Oznacza to, że mam większe szanse pozostania przy życiu niż większość ludzi.

Wkrótce dołączą do nas dwa inne komanda, wspólnie stworzymy grupę trzydziestu pięciu mężczyzn, których celem będzie zdobycie pozycji na szczycie góry, gdzie stacjonuje pięćdziesięciu czeczeńskich wojowników, wspieranych przez miejscowych wieśniaków.

Po raz kolejny stratedzy w krawatach z kwatery głównej nie interweniują i zostawiają nam wolną rękę. Tym lepiej! Obserwuję cel przez lornetkę. Nie będzie łatwo. W pobliżu znajduje się las, w którym mogą kryć się posiłki.

Podajemy sobie z rąk do rąk pojemnik z pastą do kamuflażu i pokrywamy sobie twarze barwami wojennymi.

88. VENUS

Maluję się. Podkreślam powieki eyelinerem. Wargi pokrywam lekko błyszczącą, czerwoną szminką, a kontury zaznaczam brązową kredką. Jeszcze nie wypolerowałam całej swojej broni. Żeby wyglądać jeszcze bardziej seksownie, kupiłam sobie - choć zabrania tego regulamin konkursu - biustonosz Wonderbra, by dodać objętości moim piersiom.

Wszystkie sposoby są dobre, by wygrać bitwę.

89. ENCYKLOPEDIA

ZWYCIĘSTWO: Większość systemów edukacyjnych dąży do nauczania, jak radzić sobie z porażką. W szkołach przestrzega się dzieci, że w przyszłości mogą mieć trudności ze znalezieniem pracy, nawet jeśli zdadzą maturę. Rodzina stara się nas przygotować do pogodzenia z faktem, że większość małżeństw kończy się rozwodem i że zawiedziemy się na większości naszych towarzyszy życia.

Firmy ubezpieczeniowe podtrzymują tę pesymistyczną atmosferę. Ich credo brzmi: szansa

na to, że dotknie was pożar, powódź albo że ulegniecie wypadkowi, jest ogromna. Uważajcie, wykupcie sobie polisę.

Optymistom wiadomości przypominają rano, w południe i wieczorem, że nigdzie na świecie ludzie nie mogą czuć się bezpiecznie. Słuchajcie kaznodziejów: wszyscy zapowiadają Apokalipsę albo wojnę.

Porażka na skalę światową, lokalną i indywidualną. Słucha się tylko tych, którzy mówią o przygnębiającej wizji jutra. Jaki prorok ośmieliłby się zapowiedzieć, że w przyszłości będzie coraz lepiej? Na poziomie jednostki, kto zdecyduje się powiedzieć w szkole: co zrobicie, jeśli otrzymacie Oscara za najlepszą rolę? Jak zareagować, jeśli zwyciężycie w turnieju Wielkiego Szlema?

Co zrobić, jeśli wasza firma rozwinie się w międzynarodowe przedsiębiorstwo?

Rezultat: gdy mamy do czynienia ze zwycięstwem, dany osobnik nie posiada żadnych punktów odniesienia, a często jest do tego stopnia dezorientowany, że szybko zmierza do porażki, by odnaleźć swoją „normalność”.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

90. JACQUES

Wsuwam stopy w ciepłe kapcie, moszczę się w fotelu, odłączam telefon, zamykam drzwi na zasuwkę, kładę sobie kota na kolanach i zamykam na chwilę oczy, by się skoncentrować i przygotować do pisania. Postacie w moim umyśle ożywają.

91. IGOR

Widzę ich, są tam wysoko, na grzbiecie. Nieprzyjaciele. Zarzucam na ramię pas z nabojami, do buta wsuwam sztylet, a do wydrążonego zęba wkładam kapsułkę z cyjankiem. Tak nakazuje regulamin. Podobno Czeczeni to sadyści, choć zdziwiłbym się, gdyby udało im się zmusić mnie do mówienia. Mam grubą skórę. Dziękuję, mamo, tobie ją zawdzięczam.

92. VENUS

Cholera, złamałam sobie paznokiec. Cholera! Cholera! Cholera! Nie mam czasu go dosztukować. Dają mi już znaki, że nadchodzi moja kolej. Tylko bez paniki.

93. IGOR

Sygnał. Pora na nas. Stanisław po mojej prawej. Dlaczego tak się z nim kumpluję? Bo to gość odpowiedzialny za miotacz ognia. Skoro nie mam ochoty przypadkowo oberwać strumieniem płonącej benzyny, wolę trzymać się w jego pobliżu. Moja chęć przeżycia decyduje teraz o wyborze przyjaciół. Doświadczenie z Wanią nauczyło mnie, że przyjaciół powinno się wybierać nie pod kątem tego, co możemy im zaoferować, ale tego, co oni mogą zaoferować nam. Koniec z litością, liczy się tylko czysty interes.

Ponownie spoglądam przez lornetkę na nasz cel, czyli na grzbiet góry.

- Nie będzie łatwo - mówię do Stanisława.

- Nie boję się - odpowiada. - Mam swojego anioła stróża, który nade mną czuwa.

Anioł stróż...

- Taa... Czuwają nad nami, ale często zapominamy ich wezwać, kiedy znajdujemy się w potrzebie. Ja nie zapominam. Przed ruszeniem do ataku wzywam go i czuję się bezpieczny.

Wyjmuje spod koszuli złoty medalik z wizerunkiem anioła rozpościerającego skrzydła i dotyka go wargami.

- Święty Stanisław - mówi.

Ja na szyi noszę medalik z wizerunkiem ojca; jeśli kiedykolwiek uda mi się go odnaleźć, to nie po to, by go pobłogosławić.

Wypijam łyk wódki, żeby się nieco ogrzać. Do walkmana wkładam kasetę z muzyką, która wprawia mnie w dobry humor. Nie jakaś dekadenska, zachodnia melodia, lecz klasyczna kompozycja z naszych stron, która aż emanuje wschodnią duszą: *Noc na Łysej Górze*. Dobrze się składa - dla tych tam na tej czeczeńskiej Łysej Górze ta noc będzie wyjątkowa.

94. TECHNIKA KONTROLI PRĘDKOŚCI

Wraz z Freddy, Raoulem i Marilyn Monroe opracowujemy procedurę nawigacji w przestrzeni kosmicznej, dostosowaną do naszego anielskiego stanu. Żeby potrenować, oddalamy się od Raju i ćwiczymy trochę nad Układem Słonecznym, w strefie gwiazdnej pustki.

Najpierw sprawdzamy napęd.

Oczywiście wyzbyci powłoki cielesnej nie odczuwamy tarcia i poruszamy się tysiące razy szybciej niż ziemski rakieta. Odległości są tu jednak tak olbrzymie, iż wydaje nam się, że się wlecemy.

Po wielu próbach udaje nam się osiągnąć prędkość 1000 kilometrów na sekundę, a następnie 5000 kilometrów.

- Jesteśmy zdolni do poruszania się jeszcze szybciej - mówi z przekonaniem Freddy.

Staram się wyobrazić sobie jeszcze większą odległość, zapuszczając spojrzenie w dal. Przyspieszamy. 10 000 km/s, 30 000 km/s, 100 000 km/s.

100 000 km/s! Sama tylko myśl przyprawia mnie o dreszcze.

Jak zwykle Raoul próbuje wyżej podnieść poprzeczkę:

- 300 000 km/s, musimy osiągnąć prędkość światła.

- Zawsze warto spróbować - przytakuje Freddy.

Ruszamy. 100 000, 150 000, 200 000 i udało się: 300 000 km/s! Lecąc z tą prędkością, dostrzegamy cząsteczki światła, słynne fotony, pędzące z tą samą prędkością co my. Kiedy fotony nieruchomieją, oznacza to, że osiągnęliśmy równą prędkość. Udaje mi się nawet nieco je wyprzedzić!

Cała moja istota jest prędkością, płynnością. Ślizgam się przez kosmos niczym po olbrzymim stole, lekko tylko zdeformowanym przez leżące na nim gwiazdy.

Szybko.

Bardzo szybko.

Szybko - ten przymiotnik wydaje się zbyt słaby, by opisać to, co czuję. Jesteśmy niczym pociski w przestrzeni. To już nie jest podróż. Nie jesteśmy już tylko bardzo szybkimi istotami. Jesteśmy... promieniami światła.

95. ENCYKLOPEDIA

DYLEMAT WIĘŹNIA: W 1950 roku Melvin Dresher i Merrill Flood odkrywają tak zwany dylemat więźnia. Oto na czym on polega: dwóch podejrzanych zostaje zatrzymanych przed bankiem i zamkniętych w oddzielnych celach. By przyznali się do napadu, policja składa im pewną propozycję.

Jeśli żaden z nich nic nie powie, każdy zostanie skazany na dwa lata więzienia. Jeśli jeden wyda drugiego, a drugi nic nie powie, ten, który wydał towarzysza, zostanie wypuszczony na wolność, a ten, który będzie milczał, zostanie skazany na pięć lat więzienia.

Jeśli obydwaj nawzajem wydadzą swojego współnika, obaj przesiedzą w więzieniu cztery lata.

Wiedzą, że została im złożona taka sama propozycja.

Co się zatem dzieje? Obaj myślą: „Wiem, że tamten się załamie. Wyda mnie, ja zostanę tu na pięć lat, a on wyjdzie na wolność. To niesprawiedliwe”. Przychodzi im więc do głowy ta sama myśl: „Jeśli go wydam, najprawdopodobniej zostanę uwolniony, przecież nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tu obaj, skoro jeden może wyjść z tego cało”.

W obliczu tej sytuacji większość podejrzanych wydaje towarzysza. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że obaj rozumowali w ten sposób, zostają skazani na cztery lata więzienia.

Gdyby jednak pomyśleli i obaj zachowali milczenie, odsiedzieliby tylko dwa lata więzienia.

Co dziwniejsze: jeśli powtórzymy to doświadczenie, dając podejrzany możliwość przedyskutowania wspólnie propozycji, ich zachowanie będzie dokładnie takie samo. Ustaliwszy wspólną strategię, ostatecznie zdradzą się wzajemnie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

96. JACQUES

Wciąż jeszcze brakuje mi czegoś, co pozwoli mi zaistnieć w pełni pośród postaci z mojej powieści. Muzyki. Odkryłem, że muzyka pomaga mi w pisaniu. Słucham jej ze słuchawkami na uszach. Słuchawki sprawiają, że lepiej odbieram dźwięki, a na dodatek izolują mnie od świata zewnętrznego i zwyczajnych hałasów rzeczywistości. Muzyka pobudza mnie do myślenia. Wybija rytm dla mojego tekstu. Melodie o energicznym rytmie sprawiają, że

tworzę krótkie zdania. Długie sola instrumentalne pobudzają mnie do rozciągniętych zdań. Do łagodnych scen dobieram muzykę klasyczną, do scen wojennych hard rock, a do opisów marzeń sennych New Age.

Muzyka to delikatne narzędzie. Wystarczy niewiele, by z pomocnej dłoni zmieniła się w uciążliwego sąsiada. Czasami nawet źle dobrane słowa potrafią mnie zdekoncentrować.

Doświadczenie nauczyło mnie, że najlepiej pracuje się przy ścieżkach dźwiękowych z filmów, gdyż niosą one w sobie potężną dozę emocji i napięcia. Czasami, gdy muzyka wpasowuje się w opisywaną przeze mnie scenę, czuję się, jakbym śnił na jawie.

97. VENUS

Pierwsze takty *Tako rzecze Zaratustra* zapowiadają defiladę kandydatek na Miss Universe. Mam tremę.

Przede wszystkim nie mogę drzeć. To będzie widać. Chwytam torebkę i wyciągam z niej fiolkę ze środkami uspokajającymi. Wiem, że mama często z nich korzystała. Maksymalnie dwie tabletki dziennie, tak radzą w instrukcji. Połykam sześć. Naprawdę się denerwuję.

Muszę zdobyć tytuł Miss Universe. Muszę. Delikatnie poruszając biodrami, wchodzę w krąg światła rzucany przez reflektory.

98. IGOR

Świta. Niebo ma jeszcze ciemnoczerwony kolor. Na grzbiecie góry dostrzegamy małe światełka, jakby plamki ognia na niebie koloru krwi. Z kominów unosi się dym. Owce są w owczarni. Wkrótce zaskoczą ich wilki.

99. LOT KOSMICZNY. KIERUNEK

Opanowawszy prędkość, staramy się znaleźć sposób na orientację w przestrzeni. Musimy opracować trójwymiarową mapę kosmosu. Zadanie to jest tym trudniejsze, że wszechświat jest nieskończony. A nieskończoność ciężko nanieść na mapę...

Jaką przyjąć strategię?

Freddy proponuje, by pociągnąć fikcyjną linię po powierzchni Raju i nazwać ją „dołem”. Wszystko, co będzie znajdowało się powyżej, stanie się więc „górami”. Oddalanie się od Galaktyki będzie oznaczało wznoszenie się. Jeśli chodzi o lewą i prawą stronę, wystarczy przyjąć terminologię żeglarską: prawa burta i lewa burta.

Tak jak w epoce tanatonautów, dysponujemy metodą kontroli kierunku, dzięki której spróbujemy przesunąć granice naszej nowej *terra incognita*.

100. JACQUES

Aby dokładniej zobrazować sceny rozgrywające się w kanałach i piwnicach, rysuję mapę. Na każdym z miejsc zaznaczam znajdujące się tam przedmioty, osoby i źródła światła.

101. VENUS

Stoję w świetle reflektorów i czuję na sobie wzrok widzów i sędziów, którzy mierzą mnie od stóp do głów. Jeden z organizatorów wręczył mi tabliczkę z numerem. Wytłumaczył mi, że muszę ją trzymać wysoko, żeby publiczność i członkowie jury mogli mnie zidentyfikować. Unoszę tabliczkę. Nigdy w życiu tak się nie bałam. Zimno mi.

102. IGOR

Słońce jeszcze na dobre nie wzeszło. Niebo z czerwonego zmieniło kolor na pomarańczowy. Wokół nas świszczą kule. Niezłe gradobicie. W samym ogniu walki trudno się zorientować, co się tak naprawdę dzieje. My, żołnierze piechoty, jesteśmy najgorzej poinformowani o obrocie spraw. By należycie ocenić sytuację, trzeba spojrzeć na wszystko z góry.

Tu, gdzie jesteśmy, czujemy się jak krótkowidze. Niemal dotykamy rzeczywistości, przez co właściwie przestajemy ją widzieć. Najgorsze jest to, że już jutro Zachód, dzięki swoim satelitom, będzie posiadał najlepsze możliwe zdjęcia naszych wyczynów. Musimy ich zaatakować i zabrać im to wszystko.

O włos uniknąłem pocisku raketowego wystrzelonego z niewielkiej odległości. To nie czas na rozważania filozoficzne.

103. VENUS

Jestem głodna. Gram swoją rolę. Niewielki ruch bioder, uśmiech, trzy kroki, staję nieruchomo. Kolejny ruch bioder, uśmiech, ruch głową, by zwrócić uwagę na moje włosy. Unieść nieco podbródek. Mam nadzieję, że nie mam świecącego się czoła.

104. PODRÓŻ KOSMICZNA. ROMB

Przed nami błyszczą gwiazda. To Altair. Bierzemy kurs na nią.

- Dziesiąta godzina na bakburcie!

Skrećmy wszyscy czworo w równym szeregu.

Freddy sugeruje, byśmy usprawnili harmonijne zmienianie kursu. Zwieramy szyki, tworząc romb. Raoul stanowi jego górny wierzchołek, gdyż jest z nas wszystkich najodważniejszy. Freddy po prawej, ja po lewej, a Marilyn Monroe na dole. Rozkładamy ramiona, jakbyśmy szybowali. Pozwala nam to lepiej określić odległości między nami. Nasze ciała tworzą statek powietrzny, który przemierza przestrzeń kosmiczną.

- Druga godzina, prawa burta - proponuje Freddy.

Skrećmy w prawo, każdy jednak pod nieco innym kątem. Musimy ponownie się

ustawić względem siebie.

- Ósma na bakburcie.

Jeszcze mniejszy kąt zmusza nas do zawrócenia. Tym razem udaje nam się zrobić to z zachowaniem symetrii figury. Zmiana dekoracji przed nami, jedynym punktem odniesienia pozostaje gwiazdozbiór Łabędzia.

Wtedy pojmuję trudności, na jakie natrafiają zespoły samolotów akrobacyjnych, które chcą zsynchronizować swoje ruchy w przestworzach. Gdy się leci z prędkością światła, jest to jeszcze bardziej skomplikowane. Komendy „uwaga, gotowi?", a następnie „druga godzina" albo „ósma godzina" pozwalają nam przygotować się do wzięcia zakrętu.

- Uwaga, gotowi? Za nami, szósta godzina - proponuje Marilyn Monroe.

Nasz romb odwraca się jak naleśnik. Marilyn zatrzymuje się w miejscu, gdy tymczasem Raoul zatacza nad nami półkole. I oto znów znajdujemy się na wprost gwiazdy Altair. Jesteśmy dumni z naszych postępów.

Pętla, ósemka, spirala, mnożymy przeróżne figury, tworząc w powietrzu odważne układy geometryczne.

105. ENCYKLOPEDIA

TEST GEOMETRYCZNY: Mały test geometryczny, który pozwoli lepiej poznać drugą osobę za pomocą mocy symbolicznej figur. Zaczynamy od narysowania sześciu osobnych kwadratów na kartce papieru. W pierwszy kwadrat wpisujemy koło.

W drugi trójkąt.

W trzeci schody.

W czwarty krzyż.

W piąty kwadrat.

W szósty przechyloną cyfrę „3", tak, by wyglądała jak litera „m".

Prosimy naszego rozmówcę o uzupełnienie każdego rysunku tak, aby powstał konkretny obrazek. Następnie prosimy go o podpisanie każdego rysunku jednym przymiotnikiem.

Możemy teraz przyrzeć się ukończonej pracy, mając w pamięci, że:

Rysunek wokół koła będzie wskazywał, jak ktoś widzi siebie samego.

Rysunek wokół trójkąta: jak ktoś sobie wyobraża, że inni go widzą.

Rysunek wokół schodów: jaki ktoś ma stosunek do życia.

Rysunek wokół krzyża: jak ktoś postrzega swoją duchowość.

Rysunek wokół kwadratu: jak ktoś postrzega rodzinę.

Rysunek wokół odwróconego „3”: jaki ktoś ma stosunek do miłości.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

106. IGOR

Czuję nienawiść. Rzucam się na Czeczena. Uderzam go głową w czoło. Słyszę trzask pękającego suchego drewna. Mężczyzna krwawi, plamiąc mi ubranie. Drugi już jest przy mnie. Wyzywa mnie na pojedynek. Staję w pozycji do walki. W głowie, niczym ostrzeżenie, błyska mi myśl: „Chwilę, gdy przeciwnik szykuje się do natarcia, od tej, w której zostanie zadany cios, dzieli wieczność”.

W spojrzeniu Czeczena czai się małe światełko. Nie mogę go spuścić z oczu. Światełko schodzi w dół. Prawa noga! Chce mnie kopnąć w brzuch. Czas płynie teraz dla mnie wolniej. Od tej chwili wszystko będzie rozgrywać się jak w zwolnionym filmie. Klatka po klatce.

Jego prawa noga unosi się. Delikatny ruch bioder i staję do niego bokiem. Ręce wysuwam naprzód. Napastnik nie zauważa mojego posunięcia i jego noga nadal się wznosi, zgodnie z pierwotnym zamierzeniem. Chwytam go za but, ciągnę w górę i wyrzucam w powietrze. Mężczyzna opada ciężko na ziemię. Rzucam się na niego. Starcie. On mnie gryzie. Wyciągam swój nóż, on również sięga po swój. Jesteśmy niczym dwa dzikie drapieżniki, walczące jednym kłem. Odczucia i informacje docierają do mojego mózgu. Serce bije szybciej. Moje nozdrza otwierają się w poszukiwaniu powietrza. Lubię to.

W uszach dźwięczy *Noc na Łysej Górze* Modesta Musorgskiego. Mój przeciwnik wrzeszczy, by dodać sobie sił. Jego krzyk wpisuje się w muzykę.

Pojedynek na noże.

Kopniak. Nóż Czeczena wypada mu z ręki. Chwyta rewolwer.

Wciąż nie jest dostatecznie szybki, by mogło mnie to zaniepokoić. Jednym ruchem ręki odwracam wycelowaną we mnie broń w jego stronę. Zmuszam go do naciśnięcia cyngla. Pada strzał. W jego zielonej kurtce pojawia się dziura.

Nie był wystarczająco szybki. Nie żyje.

107. JACQUES

Sceny walk szczurów w kanałach jakoś mnie nie zadowolają. Nie są wiarygodne. Nie czuję się przeniesiony w tamto miejsce, gdy czytam swój tekst.

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl, jakby podszeptała przez anioła. „Pokazuj, zamiast wyjaśniać”.

Muszę umieszczać swoich bohaterów w akcji. Ich psychika zostanie określona poprzez zachowanie, a nie przez dialogi. Badam bliżej szczury.

To jednak jeszcze nie wystarcza. Trzeba je poznać na wskroś, w przeciwnym razie czytelnicy dostrzegą niespójności. Wybieram się do sklepu zoologicznego i kupuję sześć szczurów. Czterech samców i dwie samice. Jedynym sposobem na to, by nie oszukiwać, jest obserwowanie rzeczywistości.

Mój kot przygląda się spode łba tym gościom o groźnie wyglądających zębiskach. Nie mam pojęcia, czy sobie przypomni, że to on powinien na nie polować. Sądząc po jego zachowaniu, myśli, że jest dokładnie odwrotnie.

Moich sześciu nowych lokatorów nie musi pływać, by dostać pożywienie, a jednak wkrótce zauważam, że role zostały szybko przydzielone. Jeden z samców terroryzuje wszystkie pozostałe zwierzęta, a jedna z samic pełni funkcję popychadła.

Waham się, lecz nie interweniuję. To w końcu nie bajka Disneya. Jeśli w środowisku naturalnym nie wszyscy są dobrzy, to ja sam nie zmienię zachowania danego gatunku, narzucając szczirom moje zasady.

Przyglądam się więc jako neutralny obserwator i notuję to, co widzę, oraz staram się interpretować zachowania zwierząt. Unikam antropomorfizmu. Te notatki bardzo ożywiają mój tekst.

Chcąc jeszcze udoskonalić efekt wizualny, rysuję ich pyszczki. Mam coraz więcej szkiców. Umieszczam w myślach kamery, które determinują kąty ujęć. Na swoich rysunkach zaznaczam najazdy kamery i zbliżenia. To niezwykle ułatwienie. Moje bitwy, niezależnie od tego, jak bardzo są literackie, zobrazowane teraz będą pyszczkami szczurów szczerzących zęby i panoramicznymi widokami kanałów. Kamera wślizguje się pomiędzy walczących,

żeby uchwycić najciekawsze sceny. Staram się również, żeby przejście z jednej sceny do drugiej było płynne.

Mój styl zaczyna się wyróżniać, piszę stylem obrazkowym. Bitwy wodne w kanałach przypominają choreografię Esther Williams, dokazującej w lazururowej wodzie basenu. Z tym że tutaj woda jest zielonkawa, mętna, pełna odpadków i w miarę wzrostu intensywności walk staje się coraz bardziej czerwona. Za pomocą kropek i strzałek kieruję armiami szczurów i poczynaniami moich bohaterów podczas głównej bitwy, stanowiącej centrum powieści.

108. VENUS

Mój mały występ dobiegł końca, pozostaje mi tylko czekać, aż reszta dziewcząt przedefiluje po scenie. Dwie czy trzy wydają mi się ładniejsze ode mnie. Oby sędziowie nie zagłosowali na nie. Gdybym tylko mogła podłożyć im nogę, żeby upadły i skrzyły sobie kark! Przypominają mi wyniosłe czaple. Bezwstydnie kołyszą biodrami. Za kogóż się uważają? Nienawidzę ich! Wyobrażam sobie ich twarze rozorane moimi ostrymi paznokciami.

Muszę zwyciężyć!

Modłę się, żeby tytuł Miss Universe przypadł właśnie mnie. Jeśli ktoś tam w górze mnie słyszy, błagam, niech wstawi się za mną.

109. LOT KOSMICZNY. OBAWY

- Uwaga, gotowi? Wszyscy na prawą burtę! - grzmi Raoul, przyjmując rolę dowódcy eskadry.

Odczuwam podniecenie, a mimo to nie mogę przestać myśleć o moich klientach. Gdzie się aktualnie znajdują? Jestem zbyt daleko, by ich wołanie lub modlitwy mogły do mnie dotrzeć.

Raoul wyczuwa mój niepokój i kładzie mi rękę na ramieniu.

- Nie martw się, stary, nic złego się nie dzieje. Ludzie są jak koty. Zawsze spadają na cztery łapy.

110. IGOR

Wstaję. Wyję niczym wilk, by dodać sobie odwagi. Nawet jeśli zwróci to uwagę nieprzyjaciela. Pozostałe Wilki odpowiadają na mój apel. Wataha jest silna i szybka. To moja rodzina. Wrzeszczymy, a za nami pomarańczowe tło nieba staje się coraz jaśniejsze. Idealnie okrągły księżyc powoli zachodzi.

Oddziały czeczeńskie ukryte w lasach wyruszają z odsieczą. Mają ze sobą ciężki sprzęt - dzipy wyposażone w karabiny maszynowe. Ludzie rzucają się na nas. Jest ich wielu. Na każdego z nas przypada dziesięciu nieprzyjaciół.

Co najmniej dziesięciu z moich towarzyszy broni pada niemal od razu. Nie ma czasu na pisanie epitafiów. Wilki zginęły jak wilki, z wywiniętymi wargami, zakrwawionym futrem, na ziemi pokrytej zdobytą przez nie zwierzyną.

Jeśli o mnie chodzi, mam zamiar utrzymać się przy życiu. Chowam się. Jeden tchórzliwy, ale żywy żołnierz może bardziej dokuczyć wrogowi niż jeden odważny, lecz martwy.

Wślizguję się pod wrak opancerzonego samochodu. Sierżant przeżył. Daje mi znaki, bym dołączył do niego, ukrytego za niewysokim murkiem. Ręka, którą macha, zostaje nagle oderwana przez pocisk. Widzę, jak jego głowa wylatuje w powietrze. Czy tak właśnie dusza uchodzi do nieba?

Nie wiem dlaczego - być może przez tę muzykę w moich uszach, krwawą scenę i błyski wokół mnie - ale mam ochotę na żarty. Być może każdy w obliczu tragedii odczuwa potrzebę złagodzenia dramatyzmu wydarzeń.

Wybucham śmiechem. Może zwariowałem. Nie, to normalne, to opadają emocje. Biedny sierżant, trzeba przyznać! Nie był dość szybki. Nie żyje.

Karabiny maszynowe kierują się w moją stronę. Ochota na śmiech przechodzi mi jak ręką odjął. Zamykam oczy i wmawiam sobie, że skoro przeżyłem aż po dziś dzień, to dlatego, że z pewnością czuwa nade mną jakiś anioł stróż. Jeśli to prawda, nadeszła pora, by się ujawnił. Święty Igorze, kolej na ciebie.

Odmawiam szybką modlitwę: „Zrozumiałeś, ty tam w górze? Musisz mnie wyciągnąć z tego łąjna, teraz albo nigdy!”.

111. VENUS

Konferansjer wzywa mnie ponownie na scenę, gdyż niektórzy sędziowie jeszcze się wahają. Ręce splatam za sobą, by lepiej wyeksponować piersi. Nie uśmiechać się. Mężczyźni nie lubią grzecznych dziewczynek, lubią dziwki. Tak mi zawsze mówiła mama. Tym razem ośmielam się spojrzeć poza blask reflektorów. Dostrzegam siedzącą w pierwszym rzędzie mamę, z kamerą w dłoni. Jakże byłaby dumna ze mnie, gdybym zwyciężyła! Widzę też Estebana. Poczciwy Esteban! Przesadnie poczciwy Esteban! Dwa okrążenia i nieruchomieję w dostojnej pozie. Koniec. Pozostaje mi tylko się modlić. Jeśli jest tam w górze ktoś, kto troszczy się o mnie, błagam go o pomoc.

112. LOT KOSMICZNY. PIERWSZA WYPRAWA

Odnoszę wrażenie, że jeden z moich klientów mnie wzywa. To pewnie poczucie winy za to, że ich opuściłem.

Raoul mnie wyprzedza. Podróżujemy z prędkością światła. 300 000 km/s. Mijamy fotony emanujące ze słońca położonego najbliżej nas. Docieramy do Proxima Centauri, najbliższej gwiazdy naszego Układu Słonecznego, położonej 4,2 lat świetlnych od Ziemi. Mijamy ją i zaczynamy obserwować planety.

Żadnych śladów życia na horyzoncie.

Odlatujemy z prędkością 300 000 km/s w kierunku Alfa Centauri.

Tam również nic. Musimy poszerzyć obszar poszukiwań.

Skręciliśmy w kierunku Syriusza. Kilka letnich planet. Nieco porostów. Duże ilości amoniaku.

Procjon? Nic ciekawego.

Kasjopeja? Pył i opary.

Tau Ceti? Lepiej nie mówić.

Delta Pavonis? Nie wybierajcie się tam - nie warto.

Pędzimy bardzo szybko, od jednej gwiazdy do drugiej, od planety do planety. Zaglądamy nawet do wnętrza wielkich meteorów, chcąc sprawdzić, czy bogowie przypadkiem nie ukryli się właśnie tam.

Problem polega na tym, że nasza jedyna Galaktyka ma średnicę 100 000 lat świetlnych i zawiera setki miliardów gwiazd. Czyli, inaczej mówiąc, wlecemy się po niej jak ślimaki po boisku do piłki nożnej. Każde źdźbło trawy odpowiada jednej napotkanej przez nas gwiazdzie.

Myśli na temat moich klientów nie opuszczają mnie ani na chwilę. Oby tylko mnie nie potrzebowali właśnie teraz. Mam wrażenie, że znajdują się w niebezpieczeństwie. Jacques jest zbyt wrażliwy. Igor zbyt dumny. Venus zbyt delikatna.

Raoul pociesza mnie w myślach. Chce, bym bardziej skoncentrował się na ekspedycji, gdyż wciąż skręcam o ułamek sekundy za późno. Zgoda. Obiecuję się przyłożyć.

Raoul, Freddy, Marilyn Monroe i ja odwiedzamy setki planet. Od czasu do czasu lądujemy, lecz nigdzie nie udaje nam się znaleźć niczego poza kamieniami. Żadnego śladu inteligencji.

Proponuję, by lądować wyłącznie na planetach o klimacie umiarkowanym, z widocznymi oceanami i atmosferą. Raoul uważa jednak, że nie ma żadnego powodu, dla którego planeta, gdzie udała się Nathalie, miałaby być identyczna z naszą. Freddy natomiast popiera mnie. Moje kryteria pozwalają zmniejszyć dziesięć razy liczbę planet do zbadania. Zamiast 200 miliardów będzie ich tylko 20 miliardów.

Nie spodziewaliśmy się, że na drodze stanie nam naprawdę groźny przeciwnik - ogrom przestrzeni.

113. JACQUES

Im więcej piszę, tym więcej mam osobliwych odczuć. Drzę z emocji, przechodzą mnie ciarki porównywalne z odczuwanymi podczas miłości fizycznej. Przez kilka minut jestem „gdzieś indziej”. Zapominam, kim jestem.

Sceny piszą się same, tak jakby moi bohaterowie wyzwali się spod mojej władzy. Patrzę, jak żyją w powieści własnym życiem, niczym rybki w akwarium. To przyjemne, a jednocześnie przerażające. Mam wrażenie, że bawię się materiałem wybuchowym, do którego nie posiadam instrukcji obsługi.

Gdy piszę, zapominam o wszystkim. Jestem wśród moich bohaterów, żyję wraz z nimi. To jest jak sen na jawie. Erotyczny sen na jawie, gdyż całe moje ciało wyraża swoją

radość. Uczucie ekstazy. Trans. Magiczna chwila nie trwa jednak długo. Załedwie kilka minut, a czasami kilka sekund.

Na dodatek nie potrafię zapanować nad tymi momentami ekstazy, wywołać ich na własne życzenie. Po prostu zdarzają się. Są mi dane, gdy dopasuję scenę do odpowiedniej muzyki i odpowiednich myśli. Po chwili wybudzam się cały spocony i oszołomiony. Następnie ogarnia mnie smutek. Nostalgia, żal, że cudowna chwila nie trwała dłużej. Ściszam wtedy muzykę i siadam przed telewizorem, by zapomnieć o bólu i nie doznawać w kółko tak skrajnych wrażeń.

114. IGOR

Wyskakuję i ciskam granatem w sam środek plutonu Czeczenów, którzy właśnie się przede mną pojawili. Oddalam się biegiem. Nie myślę o kulach, które jedna po drugiej przelatują między moimi łydkami. Biegnę w stronę studni znajdującej się pośrodku wioski i czepiam się wiadra wiszącego w niej na łańcuchu.

Wilki zostały zdziesiątkowane. Nie widzę już nawet Stanisława. Ściszam walkmana. *Noc na Łysej Górze* powoli się kończy. Słyszę mój świszczący oddech, a w tle trzaski ognia, krzyki, rozkazy, wołania rannych o pomoc.

115. VENUS

Członkowie jury przyglądają mi się w milczeniu. A ja, ze sceny, przyglądam się im. Siedzący pośrodku mistrz bokserski wagi ciężkiej wbija wzrok w moje piersi. Obok niego twarze kilku starych, zapomnianych aktorów, prezenterzy telewizyjni, producent filmów erotycznych, kilku fotografów specjalizujących się w aktach artystycznych i piłkarz, który od dawna nie strzelił już żadnej bramki.

I to mają być sędziowie? To oni mają decydować o moim losie? Nagle ogarniają mnie wątpliwości. Jednak kamery telewizyjne transmitują to wydarzenie na cały kraj. Miliony ludzi w tej właśnie chwili oglądają mnie. Uśmiecham się, ośmielam się nawet puścić do nich oko.

Tego chyba regulamin nie zabrania.

Boję się. Tak bardzo się boję. Całe szczęście, że nafaszerowałam się środkami uspokajającymi.

116. ENCYKLOPEDIA

NIE WIEM, CZY TO DOBRZE, CZY TO ŹLE (BAJKA ZEN): Pewien farmer dostał w prezencie dla syna białego konika. Przychodzi do niego sąsiad i mówi: „Ma pan wielkie szczęście. Mnie nikt nie podarowałby tak pięknego białego konia!“. Farmer odpowiada: „Nie wiem, czy to dobrze, czy to źle“.

Jakiś czas później syn farmera wsiada na konia, lecz ten wrywa się naprzód i wyrzuca jeźdźca z siodła. Syn farmera ma złamaną nogę.

„Och! Jakie to straszne! - mówi sąsiad. - Ma pan rację, że to nie wróżyło nic dobrego. Zapewne ten, kto podarował panu tego konia, chciał panu zaszkodzić. Teraz pański syn zostanie na całe życie kaleką!“

Jednak farmer nie wygląda na przejętego całą sytuacją. „Nie wiem, czy to dobrze, czy to źle“ - odpowiada.

Wkrótce potem wybucha wojna i wszyscy młodzi mężczyźni zostają powołani do wojska, oprócz syna farmera ze złamaną nogą. Sąsiad przychodzi wówczas ponownie i mówi: „Pański syn jako jedyny nie wyruszy na wojnę, ma wielkie szczęście“. Farmer na to odpowiada: „Nie wiem, czy to dobrze, czy to źle“.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

117. SPIS

W konstelacji Oriona - pusto.

W konstelacji Lwa - kilka jednokomórkowych mikrobów. Poziom świadomości odpowiadający kamieniowi.

W pobliżu Wielkiej Niedźwiedzicy planety nie są nawet ostatecznie uformowane.
Wokół gwiazdy Luyten jedynie zmrożone meteory. Tracimy tylko czas.
Do licha! A jak w tym czasie radzili sobie moi klienci?

118. IGOR

Siedzę skulony przy brzegu studni. Nagle, przypadkiem, jakiś gość wrzuca do niej granat. Chwytam pocisk zręcznym ruchem prawej ręki i przyglądam mu się. Afgański model G34, opancerzony małymi płytkami. Natychmiast wyrzucam go na zewnątrz. Czeczen zrozumiał, że ktoś ukrywa się w studni i czym prędzej wrzuca granat z powrotem. Nie waham się ani chwili i pocisk wraca do gry.

To kwestia nerwów. Całe szczęście, że pułkownik nauczył mnie żonglować. Ponieważ przeciwnik uparcie oddaje mi granat, przyglądam mu się uważniej i stwierdzam, że czop jest zatkany. Felerny sprzęt. Afgańczycy nie są mistrzami precyzyjnej techniki. Ten granat nigdy nie wybuchnie. Sięgam po własny sprzęt - porządny rosyjski granat, wyprodukowany przez solidną rosyjską mamuszkę, którego działanie znam na pamięć. Odczekuję regulaminowe pięć sekund, obliczam dokładnie trajektorię i ciskam granatem w mojego przeciwnika. Gość łapie go, chcąc mi go ponownie odrzucić, lecz tym razem wybucha mu w dłoni.

Wojna nie jest zabawą dla amatorów. To zawód, w którym trzeba być metodycznym i działać systematycznie. Wiem na przykład, że nie wolno mi zostać dłużej w tej studni. Wyskakuję na zewnątrz, podnoszę strzelbę z optycznym celownikiem porzuconą przez martwego kumpla i biegnę schronić się w jednej z chat. Zastaję w niej tubylców, którzy widząc moją broń, dają się zamknąć w kuchni. Zajmuję miejsce przy oknie i spokojnie obserwuję okolicę. Dzięki laserowemu celownikowi moja przewaga nad przeciwnikami znacznie się zwiększyła. Zakładam słuchawki na uszy. *Noc na Lysej Górze* znów dźwięczy mi w uszach. Jeden z żołnierzy nieprzyjacielskiej armii trafia w zasięg mojego wzroku. Nad jego brwią pojawia się nagle czerwony punkcik. Pociągam za spust. I o jednego mniej.

119. JACQUES

Przyglądam się sześciu szczurom w ich szklanym terrarium, a one przyglądają się mnie. Kot trzyma się na uboczu. Zwierzęta chyba zrozumiały, że o nich piszę. Szkoda, że nie mogę przekazać im tego, co napisałem.

Mona Lisa II ociera się o mnie, chcąc się upewnić, że jej miejsca w moim sercu nie zajęły te potwory o ostrych zębach.

Czytam całą powieść od początku.

Muszę przyznać, że moje dzieło można uznać za wielowątkowe. Trudno zrozumieć, dlaczego sceny ułożone są w tej, a nie innej kolejności. Stwierdzam, że konieczne będzie skonstruowanie swego rodzaju rusztowania, na którym oprze się cała historia i które sprawi, że sceny będą następowały po sobie zgodnie z określonym schematem. Czy powinienem użyć struktury geometrycznej? Zbudować historię w kształcie koła? Testuję ten pomysł. Pod koniec powieści moi bohaterowie odnajdują się w tej samej pozycji, co na początku. *Déjà vu*. Historia w kształcie spirali? Im dalej, tym bardziej opowieść rozchodzi się na boki, dążąc do nieskończoności. To też już było. Opowiadanie liniowe? Banalne, każdy tak pisze.

Wymyślam coraz bardziej skomplikowane figury geometryczne. Pięciokąt. Sześciokąt. Sześcian. Piramida. Czworoscian. Dziesięścian. Jaka struktura geometryczna jest najbardziej złożona? Katedra. Kupuję książkę o katedrach, z której dowiaduję się, że ich kształty odpowiadają strukturom związanym z ułożeniem gwiazd w przestrzeni kosmicznej. Doskonale. Napiszę powieść w kształcie katedry. Jako model posłuży mi katedra w Chartres, istne cacko z trzynastego wieku, wprost nabrzmiałe symboliką i ukrytymi znaczeniami.

Przerysowuję dokładnie plan katedry na dużą kartkę papieru rysunkowego i dążę do tego, by rozwój mojej powieści odpowiadał jej tysiącletnim punktom odniesienia. Przecięcia wątków mojej intrygi będą nawiązywały do krzyżowania się naw, zwroty akcji - do kluczy sklepienia. Metoda ta bawi mnie i zachęca do mnożenia równoległych wątków. Tekst staje się coraz bardziej płynny, moi bohaterowie naturalnie wpisują się w tę doskonałą strukturę.

Słucham Bacha. Jan Sebastian Bach tworzył swoje kompozycje na planie katedry. Od czasu do czasu dwie linie melodyczne krzyżują się, sprawiając wrażenie, że słyszymy trzecią melodię, choć nie gra jej żaden instrument. Próbuję powtórzyć ten sam efekt, wymyślając dwie intrygi, które przeplatają się i tworzą trzecią, fikcyjną.

Katedra w Chartres i Jan Sebastian Bach stanowią moje sekretne rusztowanie. Stojące na tym stelażu postacie wypływają na szerokie wody, a powieść nabiera tempa. Piszę dziennie dwadzieścia gotowych stron zamiast pięciu do poprawki, jak poprzednio. Moja powieść nabiera kształtów. 500, 600, 1 000, 1 534 strony... Więcej niż zwykły kryminał, to niemal *Wojna i pokój wśród szczurów*.

Wreszcie czuję, że powieść jest już wystarczająco solidna, by dać ją innym do przeczytania. Pozostaje mi znaleźć wydawcę. Wysyłam manuskrypt pocztą do dziesięciu najważniejszych paryskich domów wydawniczych.

120. VENUS

Sędziowie głosują. Obgryzam złamany paznokieć. Oddałabym w tej chwili życie za papierosa, ale regulamin zabrania palenia. Teraz właśnie decyduje się moja przyszłość.

121. IGOR

Celuję. Strzelam. Drugi mężczyzna pada na ziemię. Potem trzeci. I czwarty. Jak miło pracuje się przy muzyce! Dziękuję dekadencekowi Zachodowi za wynalezienie walkmana. Przed moimi oczami pojawia się wizerunek mamy. Zamiast celować w serce, szukam głowy. Za każdym razem, gdy myślę o mamie, mam ochotę położyć palec na spuście.

122. JACQUES

Odpowiedzi od wydawców spływają do mojej skrzynki na listy jedne po drugich. Pierwszy uznał mój pomysł za zbyt ekscentryczny. Drugi radzi, bym dopracował jeszcze moje dzieło, oddając główne role kotom, „o wiele bardziej lubianym przez szeroką publiczność”.

Spoglądam na Mona Lisę II.

Czy można napisać jakąkolwiek powieść o Mona Lisie II, najbardziej dekadencekim kocie na całym Zachodzie?

Trzeci wydawca zgadza się wydać dzieło na mój koszt, *a conto* honorarium autorskiego. Gotów jest dać całkiem niezłą cenę.

123. VENUS

Padają oceny. Są dość surowe. Najlepsza średnia, jak do tej pory, oscyluje wokół 5,4 na 10. Nadeszła moja kolej. Sędziowie ogłaszają jeden po drugim swój werdykt: 4,5, 6,5... Mam uśmiech przylepiony do twarzy, lecz jestem załamana. Jeśli rzeczywiście nikt nie ocenia mnie powyżej tych nędznych liczb, to już po mnie. Co za niesprawiedliwość! Nienawidzę tych ludzi o minach hipokrytów. Poza tym dziewczyna, która w tej chwili ma najlepsze oceny, to jeden wielki cellulitis. Czy oni tego nie widzą?

124. ENCYKLOPEDIA

IDEOSFERA: Myśli są niczym żywe istoty. Rodzą się, rosną, rozprzestrzeniają, są konfrontowane z innymi myślami, aż wreszcie umierają.

A gdyby tak myśli, podobnie jak żywe istoty, ewoluowały? Gdyby tak wybierały i eliminowały najsłabsze spośród siebie, a mnożyły najsilniejsze, zgodnie z teorią darwinowską? W *Przypadku i konieczności* z 1970 roku Jacques Monod wysunął hipotezę, że myśli mogłyby posiadać swoistą autonomię i, jak organizmy żywe, być zdolne do reprodukcji i mnożenia.

W 1976 roku, w *Samolubnym genie*, Richard Dawkins przywołuje koncepcję ideosfery.

Ideosfera byłaby tym dla świata myśli, czym biosfera jest dla świata organizmów żywych.

Dawkins pisał: „Jeśli w moim umyśle zakiełkuje jakaś myśl, do mózgu dostaje się swego rodzaju pasożyt, który wykorzystuje mnie do propagowania owej myśli”. Autor podaje na poparcie swojej teorii koncepcję Boga, myśli zrodzonej dawno temu, która nigdy nie przestała się rozprzestrzeniać, rozwijała się poprzez mowę i pismo, następnie przez muzykę, sztukę oraz księży, którzy interpretowali ją w sposób najlepiej dopasowany do danej epoki.

Myśli mutują znacznie szybciej niż istoty żywe. Na przykład idea komunizmu, zrodzona w umyśle Karola Marksa, rozprzestrzeniła się w bardzo szybkim czasie, opanowując niemal połowę planety. Myśl ta ewoluowała, mutowała, by wreszcie powoli wygasnąć niemal całkowicie, zupełnie jak wymierający gatunek zwierząt.

Jednocześnie koncepcja ta sprawiła, że rozwinęła się koncepcja kapitalizmu.

Owoce starć idei w ideosferze jest nasza cywilizacja.

Dziś komputery są na dobrej drodze do tego, by przyspieszyć mutację idei. Dzięki

internetowi myśl może rozprzestrzeniać się znacznie szybciej w przestrzeni i w czasie, a także być szybciej konfrontowana ze swoimi przeciwnościami lub myślami drapieżnikami. Jest to doskonały sposób na to, by propagować dobre, ale i złe myśli, gdyż pojęcie moralności nie istnieje w ideosferze - w biologii zresztą też nie. Ewolucja nie zna moralności. Dlatego warto się dwa razy zastanowić, nim zacznie się szerzyć dany koncept. Myśli są bowiem o wiele potężniejsze niż ludzie, którzy je tworzą i przekazują. Tak sobie w każdym razie myślę...

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

125. JACQUES

Czwarty wydawca kontaktuje się ze mną telefonicznie i prosi, bym się nie poddawał. „Pisarstwo wymaga wielkiego bagażu doświadczeń. Nie jest rzeczą możliwą, by w wieku lat siedemnastu i pół pański bagaż był już dostatecznie duży” - powiedział.

Piąty wydawca krytykuje sceny batalistyczne, niezbyt lubiane przez żeńską część publiczności. Przypomina mi, że czytelnikami są głównie kobiety, a te zdecydowanie wolą wątki romantyczne. Czemu by nie pomyśleć o „*love story* wśród szczurów”?

Spoglądam na moje szczury: jeden z samców właśnie kopuluje z samicą. Wgryza się jej w szyję aż do krwi, zgniata jej głowę i unieruchamia zad. Biedaczka aż piszczy z bólu, lecz samca zdaje się to tylko bardziej podniecać.

Romantyczne *love story* wśród szczurów? To niezbyt realistyczna wizja...

126. IGOR

Pięć. Sześć. Siedem. I dziesięć. Zabiłem wszystkich wrogich żołnierzy, którzy zapuścili się w tę uliczkę. Jest południe. Niebo przybrało biały kolor. Nad wioską unosi się dym, a muchy pastwią się nad wciąż jeszcze ciepłymi ciałami poległych.

Nieprzyjaciele nie żyją, przyjaciele również. Nie widzę już ani jednego z naszych.

Wyję jak wilk. Nikt nie odpowiada na mój apel. Chyba miałem szczęście. Być może tam w górze, jest ktoś, kto mnie chroni. To prawda, jestem szybki, lecz kilkakrotnie udało mi się cudownym trafem uniknąć nastąpienia na minę albo uchylić przed zabłąkaną kulą.

Tak, z pewnością mam swojego anioła stróża. Dziękuję ci, święty Igorze.

Wiem, że po powrocie do obozu zostaną wcielony do innego komanda Wilków i wyruszę na kolejne misje, podobne do tej tutaj. Wojna to jedyna rzecz, na jakiej się znam. Każdy ma coś, w czym jest dobry. Nakładam słuchawki na uszy i ponownie włączam *Noc na Łysej Górze*.

Nagle do moich uszu dociera wycie wilka. Czy to prawdziwe zwierzę? Nie. To Stanisław. Miał rację, nim także opiekuje się anioł stróż.

127. VENUS

Kolejne pięć na dziesięć. O wszystkim zadecyduje ostatnia ocena, przyznawana przez boksera.

- 10 na 10 - oznajmia.

Czy to możliwe? Nie przesłyszałam się?

Nagle moja średnia skacze do góry. Mam najlepszy wynik. Nie posiadam się z radości, lecz staram się opanować. Nie znam jeszcze wszystkich ocen. Inna dziewczyna może jeszcze wysunąć się na prowadzenie.

Jak we mgle, słyszę padające oceny. Jestem na czele, wciąż prowadzę. Udało się, nikt nie wypadł lepiej ode mnie.

Jestem... jestem... Miss Universe.

Całuję sędziów. Wszystkie kamery są skierowane w moją stronę. Cały kraj mnie zobaczy. Podają mi butelkę szampana, którym spryskuję wszystkich wśród błysków fleszy.

Wygrałam!

- Chciałabym podziękować przede wszystkim mojej mamie, bez której nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, by podjąć tę długą drogę ku... doskonałości - mówię do mikrofonu.

W tej samej chwili czuję, że są to właściwe słowa, które pozwolą mi zyskać przychylność publiczności na widowni i przed telewizorami. Ale tak między nami, jeśli jest

ktoś, komu powinnam podziękować, to tylko sobie.

Moje eksrywalki podchodzą, by mi pogratulować. Mama płacze z radości, a Esteban posyła mi całusy.

Następnie: wywiady, gratulacje, zdjęcia. Jestem wniebowzięta. Na zewnątrz ludzie rozpoznają mnie i proszą o autografy.

Wycieńczona wracam do hotelu z Estebanem, zapatrzonym we mnie bardziej niż zwykle. Wygrałam!

128. JACQUES

Przegrałem. Porażka na całej linii. Żaden wydawca nie chce moich *Szczurów*.

„Pisanie to nie profesja - mówi mi przez telefon tata. - Możesz mi wierzyć. Jestem księgarzem i doskonale wiem, że sprzedają się już tylko znani ludzie. Stań się najpierw sławny, a dopiero później napisz książkę. Zabrałeś się do rzeczy od złej strony”.

Tylko Mona Lisa stoi wytrwale przy mnie w tych ciężkich chwilach. Czuje, że jestem osłabiony i zaczyna wątpić w moją zdolność dostarczania jej codziennej porcji jedzenia.

Kładę się do łóżka. Nazajutrz wstanę do pracy w restauracji, a następnie zajmę się czytaniem mojego manuskryptu.

Szczury w klatce zdają się ze mnie nabijać. Denerwują mnie. Za kogo one się uważają? W końcu to tylko szczury! Wypuszczam je do ścieków. Niech sobie radzą.

Mona Lisa pochwała to posunięcie znaczącym mruknięciem.

Siadam przed maszyną do pisania. Koniec z magią. Żadnej nadziei. Nigdy mi się nie uda. Muszę sobie odpuścić.

129. ENCYKLOPEDIA

KPW: Człowiek jest uzależniony od innych. Dopóki czuje się szczęśliwy, nie podaje tego uwarunkowania w wątpliwość. Jako dziecko uważa za normalne, że rodzina zmusza go do połykania znieawidzonych produktów spożywczych. W życiu dorosłym nie sprzeciwia się,

gdy przełożony go poniża - taką ma pracę. W małżeństwie godzi się na to, by żona wciąż robiła mu wymówki. Jako obywatel nie widzi nic dziwnego w tym, że rząd dąży do obniżenia jego mocy nabywczej - przecież to rząd, na który głosował.

Człowiek nie tylko nie widzi, że próbuje się go stłamsić, lecz także uważa, że rodzina, praca i system polityczny to formy „wyrażania osobowości” niezbędne mu do życia.

Wielu ludzi gotowych jest walczyć do ostatniej krwi, aby tylko nie pozbawiono ich kajdan. My, anioły, zmuszone jesteśmy od czasu do czasu prowokować tak zwane nieszczęścia, które tu, w górze, nazywamy KPW - „kryzysem podawania w wątpliwość”. KPW może przyjąć różnorakie formy: wypadku, choroby, rozbicia rodziny, zawodu w życiu profesjonalnym.

Kryzysy przerażają śmiertelników, lecz przynajmniej usuwają tymczasowo odruchy warunkowe. Bardzo szybko człowiek ponownie wyrusza na poszukiwanie nowego więzienia. Rozwodnika ciągnie do małżeństwa. Zwolniony z posady przyjmuje ofertę jeszcze bardziej uciążliwej pracy. Mimo to pomiędzy chwilą wywołania KPW a znalezieniem nowego więzienia następuje okres, w którym śmiertelnik potrafi trzeźwo spojrzeć na świat. Przez moment rozumie, czym jest prawdziwa wolność. Nawet jeśli do tej pory się jej bał.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

130. LOT KOSMICZNY. POWRÓT

Wracamy do Raju.

Ależ moi klienci się zmienili przez tak krótki okres! Można by rzec, że dojrzewają szybciej, gdy się ich nie ma na oku. Venus wyleczyła się z anoreksji i bulimii i zdobyła tytuł Miss Universe. Tym lepiej, zresztą sam miałem zamiar jej go załatwić. Igor wy dostał się z zakładu dla psychicznie chorych i został bohaterem wojennym. Tylko Jacques pozostaje w tyle, nie umie się odnaleźć. Całe dnie spędza przyklepiony do telewizora, a to nie wróży nic dobrego.

Edmund Wells jak zwykle pojawia się w nie najlepszym momencie. Wzdycha:

- Bardzo się na tobie zawiodłem, Michaelu. Pokładałem w tobie wielkie nadzieje, a ty wszystko psujesz...

- Jestem tu nowy, dopiero teraz zaczynam pojmować, jak funkcjonują ludzie.

Mój instruktor wciąż patrzy na mnie z powątpiewaniem.

- Ach tak, jak się udał spacer w przestrzeni kosmicznej?

A więc wie. Protestuję:

- Prócz Jacques'a Nemroda, który zawsze włókł się nieco w tyle, moi klienci radzą sobie całkiem nieźle.

- Mój biedny Michaelu - powiada Edmund Wells - jest jeszcze wiele rzeczy, które muszę ci wytłumaczyć. Zauważyłeś, że w pobliżu Ziemi kręcą się wędrujące dusze?

- Nie... To znaczy...

Wie też zatem o naszej wizycie u Papadopolosa.

- Zauważyłeś może, że owe wędrujące dusze lepiej dogadują się z ludźmi niż my, a to dlatego, że znajdują się bliżej nich.

- Tak... ale...

- A więc gdy klient odmawia modlitwę, a w pobliżu nie ma akurat anioła stróża, który mógłby ją przyjąć, jak myślisz, co się dzieje?

- ...Zajmuje się nią wędrująca dusza?

- W istocie. I wierz mi, dusze cieszą się z tego niezwykle, że mogą oddać komuś przysługę zamiast nas. To prawdziwe zgagi. Tam, gdzie anioł stróż nie dopisze, wciska się wędrująca dusza. Co ty sobie myślisz, Michaelu? Że Igor i Venus po prostu mieli szczęście? Nie. Modlili się, a jakaś wędrująca dusza pośpieszyła, by odwalić twoją robotę. Teraz żeruje na tym uczynku.

Mój instruktor zdaje się szczerze zmartwiony.

- To dlatego za każdym razem, gdy mam taką możliwość, powtarzam ludziom: „Nie wzywajcie duchów, nie wchodźcie w trans, unikajcie mediów i wszystkich tych, którzy twierdzą, że kontaktują się z zaświatami. Nie módlcie się byle jak, nie szukajcie swoich aniołów stróżów - oni sami wiedzą, jak was odnaleźć. Nie próbujcie dowiedzieć się, czym jest wudu, szamanizm i czarnoksiężstwo. Myślicie, że umiecie manipulować innymi, a tak naprawdę sami dajecie sobą manipulować. Każda pomoc ma swoją cenę”.

W spojrzeniu mojego nauczyciela odczytuję, że naprawdę się na mnie zawiódł.

- Co mam zrobić, żebyś mi wybaczył? Jak naprawić to całe zło? - szepczę.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny, Michaelu - wzdycha Edmund Wells. - Nie znalazłszy cię, zakasałem rękawy i wzięłem się do pracy. Uwolniłem twoich klientów od wędrujących dusz, które ich obsiadły. „Odrobaczyłem” ich. Ale od teraz uważaj! Twoich dwóch „zwycięzców” myśli, że wystarczy wezwać cię, a wszystko potoczy się po ich myśli. Igor nazywa cię nawet świętym Igorem. Wyobraża sobie, że każdy człowiek ma swojego anioła - patrona, który nosi jego imię.

Edmund Wells unosi się nieco w górę.

- Nadejdzie dzień, w którym Igor, Jacques i Venus dołączą tutaj do ciebie i spojrzą ci w oczy. Ta chwila będzie dla ciebie straszna, gdyż wtedy dowiedzą się, kim jesteś, a ty będziesz musiał tłumaczyć się przed nimi.

Zawstydzony pochylam głowę.

- Jeszcze jedno. Nie słuchaj złych uczniów. Nie należy równać w dół. To nie oni będą się tłumaczyć za ciebie przed twoimi klientami.

Edmund Wells robi znaczący ruch głową w stronę Raoula, który lata w pobliżu.

- Na szczęście, Michaelu, dostałeś na starcie dobre dusze. Nie jest jednak powiedziane, że przy kolejnym rozdaniu będzie podobnie. Zazwyczaj jest tak, że gdy nie uda nam się z pierwszymi klientami, przy kolejnych zdajemy sobie sprawę, jak dobrze trafiliśmy za pierwszym razem.

Cały się kulę. Jego spojrzenie sprawia, że mam ochotę zamienić się w małą myszkę.

Dla śmiertelnika przegrać, to znaczy zostać zmuszonym do reinkarnacji. Dla anioła... dostać nowych klientów.

131. IGOR. 18 LAT

Stanisław i ja mamy otrzymać medale. Pułkownik Dukuskoff poklepuje nas po plecach.

- Od dzisiaj jesteście starszymi sierżantami.

Żołnierze w nienaganych mundurach wstają i biją brawo. Flaga narodowa zostaje wciągnięta na maszt, a w uszach dźwięczą mi nuty hymnu, tak bardzo ukochanego przez moją matkę. Pułkownik Dukuskoff szepcze mi do ucha:

- Wam jako jedynym udało się ująć z życiem z walki, gdzie na jednego z naszych przypadło dziesięciu żołnierzy wroga. Na czym polega wasz sekret?

Wzdycham ciężko i waham się. Przecież nie powiem mu o moim aniele stróżu.

- Udało mi się ująć cało przed własną matką - mówię w końcu.

Pułkownik uśmiecha się do mnie ze zrozumieniem.

W tej właśnie chwili nie posiadam się z radości, że mam osiemnaście lat i wciąż żyję.

132. VENUS. 18 LAT

Znajduję się właśnie w ramionach mistrza świata wagi ciężkiej w boksie, który wchodził w skład jury. Uprawiamy seks. To brutal. Dyszy, jak gdyby był na ringu. Ogłuszający hałas. Przygniata mnie swoimi wielkimi łapskami, prawie się duszę. Sto dwadzieścia kilo przytłaczających, parujących mięśni - to tak, jakby się kochać z lokomotywą albo ciężarówką. Zero delikatności.

A wszystko zapowiadało się całkiem nieźle. Po wyborach skontaktował się ze mną i poprosił o spotkanie. Zgodziłam się. Podszedł do mnie i obsypał mnie komplementami, jak gdybym rzeczywiście była najpiękniejsza spośród wszystkich uczestniczek. A potem się popsulo. Przypomniiał, że to on dał mi najwyższą notę 10 na 10, dzięki której zdobyłam upragniony tytuł. Można by sądzić, że moim obowiązkiem jest się odwdziżyć. Ach, ci mężczyźni! Gdyby im wierzyć, musiałybyśmy uznać, że bez nich nigdy byśmy sobie nie poradziły. Ale ja wiem, że jeśli odniosłam sukces, to tylko dzięki wypowiedzeniu właściwej modlitwy we właściwym momencie. Poczułam nawet czyjaś przyjazną obecność w pobliżu. Zapewne był to właśnie mój anioł stróż...

Z grzeczności daję mu dokończyć. Teraz śpi, chrapiąc głośno. Wykorzystuję okazję i wychodzę.

Jestem naprawdę zbyt miła.

133. JACQUES. 18 LAT

Z każdym dniem mniej czasu poświęcam na pisanie. Czytam też coraz mniej. Zdarza mi się leżeć pięć godzin z rzędu na kanapie przed telewizorem z mruczącym kotem na kolanach. Nie oglądam nawet nic konkretnego. Skaczę z kanału na kanał.

Posada kelnera wystarcza mi, by związać koniec z końcem. Zresztą nie mam wielkich potrzeb. Żywię się chińskim makaronem, który pęcznieje po zalaniu wrzątkiem.

Mona Lisa II jest zachwycona, że oglądam z nią telewizję. Jest przekonana, że to dzięki niej trafiłem na właściwą drogę.

Myślę, że *Szczury* to dobra książka. Jeśli jednak wydawcy nie są w stanie tego pojąć, trzeba uznać, że cała moja praca poszła na marne, równie dobrze mogę więc przestać robić

cokolwiek.

Jeśli nadal będę tył w tym tempie, obżerając się makaronem, niedługo zmienię się w ludzką wersję Mona Lisy. Z lenistwa nie gołę się i zapuszczam brodę.

Powoli, wciąż skacząc pomiędzy programami, opuszczam sobie intelektualną poprzeczkę. Z wiadomości przerzucam się na filmy, z filmów na telefilmy, potem na seriale, wreszcie na rozpaczliwe poranne teleturnieje, których uczestnicy próbują jak najszybciej odpowiedzieć na idiotyczne pytania w stylu: „Jak nazywa się psi przysmak?”.

Psy kompletnie mnie nie obchodzą, bo mam kota, ale i tak oglądam.

Myślę, że dałbym radę żyć w ten sposób przez najbliższe czterdzieści lat. Poddałem się. A jednak, któregoś dnia, audycja telewizyjna sprawiła, że wyrwałem się z odrętwienia.

Był to program o literaturze. Cotygodniowy. Zazwyczaj ignorowałem go, ale dzisiaj coś przyciągnęło moją uwagę.

Tematem dyskusji jest miłość. Pierwszym gościem jest starszy aktor, który przeżył swoje chwile chwały już jakiś czas temu. Wspomina z szelmowskim uśmiechem aktorki, które - jak to nazywa - uhonorował. Prowadzący, z równie wesołą miną, wciąż żartuje i robi sprośne aluzje.

Drugi gość: chłopak w moim wieku. Zostaje przedstawiony jako Auguste Mérimac. Przystojniak. Dobrze ubrany. Uśmiechnięty. Wydał właśnie powieść autobiograficzną, której bohater zwie się, niby przypadkiem, Auguste i cechuje się tym, że wszystkie kobiety ulegają jego urokowi. Po kilku libertyńskich anegdotkach Auguste Mérimac oznajmia, że według niego miłość nadaje sens każdemu dziełu literackiemu.

Trzeci gość programu: kobieta w aksamitnej masce, piętnastocentymetrowych szpilach i z ustami pomalowanymi krwistoczerwoną szminką. Pracuje w pewnym bardzo popularnym lokalu oferującym usługi sadomasochistyczne, lecz pragnie zachować anonimowość. Większość klientów stanowią osoby publicznie znane - mówi - politycy, ludzie show-biznesu, biznesmeni. W życiu zawodowym terroryzują innych, w życiu prywatnym uwielbiają, by nad nimi dominować. Kobieta opisuje cielesne tortury, jakie oferuje swoim klientom i jak bardzo jest zdegustowana ekstrawaganckimi życzeniami niektórych gwiazd.

Ostatni gość to seksuolog, którego rola ma polegać na naświetleniu problemu od strony naukowej. Ludźmi kierują hormony - zapewnia, cytując kilka przedziwnych fantazji, z jakimi zetknął się podczas wykonywania swojego zawodu. Pewien pacjent szczytował tylko po przebraniu się za królową angielską, inną znów kobietę zaspokoić mogło jedynie dziesięciu mężczyzn, zaś wielu celebrytów (których nazwisk seksuolog woli nie wymieniać) nie potrafi osiągnąć pełni rozkoszy bez pomocy zwierząt, warzyw lub innych

najdziwniejszych przedmiotów, a także bez najbardziej osobliwych scenarii.

Wyłączam telewizor, czując, że robi mi się niedobrze. Żadna historia nie jest wymyślona, żadna z postaci nierzeczywista, zero napięcia. Oto dlaczego moje szczury nikogo nie interesują.

Całkowicie pobrałem w wyborze zajęcia. Postanawiam zaprzestać pisania. Rozpoczynam pisarską żałobę. Zostanę kelnerem w restauracji i telewizorem, to mi w pełni wystarcza.

134. ENCYKLOPEDIA

O ZNACZENIU ŻAŁOBY: W naszych czasach tradycja żałoby powoli zanika. Po śmierci członka rodziny wszyscy starają się jak najszybciej wrócić do swych codziennych zajęć. Odejście drogiej osoby staje się coraz mniej tragicznym wydarzeniem. Czerń przestała być kolorem żałoby. Styliści uczynili z niej element mody ze względu na jej właściwości wyszczuplające.

A przecież wyznaczanie kresu danej epoki czy życia ludzkiego ma ogromne znaczenie dla równowagi psychicznej każdego z nas. Jedynie tak zwane prymitywne społeczności wciąż podkreślają doniosłość żałoby. Na Madagaskarze, gdy ktoś umiera, w całej wiosce nie tylko przerywa się wszelkie zajęcia, by uczestniczyć w żałobie, lecz także organizuje się aż dwa pogrzeby. Podczas pierwszego ciało zostaje pochowane w atmosferze smutku i skupienia. Nieco później odbywa się druga ceremonia, połączona z zabawą - jest to tak zwane odejście ciała.

Tym sposobem strata bliskiej osoby jest akceptowana dwukrotnie.

Nie chodzi też tylko o śmierć. Istnieją jeszcze inne „wydarzenia końcowe”: odejście z pracy, odejście od partnera życiowego, odejście z rodzinnego domu.

Żałoba stanowi wtedy swego rodzaju formalność, którą wielu uważa za niepotrzebną, choć taką nie jest. Bardzo ważne jest wyznaczanie etapów. Każdy ma prawo do własnych rytuałów żałobnych. A te mogą być od najprostszych, jak na przykład zgolenie wąsów, zmiana fryzury lub stylu ubierania się, po najbardziej szalone: zorganizowanie wielkiego przyjęcia, upicie się do nieprzytomności, skok ze spadochronem...

Gdy żałoba nie jest odpowiednio przeżyta, poczucie braku swobody zakorzenia się w nas niczym uciążliwy chwast.

Być może należałoby uczyć o znaczeniu żałoby już w szkole. Zaoszczędziłoby to, w

przyszłości, wielu lat cierpienia.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

135. JACQUES. 21 LAT

Jeden z moich kolegów z pracy chce wezwać policję, gdyż pewna klientka restauracji nie ma pieniędzy, żeby zapłacić za posiłek.

Przyglądam się jej. Jest wątła, delikatna, cała ubrana na czarno. Przypomina mi pisklę, które wypadło z gniazda. W ręce trzyma książkę *Kwiaty dla Algernona* Daniela Keyesa.

Reguluję za nią należność i pytam, o czym jest jej książka. Ona dziękuje mi, mówi, że nie powinienem był tego robić, a następnie zgadza się porozmawiać ze mną na temat książki. To opowieść o mężczyźnie, kompletnym idiocie, który staje się inteligentny dzięki specjalnej terapii farmakologicznej, która zadziałała na mysz zwaną Algernon. Chory psychicznie człowiek opowiada historię swojego życia i ozdrowienia w pierwszej osobie. Czytając, mamy wrażenie, że uczestniczymy w odzyskiwaniu przez niego zmysłów. Sposób pisania ewoluuje w trakcie powieści. Gdy jeszcze był idiotą, robił błędy ortograficzne niemal w każdym słowie, nie używał znaków przestankowych, ale w miarę postępu kuracji widzimy, jak się rozwija.

Dziewczyna przedstawia się. Nazywa się Gwendoline. Dodaje, że o ile jej wiadomo, pisarz ów, Daniel Keyes, napisał tylko tę jedną książkę, lecz stworzenie takiego arcydzieła daje mu prawo, by umrzeć w spokoju. Jego „misja dla ludzkości” została wypełniona. Zrealizował dzieło, dla którego został stworzony. Gwendoline uważa, że każdy z nas ma swoje dzieło do wykonania i dopiero gdy wypełni swoją funkcję, może umrzeć.

Patrzę na nią. Jej oczy w kształcie migdałów błyszczą, ma bardzo jasną skórę. Moim zdaniem dziewczyna, która czyta science fiction, musi być interesującą osobą. Ma jeszcze jedną cechę, która mi się w niej podoba - wygląda na bardziej zagubioną ode mnie.

Idziemy razem. Wyjaśnia mi, że jest przeklętą poetką. Mówię, że dobrze się składa, bo ja jestem przeklętym pisarzem.

Gwendoline jest przekonana, że znajdujemy się na tej Ziemi po to, by cierpieć i uczyć się na własnych błędach.

Idziemy dalej w milczeniu. Ujmuję ją za rękę - jest lodowata. Rozgrzewam ją w swojej dłoni. Dziewczyna zatrzymuje się i wpatruje we mnie z miną zagubionej myszki. Stwierdza, że wyglądam jej na sympatycznego człowieka i że ma ochotę się ze mną kochać, ale jak do tej pory unieszczęśliwiała wszystkich mężczyzn, z którymi się kiedykolwiek umawiała.

- Będę wyjątkiem.

- Przynoszę pecha - wzdycha.

- Nie jestem przesądny. A wiesz dlaczego? Bo bycie przesądnym... przynosi pecha.

Gwendoline zmusza się do uśmiechu, lecz po chwili znów radzi mi, bym ją zostawił.

Kilka tygodni później ta mała porzucona myszka wprowadza się do mojej kawalerki. Bardzo szybko okazuje się, że jest doskonałą panią domu. Problem polega jednak na tym, że kiedy się kochamy, odnoszę wrażenie, że chce wyświadczyć mi tym przysługę albo opłacić w ten sposób czynsz.

Od czasu do czasu spogląda na mnie swoimi wielkimi oczyma i mówi: „Lepiej będzie, jeśli odejdę, jestem dla ciebie zbyt dużym ciężarem”. Wtedy staram się ją pocieszyć. Kupuję jej kolorowe ubrania. Czerń na co dzień robi się nieco monotonna. A ona wkłada je raz, a potem chowa do szafy. Zabieram ją do kina na filmy Monty Pythona. Jako jedyna na sali Gwendoline się nie śmieje. Mówię jej o „telewizji zen” - mojej nowej filozofii, polegającej na całkowitym wyzbyciu się wszelkich myśli poprzez intensywne oglądanie telewizji. Bez skutku. Mona Lisa II łąsi się do niej, lecz ona głaszcze jej futerko automatycznie, zagubiona w swoich myślach.

Wieczorem wślizguje się delikatnie do mojego łóżka, jej lodowate stópki dotykają moich łydek. Pyta, czy chcę się kochać, jak gdyby pytała kontrolera w metrze, czy konieczne jest skasowanie biletu, a następnie zasypia, głośno chrapiąc. W środku nocy kopie mnie i gestykuje, jak gdyby walczyła z niewidzialnym wrogiem, jęcząc przy tym cichutko.

Wraz z Mona Lisą II postanawiamy podjąć wyzwanie i wyrwać tę młodą damę z rozpaczy.

Gwendoline zostawia zapalonego papierosa w pościeli i moja urocza kawalerka omal nie idzie z dymem. Zapomina zakręcić kurki w łazience i cała łazienka zostaje zalana. Nie zamyka drzwi na klucz i niechciani goście zabierają mi moją wieżę hi-fi.

Za każdym razem dziewczyna przeprasza mnie, zalewa się łzami, wtula w moje ramiona i przypomina: „Mówiłam ci, że przynoszę pecha”. A ja za każdym razem odpowiadam: „Ależ nie, ależ nie...”.

Obecność Gwendoline sprawia, że mam ochotę przepisać na nowo i poprawić *Szczury*. Czuję się w obowiązku odnosić sukcesy za nas oboje.

Spycham kota z kolan, zarzucam koc na telewizor, by przestał się na mnie gapić swoim wielkim, kwadratowym okiem. Siadam ponownie do klawiatury i po raz trzydziesty zaczynam moją powieść o szczurach: strona 1.

Muszę postawić sobie poprzeczkę jeszcze wyżej. Potrzebna mi jest intryga, która wzbudzi ciekawość nawet najbardziej tępych wydawców.

Wpadam na nowy pomysł: stworzyć w głębi kanałów miejsce, gdzie dzieć się będą straszliwe i tajemnicze rzeczy, których nie będę opisywał. Wiadomo: wyobrażnię najbardziej pobudza to, czego nie widać. Każdy czytelnik znajdzie w moich ściekach to, czego najbardziej się boi.

Mona Lisa II daje mi znak pyszczkiem, że powinienem napisać coś o lustrze. Opisać scenę, w której szczur dostrzega swoje odbicie w lustrze. Ty to się na wszystkim znasz, moja droga Mona Liso! Zawsze będę słuchał twoich rad. Ziemia nie jest moją planetą, ale zdecydowanie ty jesteś z mojej. Być może pochodzę z niebieskiego królestwa kotów. Egipcjanie czcili koty, które według nich były bogami.

Mona Lisa II jest być może moją muzą, której od dawna szukałem.

Piszę przez całą noc.

136. IGOR. 21 LAT

Otrzymawszy stopień starszego sierżanta, powołałem nowe komando Wilków. Wybrałem najbardziej zażartych rekrutów. Wpoilem im zdanie: „Bądź szybki albo martwy”. Wymyśliłem mnóstwo gier, które miały na celu rozwijanie ich odruchów i zwinności. Żonglują odbezpieczonymi granatami, potrafią unikać strzał lecących prosto na nich, kładą dłonie na stole i sprawdzają się w jak najszybszym trafianiu nożem między palcami. Niektórzy są tak zwinni, że potrafią gołymi rękami łapać małe króliczki. Coś w nich rozbudziłem - zwierzę. Coraz mniej mówią. Żaden z nas nie pograży się w nudnej, intelektualnej dyskusji. - Kiedy jeden Wilk zwraca się do drugiego, to tylko po to, by go ostrzec: „Uwaga, za tobą!”. Tak naprawdę nie wypowiada nawet słowa „uwaga”, tylko „za tobą”. Słowa mają pomóc nam przeżyć. Wilki reagują na każde moje skinienie. Nie jestem już sierżantem - jestem przewodnikiem stada.

Wzięliśmy wspólnie udział w wielu misjach, o których nikt nigdy nie wspomni w

podręcznikach do historii, za to które świetnie nadawałyby się na kanwę filmów z moimi amerykańskimi idolami, takimi jak Sylvester Stallone czy Arnold Schwarzenegger.

Stanisław stał się moją prawą ręką, to on karci Wilki, które nie spełniają dostatecznie szybko moich rozkazów, albo które nie rozumieją mnie w pół słowa. Jest bardzo skuteczny. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce już wcale nie będziemy musieli używać słów, by się porozumieć - będziemy połączeni ze sobą telepatycznie.

Kiedyś spotkałem człowieka, który powiedział: „Cieszę się, że zostałem Wilkiem, bo jak do tej pory nigdy mi się nie szczęściło”. Odpowiedziałem mu, że ludzie, którym nie sprzyja szczęście, nie mają czego szukać w naszej grupie i wywaliłem go.

Myślę, że w życiu ważne są trzy czynniki: talent, szczęście i praca. Gdy sprzyjają nam dwa z nich, mamy szansę odnieść sukces. Wystarczy praca i szczęście, nawet jeśli nie ma się talentu. Talent i praca mogą wynagrodzić brak szczęścia. Talent i szczęście pozwalają uniknąć pracy. Najlepiej jednak posiadać wszystkie trzy. Żądam więc od moich Wilków, by prócz naturalnej zręczności i ciągłego treningu, regularnie podtrzymywali poziom swojego szczęścia.

Zapoznałem ich z moją nową teorią: każdy z nas ma swojego anioła stróża.

Kiedy coś nie gra, trzeba bez wahania pomodlić się do niego. Stanisław opowiedział kilka anegdotek o tym, jak jego anioł stróż ocalił go od niebezpieczeństwa. Myślę, że dzięki temu moje Wilki przyswoiły sobie podstawy mistycyzmu.

Wataha sieje wokół spustoszenie. Tym większe, że przeciwnicy ufają wyłącznie swojemu sprzętowi wojennemu. Owieczkom wydaje się, że obronią ich radary, miny i nowe strzelby szturmowe, które otrzymali od wrogów Rosji. Biedni naiwniacy. Którykolwiek z moich Wilków gołymi rękoma jest w stanie dokonać tego, co wy i wasze elektroniczne roboty. Bo jest w nas wściekłość i pasja, a żadne urządzenie tego nie ma.

Na mojej piersi pojawia się coraz więcej medali, co w moim kraju wiele znaczy. Straciłem kilku chłopców, którym zabrakło szybkości w najważniejszym momencie. Naturalna selekcja, jak mawiał Darwin. Słabsi giną szybciej.

Moi komandosi podziwiają mnie i szanują, choć trochę się mnie boją. Bardzo bym chciał, żeby któregoś dnia ktoś mnie pokochał. Chciałbym zakochać się z wzajemnością w zwyczajnej dziewczynie.

Być może musiałbym w tym celu zdobyć jeszcze więcej medali. Medale robią wrażenie na dziewczynach.

Spodobałyby się Venus. Znów zobaczyłem jej zdjęcie w gazecie, w którą owinięta była amunicja. Podobno zdobyła tytuł Miss Universe.

137. VENUS. 21 LAT

Odkąd zostałam Miss Universe, ze wszystkich krajów otrzymuję zaproszenia na pokazy mody, sesje zdjęciowe i wywiady w telewizji. Wszyscy chcą usłyszeć moje zdanie na każdy temat. Jak gdyby bycie najpiękniejszą równało się z byciem inteligentną... Billy Watts, mój agent - musiałam kogoś zatrudnić - radzi mi, bym mówiła, co mi tylko przyjdzie do głowy. Przecież skoro się nie znam na tych wszystkich sprawach, to i tak nie ma znaczenia, co powiem. I muszę przyznać, że to działa. Nawet całkiem dobrze. Najwyraźniej ludzie lubią spontaniczność. Spytałam, czy fakt, że nie mam pojęcia, o czym jest mowa, nie stanowi problemu, lecz Billy zapewnił mnie, że wręcz przeciwnie: prości ludzie „rozpoznają się” w mojej „ignorancji”. I nagle okazuje się, że nawet politycy mnie cytują: „Jak słusznie mówi Venus Sheridan...”.

Bawi mnie to. Nie mam nawet matury, ale absolwenci Harvardu powołują się na moje słowa! Ci politycy naprawdę już nie wiedzą, co robić, by zbliżyć się do ludu.

À propos wojny w Czeczenii wyraziłam swego czasu opinię, że to źle i wszystkim bardzo się to spodobało. Ogólnie rzecz biorąc, moja opinia powstaje w trakcie odpowiedzi na zadawane mi pytania. Najpierw wyrażam swoje zdanie spontanicznie, a dopiero później zastanawiam się nad całą kwestią. Może się to wydawać głupie, ale działa. Zdałam sobie w ten sposób sprawę, że jestem przeciwna wojnie, czyli generalnie przeciwna przemocy, zanieczyszczaniu środowiska, biedzie i chorobom.

Jestem też zdecydowanie przeciwko głupocie, złości i brzydocie. Jestem gotowa podpisać wszystkie petycje z tym związane.

Co do małych fok, to muszę się zastanowić. Jeśli otacza się je nadmierną ochroną, tracą biedni Eskimosi, którzy utrzymują się z polowań na te zwierzęta. Na temat liberalizacji lekkich narkotyków, zakazu noszenia broni i zniesienia kary śmierci muszę dłużej pomedytować. Nie umiem jak na razie rozróżnić, kto w tej bajce jest dobry, a kto zły, obiecuję jednak wkrótce wydać swój werdykt. Pewna dziennikarka spytała, na którego z kandydatów zagłosuję podczas wyborów, na republikanina czy na demokratę. Odpowiedziałam: „Na tego, który lepiej się ubiera”. To także się spodobało. Dziennikarze stwierdzili, że nie można mojej uwagi traktować dosłownie. W telewizji zilustrowano moją wypowiedź zdjęciami tyranów Trzeciego Świata, przy czym nietrudno było się zorientować, że ci ludzie są bardzo, ale to bardzo źle ubrani.

Wprowadziłam się do ślicznego loftu w modnej dzielnicy i widuję się z mamą tylko

raz w tygodniu. Trochę jej odbija. Za dużo pije i za często zmienia partnerów. Ja także zawieram sporo znajomości, ale umiem się nie angażować. Lubię pogrywać sobie z moimi kochankami.

Z początku czułam się w obowiązku znajdować mniej lub bardziej sensowne wymówki: „Kocham innego” albo „Nie znoszę twoich przyjaciół”. Teraz już się tak nie staram. „Już mnie nie bawisz” powiedziane z obrażoną miną musi im wystarczać.

Jedynym ciemnym punktem na tym idyllicznym obrazku jest fakt, że coraz częściej męczy mnie migrena. Byłam u wielu lekarzy, lecz żaden z nich nie potrafił mi pomóc. Nie mogą zrozumieć, co mi dolega.

Coraz więcej palę. To nieco uśmierza ból głowy. By zasnąć, potrzebuję coraz większych dawek środków nasennych.

Ataki lunatyzmu pojawiają się naprzemiennie z migrenami. Tak czy owak nadal ufam swoim snom.

Telefon. Billy Watts oznajmia mi, że jestem brana pod uwagę przy wyborze twarzy jednej z bardziej znanych marek francuskich perfum. Szykuje się kontrakt stulecia. Skaczę z radości. Jeśli uda mi się podpisać tę umowę, będę mogła przestać martwić się o pieniądze do końca moich dni. Jest jednak pewien szkopuł. Billy Watts twierdzi, że drugą kandydatką na tę posadę jest Cynthia Cornwell. Jestem wściekła. Cynthia Cornwell jest moją główną rywalką. Jest czarna, tak jak ja. Wysoka. Częściowo poprawiona, jak ja. Uśmiecha się tak samo jak ja. I... jest młodsza. Ma zaledwie siedemnaście lat, a to może przeważać szalę.

Billy Watts uważa jednak, że powinnam być dobrej myśli. Ludivine, jego medium, powiedziała mu, że to ja wygram.

Jeśli o mnie chodzi, chętnie zaufam jakiemuś medium, ale nie w sprawach dotyczących koncernów kosmetycznych. Znam urzędasów, którzy zarządzają tymi przedsiębiorstwami. Zawsze promują młodość. Wiem, że będą woleli Cynthię. Poza tym ja stałam się już nieco opatrzona w mediach i w wieku dwudziestu jeden lat uchodzę niemal za człowieka instytucję, Cynthia ma zaś tę zaletę, że jest dopiero wschodzącą gwiazdą.

Modłę się. Jeśli jest tam, w górze, ktoś - mój anioł stróż - to chcę... **ŻEBY TA PINDA ZOSTAŁA OSZPECONA!**

TYRANIA LEWEJ PÓŁKULI: Jeśli rozdzielimy obie półkule mózgowe i przedstawimy humorystyczny rysunek lewemu oku (odpowiadającemu prawej półkuli), zasłaniając przy tym prawe (odpowiadające lewej półkuli), badany roześmieje się. Jeśli jednak zapytamy go, dlaczego się śmieje, człowiek ten, którego lewa półkula nie będzie świadoma dowcipu, wymyśli wyjaśnienie dla swojego zachowania: „Bo koszula eksperymentatora jest biała, a kolor ten wydaje mi się prześmieszny”.

Lewa półkula stwarza logiczne wyjaśnienie, nie chcąc przyznać, że człowiek śmiał się bez przyczyny lub z jakiegoś niewiadomego powodu. Co więcej: cały mózg szybko przekona się, że przyczyną śmiechu była koszula eksperymentatora i całkowicie zapomni o rysunku, który przedstawiono prawej półkuli.

We śnie lewa półkula zostawia prawą w spokoju. Ta z kolei tworzy swój własny, wewnętrzny film: postacie we śnie zmieniają twarze, miejsca nie pasują do siebie, zdania nie mają sensu. Jednak po przebudzeniu lewa półkula odzyskuje władzę nad całością mózgu i rozszyfrowuje wspomnienia senne w taki sposób, by te utworzyły sensowną całość (z jednością czasu, miejsca i akcji). W miarę upływu dnia sen staje się w pełni logiczny.

Pomijając marzenia senne, niemal bezustannie poddawani jesteśmy atakom informacji niezrozumiałych, które na bieżąco są interpretowane przez naszą lewą półkulę.

Ta tyrania lewej półkuli jest niełatwa do zniesienia. Niektórzy upijają się albo narkotyzują, by uniknąć nieubłaganej racjonalności. Używając jako pretekstu chemicznego zatrucia zmysłów, prawa półkula pozwala sobie na dowolne tworzenie zdań, wyzwolona od swojego stałego stróża.

Patrzący na taką osobę z boku powiedzą: bredzi, ma halucynacje - a ona tylko próbuje sobie ulżyć.

Nie wspomagając się żadną chemią, wystarczyłoby jedynie pogodzić się z faktem, że świat może być niepojęty. Wtedy zaczęlibyśmy otrzymywać nieprzetworzone informacje z prawej półkuli. Wracając do przykładu podanego na początku, jeśli pozwolimy naszej prawej półkuli wyrażać się swobodnie, poznamy właściwy dowcip. Ten, który tak naprawdę nas rozśmieszył.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

139. IGOR. 21 LAT I 2 MIESIĄCE

Staram się. Wraz z moimi Wilkami dewastujemy całą okolicę. Zdobywamy szturmem pozycje nieprzyjaciela, przy czym nasze straty są umiarkowane. Któregoś dnia pułkownik Dukuskoff odwiedza mnie na froncie. Wygląda na zadowolonego. Kładzie mi ręce na ramionach i oświadcza:

- Mam doskonałą nowinę.

Podejrzewam, że musi chodzić o nową dostawę kałasznikowów. Już od dawna obiecywano nam wymienić stary sprzęt. Wiem nawet, komu powierzę nową broń do przetestowania.

- Wojna się skończyła.

Oddech zamiera mi w piersi. Pułkownik powtarza.

- Pokój.

Z trudem dukam:

- Po... kój...

A więc jednak skorumpowana władza na Kremlu ugięła się pod naciskiem mafijnych kapitalistów amerykańskich i postanowiła podpisać traktat z przedstawicielami oddziałów czeczeńskich. To najgorsza rzecz, jaką mogłem usłyszeć. Chciałbym, żeby ta chwila nigdy nie miała miejsca. Pokój. POKÓJ?! Gdy już, już mieliśmy zwyciężyć?! Nie śmiem się dopytywać, dlaczego zrezygnowaliśmy. Nie śmiem sygnalizować, że kto wie, czy w tej właśnie chwili moje Wilki nie zdobyły jednego z punktów strategicznych nieprzyjaciela. Nie wspominając już o straszliwych czynach, jakich dopuścili się Czeczeni: o dzieciach wykorzystywanych jako żywe tarcze, o torturach stosowanych wobec moich ludzi. I to z nimi mamy zawrzeć pokój?! Pytam z odrobiną nadziei w głosie:

- Czy... to żart?

Pułkownik jest wyraźnie zdziwiony.

- Nie, to oficjalna informacja. Traktat został podpisany już wczoraj.

Czuję, że opuszczają mnie siły.

Dukuskoff jest przekonany, że to ze wzruszenia, ze szczęścia. Podtrzymuje mnie za ramię. Czy to możliwe, żeby ludzie aż tak się mylili? Czy oni naprawdę nie zdają sobie sprawy z tego, co robią? Byliśmy o krok od zwycięstwa w tej wojnie! Mogliśmy zdobyć wszystko! A tu... negocjacje. Cóż tu można było negocjować? Prawo do utraty wszystkiego, co się posiadało!

Co się teraz ze mną stanie?

Porzucam las, moją watahę, moje przestrzenie. Oddaję mundur, broń, żołnierskie buty. Wracam do Moskwy z konwojem i znikam w świecie geometrycznych miast.

Dżyngis-chan - podobno - nienawidził miast. Twierdził, że zamykanie ludzi na niewielkim terytorium opasanym murami sprzyja zgniliznie umysłów, gromadzeniu się śmieci, rozprzestrzenianiu chorób i małostkowości. Dżyngis-chan zniszczył tyle miast, ile tylko zdołał, a i tak to mieszczenie mieli ostatnie słowo.

Powracam do życia w cywilu. Muszę znaleźć sobie mieszkanie, lecz nie umiem wypełnić żadnego formularza. Nienawidzę papierkowej roboty... Wynajmuję maleńkie lokum, brzydkie, hałaśliwe i drogie, z całą hordą sąsiadów, którzy krzywo na mnie patrzą. Tęsknię za biwakowaniem na świeżym powietrzu. Gdzie są drzewa? Gdzie moje Wilki? Gdzie moje czyste powietrze?

Ubrania uwierają mnie niczym niewygodny pancerz - wydają mi się strasznie niepraktyczne. Spodnie, koszulka polo i sweter. Brakuje mi kieszeni, a tkaniny są zbyt miękkie, bym mógł przypiąć do nich moje medale.

Z trudem przystosowuję się do życia w społeczeństwie. Na wojnie wystarczało się bić, by zdobyć to, co się chciało. Tu liczy się tylko jedno: pieniądze. Trzeba płacić i tylko płacić.

Łudziłem się, że obecna władza jakoś mi pomoże - okazało się, że jest dokładnie odwrotnie. Wszyscy raczej obawiają się kombatantów. Oglądam w kółko filmy ze Stallone'em i Schwarzeneggerem, piję wódkę na umór. Musimy wypowiedzieć wojnę Zachodowi. Jestem gotów!

Do moich drzwi dzwoni listonosz. Przynosi mi pierwszy „emerycki” żółd. Otwieram kopertę i przeliczam banknoty. Wynagrodzenie „zbawcy narodu” wynosi tyle, co pół miesięcznej pensji zwykłego sprzedawcy kanapek!

Zasługuję na więcej! Chcę więcej pieniędzy! Chcę mieć duże mieszkanie. Chcę mieć daczę na wsi, jak wysocy rangą funkcjonariusze. Chcę mieć limuzynę. Dość już się nacierpiałem, teraz chcę być bogaty.

Hej tam, w górze! Aniele stróżu, jeśli mnie słyszysz: CHCĘ BYĆ BOGATY!

140. MODLITWY

Przecieram oczy. Oglądanie żywotów moich klientów mnie wyczerpuje. Denerwuję się, że nie rozumiem snów, które im zsyłam. Drażni mnie dawanie im znaków, których nie dostrzegają. Do rozpaczki doprowadza mnie zsyłanie intuicji, której nie słuchają. Chcę być

dobrym uczniem, ale muszę widzieć choćby najmniejsze rezultaty, by mieć ochotę kontynuować tę robotę. Wyruszam na poszukiwanie Edmunda Wellsa.

- Wiem, że najważniejszym zadaniem aniołów jest spełnianie życzeń klientów, ale moich naprawdę niełatwo jest zaspokoić - żalę się mentorowi. - Jacques cały czas marzy tylko o znalezieniu wydawcy dla swoich wypocin o szczurach.

- Daj mu to, o co prosi.

- Igor chce być bogaty. Ma wygrać w lotto?

- W ten sposób pomożesz mu tylko wygrać w lotto - w rzeczywistości stałby się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Otoczyliby go ludzie chcący skorzystać na jego fortunie. Nie wystarczy chcieć być bogatym, trzeba jeszcze umieć radzić sobie z pieniędzmi. On jeszcze nie jest na to gotowy. Niech się wzbogaca, ale stopniowo. Następny?

- Venus chce, żeby jej rywalka, inna czarna modelka na fali, została... oszpecona!

- Spełnij jej życzenie - nakazuje chłodno Edmund Wells.

Mam wrażenie, że się przesłyszałem.

- Wydawało mi się, że mamy pomagać ludziom.

- Przede wszystkim musisz zadowalać swoich klientów. Jeśli chcą popełniać głupstwa, od tego mają wolną wolę. Uszanuj ją.

Edmund Wells zabiera mnie na spacer nad Rajem.

- Wiem, co cię trapi, Michaelu. Bycie aniołem to niełatwa sprawa. Ludzie wyrażają drobne, czasami nic nieznaczące życzenia. Możesz odnosić wrażenie, że boją się być szczęśliwi. Ich problem można podsumować jednym zdaniem: „Nie chcą budować swojego szczęścia, wolą zamiast tego umniejszać nieszczęście”.

Powtarzam sobie tę myśl, by dobrze ją zrozumieć. „Nie chcą budować swojego szczęścia, wolą zamiast tego umniejszać nieszczęście...”

Edmund Wells ciągnie swoje przemówienie:

- Chcą, żeby mniej bolały ich zęby, żeby niegdyś wyczekiwane dzieci przestały wrzeszczeć, kiedy oni oglądają telewizję, i żeby teściowa przestała im psuć niedzielne obiady swoją obecnością. Gdyby tylko mieli świadomość tego, do czego jesteśmy zdolni! Jeśli chodzi o biedną Cynthię Cornwell, rywalkę Venus, będziesz musiał wynegocjować „wypadek” z jej aniołem stróżem, chociaż nie przewiduję tu kłopotów, gdyż tym sposobem zarobi ona więcej punktów jako „męczennica”. I jeszcze jedna rzecz, na którą chciałem ci zwrócić uwagę, Michaelu. Nie wiem, czy już to wyczułeś, ale... zmieniły się nieco sposoby oddziaływania na twoich klientów. Igor dawniej wypatrywał znaków, teraz raczej ufa intuicji. Venus brała pod uwagę sny, teraz zaczyna się interesować możliwościami mediów. Zaś

Jacques, na którego dawniej największy wpływ miał kot, teraz będzie bardziej wyczulony na to, co mu się przyśni.

141. JACQUES. 22 LATA

Przyśnił mi się koszmar. Widziałem płaczącego wilka. I dziewczynę, która zmieniła się w balon. Dziewczynka-balon oderwała się od ziemi i wznosiła wysoko, wysoko. Wilk patrzył na nią i był smutno. Ptak bez skrzydeł dziobał w dziewczynkę-balon, chcąc sprowadzić ją na ziemię, ale jej powłoka była za twarda. Ptak bez skrzydeł zwrócił się więc do mnie i powiedział: „Mówić o śmierci”. „Mówić o śmierci”.

Wilki wył. Ptak stukał nóżką w dziewczynkę. A ja obudziłem się i zorientowałem, że Gwendoline znów mnie kopie przez sen.

Jej także coś się śniło. Mówiła: „To się musi skończyć”, a następnie, jakby odpowiadając komuś: „Nie, tylko nie ja, tylko nie to” albo „Do tego nie dojdzie, proszę mi wierzyć” i cały czas kopała mnie, jakby brała udział w jakiejś walce.

Nagle poczułem na sobie jeszcze czyjeś łapki. To Mona Lisa II. Ona również porusza się przez sen. Ma zamknięte ślepia, zmarszczone brwi i zadaje szybkie ciosy łapkami o wysuniętych pazurkach. O ile mnie nie dziwi, że ludzie mają lęki, to przeraża mnie myśl, że nawet mój kot ma koszmary.

W poczekalni u weterynarza - tłum. Obok mnie chłopak trzyma w objęciach kota równie otępego jak mój.

- Co mu dolega?

- Krótkowzroczność. Medor już niemal klei się do ekranu telewizora.

- Nazywa się Medor?

- Tak, bo zachowuje się jak uległy piesek. Brak mu niezależności. Przybiega, gdy tylko go zawołam... W każdym razie psuje mu się wzrok i być może będzie musiał nosić okulary.

- To zapewne wina powszechnej mutacji gatunków zwierzęcych... Mój też siada coraz bliżej telewizora.

- Cóż, jeśli weterynarz internista nie zdoła mu jakoś pomóc, pójdę do weterynarza okulisty, a jeśli ten też nic nie poradzi, zgłoszę się do weterynarza psychoanalityka.

Wybuchamy śmiechem.

- A co z twoim kotem?

- Mona Lisa II ma koszmary. Wciąż jest zdenerwowana.

- Może nie jestem weterynarzem, ale mogę dać ci pewną radę. Kot doznaje często katharsis swojego pana. Przeżywa twoje cierpienia. Musisz się wyciszyć, a i kot się uspokoi. Wyglądasz mi na kłębek nerwów. Innym sposobem jest postaranie się o dzieci. Kot będzie miał rozrywkę.

Czekamy nadal. Przed nami jeszcze około dziesięciu pacjentów, co daje nam czas na dalszą rozmowę. Mężczyzna przedstawia się:

- Rene.

- Jacques.

Pyta, czym się zajmuję. Mówię, że jestem kelnerem w restauracji. On jest wydawcą. Nie śmiem mu powiedzieć o moim manuskrypcie.

- Coś czuję, że jeszcze tu poczekamy. Umiesz grać w szachy? Mam przy sobie przenośną szachownicę.

- Zgoda, zagrajmy.

Szybko orientuję się, że bez trudu go pokonam, lecz przypomina mi się pewna rada Martine. Prawdziwe zwycięstwo nie może być zbyt rażące, musi wyglądać na „o mały włos”. Tłumię więc w sobie zapał i pozwalam, by siły się wyrównały. Zrezygnowawszy ze zdobycia przewagi, czy będę zdolny również do oddania zwycięstwa? Niektóre porażki mogą być ciekawe... Pozwalam mu wyjść na prowadzenie. Szach i mat.

- Jestem tylko niedzielnym graczem - puszy się Rene. - W pewnej chwili miałem wrażenie, że przegram.

Robię niezadowoloną minę.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że wygram.

I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zdobywam się na odwagę, by opowiedzieć mu o moim manuskrypcie.

- Prawdę mówiąc, nie tylko kelneruję - po pracy staram się pisać.

Rene przygląda mi się z politowaniem.

- Wiem, wszyscy starają się pisać. Podobno co trzeci Francuz ma w swojej szufladzie gotową książkę. Rozesłałeś swoją do wydawców, ale oni ją odrzucili, prawda?

- Wszyscy, co do jednego.

- To normalne. Zawodowi recenzenci zarabiają grosze na opiniowaniu manuskryptów. Żeby mogło im się to opłacać, muszą czytać po dziesięć książek dziennie. Zazwyczaj kończą po pierwszych sześciu stronach, które na ogół okazują się nudne. Trzeba mieć duże szczęście,

by trafić na entuzjastycznie nastawionego czytelnika.

Mój rozmówca daje mi do, myślenia.

- Nie miałem pojęcia, że tak to się odbywa.

- Najczęściej recenzent sugeruje się ogólnym wyglądem, tytułem i liczbą błędów ortograficznych w kilku pierwszych liniach. Ach, ta francuska ortografia! Wiesz, skąd się wzięły te wszystkie podwójne spółgłoski?

- Z etymologii greckiej albo łacińskiej, jak sądzę.

- Nie tylko - wyjaśnia mi wydawca. - W średniowieczu mnichom kopistom płacono od liczby przepisanych liter. Dogadali się więc między sobą i zaczęli podwajać spółgłoski. A my kontynuujemy tę tradycję, jak gdyby chodziło o skarb narodowy, a nie o zwykły klasztorny przekręt.

Zbliża się kolej Rene i jego kota. Podaje mi swoją wizytówkę: Rene Charbonnier.

- Przyślij mi swoją książkę. Obiecuję, że przeczytam nieco więcej niż sześć pierwszych stron i szczerze powiem, co o niej myślę. Ale nie rób sobie złudzeń, mimo wszystko.

Następnego dnia składam maszynopis pod wskazanym adresem. Kolejnego dnia otrzymuję wiadomość od Rene, że zdecydował się wydać moją książkę. Prawie nie chce mi się w to wierzyć! Jestem przeszczęśliwy! A więc mój wysiłek nie poszedł na marne!

Dzielę się tą dobrą nowiną z Gwendoline. Świątujemy to wydarzenie przy szampanie. Czuję się, jakby wielki ciężar spadł mi z serca. Muszę wrócić na ziemię. Powrócić do dawnych zwyczajów. Podpisuję umowę, staram się zapomnieć o przepełniającej mnie radości i skupić się na pracy.

Za pieniądze za umowę kupuję dla Gwen, siebie i Mona Lisy II to, o czym od dawna marzyliśmy: abonament na telewizję kablową. Chcąc uspokoić nerwy, siadam w blasku rzucanym przez ekran. Trafiam na całodobową amerykańską sieć informacyjną, której głównym prowadzącym jest niejaki Chris Petters. Ta nowa twarz od razu wzbudza moje zaufanie. Mam wrażenie, że łączą nas więzy pokrewieństwa.

- Chodź, Gwendoline, pooglądajmy telewizję, opróżnimy sobie głowy z myśli.

Słyszę, że jest w kuchni i przygotowuje jedzenie dla kota, ale nie odpowiada.

Chris Petters przedstawia wiadomości dnia. Wojna w Kaszmirze, groźba ataku nuklearnego. Nowy rząd w Pakistanie, wywodzący się z ostatniego puczu, deklaruje, iż nie mając już nic do stracenia, zamierza bronić honoru wszystkich Pakistańczyków, miażdżąc znieawidzone Indie. Nowa moda: coraz więcej studentów notuje się na giełdzie, chcąc, by akcjonariusze finansowali w ten sposób ich naukę. Zwracają im później dług proporcjonalnie

do osiągniętych sukcesów. Amazonia: U'wa, leśny lud tubylczy, postanowił popełnić zbiorowe samobójstwo, jeśli nie zaprzestanie się pompować ropy naftowej na ich świętym terytorium. Twierdzą, że ropa jest krwią ziemi...

Kolejne zabójstwo seryjnego mordercy posługującego się sznurówką. Tym razem ofiarą padła znana aktorka i modelka Sophie Donahue. Morderstwa dokonano w następujący sposób...

- No chodź tutaj, Gwendoline!

Gwendoline pojawia się w drzwiach, ma smutną minę. Jest obrażona.

- Nie interesuje mnie to.

- Co się dzieje? - pytam, sadzając ją sobie na kolanach i głaszcząc ją po włosach, jak to robię często z kotem.

- Wydadzą twoją książkę. Mnie by się to nigdy nie udało.

142. ENCYKLOPEDIA

MASOCHIZM: U źródeł masochizmu leży obawa - przed bolesnym wydarzeniem, które ma nastąpić. Człowiek boi się, gdyż nie wie, kiedy zostanie poddany próbie i w jakim stopniu okaże się ona nieprzyjemna. Masochista rozumie, że temu lękowi można zapobiec poprzez sprowokowanie wydarzenia, którego tak się obawia. Wtedy przynajmniej wie, kiedy i w jaki sposób do niego dojdzie. Wywołując nieprzyjemne doznania, masochista ma poczucie, że wreszcie panuje nad swoim przeznaczeniem.

Im więcej bólu sobie zadaje, tym mniej obawia się życia. Wie, że nikt nie zdoła dorównać bólowi, jaki on sam sobie zada. Nie musi już nikogo się bać, gdyż sam jest swoim najgroźniejszym wrogiem.

Kontrola nad sobą samym pozwala mu również na łatwiejsze panowanie nad innymi.

Nic więc dziwnego, że tak wielu ludzi trzymających władzę ma w swoim życiu prywatnym tendencje masochistyczne, mniej lub bardziej spełnione.

Cena, jaką muszą za to zapłacić, jest jednak wysoka. Łącząc pojęcia cierpienia i kontroli nad losem, masochista staje się antyhedonistą. Nie pragnie już przyjemności, życie upływa mu na pogoni za nowymi, coraz bardziej bolesnymi próbami. Często popada w uzależnienie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

143. IGOR. 22 LATA

Brakuje mi pieniędzy? Cóż, sam je sobie zorganizuję. Rozpoczynam karierę włamywacza. Co mam do stracenia? W najgorszym wypadku znów wyląduję w więzieniu, gdzie jak podejrzewam, spotkam niejednego z mojej bandy Wilków. Stanisław wchodzi ze mną w spółkę. Wykorzystujemy ten sam sprzęt, co na wojnie. Z miotacza ognia przerzucamy się na palnik do spawania. Żaden zamek, żaden sejf nie jest w stanie mu się oprzeć. Na włamania najlepsza jest magiczna czwarta piętnaście nad ranem. O czwartej piętnaście na ulicy nie ma żadnych samochodów. Ostatni imprezowicze wreszcie kładą się spać, a pierwsi pracownicy jeszcze nie wstali. O czwartej piętnaście wszystkie główne arterie miasta są puste.

W ciągu dnia robimy rozpoznanie, a o czwartej piętnaście w nocy rozpoczynamy akcję. Tak jak na wojnie, potrzebny jest plan i strategia.

Jesteśmy właśnie w trakcie okradania bogatej willi położonej w północnej dzielnicy miasta, gdy Stanisław bierze do rąk portrecik stojący na jednym ze stolików i mówi:

- Hej, Igor, popatrz, czy ten facet z portretu nie przypomina ci tego, którego zdjęcie nosisz w swoim medaliku?

Drgnąłem. Porównuję obydwa zdjęcia i przyznaję, że nie może tu być cienia wątpliwości. Te same wąsy. Ta sama arogancka postura. To samo chytre spojrzenie. Włamaliśmy się do... domu mojego ojca. Rozglądam się uważniej wokół. Znajduję dokumenty i zdjęcia, które świadczą o tym, że mój ojciec stał się bogatym i ważnym człowiekiem, że posiada wiele domów i ma wielu wpływowych przyjaciół.

Tata porzucił mamę, gdy była jeszcze w ciąży ze mną, ale wcale nie jest pozbawiony potomstwa. Wręcz przeciwnie! W willi mieszka wiele jego dzieci!

Ogarnięty wściekłością chwytam za palnik i niszcę jedną po drugiej wszystkie zabawki z pokoju dziecięcego. Powinny należeć do mnie! Powinny wypełniać radością moje dzieciństwo! Nie dane mi było z nich korzystać, inni też nie będą mogli się nimi więcej cieszyć. Wreszcie opadam na kanapę, osłabiony przez poczucie niesprawiedliwości.

- Najpierw rozejm, a teraz jeszcze odnalezienie ojca, to dla mnie za dużo!

- Weź, wypij to, poczujesz się lepiej - mówi Stanisław, podając mi butelkę amerykańskiej whisky.

Dewastujemy wszystko w domu mojego ojca: meble, naczynia, przedmioty codziennego użytku. Dowie się dzięki temu, że istnieję. Pijemy jeszcze, by uczcić tę masakrę, wreszcie padamy na rozprute poduszki. Rano budzą nas milicjanci i prowadzą na komisariat.

Komisarz siedzący za biurkiem wygląda bardzo młodo. Pewnie trafił tutaj dzięki znajomościom. Jego twarz wydaje mi się znajoma. Wania. Nie zmienił się zbyt od czasów sierocińca. Wstaje i oświadcza, że ma do mnie żal. Ludzie, świat zwariował. Ma do mnie zapewne żal o to, że wyrządził mi tyle złego, a ja mu się nie odwdzieczyłem tym samym.

- Wybacz mi - zwracam się do niego, jak do opóźnionego w rozwoju.

- Wreszcie! - odpowiada. - Tyle przez ciebie wycierpiałem, wiesz? Dużo o tobie myślałem, po tym jak opuściłeś poprawczak.

Mam ochotę powiedzieć: „A ja bardzo szybko wyrzuciłem cię z pamięci”, ale milczę.

Wania przybiera wyraz twarzy, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałem - minę pełną obłudy.

- Jestem pewien, że uważasz, że to ja źle postąpiłem.

Grunt to nie dać się sprowokować.

- Myślałeś tak, co? Przyznaj się.

Jeśli potwierdzę, zezłości się, a jeśli zaprzeczę - uczyni to samo. Postanawiam milczeć. To najlepszy wybór. Zapewne moje milczenie zostaje przez niego zinterpretowane jako przyznanie się. Wania oznajmia, że przyjmuje moje przeprosiny i gotów jest pomóc nam w aferze z włamaniem. Ma na tyle dużą władzę, by sprawę umorzyć.

- Ale uwaga - dodaje - koniec z zabawami w złodziejasków. Nie chcę żadnej recydywy, bo następnym razem będę zmuszony cię zapuszkować.

Ściskam jego dłoń i ograniczam się do zdawkowego „dziękuję”. Ciao.

- Jeszcze jedno - dodaje Wania.

- Tak?

Stoję nieruchomo, licząc, że cena za jego pobłażliwość nie wzrośnie.

- Chciałem ci zadać pewne pytanie, Igorze...

- Wal...

- Dlaczego nigdy mi nie dołożyłeś?

Muszę zachować spokój. Nie denerwować się. Grunt to nie stracić panowania nad sobą. Ręka mi drży. Oczami duszy widzę ten jego świński ryjek rozgnieciony moją twardą pięścią. Czuję w ramieniu siłę ciosu, który mógłbym zadać. Ale dojrzałem. Zawsze powtarzałem moim Wilkom: „Nie bądźcie jak byki, które nacierają, gdy tylko im się pomacha przed oczami czerwoną płachtą. Nie dawajcie się ponieść emocjom. To wy, a nie przeciwnik, macie decydować, gdzie i kiedy uderzyć”.

Wania jest komisarzem otoczonym uzbrojonymi kolegami, wszystkich nie uda mi się pokonać. Poza tym, jeśli chciałby się do mnie dobrać, może zawsze zlecić zabicie mnie

jednemu ze swoich podwładnych. Nie zamierzam wszystkiego zaprzepaścić przez Wanę. Byłby to dla niego zbyt duży honor. Udało mi się oprzeć mamie, chładowi, chorobom, izolacji, kulom i pociskom, nie umrę przecież teraz na komisariacie milicji z powodu jednego drażliwego pytania.

Nie odwracając się, udaje mi się zmusić wargi do wypowiedzenia następujących słów:

- Hmm... Nie wiem. Może dlatego, że mimo wszystko cię lubię.

Oddychać. Oddychać głęboko. Łatwiej przychodziło mi zaatakować czeczeński bastion, niż powstrzymać się przed rozniesieniem na strzępy dawnego przyjaciela. No dalej, jeszcze tylko jedno zdanie:

- Miło cię było znów zobaczyć, Wania, ciao..

- Kocham cię, Igor - oznajmia Wania.

Wolę się nie odwracać.

- Co teraz robimy? - pyta mnie Stanisław.

- Gramy w karty.

W towarzystwie Stanisława zaczynam uczęszczać na wszystkie możliwe partie pokera w mieście. Szybko odnajduję dawne odruchy. Wyczytywanie znaków z twarzy i rąk, odróżnianie prawdziwych od fałszywych wiadomości, wysyłanie samemu fałszywych... To jakby logiczne przedłużenie moich wojennych wyczynów.

Wkrótce mój sposób grania ewoluuje. Nie potrzebuję już wypatrywać najlżejszego drżenia, domyślam się, jak postąpią moi przeciwnicy, nawet na nich nie patrząc. To tak, jakby fart albo pech emanowały z nich wraz z gęstym dymem papierosowym. Próbuję jednak wyłapać coś jeszcze bardziej nieuchwytnego: fale, które przekazywałyby mi wszystkie potrzebne informacje. Czasami je wyczuwam - jestem wtedy w stanie niemal dokładnie odgadnąć, jakie karty posiadają pozostali gracze.

Dzięki pokerowi zdobywam znacznie większy łup, niż bawiąc się we włamywacza. Tu przynajmniej nie potrzebuję paserów. Mogę od razu cieszyć się wygraną. Wygrywam i chowam pieniądze do kieszeni.

Gram z coraz bardziej upartymi przeciwnikami, ale oni przecież nie byli na wojnie. Nie panują nad nerwami tak jak ja, a strach przed przegraną czyni ich wyjątkowo przewidywalnymi... Gdy tylko licytacja osiąga wysoki poziom, zaczynają zachowywać się jak osaczona zwierzyna. Przestają myśleć, a zaczynają błagać. Pocierają amulety, głaszczą maskotki, wzywają swoich aniołów stróżów, bogów, duchy. Są załośni. Niczym owieczki prowadzone na rzeź.

Moja rosnąca sława otwiera mi już drzwi na prywatne partie pokera, w których

uczestniczą tylko bogaci i wpływowi ludzie. Dowiedziałem się, że mój ojciec także bierze w nich udział, robię więc wszystko, by wreszcie usiąść z nim przy jednym stole.

Oto i on.

Długo czekałem na tę chwilę. Jego twarz ukryta jest pod kapeluszem. Nie zostajemy sobie przedstawieni. Znajdujemy się w przestronnym salonie, ze ścian obwieszonych portretami patrzą na nas groźnym wzrokiem przodkowie. Sadowię się w adamaszkowym fotelu. Środek stołu oświetlony jest ostrym światłem. Stawki są olbrzymie, lecz dzięki moim poprzednim zwycięstwom nie brakuje mi amunicji. Jeden po drugim gracze wycofują się, w końcu zostaję sam na sam z tatą. Gra nieźle.

Dostrajam się do przenikającej wszystko fali.

- Ile kart? - pyta krupier po rozdaniu.

- Trzy.

- A pan?

- Dziękuję - odpowiada mój ojciec, nie patrząc na mnie. Widzę tylko rondo jego kapelusza.

Mam mu do zadania tyle pytań: chciałbym wiedzieć, dlaczego w ogóle mnie spłodził, dlaczego porzucił nas z mamą i wreszcie, dlaczego nigdy nie próbował mnie odnaleźć.

Licytujemy.

- Pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt i dorzucam sto.

Jestem niewystarczająco skoncentrowany. Kara spada na mnie bardzo szybko. Stawka robi się wysoka i przegrywam. Mój ojciec jest niewzruszony. Nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem. Chciałbym mu powiedzieć: „Jestem twoim synem”, ale powstrzymuję się. Nowe rozdanie i kolejna przegrana. Zdolny jest. Rozumiem już teraz, że talentu do gry w pokera nie zawdzięczam tylko naukom Wasyla - jest zapisany w moich genach. Mój ojciec to prawdziwy szelma. Najwyraźniej włamanie i zniszczenie domu wcale go nie dotknęły.

- Ile kart?

- Dwie.

Znów ten sam błąd. Ta sama kara.

Nowe rozdanie. Oddycham głęboko. Teraz albo nigdy, postanawiam użyć swojej tajnej broni - strategii Wasyla. Nie odwracam nawet otrzymanych kart, nie zaszczycam ich nawet jednym spojrzeniem i oznajmiam:

- Dla mnie to będzie wszystko!

Wreszcie coś się ruszyło. Ojciec zdejmuje kapelusz, ukazując masę siwych włosów.

Wiem, że w pierwszej chwili zastanawiał się, czy nie ma do czynienia z szaleńcem, teraz natomiast próbuje rozgryźć moje posunięcie. Tak czy owak przestał panować nad sytuacją. Teraz ja tu rządzę.

Poprosił o jedną kartę. Jedna karta oznacza, że ma w ręce dwie pary i ma nadzieję na fula.

Bierze kartę i wkłada ją byle jak pomiędzy pozostałe, bym nie mógł odgadnąć, czy pasuje do pozostałych. Żadnych znaków. Najmniejszego ruchu palców. Wzywam na pomoc intuicję. Czuję, że nie ma tego fula.

- Jaka stawka?

- Tysiąc - rzuca ojciec, nie odrywając oczu od kart.

Blefuje. Chce mnie wykończyć. Podnosi poprzeczkę, żeby mnie zmusić do zrezygnowania. Zważywszy, że jest to partia, w której nie patrzę nawet na swoje karty, nie pora teraz na poddanie się. Podbijam stawkę.

- Tysiąc pięćdziesiąt.

Krupier nie może się powstrzymać od uwagi.

- Hm... Podbija pan do tysiąca pięćdziesięciu, nie patrząc w karty i nie wymieniając ani jednej?

- Tysiąc pięćdziesiąt.

- Dwa tysiące - mówi ojciec.

- Dwa tysiące pięćdziesiąt.

- Trzy tysiące.

Niewzruszony, choć mam mokre ręce, ciągnę dalej:

- Trzy tysiące pięćdziesiąt.

Kwota zaczyna robić się znacząca, nawet dla niego. Wciąż nie spojrzął na mnie ani razu. Na tym musi polegać jego strategia. Chce, bym uwierzył, że nie musi patrzeć na swojego przeciwnika, by z nim wygrać. Z wciąż pochyloną głową, prosi o chwilę na zastanowienie. Czuję, że podniesie wzrok, by mi się przyjrzeć. Ale nie. Powstrzymał się.

- Dziesięć tysięcy - oznajmia, a w jego głosie słychać zdenerwowanie.

- Dziesięć tysięcy pięćdziesiąt.

Nie mam takiej kwoty. Jeśli teraz przegram, przez lata będę zmuszony spłacać dług ojcu, od którego nigdy niczego nie dostałem.

- Dwadzieścia tysięcy.

- Dwadzieścia tysięcy pięćdziesiąt.

Wreszcie masa siwych włosów porusza się i przekręca. Spojrzął na mnie. Widzę go z

bliska. Ma dokładnie takie same wąsy w kształcie kierownicy od roweru jak na zdjęciu, które noszę przy sobie. Nie jest piękny. Wygląda na kogoś, kto miał w swoim życiu wiele trosk. Próbuję dostrzec to, co mama w nim widziała. Patrzy na mnie, chcąc mnie zrozumieć. Jego oczy są szare i nie wyrażają praktycznie nic.

- Trzydzieści tysięcy.

- Trzydzieści tysięcy pięćdziesiąt.

Wokół nas słychać szepty. Zwabieni wysokością stawki, pozostali gracze porzucają swoje stoły i gromadzą się wokół naszego. Słychać szemranie.

Ojciec spogląda mi prosto w oczy. Wytrzymuję to spojrzenie. Pozwalam sobie nawet na delikatny uśmiezek. Pocę się. Wokół nas rozmowy milkną, wszyscy wstrzymują oddech.

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Pięćdziesiąt tysięcy pięćdziesiąt.

Jeśli przegram, pozostanie mi tylko sprzedać krew i organy wewnętrzne. Mam nadzieję, że mój anioł stróż dobrze obserwował tę partię od samego początku i teraz mnie nie opuści. Święty Igorze, liczę na ciebie.

- Podbija pan? - pyta krupier.

- Pięćdziesiąt tysięcy pięćdziesiąt... Sprawdzam - odpowiada mój ojciec.

Nie przebija. Koniec napięcia, nadeszła pora na sprawdzenie kart. Ojciec odwraca jedną po drugiej. Ma parę waletów. Tylko jedną parę waletów. A ja? Osiem trefl. As pik. Król karo. Dama kier. Jak do tej pory nic. Pozostaje mi do odwrócenia jeszcze ostatnia karta...

W pomieszczeniu panuje grobowa cisza.

Dama trefl.

Święty Igorze, dziękuję ci! Mam parę dam! Wasylu, jesteś najlepszy ze wszystkich! Wygrałem. Ledwo, ledwo, ale jednak. Pokonałem ojca. Wilk zjadł węża! Wyję jak Wilk. Głośno. Nikt nie śmie się odezwać. A potem wybucham gromkim śmiechem. Śmieję się, i śmieję, i śmieję.

Tłumek zgromadzony wokół naszego stolika przeredza się, zde gustowany.

Dziękuję, święty Igorze. Dziękuję Wasylu. Oto dowód na to, że poker jest tylko kwestią psychologii. Można w niego grać bez kart. Szaleję z radości.

Ojciec przygląda mi się uważnie. Zastanawia się, kim jest ten młody mężczyzna, który go właśnie zmiażdżył. Wyczuwa, że jest coś, o czym nie wie. Wszystkie moje geny krzyczą: „Jestem kawałkiem twojego ciała, którego się wyrzekłeś, a które teraz obraca się przeciwko tobie!”.

Wkładam do kieszeni banknoty, które podał mi ojciec. A teraz na dodatek jestem

bogaty. Oto moja spuścizna.

Ojciec już, już chce się do mnie odezwać. Czuję, że ma na to ochotę. Zada mi pytanie. Porozmawiamy. Powiem mu o mamie. A jednak nie. Jego usta drżą. Nie mówi nic i odchodzi.

144. VENUS. 22 LATA

Biorę do rąk gazetę i czytam sensację z pierwszej strony: samochód Cynthii uległ wypadkowi. Kierowca odbił kierownicą, gdy jakieś zwierzę wybiegło przed nim na szosę, i uderzył w latarnię. Kierowcy nic się nie stało, gdyż miał zapięty pas bezpieczeństwa. Cynthia, która nie uznała za stosowne zabezpieczyć się w ten sposób, uderzyła o stłuczoną przednią szybę. Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, lecz odłamki szkła oszpeciły ją na zawsze.

Wieczorem świętuję z tej okazji wraz z moim agentem. Billy Watts przedstawia mi niezapowiedzianego gościa. Ludivine - medium, która przepowiedziała mój sukces.

Ludivine jest kobietą o posturze grubej chłopki. Siwe włosy, imponujący biust, silny akcent. Czuć od niej kapustę.

Dlaczego aniołowie przemawiają przez tak pospolitych ludzi? To na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą. Ale jako że jej przepowiednia się sprawdziła - słucham, co ma do powiedzenia.

Czyta z mojej dłoni. Medium oznajmia mi, że kariera modelki jest w moim wypadku tylko tymczasowym zajęciem. Zostanę w przyszłości znaną aktorką. I to nie wszystko. Doświadczę wielkiej miłości, rzadko spotykanej w naszych czasach.

- A co ze mną? - pyta Billy Watts niczym narkoman na głodzie. - Co z moją przyszłością?

145. NIC

Nic.

Nie ma nic. Kompletnie nic.

Moi przyjaciele kontynuowali przeszukiwanie kosmosu, gdy ja potulnie pilnowałem

moich klientów. Niczego nie znaleźli. Zbieramy się na naradę w południowym krańcu Raju. Cieszę się, że nie marnowałem więcej czasu na czece poszukiwania.

- Prawdopodobnie wyczerpaliśmy zakres naszych kompetencji - wzdycha Marilyn Monroe. - Kiedy sobie pomyślę, że swego czasu ludzie obawiali się ataku istot pozaziemskich, które przybierały w ich wyobrażeniach najstraszliwsze formy... Gdyby tylko... one naprawdę istniały!

Freddy wstaje. Znam go dobrze. To znak, że wpadł na jakiś pomysł. Nie może usiedzieć w miejscu, niczym wyżeł, który zwęszył zwierzynę.

- Czekajcie... czekajcie, czekajcie. Czy znacie dowcip o facecie, który zgubił w nocy klucze na ulicy?

Mina Raoula wyraźnie wskazuje na to, że nie jest to najlepszy moment na żarty. Freddy niewzruszony ciągnie dalej:

- No więc szuka kluczy pod latarnią. Dołącza do niego drugi facet i pomaga mu szukać. W końcu pyta: „Jest pan pewien, że tutaj właśnie je pan zgubił?”. „Nie”, odpowiada pierwszy. „Więc dlaczego tutaj szukamy?” „Bo pod latarnią przynajmniej jest jasno”.

Nikt się nie śmieje. Nie widzimy, jaki ta historia może mieć związek z naszymi poszukiwaniami.

- Nasz błąd polega na tym, że sami się ograniczyliśmy - mówi Freddy. - Szukaliśmy tam, gdzie szukać było łatwo. Tak jak ten facet, który szukał kluczy w świetle latarni.

- Ale nas nic nie ogranicza - protestuje Marilyn. - Pokonaliśmy miliardy kilometrów z prędkością światła.

- Sami się ograniczyliśmy! - upiera się alzacki rabin. - Jesteśmy niczym mikroskopijne stworzonka w wielkim akwarium. Wydaje nam się, że przemierzamy niewiarygodne odległości, a tymczasem cały czas siedzimy w szklanym pojemniku. A przecież moglibyśmy się z niego wydostać... zobaczyć, co jest... poza nim.

Nie bardzo wiem, do czego zmierza nasz przyjaciel. Bez względu na to, jak daleko byśmy lecieli, nigdy nie natrafimy na szklaną ścianę.

- A to nasze „akwarium”, niby co to jest? - pytam.

- Nasza Galaktyka.

- Zwiedziliśmy co najwyżej 0,1 procent wszystkich planet Drogi Mlecznej, na których można było by się spodziewać śladów życia. Po co mielibyśmy szukać gdzie indziej? - zastanawia się na głos Marilyn.

Raoul Razorbak marszczy swoje gęste brwi. Chyba zaczyna rozumieć, o co chodzi Freddiemu.

- Ależ tak! Oczywiście! Raj mieści się w centrum naszej Galaktyki. Być może w sercu innych galaktyk także znajdują się kolejne raje?

Uwielbiam te burze mózgów, podczas których zakres naszej wyobraźni nieco się poszerza.

- Freddy ma rację - powtarza Raoul. - Musimy wyjść poza naszą Galaktykę. Być może na każdą galaktykę przypada tylko jedna planeta obdarzona świadomością... Natura stwarzałaby zatem dwieście miliardów planet, by tylko na jednej zaszczepić życie? Co za marnotrawstwo!

To by istotnie wyjaśniało, dlaczego do tej pory nie udało nam się niczego znaleźć.

- Problemem pozostaje - kontynuuje Freddy - odległość. Jeśli jedna gwiazda znajduje się tak daleko od drugiej, to przestrzeń dzieląca dwie galaktyki musi być jeszcze większa: całe miliony lat świetlnych.

- Czy jesteśmy w stanie pokonać taką trasę? - zastanawia się Marilyn Monroe.

Raoul odpowiada niemal natychmiast.

- Bez najmniejszego problemu. Możemy podróżować jeszcze szybciej.

Ja jednak zaczynam analizować konsekwencje tak dalekiej podróży. Zwiedzenie innej galaktyki oznacza opuszczenie moich klientów na bardzo długi czas.

- Ja się wypisuję. Mam swoje zobowiązania. Myślę, że popełniacie wielką głupotę - mówię.

- Nie po raz pierwszy - zauważa Raoul; - W końcu od czego anioły mają swoją wolną wolę?

146. JACQUES. LAT 22,5

Rene Charbonnier prosi, bym zmniejszył objętość mojej powieści. Z tysiąca pięciuset stron robię więc trzysta pięćdziesiąt, z ośmiu bitew pozostawiam jedną, z dwudziestu głównych bohaterów robię trzech i ze stu osiemdziesięciu scenerii wybieram dwanaście.

Zresztą ćwiczenie polegające na wybraniu tego, co najważniejsze, wydaje mi się sensowne. Przepisuję i dopieszczam ponownie każdą linijkę. Następnie wycinam cały początek i cały koniec mojego tekstu. Dzięki temu czytelnik o wiele szybciej wchodzi w akcję i szybciej z niej wychodzi. Moja powieść jest jak balon, z którego wyrzuca się balast, by mógł

wznieść się wyżej.

Im lepszy staje się mój tekst, tym bardziej Gwendoline robi się nerwowa. Mamrocze: „Tak, wszystko idzie po twojej myśli. Nie to, co mi”. Odpowiadam: „Lepiej dla nas obojga, że przynajmniej jedno z nas odniosło sukces. Dzięki temu może pomóc drugiemu”.

Nie najlepiej utrafiłem z tymi słowami. Gwendoline wolałaby, żeby role zostały przydzielone odwrotnie. Żeby to jej, a nie mnie, udało się wydać książkę, i żeby to ona mogła pomagać innym. Mój sukces sprawia, że jeszcze boleśniej zdaje sobie sprawę ze swej porażki.

Im bliżej dnia publikacji, tym bardziej staje się agresywna. Muszę niemal przeproszać za to, że moja książka idzie do druku. W końcu Gwendoline oświadcza: „Jeśli naprawdę mnie kochasz, powinieneś znaleźć w sobie siłę, by zrezygnować z wydania tej powieści”.

Nie podejrzewałem, że jej zazdrość może wyrazić się w tak drastyczny sposób. Obiecuję zabrać ją na wakacje, jeśli *Szczury* przyniosą jakiś zysk. Odpowiada mi jednak, że nienawidzi wakacji, a zresztą moja książka jest zbyt kiepska, by ktokolwiek się nią zainteresował.

Niedługo potem Gwendoline wyprowadza się do Jeana-Benoit Dupuis, psychiatry specjalizującego się w spazmofilii.

- Opuszczam cię dla Jeana-Benoit: on ma przynajmniej odwagę wypowiedzieć słowa, które jako jedyne nie były w stanie przejść ci przez gardło podczas całego naszego związku: „Kocham cię”.

Czuję się porzucony, Mona Lisa również. Zaczynaliśmy się już przyzwyczajać do jej dyskretnej obecności.

Znów całymi godzinami przesiaduję w toalecie, czytając.

Gwendoline nie omieszkała zadzwonić do mnie i podzielić się ze mną swoim szczęściem: „Znalazłam mężczyznę, jakiego było mi potrzeba. Jean-Benoit jest doskonały”. Jakiś czas później coś jednak zaczyna się psuć. „Wpadł w szal, kiedy dowiedział się, że do ciebie dzwonię”.

A mimo to nadal dzwoni. Klapki opadły jej z oczu. Uważa, że jej psychiatra cierpi na kompleks niższości z powodu swojego niewielkiego wzrostu. Nienawidzi wszystkich wyższych od siebie. Jako specjalista od spazmofilii, ma do czynienia z osobami cierpiącymi na depresję, którymi łatwo jest manipulować. Zabawia się, ingerując w ich życie i sprawdzając, jak daleko może posunąć się w manipulacji. Po wielu próbach samobójczych jego pacjentów, rodziny chorych składają petycję o usunięcie go z korporacji lekarskiej. Nie musi się jednak niczego obawiać, ponieważ przyjaźni się z ministrem zdrowia.

Pewnego dnia przypadkiem spotykam Gwendoline na ulicy. Zmierza właśnie do

prasowalni parowej z marynarkami Jeana-Benoit. Jej jedno ramię spoczywa na temblaku z chusty. Twarz jest wychudzona. Pod ciemnymi okularami skrywa podbite oko.

Zauważyła mnie. Pierwszym jej odruchem jest ucieczka, ale ostatecznie opanowuje się. Delikatnie dotyka mojej ręki. Wreszcie uśmiecha się i mówi:

- Ty nie możesz tego zrozumieć, to jest miłość. Dupuis tak bardzo mnie kocha.

Po czym odchodzi szybkim krokiem.

Na tamtym spotkaniu nasze kontakty się urywają.

Cała ta historia nie daje mi spokoju.

Uciekam w pisarstwo: pracuję nad drugą częścią *Szczurów*, które lada dzień mają się ukazać. Właśnie tę chwilę wybiera mój komputer, by się zepsuć. Niewyjaśniona awaria sprawia, że tracę wszystkie pliki zapisane na twardym dysku!

Dziwne uczucie - stracić narzeczoną i wszystkie teksty. To tak, jakbym częściowo umarł. Postanawiam się odrodzić i znów zaczynam pisać. Wpadam na pomysł, by stworzyć nową postać, wzorowaną na Dupuis. W końcu po raz pierwszy w życiu trafiłem na prawdziwie czarny charakter.

Alfred Hitchcock zawsze podkreślał, że jakość historii zależy od negatywnej postaci. Pisząc o Dupuis, trzymam w garści antybohatera tym prawdziwszego, że istnieje naprawdę. Wprowadzam go do mojej *Ody do Szczurów*, przez co wszystkie pozostałe postacie nabierają charakteru.

Piszę sumiennie, jednak nie wiedząc dlaczego, nie mogę opędzić się od myślenia o tamtym wydarzeniu. Dzięki Gwendoline uświadomiłem sobie, że nie sposób pomagać ludziom wbrew ich woli i odkrycie to wielce mnie zasmuca. Piszę, lecz czuję, że zaczyna mnie ogarniać kolejna fala depresji i defetyzmu. Jak zwykle moje cierpienie daje się we znaki z opóźnieniem. Nie umiem się już nawet cieszyć z wydania mojej książki.

Zamykam się w toalecie, lecz zamiast czytać - mamrocę pod nosem: „I po co to?”. Chyba jednak nie spełniłem życzenia panny Van Lysebeth i nie znalazłem swojego miejsca na tej ziemi. Może kompletnie minąłem się ze swoim powołaniem? Może nie powinienem być pisarzem? Po co się przy tym upierać?...

147. ENCYKLOPEDIA

KAŻDY MA SWOJE MIEJSCE: Zgodnie z teorią socjologa Philippe'a Peissela charaktery kobiece można podzielić pod względem tendencji na cztery grupy:

- 1 - matki,
- 2 - kochanki,
- 3 - wojowniczkki,
- 4 - inicjatorki.

Matki instynktownie przywiązują największe znaczenie do zakładania rodziny, rodzenia i wychowywania dzieci. Kochanki uwielbiają uwodzić i przeżywać wielkie historie miłosne.

Wojowniczkki chcą poszerzać zakres władzy i angażować się w sprawy polityki.

Inicjatorki to kobiety zwrócone w stronę sztuki, duchowości i uzdrawiania. Są doskonałymi muzami, nauczycielkami i lekarkami. Dawne westalki.

U każdej z kobiet tendencje te są mniej lub bardziej rozwinięte. Problem pojawia się wtedy, gdy kobieta nie odnajduje się w roli, jaką narzuca jej społeczeństwo. Jeśli zmusimy kochankę do bycia matką, albo inicjatorkę do roli wojowniczkki, możemy spowodować nieprzyjemne i gwałtowne starcia. Mężczyźni również wybierają jedną z czterech pozycji:

- 1 - rolnika,
- 2 - koczownika,
- 3 - budowniczego,
- 4 - wojownika.

Sięgając do Biblii: Abel - koczownik - zajmował się stadem zwierząt, Kain był zaś rolnikiem uprawiającym rolę.

Kain zabija Abła, a Bóg wymierza mu karę: „Będziesz błędził po Ziemi”. Nakazuje więc Kainowi koczowniczy tryb życia, gdy tymczasem ten jest urodzonym rolnikiem. Zostaje zmuszony do czegoś, co nie leży w jego naturze. I z tego powodu cierpi. Jedynym związkiem prowadzącym do trwałego małżeństwa jest połączenie „matka-rolnik”. Obydwoje chcą trwałości i stabilności. Wszystkie inne kombinacje mogą zrodzić wielkie pasje, lecz na dłuższą metę będą również źródłem konfliktów.

Spełniona kobieta dąży do bycia matką, kochanką, wojowniczką i inicjatorką jednocześnie. Możemy wtedy powiedzieć, że księżniczka staje się królową.

Spełniony mężczyzna chce być rolnikiem, koczownikiem, budowniczym i wojownikiem.

Możemy wtedy powiedzieć, że książę zostaje królem.

Gdy spełniony król spotyka na swojej drodze spełnioną królową, wydarza się coś magicznego. Mamy do czynienia z pasją i trwałością. A jest to bardzo rzadkie.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

148. VENUS. LAT 22,5

Moja kariera obrała właściwy tor. Poprawiłam sobie piersi i kiedy leżę na wznak, sterczą pięknie, skierowane ku niebu niczym egipskie piramidy.

Fryzjer wizażysta obciął mi włosy, a dentystka „pejzażystka szczęki” zabrała się za wybielanie moich zębów. Zawody medyczne wkrótce zostaną uznane za czysto artystyczne profesje.

Moja twarz i sylwetka regularnie zdobią dziesiątki okładek kolorowych pism. Sondáže wykazują, że jestem jedną z dziesięciu najbardziej seksownych kobiet świata. Nie muszę więc chyba dodawać, że dzięki takiej wizytówce wszyscy faceci czołgają się u moich stóp. Mój wybór pada jednak na tego, który od dawna figuruje na pierwszym miejscu listy symboli seksu: na Richarda Cuninghama, idola mojej młodości.

Billy Watts ma za zadanie załatwić tę sprawę. Zabiera się czym prędzej do działania, gdyż jego medium potwierdziło, że wkrótce stworzę związek z Cuninghamem. Mój agent ustala szczegóły z agentem Cuninghama i kilka dni później wszystko jest już dopięte na ostatni guzik, podpisane, wynegocjowane i zatwierdzone. Mam wpaść „przypadkiem” na Richarda w japońskiej restauracji w Santa Monica. Wśród fotografów została rozpuszczona plotka w stylu: „Nie powtarzaj tego nikomu, ale podobno...”.

Na tę okazję ubieram się na czerwono, pamiętam bowiem, że swego czasu Richard zadeklarował w jednym z wywiadów, że lubi kobiety w czerwonych strojach. On ze swojej strony przezornie spryskał się francuskimi perfumami „Euphorie”, której to marki jestem twarzą.

Nasi agenci jedzą przy innym stoliku, analizując listę pozostałych klientów, których mogliby połączyć w pary. Spoglądam na Richarda. Jest przystojniejszy niż w filmach. Zadziwiające, jak jego skóra jest gładka. I to nie jest zasługa chirurgii plastycznej! Musi używać jakiegoś wyjątkowego kremu, o którym jeszcze nic nie wiem. Czuję się nieco onieśmielona, widząc go tutaj przed sobą, a nie - jak do tej pory - na ekranie czy w kolorowym piśmie. On z kolei gapi się na moje nowe piersi. Cieszę się, że tak szybko inwestycja zaczęła się zwracać. Zamawiamy sushi, wreszcie nadchodzi jednak ta straszna chwila, w której musimy zacząć rozmowę. Nie wiemy, co sobie powiedzieć.

- Hm... twój agent... dobry jest? - pyta Richard. - Ile bierze?

- Ech... 12 procent. A twój?

- Mój bierze 15.

- Może powinieneś przenegocjować umowę?

- Ale on się zajmuje naprawdę wszystkim. Reguluje rachunki, wypełnia dokumenty podatkowe, płaci za zakupy - mogę właściwie nie nosić przy sobie pieniędzy. Jeśli mnie pamięć nie myli, to ostatni raz posłużyłem się portfelem dziesięć lat temu, jeszcze zanim odniosłem sukces filmem *Naga przy tobie*.

- Ach... Naga przy tobie?

- Tak...

- Mhmm...

I co teraz powiedzieć? Kłopotliwa cisza. Na szczęście zaserwowano nam zamówione potrawy i zabieramy się do jedzenia. Dopiero przy deserze znajdujemy drugi temat do konwersacji. Poruszamy kwestię kosmetyków powodujących alergię i tych, które nasza skóra dobrze toleruje. Wreszcie swobodny, Richard zaczyna długą listę plotek zawodowych: kto sypia z kim i kto ma jakie perwersje. To dopiero fascynujący temat! O takich rzeczach nie rozmawia się z byle kim.

- Uważam, że jesteś bardzo piękna - mówi, dbając o odpowiednią intonację.

No cóż, nie widział jeszcze tego, co we mnie nie gra. Ja z kolei znam wszystkie niedoskonałości na pamięć: płatki moich uszu są zbyt krótkie, rzęsy postrzępione, duży palec u nogi jest za bardzo nachylony w stosunku do stopy, a moje kolana lekko iksowate...

Po posiłku Richard zabiera mnie do luksusowego hotelu i szykujemy się, żeby pójść razem do łóżka. On starannie składa swoje ubrania na krzesło, następnie zamawia szampana i reguluje światło, tworząc bardziej romantyczny nastrój.

- Masz tremę, malutka? - pyta.

- Trochę - odpowiadam wymijająco.

- Pamiętasz, co zrobiłem Glorii Ryan w *Życie miłością i świeżym powietrzem*, w tej scenie z poduszką? Chcesz, żebyśmy zrobili to samo?

- Przykro mi, niestety nie widziałam tego filmu. Co robisz tam z poduszką?

Richard przełyka ślinę, a następnie zadaje mi pytanie, które najwyraźniej dręczy go od samego początku.

- Właściwie które z moich filmów oglądałaś?

Wymieniam dobre dziesięć tytułów.

- A *Lzy horyzontu*? Nie widziałaś też *Nie trzeba mi wiele* ani *Będzie tak i kropka*? Te są najlepsze. Nawet krytycy nie spierają się w tej kwestii.

- Ach...

- Myślę, że są do znalezienia na DVD. No dobrze, a w którym spośród tych, które

znasz, wypadłem twoim zdaniem najlepiej?

- *W Nagiej przy tobie...* - mówię, spuszczać wzrok.

Ja także potrafię być aktorką.

Richard wykorzystuje tę chwilę, by mnie rozebrać. Przezornie założyłam jedwabną koronkową bieliznę „Ravage”. To taka moja fantazja. Strój robi na nim wrażenie. Już po chwili ugniata moje piersi przez materiał, obsypuje szyję pocałunkami, długo pieści uda. Powstrzymuję go, zanim dotyka moich iksowatych kolan. Teraz moja kolej. Odkrywam na jego ciele kilka tatuaży - reprodukcji plakatów jego trzech ulubionych filmów. Dyskretny sposób na autopromocję.

Nasze ciała się stykają. Nie doprowadza mnie do orgazmu. Jest zbyt zajęty własną rozkoszą.

W ciągu kilku kolejnych dni zdaję sobie sprawę, że Richard prawdopodobnie nie jest idealnym dla mnie mężczyzną, choć tak wywróżyła Ludivine. Mam jednak świadomość, że pokazywanie się z nim pozwoli mi zaistnieć w świecie show - biznesu. Postanawiam więc zostać panią Cuningham. Dodatkowym atutem tego małżeństwa będzie fakt, że wszystkie moje rywalki zzielenieją z zazdrości, a już samo to sprawia, że gra jest warta świeczki.

Obawiałam się, że przez ten związek stracę w oczach szerokiej publiczności, lecz jest wręcz przeciwnie. Trzy dni po ślubie zostaję zaproszona do wiadomości o 20.00, prowadzonych przez Chrisa Pettersa. Cóż za zaszczyt! Chris Petters, idol gospodyń domowych z grupy wiekowej poniżej pięćdziesięciu lat, stał się najbardziej znanym dziennikarzem, odkąd amerykańska stacja informacyjna zaczęła nadawać przez całą dobę program dostępny dla ludzi na całej planecie. To on mówi wszystkim na świecie, co powinni myśleć i co dzieje się na każdym z pięciu kontynentów. To jemu najstraszniejsi tyrani oddają dozgonnie mu potem wdzięcznych zakładników, którzy całe miesiące spędzali w piwnicach, przywiązani do kaloryferów - nawet tyrani oglądają dziennik Chrisa Pettersa.

Docieram do studia z lekkim opóźnieniem, zgodnie z przysługującym mi już obecnie statusem gwiazdy, a dziennikarz przyjmuje mnie, szczerząc zęby w swym słynnym uśmiechu. Twierdzi, że moja obecność to dla niego wielki zaszczyt i że śledzi rozwój mojej kariery od samego początku. Ponoć zawsze był przekonany, że zajdę daleko.

Siedząc obok niego, komentuję wydarzenia dnia: wojna w Czeczenii (wciąż jestem zadeklarowaną przeciwniczką wszelkich wojen), choroby przenoszone drogą płciową (jestem za seksualnością, ale nie za cenę śmierci), zanieczyszczenie środowiska (to skandaliczne!), trzęsienia ziemi (to straszne, ci wszyscy ludzie, którzy umierają tylko dlatego, że budowniczy nie wzniesli dostatecznie solidnych domów; powinno się ich za to wsadzać

do więzienia), miłość (nie ma nic piękniejszego na tym świecie), Richard (to najwspanialszy z mężczyzn; jesteśmy bardzo szczęśliwi i pragniemy mieć gromadkę dzieci).

Po programie Chris Petters prosi o mój adres, na który chce wysłać taśmę z nagraniem. Jeszcze tego samego wieczora, gdy wycieńczona zmierzam do łóżka, słyszę, że ktoś puka do drzwi. Ponieważ mieszkam sama (małżeństwo z Richardem jest bardziej medialne niż rzeczywiste), spoglądam przez wizjer. To Chris Petters. Otwieram.

Już się nie uśmiecha. Wpycha mnie w głąb mieszkania, zrywa ze mnie ubranie i ciągnie do sypialni, gdzie brutalnie rzuca mnie na łóżko. Przerażona widzę, jak wyciąga z marynarki długą czarną sznurówkę.

Wykręca mi ramię, wypracowanym ruchem kolana blokuje moje plecy. Następnie owija sznurówkę wokół mojej szyi i zaciska. Zaczynam się dusić. Wolną ręką próbuję go za cokolwiek złapać. Niestety jego kolano trzyma mnie w bezpiecznej odległości i sprawia, że napastnik jest całkowicie poza moim zasięgiem. Czuję jednak, że opuszkami palców dotykam czegoś włóknistego. Pociągam zdecydowanym ruchem.

I... i w ręce zostają mi jego włosy. Są fałszywe! Ogołocony z peruki Chris Petters wyraźnie traci pewność siebie. Waha się przez chwilę i w końcu robi zwrot w tył. Trzaskają drzwi.

Z niedowierzaniem przyglądam się peruce.

Godzinę później biegnę złożyć skargę na policję. Towarzyszy mi Richard, którego wezwałam do siebie w trybie pilnym. Wciąż jeszcze spanikowana, gubię się w zeznaniach, lecz mówię wystarczająco dużo, by inspektor poprosił mnie do swojego biura o dźwiękoszczelnych ścianach. Tam cierpliwie mi wyjaśnia, że Chris Petters jest istotnie znany ze swych „wybryków” i że wielokrotnie napastował młode dziewczyny. Policjant przyznał, że być może to właśnie prezenter jest owym mordercą ze sznurówką. Problem polega jednak na tym, że oglądalność jego programu bije wszelkie rekordy. Jest idolem publiczności. Podoba się zarówno kobietom, jak i mężczyznom, biednym i bogatym, a do tego na całym świecie! Jest... jak by to powiedzieć?... „oknem wystawowym Ameryki”. A to sprawia, że Chris Petters jest chroniony przez swoją stację, przez rząd i wszystkich decydentów. Nie można mu postawić żadnych zarzutów.

Potrząsam peruką - dowodem i trofeum. Inspektor nie wątpi, że należy ona do Chrisa Pettersa, powtarza jednak, że w tej sprawie nie może nic zrobić.

- Nie jesteśmy szarymi ludźmi, jak może pan zauważyć. To jest Venus Sheridan, a ja jestem jej mężem, chyba mnie pan rozpoznaje.

- Tak, nazywa się pan Richard Cuningham. I co z tego? Produkuje pan jeden film raz

na sześć miesięcy, on natomiast pojawia się w telewizji co wieczór, a oglądają go dwa miliardy osób na całym świecie!

Nic już z tego nie rozumiem. Cały mój świat wartości właśnie się zawalił. A więc w naszych czasach są ludzie, którzy nie podlegają wymiarowi sprawiedliwości! Policjant próbuje mi przemówić do rozsądku:

- Z początku władza należała do najbardziej umiędzionych, do tych, którzy najsilniej uderzali swoją maczugą czy też mieczem. To pozwalało im na życie poza prawem. Następnie rządy sprawowali „dobrze urodzeni”, czyli arystokracja. Mieli prawo decydować o życiu lub śmierci swoich poddanych i niewolników. Wreszcie władzę przejęli bogaci oraz politycy. Sprawiedliwość nie miała dla nich żadnego znaczenia. Obecnie zaś władza jest w rękach prezenterów telewizyjnych. Mogą mordować, kraść, oszukiwać, ale nikt nie ośmieli się wnieść protestu, bo są kochani przez widzów. Chris Petters jest osobą, która najczęściej pojawia się w telewizji. Nikt go nie oskarży. A już na pewno nie ja. Moja żona za bardzo go uwielbia.

- Jeśli nie możemy już liczyć na policję, poprosimy dziennikarzy, żeby nagłośnili ten skandal. To nie do pomyślenia, żeby ten niebezpieczny szaleniec pozostawał na wolności! - wybuchnął Richard.

- Zrobi pan, co uzna za stosowne - odarł spokojnie inspektor. - Mogę się jednak założyć, że jeśli poda go pan do sądu, przegra pan, gdyż on może sobie pozwolić na lepszego adwokata. W naszych czasach wygrywa nie ten, kto ma rację, lecz ten, kto ma lepszego prawnika.

Policjant filozof patrzy na nas niemal z litością.

- Żeby porwać się na taki bastion, musiałyby pani być o wiele sławniejsza - mówi szczerze. - Poza tym... naprawdę chce pani ryzykować własną karierę z powodu tego nic nieznaczącego incydentu? Na pani miejscu wysłałbym do Chrisa Pettersa bilecik z wiadomością, że nie żywi już pani do niego urazy. Może dzięki temu zechce jeszcze kiedyś zaprosić panią do swojego programu...

Mimo to zwierzamy się kilku dziennikarzom, znanym ze swej śmiałości i talentu szpiegowskiego. Każdy z nich nie marzy o niczym innym, jak tylko o współpracy z Chrisem Pettersem. Niektórzy powołują się na „solidarność zawodową”. Innych powstrzymuje „komiczność” całej sytuacji. Oskarżać kogoś o gwałt, który nawet nie miał miejsca?...

- Ależ on przecież weźmie się za kolejne dziewczyny! To chory człowiek! Powinien siedzieć w więzieniu!

- Tak, wszyscy o tym wiedzą, ale to nie najlepszy moment, by mówić o tym na głos.

Jestem zdruzgotana. Dociera do mnie, że nigdy już nie będę mogła czuć się bezpiecznie. Moja uroda, pieniądze, Richard, tłumy wielbicieli - nic nie chroni mnie przed nietykalnymi drapieżnikami, takimi jak Chris Petters.

Nie oglądam już całodobowej stacji informacyjnej i wieczornego dziennika. Słaba to jednak zemsta.

W uszach dźwięczą mi ciągle słowa policjanta: „Żeby porwać się na taki bastion, musiałaby pani być o wiele sławniejsza”. Doskonale, to będzie mój kolejny cel.

149. IGOR. LAT 22,5

Musiałem rozwiązać spółkę ze Stanisławem. Stał się piromanem. Gdy ktoś mu się nie spodobał, zaczynał od podpalenia jego skrzynki na listy, a następnie zabierał się za samochód. Jakby tego jeszcze było mało, rzucił koktajlem Mołotowa w siedzibę przedstawicieli Czeczenii w Moskwie.

Psychiatra poradził mi, żeby trzymał się z dala od zapalek, zapalniczek, a nawet od krzemienia. On jednak dopiero co wy dobył miotacz ognia z magazynu wojskowego i zaczynam obawiać się najgorszego. Biedny Stanisław. Jeszcze jedna ofiara pokoju...

Poker stał się moim regularnym zajęciem. Kasyno jest moim biurem, restauracją, nie płacę jednak składki emerytalnej ani na ubezpieczenie społeczne i nie mam sztywnych godzin pracy. Przy moim stole pojawia się tym razem brodac z długimi włosami, raczej średnio ubrany. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu on także nie spogląda w karty przed licytacją. Czyżbym zapoczątkował nową modę? Czy odtąd będę siadał do stołu z graczami stosującymi tę samą taktykę co i ja? Facet wycofał się jednak, zanim stawka naprawdę urosła.

- Jestem zaszczycony, że mogłem z panem zagrać - mówi.

Następnie mruga do mnie okiem.

Jego głos jest mi niewątpliwie znany. Pamiętam ten głos. Dźwięczy mi w uszach, jak gdyby należał do kogoś z rodziny...

- Wasyl!

Przez ten cały zarost nie rozpoznałem go od razu. Nadal jest spokojny i łagodny. Wstajemy od stołu i kierujemy nasze kroki do restauracji. Siadamy przy dwuosobowym stoliku i pogrążamy się w rozmowie.

Wasył został inżynierem informatykiem. Pracuje nad programem sztucznej inteligencji, który ma na celu wyposażyć komputery w świadomość. Długo szukał sposobu na to, żeby program zechciał zrobić więcej, niż ma w sobie zakodowane. W końcu znalazł - motywuje je, grożąc śmiercią.

- Komputer wie, że jeśli zaprogramowana misja się nie powiedzie, zostanie oddany na złom. Strach przed tym zachęca go do przejścia samego siebie.

Strach przed śmiercią... A więc można przekazać maszynom nasze obawy...

Wasył zaprasza mnie do siebie na partię pokera ze swoim programem informatycznym stymulowanym lękiem przed śmiercią. O ile zwykle programy do gry w szachy obdarzone sztuczną inteligencją są niezwykle przewidywalne, ten program do gry w pokera jest wyjątkowo sprytny. Potrafi nawet blefować. Moim przeciwnikiem jest program o nazwie „Subtily”. Trudno go pokonać, bo jemu jest oczywiście wszystko jedno, czy patrzę w swoje karty czy też nie. Ponadto z każdą rozgrywką zdobywa doświadczenie, zapamiętując moje zagrania i rozpracowując moją strategię.

W końcu jednak udaje mi się z nim wygrać, stawiając na zupełnie przypadkowy ruch.

- Tutaj widać ograniczenie twojego systemu, Wasyłu. Komputer cały czas zachowuje się logicznie, tymczasem ja potrafię zmienić taktykę na najbardziej irracjonalną.

Wasył zgadza się ze mną, ma jednak zamiar poprawić tę słabość swojego programu, zwiększając jego obawę przed śmiercią.

- Gdy maszyna będzie naprawdę przestraszona wizją końca swoich dni, wymyśli metody, które pozwolą jej wygrać, a o których żaden człowiek nawet nie pomyślał. Nauczy się pokonywać graczy irracjonalnych, a nawet szaleńców.

Wasył pyta mnie, co się wydarzyło po „incydencie w sierocińcu”. Opowiadam mu o moich wojennych wyczynach, spotkaniu z Wanią i z ojcem.

- Teraz - mówię - pozostaje mi tylko odnaleźć moją matkę i ostatecznie przeciąć pępowinę. Wtedy będę naprawdę wolny.

- Kochanie, przygotowałam małe co nieco dla ciebie i twojego przyjaciela! - dobiega nas głos z kuchni.

- Idziemy.

Wasyłowi się udało. Ma żonę, dzieci, rodzinę, stałą profesję, która go pasjonuje. Sierota z Sankt Petersburga nieźle sobie poradził. Zdaje sobie sprawę, że ja również chciałbym mieć kochającą żonę i że mam już dość otaczających mnie call girls i tancerek w kasynie.

Wybieram się na prowincję, do nowego kasyna, gdzie zamierzam zaskoczyć swoją grą

nowych przeciwników. Zgarniam niemałą sumkę, lecz wychodząc z lokalu, zauważam, że jestem śledzony. W tym zawodzie to się zdarza. Przegrywający próbują czasami odzyskać swoje pieniądze. Zaciskam pięści, gotów do walki. Niepotrzebnie, gdyż to, co czuję na plecach, jest ostrzem noża. Odwracam się. Widzę właściciela kasyna wraz z sześćoosobową obstawą.

- Dość długo cię obserwowałem. Nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę ty. Rosja jest taka duża, a ty i tak wybrałeś moje nowiutkie kasyno, żeby oskubać moją klientelę! Od razu cię rozpoznałem, wiesz? Są twarze, których się nie zapomina.

Jeśli o mnie chodzi, to nie mam pojęcia, z kim mam do czynienia. Ponieważ jednak nie jestem w stanie stawić czoła siedmiu osiłkom, czekam spokojnie na dalszy ciąg wydarzeń.

- Mam pewną teorię - ciągnie właściciel. - Są ludzie, z którymi los każe nam się spotykać. Jeśli nawet nie dotrzemy na spotkanie, przypadek zorganizuje nam kolejne. Jeśli i na to się nie stawimy, możemy być pewni, że nadarzy się jeszcze jedna okazja do spłaty długów. Niektórzy nazywają to zbiegiem okoliczności albo *déjà vu*. Ja wiedziałem, gdzie na ciebie znów trafię. Scena ta stawała mi przed oczami i nie był to zły sen. O nie!

Mężczyzna wodzi bronią po moim brzuchu i mówi dalej:

- Buddyści twierdzą, że spotkania te powtarzają się w każdym z naszych istnień. Wrogowie w tym życiu pozostaną naszymi wrogami w kolejnych wcieleniach. W wielu religiach wierzy się, że pewne grupy dusz będą wiecznie poszukiwać się wzajemnie, dopóki nie wyrównają rachunków. Na dobre i na złe. W poprzednim wcieleniu byłeś może moją żoną i ciągle się kłóciliśmy. Jeszcze wcześniej byłeś może moim ojcem i mnie biłeś. A jeszcze kiedyś władcą kraju, z którym byłem w stanie wojny. Jak widać, nie kocham cię już od bardzo dawna...

Właściciel kasyna wkracza w krąg światła. Jasny promień padający z latarni wyłania jego twarz z mroku. Wciąż nie rozpoznaję jednak jego rysów. On chyba czyta w moich myślach.

- Z pewnością odnalazłeś swoich przyjaciół. Nadeszła teraz pora na spotkanie z wrogami.

Przyglądam mu się, lecz pamięć nic mi nie podpowiada. Ostrze noża coraz mocniej napiera na moją skórę. Pojawia się krew.

Piotr.

Rosja ma dwieście milionów mieszkańców, lecz ja raz po raz trafiam na własnego ojca, Wanię, Wasylę i Piotra! To zbyt wiele zbiegów okoliczności. Brakuje jeszcze tylko mamy. Zaczynam wierzyć, że i to mnie nie ominie.

Czyżby Piotr miał rację? Czy rzeczywiście istnieją rodziny dusz, których drogi bez przerwy się przecinają? Jak inaczej wytłumaczyć te wszystkie spotkania?

Najspokojniejszym w świecie głosem pytam:

- Dość czczonego gadania. Czego chcesz, Piotrze? Pojedynku, jak za starych, dobrych czasów?

- Nie. Chcę tylko, żeby moi kumple trzymali cię mocno, gdy ja się będę z tobą rozprawiał. Na tym polega eliminacja darwinowska. W chwili obecnej to ja jestem lepiej przystosowany do życia niż ty, bo ty stoisz tu sam, a ja mam silnych kumpli. Pamiętasz to jeszcze?

Odsłania szramę tuż nad pępkiem.

- W dniu, w którym zadałeś mi tę ranę, równowaga wszechświata została zachwiana. Muszę to naprawić.

Piotr bierze rozbieg i wbija mi nóż w brzuch. To naprawdę bardzo boli. Moje wnętrzności płoną i promieniują bólem. Zginam się wpół. Krew spływa mi po kolanach.

- Na tym polega przywrócenie równowagi - mówi Piotr. - We wszechświecie znów panuje harmonia. Chodźcie, chłopaki.

Padam na ziemię. Wokół mnie kałuża krwi powiększa się z każdą chwilą. Próbuję zacisnąć ranę, by powstrzymać wypływ tej letniej substancji, która jest mi niezbędna do życia.

Zimno mi.

Bardzo zimno. Moje palce sztywnieją. Niemal ich już nie czuję. To samo odrętwienie zaczyna ogarniać ramiona. Potem nogi, aż po same palce. Czuję, jakbym się kurczył. Umieranie jest naprawdę bardzo nieprzyjemne. Nie polecam nikomu. Wszystko mnie boli. Cały drętwieję. Tak mi zimno. Drzę.

Całe fragmenty mojego ciała stają się nieczułe. Nie mogę zmusić ręki do ruchu. Wciąż pozostaje w tej samej pozycji, przygnieciona moim brzuchem. Patrę na nią. Jest niczym przedmiot, który już do mnie nie należy. Co się teraz stanie? Mam wrażenie, że jakieś przyjemne światło ciągnie mnie ku górze.

Boję się.

Mdleję.

Umieram.

150. CZY LUDZKOŚĆ JEST ROZPUSZCZALNA?

Igor umrze! To zdecydowanie za wcześnie. Szybko, muszę go ocalić.

Koncentruję się na kocie, zmuszając go, żeby wspiął się na balkon i zamiauczał. Zsyłam zły sen na jego właścicielkę, która śpi, a powinna jak najszybciej wstać. Kobieta budzi się, słyszy kota, wychodzi po niego na balkon. Zsyłam na nią intuicję, by spojrzała na dół w lewo. Dostrzega rannego Igora. Jej pierwszym odruchem jest zamknięcie okna i odejście. Wysyłam jej jednak znaki: przewracający się krzyż, trzaskające drzwi, brzęczenie w uszach. Wreszcie kobieta dostrzega związek między znakami a ciałem leżącym na dole. Przesady każą jej zadzwonić po straż pożarną.

W remizie strażacy również śpią. Ich także muszę wybudzać koszmarami.

Wreszcie wóz strażacki wyrusza w drogę. Niestety ruch jest duży, a syrena zepsuta. Muszę zmuszać każdego kierowcę z osobna, by intuicyjnie spojrzał w tylne lusterko i przepuścił strażaków.

Strażacy odnajdują Igora. Towarzyszę mu w drodze do szpitala i robię wszystko, by zajęli się nim najlepsi lekarze.

I udało się.

Spoglądam na następną kulę. Ta także przychodzi gorszy okres. Jak oni to robią, że zawsze udaje im się wpakować w najgorsze tarapaty?! Widzę, jak zżera ją żądza zemsty. Szybko, próbuję zadziałać poprzez Ludivine. Nakazuję jej, by poszła po Billy'ego Wattsa i razem odwiedzili Venus. Wszystko trzeba naprawić ręcznie. Ludivine wyjaśnia, że nawet jeśli Chris Petters nie zostanie ukarany przez ludzi, stanie przed sądem niebieskim. To jednak nie przekonuje mojej klientki. Twierdzi, że skoro żyje w cynicznym świecie, gdzie mordercy mogą chodzić bezkarnie, ona nie widzi powodu, żeby samej się poprawnie zachowywać. Ona także przedkłada perwersję nad prawość.

No tak, z nią nie pójdzie zbyt łatwo.

Muszę sprawić, by jej umysł zmienił tor myślenia i przestał dążyć do zemsty. Zemsta to *full time job*, a moja klientka nie może tracić czasu na wyrządzanie innym zła.

Negocjacje są trudne. Wreszcie dochodzimy do konsensusu: Venus stłumi swoją nienawiść, żąda jednak w zamian sławy, dzięki której nie będzie już musiała obawiać się takich ludzi jak Petters. Do czego to podobne, żebym musiał używać cudów jako monety przetargowej w negocjacjach z moimi klientami! Obiecuję tylko, że uczynię, co będzie w mojej mocy.

Teraz Jacques. Ma to, czego sobie życzył. Jego książka została wydana, on jednak popadł w depresję. Czego tym razem chce? Miłości? To niewiarygodne! Od czasu romansu z Gwendoline jego potrzeby emocjonalne się podwoiły. Kogo by tu podsunąć... Jako że właśnie znajduję się w turkusowym lesie otaczającym jezioro, pytam jednego z moich sąsiadów, czy nie ma akurat na zbyciu wolnej klientki, która mogłaby wypełnić czyjaś pustkę emocjonalną.

Muszę przepytać około dziesięciu aniołów, zanim wreszcie udaje mi się znaleźć śmiertelniczkę, która będzie w stanie znieść szczególne cechy charakteru mojego klienta. Sprawiam, by przyśniła się Jacques'owi. To powinno się udać.

Przyglądam się otaczającym mnie aniołom. Raoul, Marilyn i Freddy szykują się do dalekiej podróży do innej galaktyki. Uprzedzam ich, że tym razem nie będę im towarzyszył, nie biorę więc udziału w lotach próbnym.

Raoul prosi, bym do niego podszedł. Udaję, że tego nie zauważam i kieruję swoje kroki w stronę Matki Teresy. Wygląda na taką, która odnalazła właściwą drogę. Świadoma swoich dawnych nietaktów, gorliwie nadrabia zaległości i obecnie wiezie prym wśród innych aniołów, a instruktorzy nie mogą się jej nachwalić. Przynosi im kule jak dumna uczennica. Bez wahania doradza swoim klientom, by zwalniali służących kleptomatów albo inwestowali w przedsiębiorstwa wykorzystujące pracę dzieci z Trzeciego Świata. Każdemu powtarza: „Dzięki temu przynajmniej mają jakąś pracę”. Zastanawiam się, czy Matka Teresa nie popadła z jednej skrajności w drugą. Zobaczmy, w jakim stanie znajdują się jej klienci. Wszyscy stali się materialistami, zboczeńcami seksualnymi i kokainistami.

Lecę dalej. Mijam wielkie równiny wschodu i docieram do skał na północnym wschodzie. Odnajduję wejście, które swego czasu pokazał mi Edmund Wells. Jak odnaleźć drogę w tym labiryncie? Odwracam dłonie wnętrzem do góry i moje kule nadlatują. Wystarczy uważnie patrzeć, skąd do mnie docierają, a następnie pozwolić im się oddalić, żeby sprawdzić, którędy przedostają się do wnętrza góry. Tak więc krok po kroku śledzę moje kule, aż wreszcie docieram do ogromnej komnaty, w której znajdują się cztery kule przeznaczenia.

Widok czterech olbrzymich balonów, w których pulsuje los całego świata, wciąż robi na mnie wielkie wrażenie.

Przylegam do ściany kuli ludzkości i rozmyślam. Jacques ma być może rację. Po co to wszystko?

Widzę moich troje klientów zagubionych pośród sześciu miliardów istot ludzkich. Gdyby wiedzieli, że ich anioł stróż porzucił ich na chwilę tylko po to, by zrealizować swoje własne ambicje, jak by go ocenili? Wypatruję także dręczycieli moich podopiecznych.

Dlaczego ci ciągle muszą wszystkim przeszkadzać? Czy nie mogą żyć własnym życiem, zostawiając bliźnich w spokoju?...

Edmund Wells już stoi koło mnie, otacza mnie ramieniem.

- Więc nie rozumiesz? - pyta.

- Petters. Dupuis. Piotr. Nie, nie rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie tak bardzo się starają być źli...

- Nie są źli. Są ignorantami i się boją. Źli to tchórze, którzy biją ze strachu, że ktoś ich uderzy. Strach wszystko tłumaczy. Zresztą słyszałem, co mówiłeś Venus. Miałeś rację: Petters ma małe przyrodzenie, boi się, że kobiety źle go ocenią, więc... zabija je.

- Ale Petters, Piotr i Dupuis odczuwają przyjemność, zadając innym cierpienie!

Edmund Wells lewituje spokojnie nad olbrzymimi kulami.

- Na tym również polega ich rola. Mają za zadanie demaskować tchórzostwo innych. Petters powinien już dawno temu opuścić telewizję, ale ponieważ oglądalność jego programu stale rośnie, władze stacji utrzymują go na stanowisku za wszelką cenę. Dupuis powinien zostać wydalony z korporacji lekarskiej, ale ma znajomości w światku polityki, więc koledzy się go obawiają. Wolą zostawić go w spokoju, a nawet ratować jego skórę. Piotr wykorzystuje postępującą gangrenę rosyjskiego społeczeństwa. To zwykły herszt bandy w świecie, gdzie każdy może ustanowić własne prawo. W tym wypadku brak systemu daje przyzwolenie na czynienie zła. Nic z tego nie powinno cię dziwić, biorąc pod uwagę ogólny poziom ludzkości. Pamiętaj, że ich średnia wynosi 333 punkty.

Ogarnia mnie zniechęcenie. Mój instruktor mną potrząsa.

- Nie bądź niecierpliwy. Nie osądzaj ich. Poza tym... twoi klienci też nie są bez skazy. Igor zabił. Venus modliła się, żeby jej rywalka została oszczędzona. Jacques to opóźniony w rozwoju nastolatek, który ukrywa się w świecie wyobraźni ze strachu przed rzeczywistością.

Edmund Wells mierzy mnie poważnym wzrokiem.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego. Swego czasu Chris Petters był poszukiwaczem złota i polował na Indian. To on, wraz z dwoma kumplami, założył sznur na szyję Jacques'a Nemroda. Widzisz, życie to niekończąca się pętla. Zobacz, po dziś dzień Petters nosi na głowie skalpy, które do niego nie należą... i dusi ludzi.

Marszczę brwi.

- Po planecie chodzi sześć miliardów ludzi. Jakim cudem napastnik Venus może być równocześnie mordercą Jacques'a z przeszłości?

- Tak naprawdę to żaden cud - wyjaśnia mój instruktor. - Poprzez wieki dusze łączą się w grupy. Kosmiczne spotkania powtarzają się do czasu, aż zostanie osiągnięty cel. Piotr

intuicyjnie to zrozumiał.

Edmund Wells wskazuje mi, poprzez ścianę kuli, jak w głębi kilka małych jajeczek krąży wokół moich.

- Martine, pierwsza przyjaciółka Jacques'a, niegdyś była jego matką.

- Czy to dlatego wzniosła taką barierę uczuciową między nimi?

Edmund Wells potakuje i ciągnie dalej:

- Richard Cuningham był swego czasu bratem Venus, a Billy Watts jej psem (znajdował się wtedy na niższym poziomie rozwoju świadomości). Stanisław był synem Igora w innym wcieleniu. Podpalał stosy, na których ginęły czarownice. Służył pod dowództwem Nerona w Rzymie. Był obecny podczas wielkiego pożaru Biblioteki Aleksandryjskiej, a jeszcze wcześniej był jednym z tych, którzy odkryli, że pocierając o siebie dwa krzemienie, można skrzesać ogień. Przed zamordowaniem Jacques'a Nemroda, Chris Petters był konkwistadorem, który zabił wielu Inków.

Dusze migoczą w swoich kulach jak małe gwiazdy. A więc wszystko ma swoje wytłumaczenie, wszystko zakorzenione jest w bezkresie czasu i ma własną, niewidzialną logikę. Osobliwe zachowania, fobie i obsesje są niepojęte, jeśli nie bierze się pod uwagę poprzednich egzystencji. Freud uważał, że dorosłego człowieka można zrozumieć, analizując zachowanie dziecka, gdy tymczasem należałoby zacząć od badania pierwszej inkarnacji ludzkiej, albo nawet zwierzęcej czy roślinnej. Być może niektórzy uwielbiają mięso, bo niegdyś byli drapieżnikami biegającymi po sawannie. Ktoś, kto lubi się opalać na słońcu, był kiedyś słonecznikiem. Każda dusza ma długą historię - historię wędrówki.

- A więc Raoul, Freddy, tanatonauci...

- Poznałeś ich już pod innymi postaciami. Raoul był twoim ojcem. Idziecie ramię w ramię od bardzo dawna. Z kolei rabin Freddy Meyer w wielu wcieleniach był twoją matką...

Przyglądam się ludzkości przez ścianę wielkiej kuli.

- Pamiętaj, że celem nie jest uprzejmość, tylko ewolucja świadomości. Naszym wrogiem nie jest złość, lecz ignorancja.

III

CO JEST POWYŻEJ

151. IGOR. LAT 22,5

Umieram. Opuszczam swoje ciało. Światło mnie wzywa. Lecę w jego stronę. Nagle nieruchomieję, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Ktoś ciągnie za srebrną nitkę przyczepioną do mojego brzucha, ściąga mnie w dół. Wracam w stronę Ziemi.

- Udało się. Odzyskaliśmy go!

Krzyczą z radości, jak gdybym właśnie się urodził. A przecież to światło było takie piękne.

Kładą mnie do łóżka, przykrywają, utulają i zasypiam. Nie umarłem. Po przebudzeniu jasnowłosa dziewczyna o wielkich zielonych oczach i przepastnym dekolcie nachyla się nade mną.

To anioł, a ja jestem w Raju. Robię ruch w jej stronę, lecz przytrzymują mnie rurki od kroplówek - iluzja mija. No i ten rwący ból w brzuchu.

Cudowna dziewczyna twierdzi, że przez tydzień leżałem w śpiączce i lekarze byli przekonani, że już nigdy się z niej nie wybudzę. Jednak dzięki silnemu organizmowi udało mi się przeżyć. Podobno zostałem zaatakowany na ulicy przez włóczęgów i straciłem dużo krwi. Na szczęście moja grupa krwi jest często spotykana, AB+, więc szpital miał akurat na stanie wystarczająco duży zapas osocza.

Plakietka przyczepiona do białego fartucha informuje mnie, że anioł ma na imię Tatiana. Tatiana Mendelejew. Jest moim lekarzem prowadzącym. Podziwia moją wytrzymałość. Przeciwwstawiłem się prawom medycyny, twierdzi. Niestety ma też dla mnie złą wiadomość. Spuszcza wzrok.

- Musi pan być silny. Ma pan... raka.

A więc to ma być ta „zła nowina”? Phi! Po tym, jak ujrzałem blask śmierci wzywający mnie w stronę nieba, po starciach z matką, karabinem maszynowym, wybuchami granatów i czeczeńskich pocisków raketowych, po ciosie nożem zadany mi przez Piotra, rak wydaje mi się raczej niegroźnym schorzeniem.

Lekarka ujmuje delikatnie moją dłoń.

- Pański nowotwór to nie była jaka choroba. To odmiana dotąd nieznaną. Ma pan raka pępka!

Rak pępka, czy rak małego palca, nie bardzo widzę, co to zmienia. Umrę i tyle. Muszę postarać się wykorzystać jak najlepiej czas, jaki mi pozostał, zanim ponownie ulecę w stronę świetlistych niebios.

- Chciałam pana prosić o pewną przysługę - ciągnie piękność, nie wypuszczając mojej ręki ze swojej. - Chciałabym, żeby został pan moim pacjentem. Proszę mi pozwolić bliżej zapoznać się z pańską chorobą.

Tatiana wyjaśnia mi, że mój przypadek jest wyjątkowy. Pępek to strefa martwa, nieaktywna, relikwia związku z matką. Nie ma powodu, by rak zaczął rozwijać się właśnie tam.

Pani doktor jest również zapalonym psychoanalitykiem. Wyjmuje notes i długopis, a następnie zaczyna mnie wypytywać. Nie muszę się specjalnie wysilać: opowiadam jej, jak matka chciała za wszelką cenę mnie zabić, jak zadałem koledze cios nożem w sierocińcu, dokładnie w dniu, w którym jakaś rodzina miała mnie adoptować, o poprawczaku i o azylu dla psychicznie chorych, o wojnie w Czeczenii... Zafascynowana Tatiana coraz silniej ściska moją dłoń. Uważa, że rozwinąłem w sobie niezwykłą zdolność przeżycia.

Najbardziej jednak pasjonuje ją mój nowotwór, ten nieoczekiwany nowotwór pępka, które to schorzenie pozwoliła sobie nazwać za moją zgodą syndromem Mendelejew. Stanę się, jak to nazwała, królikiem doświadczalnym. Jeśli dobrze zrozumiałem, królik doświadczalny jest zawodowym chorym. Ministerstwo Zdrowia opłaci mi mieszkanie, zapewni wikt i opierunek, leczenie oraz pokryje wszystkie inne koszty. W zamian będę do dyspozycji lekarzy, a w szczególności do dyspozycji Tatiany. Będę jej towarzyszył podczas konferencji odbywających się w różnych miejscach na świecie i poddam się przeróżnym badaniom, które pozwolą ocenić rozwój mojej choroby. Za wszystkie te usługi Tatiana oferuje mi także regularną pensję.

Liczy, które padają, są czterokrotnie wyższe niż mój żołd. Tatiana spogląda na mnie błagalnie swoimi wielkimi zielonymi oczami.

W jakim świecie my żyjemy? Kiedy jest się bohaterem wojennym, pluje się nam w twarz, a kiedy ma się raka, stajemy się obiektem zachwyty...

- A więc zgadza się pan?

Zamiast odpowiedzieć, całuję ją w rękę.

PARADOKSALNA PERSWAZJA: Siedmioletni Erickson przyglądał się ojcu, który usilnie próbował zapędzić byka do obory. Ojciec ciągnął za sznur, zwierzę zaś zapierało się ze wszystkich sił. Mały Erickson wybuchnął śmiechem i żartował z taty. Wtedy ten zwrócił się do niego: „Jeśli jesteś taki sprytny, sam zrób to lepiej”.

Erickson, zamiast ciągnąć za sznur, zaczął ciągnąć byka za ogon. Reakcją zwierzęcia było rzucenie się naprzód - po chwili byk znalazł się w oborze. Czterdzieści lat później dziecko to wynalazło tak zwaną hipnozę ericksonowską - sposób łagodnej i paradoksalnej perswazji, sprawiającej, że pacjent zaczyna odczuwać znaczną poprawę nastroju. Każdy rodzic wie, że jeśli poprosi dziecko o posprzątanie w pokoju, to malec z pewnością odmówi. Jeśli jednak zwiększymy bałagan, wnosząc do pokoju więcej zabawek i ubrań, w pewnym momencie dziecko powie: „Przestań, tato, to już nie do zniesienia; trzeba posprzątać”.

Nakłanianie do czegoś przeciwnego niż to, na co wskazywałby nasz zamierzony cel, może okazać się bardziej skuteczne niż ciągnięcie we właściwą stronę, gdyż w ten sposób wywołujemy przebłysk sumienia.

Jeśli spojrzeć w przeszłość, „paradoksalne nakłanianie” wykorzystywane jest świadomie lub nieświadomie niemal bez przerwy. Potrzeba było aż dwóch wojen światowych i milionów ofiar, żeby powstała Liga Narodów, a następnie ONZ. Potrzeba było wielu przykładów nadużycia władzy przez tyranów, żeby wymyślić Kartę Praw Człowieka. Potrzeba było tragedii w Czarnobylu, żeby ludzie zdali sobie sprawę z zagrożeń, z jakimi wiążą się źle zabezpieczone elektrownie atomowe.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

153. JACQUES. LAT 22,5

Nadszedł wreszcie wielki dzień. Książka *Szczury* wyszła z drukarni. Już jutro będzie można ją znaleźć w księgarniach. Udało się. Trzymam ją w rękach. Głaszczę ją. Wącham. A więc o to walczyłem tak długo. Niesamowite! Jest. Pojawiła się niczym dziecko noszone pod sercem przez wiele lat.

Szczury.

Gdy opadły pierwsze emocje, zaczyna mnie ogarniać przygnębienie. Do tej pory książka ta istniała we mnie, wypełniała mnie - teraz czuję się pusty. Dotarło wreszcie do

mnie, po co się urodziłem. To już koniec. Najlepiej by było opuścić ten świat w chwili chwały, zanim nadejdzie nieunikniony spadek popularności.

Moje życie straciło sens. Pozostaje mi tylko umrzeć. Muszę zabić się teraz - dzięki temu będę mógł powiedzieć, że umarłem szczęśliwy. Czyli muszę popełnić samobójstwo. W jaki sposób się do tego zabrać? Jak zwykle przerastają mnie kwestie praktyczne.

Skąd wziąć rewolwer, z którego mógłbym do siebie strzelić? Nie mam ochoty topić się w rzece, bo woda wygląda na lodowatą. Nie skoczę też z dachu wieżowca, gdyż mam lęk wysokości. Może jakieś tabletki? Ale jakie? Poza tym jestem pewien, że przy moim pechu natychmiast bym wszystkie zwrócił. Pozostaje jeszcze metro, ale nie mam odwagi rzucić się na tory.

Na dodatek gdzieś wyczytałem, że cztery samobójstwa na pięć są nieudane. Ci, którzy strzelają sobie w usta, pozbawiają się jedynie dolnej szczęki i kończą ze zdeformowaną twarzą. Ci, którzy skaczą z szóstego piętra, łamią sobie kręgosłup i resztę życia spędzają przykuci do wózka inwalidzkiego. Ci zaś, którzy przedawkowują leki, niszczą sobie system trawienny, a następnie cierpią z powodu nieuleczalnych oparzeń żołądka.

Postanawiam się powiesić. Tego sposobu boję się najbardziej, ale jednocześnie najbardziej mnie on pociąga. Czuję, że zostałem stworzony do takiej śmierci.

Powierzam kota (niezbyt przejętego) sąsiadce, zamykam drzwi od środka, zasuwam zasłony, a następnie przyczepiam krawat do lampy w toalecie.

To właśnie w tym miejscu zawsze czułem się najlepiej. Wydaje mi się więc rzeczą logiczną, bym tutaj umarł. Wspinam się na taboret, liczę do trzech i go przewracam. Oto wiszę nad ziemią.

Pętla zaciska się coraz bardziej. Duszę się. Wiem, że to nie najlepszy moment na mazgajstwo, ale muszę przyznać, że wiszenie w tak niewygodnej pozycji i czekanie na śmierć jest wyjątkowo nieprzyjemne.

Pająk, ukryty do tej pory w prawym górnym rogu łazienki, wspina się po mnie. Wygląda na zadowolonego z nowego urozmaicenia terenu, jaki tworzy moje wiszące ciało. Zabiera się do tkania pajęczyny pomiędzy moim uchem a boazerią. Łaskocze mnie za każdym razem, gdy przechodzi koło mojego ucha.

Wszystko trwa dłużej, niż sądziłem. Powinienem był zeskoczyć z taboretu, wywołując natychmiastowe złamanie kręgow szyjnych.

Powietrze przeredza się. Brzęczy mi w głowie. Na próżno próbuję odkaszlnąć, żeby złagodzić nieco nacisk na gardło. Krawat zaciska się naprawdę mocno. Wspominam swoje życie. Książka, szczury, kot, Gwendoline, Martine, panna Van Lysebeth, mój wydawca

Charbonnier... Całkiem dobry kawałek życia, niezły film.

Czy naprawdę obejrzałem już wszystkie sceny? Hm, może mam jeszcze pokochać inne kobiety, napisać inne książki i głaskać inne koty? Pająk przytakuje, sadowiąc się w moim uchu i powodując bardzo nieprzyjemne brzęczenie.

Być może to odruch bezwarunkowy, ale nie mam już zupełnie ochoty umierać. Wiję się, próbując rozplątać węzeł. Trochę późno się do tego zabrałem. Na szczęście, jako że mierny ze mnie majsterkowicz, okazuje się, że lampa nie wisi zbyt stabilnie. Śruba puszcza. Spadam. Lampa za mną. Uderza mnie w głowę. Czuję rosnący guz. Aj!

No i proszę, żyję. To doświadczenie wyleczyło mnie ostatecznie z samobójstwa. Przede wszystkim jest strasznie bolesne. Stwierdzam też, że odebranie sobie życia to największa niewdzięczność, do jakiej możemy być zdolni. Popelniając samobójstwo, przyznaje się, że nie potrafi się przyjąć odpowiedzialności za dar życia.

Poza tym czuję, że nie mogę tak zostawić mojej książki. Została wydana, muszę jej teraz bronić, pokazywać, wyjaśniać.

Podczas pierwszego wywiadu, jakiego udzielam, dziennikarz bierze mnie za specjalistę od szczurów, który napisał dzieło popularnonaukowe. Zaprasza się mnie bardzo rzadko do programów telewizyjnych lub audycji radiowych, gdzie znajomość mojej książki przez rozmówców ogranicza się zazwyczaj do przeczytania notki z okładki. Jestem proszony o streszczenie mojej opowieści. Wytyka mi się technikę rysunku na obwolucie. Tak, jakbym to ja ją wybrał... Pojawia się kilka artykułów, które naprawdę odnoszą się do mojego dzieła, te jednak zostają umieszczone w rubryce „zwierzęta” lub „nauka”. Pewien dziennikarz nie zawahał się przed określeniem mnie jako starego amerykańskiego naukowca.

Nikomu nie udało się dostrzec mojej pierwotnej intencji: mówię o ludziach poprzez opisanie zachowań zwierząt, które żyją w społeczności. Jestem rozżalony. Kiedy już dochodzę do głosu, padające pytania nie pozwalają mi się wytłumaczyć. Pyta się mnie: „Jak długo żyje szczur?”, „Ile małych rodzi się w jednym miocie?” albo jeszcze: „Jak skutecznie pozbyć się tych gryzoni?”.

Tak bardzo bym chciał choć raz porozmawiać z filozofami, socjologami, politykami, omówić ustalone role, trudności z przełamaniem stałych stosunków pomiędzy wykorzystującym, wykorzystywanym, samodzielnym i popychadłem. Niestety jedynym rozmówcą, jakiego proponuje mi stacja radiowa, jest specjalista od deratyzacji, cytujący długą listę produktów chemicznych, które człowiek ma do dyspozycji. Trudno tu wdawać się w jakąkolwiek dyskusję. Mogę jeszcze tylko liczyć na marketing szeptany. Nic więcej nie zdołam uczynić dla mojej książki. Moje zadanie jest skończone. Muszę oczyścić umysł. Ale

jak? Telewizja! Wiadomości.

Chris Petters wydaje się jakiś odmieniony. Jego włosy zmieniły kolor. Z pewnością je zafarbował. Prezenter oznajmia, iż w Arkansas banda uczniów rozstrzelała, posługując się pistoletem maszynowym, grupę dzieci na boisku szkolnym. Istnieje pewne określenie, by opisać ten fenomen: „Amok”. Przed śmiercią pojawia się potrzeba wymordowania jak największej liczby bliźnich.

Wiadomości zawsze działały na mnie kojąco. Nieszczęścia innych pozwalają mi zapomnieć o moich własnych, a jednocześnie podsuwają pomysły do nowych historii. Chris Petters kontynuuje swoją litanię mniejszych i większych codziennych horrorów.

Skandal w bankach spermy: wiele kobiet wybierało tego samego dawcę, Hansa Gustavsona, wysportowanego blondyna o niebieskich oczach. Mężczyzna ten mógłby być obecnie ojcem co najmniej pół miliona dzieci. Hans zarzeka się, że nie miał pojęcia o sukcesie swojej spermy, a oddawał ją jedynie po to, by zdobyć środki finansowe na studia. Odtąd jednak zachowa swoje gamety dla siebie.

Słabe trzęsienie ziemi w Los Angeles. Sejsmolodzy uważają, że wstrząs może mieć związek z rozpowszechnieniem się podziemnych prób nuklearnych.

Medycyna: w Rosji odkryto nieznaną do tej pory chorobę - nowotwór pępka.

Meteo: bezchmurnie.

Giełda: spadek indeksu Dow Jonesa.

Jest coraz lepiej. Wszyscy ci ludzie, którzy rzucają się sobie do gardeł w walce o nowe terytoria lub o władzę, przypominają mi szczury z mojej powieści. Rzucam okiem na stolik, na którym spoczywa moje dzieło. *Szczury*. Przedmiot ten wydaje mi się magiczny, żywy. Niech teraz zaczną swoje życie, już beze mnie.

154. VENUS. LAT 22,5

Po tym, jak zostałam zaatakowana przez Chrisa Pettersa, poprosiłam Richarda, żeby częściej przebywał u mnie w domu. Dzięki temu dane mi było przekonać się, czym jest wspólne gospodarstwo domowe z mężczyzną. Wszystkie małe wady, które do tej pory udawało się Richardowi ukrywać, wyszły nagle na światło dzienne.

Wiedziałam, że mężczyźni są z zasady egoistami, a aktorzy zaślepieni własną osobą,

nie sądziłam jednak, że do tego stopnia!

Richard bierze narkotyki. Już z samego rana musi wciągnąć kreskę koki, do kawy i rogalików. Nie potrafi bez tego żyć.

Kiedy kręci film, jego zapotrzebowanie na nie rośnie. Mówi, że to zwiększa jego możliwości. W każdym razie ta przypadłość robi znaczny uszczerbek w naszym budżecie.

Kiedy mówi mi o kinie, zaczynam marzyć. Plany filmowe wydają mi się o wiele bardziej atrakcyjne niż studia fotograficzne. Richard opowiada mi niewiarygodne historie o reżyserach, którzy posuwają się do rękoczynów wobec operatorów, ponieważ nie zgadzają się z nimi co do miejsca ustawienia kamery.

Widzowie zawsze wyobrażają sobie, że aktorzy są od nas, modelek, o wiele bardziej inteligentni, ponieważ scenarzyści wkładają im w usta pasjonujące zdania, ja natomiast zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że w wywiadach moje poglądy mogą wydawać się dość ograniczone. Żałuję, że nie skończyłam jakichś poważnych studiów, nie popracowałam nad zdobyciem wiedzy. Kiedy ktoś zadaje mi pytanie, marzę o tym, żeby w kącie pojawił się mały, łysy scenarzysta w okularach, który by mi podyktował odpowiedź.

Powiedzmy to sobie szczerze - w życiu prywatnym Richard nie jest mistrzem konwersacji. *Dzwonnik z Notre Dame* jest dla niego czystą kreacją Walta Disneya, a Paryż - miastem w Teksasie.

Richard nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Portugalia albo Dania, zresztą jest mu to całkowicie obojętne. Opuścił swoje rodzinne Kentucky, żeby ćwiczyć mięśnie w Hollywood i jakimś cudem, jak to często bywa w świecie filmu, wieśniak ten stał się ulubieńcem większości pań na całym świecie.

Dialog między nami sprowadza się do: „Jak się masz, kochanie?” lub: „Czy wszystko w porządku, koteczku?” albo jeszcze: „Ładna pogoda, prawda?”.

Richard bez przerwy zajęty jest analizowaniem swojej mocy uwodzicielskiej.

Zauważyłam, jak zerka do lusterka stojącego na nocnym stoliku, żeby sprawdzić, jaką minę ma w chwili orgazmu. W ramach przygotowań do wyjątkowo namiętnej sceny przewidzianej w najnowszym scenariuszu, zastanawiał się, od której strony pokazać swój podbródek, by wypaść jak najlepiej.

Nie przepadam specjalnie za Richardem, ale mam zamiar posłużyć się nim jak trampoliną do świata filmu. Ja także wiem, że czas płynie nieubłaganie. Wczoraj zrobiłam mu scenę, zmuszając go do zatrudnienia mnie przy jego kolejnym filmie. Zaczął twierdzić, że zawód aktora nie polega na improwizacji. Jako kontrargument przedstawiłam mu długą listę aktorek bez talentu, które przebiły się do krainy marzeń tylko dzięki swojej urodzie. A

ponieważ to nie wystarczyło, żeby go przekonać do rozmowy z jego producentami, stłukłam kilka talerzy i wyciągnęłam zdjęcia Richarda w towarzystwie nieletnich chłopców, które otrzymałam pocztą od „anonimowej przyjaciółki, która dobrze mi życzy”. Z pewnością to tylko zazdrosna figurantka...

- Takie zdjęcia pozwolą mi nie tylko otrzymać rozwód, lecz także zabrać ci całą kasę i zniszczyć twoją reputację wielkiego uwodziciela.

Richard przekonał więc producentów, żeby dali mi w jego najnowszym filmie *Lisy* rolę kobiety z rosyjskiej armii walczącej w Czeczenii. On sam gra bohatera, starszego sierżanta dowodzącego komandem o nazwie „Lisy”. Ja zaś mam być jedną z jego podwładnych, wyjątkowo rozgarniętą królową miotacza ognia. Dwie uzupełniające się role.

Na szczęście scenarzysta włożył mi w usta mnóstwo wspaniałych wypowiedzi. Wreszcie mogę poszczycić się idealnym poczuciem humoru, o jakim zawsze marzyłam, lecz którego żaden chirurg plastyczny nie był w stanie wszczepić mi do mózgu.

Lisy będą kręcone w Rosji, żeby nadać całemu przedsięwzięciu więcej realizmu, a także żeby zaoszczędzić na gażach dla statystów.

Teraz dopiero czuję tremę. Chcę zostać wielką gwiazdą, czarną Liz Taylor.

155. ENCYKLOPEDIA

TURING: Jakże osobliwy los spotkał Alana Mathisona Turinga urodzonego w Londynie w 1912 roku. Samotne dziecko o miernym wykształceniu jest zafascynowane matematyką, którą wynosi na niemal metafizyczny poziom. W wieku lat dwudziestu młodzieniec tworzy zarys koncepcji komputera, przedstawiając go jako postać ludzką, której organy zastępują kalkulatory.

Podczas drugiej wojny światowej realizuje (częściowo w oparciu o prace polskich kryptoanalityków) projekt automatycznego kalkulatora, służącego do łamania kodu nazistowskiej „Enigmy”. Wynalazek ten pozwalał aliantom na zdobywanie informacji o miejscach bombardowań, a przez to ocalił tysiące istnień ludzkich.

Kiedy John von Neumann w Stanach Zjednoczonych wpadł na pomysł fizycznego komputera, Turing pracuje już nad „sztuczną inteligencją”. W 1950 roku redaguje esej: Czy maszyna może myśleć? Jego wielką ambicją jest obdarzenie maszyny ludzkim umysłem.

Uważa, że obserwując istoty ludzkie, znajdzie klucz do stworzenia doskonałej maszyny myślącej.

Turing wprowadza nowe pojęcie: „płeć myśli”. Wymyśla gry i testy mające na celu odróżnienie umysłu męskiego od żeńskiego. Twierdzi, że umysł kobiecy charakteryzuje brak strategii. Owa mizoginia sprawia, że wiele osób odwraca się od niego, co niejako tłumaczy fakt, że jego nazwisko popadło w częściową niepamięć.

Marzy o partenogenezie, czyli o rozmnażaniu się z pominięciem zapłodnienia. W 1951 roku zostaje skazany za homoseksualizm. Musi wybierać między więzieniem a kastracją chemiczną. Wybiera drugą opcję i poddaje się kuracji na bazie hormonów żeńskich. Zastrzyki sprawiają, że traci potencję i pojawiają mu się załączki piersi.

7 czerwca 1954 roku Turing kładzie kres swojemu życiu, zjadając jabłko zanurzone wcześniej w cyjanku potasu. Pomysł ten miał mu podobno przyjść do głowy po obejrzeniu kreskówki o Królowie Śnieżce. Pozostawił list, w którym wyjaśnia, że skoro społeczeństwo zmusiło go do przeistoczenia się w kobietę, postanowił umrzeć tak, jak mogłaby to uczynić najczystsza z nich.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

156. W STRONĘ SĄSIEDNIEJ GALAKTYKI

Jeżeli celem naszego anielskiego dzieła jest walka z ignorancją, nie widzę już nic, co mogłoby mnie powstrzymać przed wyruszeniem w podróż badawczą do innej galaktyki. Ot, nagle błysnęła mi taka myśl. Wiedziałem, że moich troje towarzyszy planuje już niebawem podjąć podróż i dołączyłem do nich w ostatniej chwili.

Trudno, jeśli Edmund Wells będzie na to krzywo patrzył. Trudno, jeśli mi się nie uda z klientami, którzy podobno są moim odbiciem. Zaakceptuję to. Ja także lubię pokonywać granice i jestem skłonny zapłacić wysoką cenę za to, by nie skończyć jako ignorant.

Tworzymy romb. Grupujemy się: Raoul, Freddy, Marilyn Monroe i ja. Nie ma sensu rozpoczynać kolejnych dyskusji, wszyscy wiemy, że czeka nas wielka, wielka, wielka przygoda. Inna galaktyka! Po raz pierwszy dusze ludzkie opuszczą swoją rodzinną Galaktykę!

Krzysztof Kolumb, Magellan i Marco Polo mogą się schować! Ich wyczyny to jedynie spacerki w porównaniu z naszą odyseją. Nie mogę się doczekać. Wiem, że moi klienci nie

zdołają się ze mną skontaktować podczas mojej nieobecności, ale trudno.

- Rodzice jadą na wakacje, dzieci muszą radzić sobie same - oznajmia Raoul. -
Chodźcie, naprzód, ku nowej przygodzie!

Opuszczamy Raj i zagłębiają się w kosmos. Mijamy tysiące gwiazd, zanim udaje nam się dotrzeć na peryferie naszej Galaktyki. Tam Freddy zachęca nas, byśmy odwrócili się i spojrzeli na nią tak, jak pierwsi astronauty przyglądali się niegdyś Ziemi. Z odległości.

Fantastyczny widok!

Droga Mleczna tworzy pięcioramienną spiralę obracającą się wokół własnej osi. W centrum znajduje się wypukłość zawierająca jądro, przez którego środek przechodzi pępek Raju. Wokoło dysk i jego swita z gwiazdowego pyłu. Perseusz, zewnętrzne ramię galaktyki, nie przestaje zataczać kręgów. Najbliższe ramię, Łabędź, niemal muska jądro. 100 000 lat świetlnych średnicy i 5000 lat świetlnych grubości, to naprawdę niemało.

Freddy wskazuje nam niewielką gwiazdkę w pobliżu głównego ramienia spirali, to słońce Ziemi. Pomyśleć tylko, że moi klienci miotają się w tym łagodnym świetle - takie ujęcie sprawy wiele relatywizuje...

Ustalamy kurs na najbliższej położoną sąsiednią galaktykę: Andromedę. Tworzymy romb i bardzo szybko osiągamy prędkość światła. Fotony wokół nas nieruchomieją. Mijamy je. Żegnajcie, fotony. Pędzimy teraz zapewne z prędkością dziesięciokrotnie większą niż prędkość światła.

Podróż jest raczej monotonna. Pustka, pustka i jeszcze raz pustka. Wszyscy wielcy odkrywcy musieli zaznać tego uczucia na pełnym morzu: woda, woda i jeszcze raz woda, niekończące się dni, podczas gdy na horyzoncie nie widać absolutnie nic. Pustka, pustka, lata pustki, odnosząc się do skali ziemskiej. Jednak cel, który sobie wyznaczaliśmy, i olbrzymie odległości w kosmosie nie pozostawiają nam wyboru. Pokonujemy miliony kilometrów. Zaczynam się zastanawiać, czy uda nam się odnaleźć drogę do domu. Kiedy jednak powiedziało się A, trzeba umieć powiedzieć B. Co się zaś tyczy moich klientów, niech sobie radzą!

157. IGOR. 23 LATA

Rozpoczynam dość przyjemną karierę etatowego chorego. Wraz z doktor Tatianą Mendelejew wyruszamy w tournée poza granice Rosji. Mój pępek wzbudza ogromne zainteresowanie. „Czy to pana boli?“, pytają mnie. Z początku odpowiadałem, że nie, czułem jednak, że brak bólu rozczarowuje moich rozmówców. Jak można interesować się kimś, kto nie cierpi? Poprawiłem się więc: „Tak, ból nie daje mi spać” oraz: „Tak, a ponieważ nowotwór znajduje się w centrum mojego ciała, ból promieniuje na wszystkie strony” i wreszcie: „To przekracza ludzkie pojęcie”.

Co ciekawe, odkąd zacząłem potwierdzać, rzeczywiście zacząłem odczuwać ból. Nawet moje ciało próbuje mi pomóc lepiej odgrywać przydzieloną rolę. Mimo to, jak na faceta tyle razy rannego w walce, ten nowotwór to pestka.

Tatianie zależy na moim wyedukowaniu. Sprawia, że zaczynam interesować się grubymi księgami. Podarowała mi ostatnio opasłe tomisko pod tytułem *Szczury*. To historia szczura żyjącego wśród innych szczurów, który dąży do przełamania stosunków pomiędzy wykorzystującym a wykorzystywanym i stworzenia nowej formy współistnienia w społeczeństwie opartej na współpracy, wzajemności i przebaczeniu. Jednocześnie szczury bohater prowadzi śledztwo mające na celu zdemaskowanie zabójcy króla szczurów. W pewnym momencie orientuje się, że dominujące szczury sprzymierzyły się przeciwko niemu i chcą wygryźć mu mózg. Myślę, że tym sposobem przesiąkną jego osobowością. W książce są nawet opisy bitew między szczurami - sceny te przypominają mi epizody z wojny w Czeczenii.

Tatiana Mendelejew wkracza do mojego pokoju. Twierdzi, że nikt nie może żyć samotnie, że miłość jest niezbędna do życia. Ujmuje mnie pod brodę i całuje głęboko w usta, zanim pojmuję, co się dzieje. Jej wargi mają smak czereśni, a skóra jest gładka jak jedwab. Nigdy wcześniej nie zznałem takiej słodczy.

Tatiana oświadcza, że chce ze mną zamieszkać, lecz stawia pewne warunki.

- Jestem jak roślina. Trzeba do mnie dużo mówić.

Kochamy się.

Za pierwszym razem jestem tak przejęty, że aż drzę z rozkoszy. Za drugim razem czuję się, jakbym się odradzał. Za trzecim razem zapominam o wszystkich złych chwilach, które przeżyłem od chwili urodzenia.

Idziemy razem do kina na film z Venus Sheridan, *Lisy*. Gra ona tam żołnierza mającego takie zadanie, jakie miał Stanisław, z tym że kiedy używa miotacza ognia, nie podnosi bezpiecznika. W rezultacie jako jedyny na całej sali śmieję się przy scenach z jej udziałem. A więc to tak na Zachodzie wyobrażają sobie wojnę? Po filmie zajmujemy z

Tatianą stolik w renomowanej restauracji i nie skąpimy sobie wódki, blinów i kawioru. Stawia Ministerstwo Zdrowia.

Sporo czasu spędzamy w łóżku. Moja pani doktor to uwielbia. Dużo też rozmawiamy. Opowiada mi o swoim spotkaniu z pewną peruwiańską hipnotyzerką, Nathalie Kim, która zaproponowała jej powrót do przeszłości. Dowiedziała się dzięki niej, że w swoim poprzednim wcieleniu była francuską pielęgniarką, Amandine Ballus, towarzyszącą ludziom w ich podróży do granicy śmierci. Wtrącam, że ja z kolei mam wrażenie, że kochałem ją już w moim poprzednim życiu.

Całujemy się.

Kiedy Kocham się z Tatianą, chciałbym móc wtopić się w nią i zmienić w płód w jej brzuchu. Wybrałem ją nie tylko jako kobietę, lecz także jako matkę. Chcę cały w nią wniknąć, chcę, żeby nosiła mnie w sobie przez dziewięć miesięcy, żeby karmiła mnie piersią, przewijała, dawała mi jedzenie na łyżeczce i uczyła czytać.

Cóż za piękne życie! Zaprzestałem pokera. Nie mam już ochoty na wizyty w obskurnych kasynach. Po tylu cierpieniach mam chyba prawo do odrobiny odpoczynku i przyjemności.

Wasył odwiedza nas od czasu do czasu, zjadamy wtedy rodzinną kolację. Opowiada mi o swojej pracy, która coraz bardziej go pasjonuje. Odkąd zaszczerpił swojemu programowi strach przed śmiercią, z obawy przed zniknięciem ten rozwinął w sobie nowe zmysły. Gdy tylko komputer zostaje podłączony do sieci, program od razu zaczyna działania, które mają na celu rozmnożenie się.

- Dąży do nieśmiertelności - żartuje Wasył.

Mój przyjaciel jest prawdziwym geniuszem. Mówi o swoich komputerach, jakby opowiadał o żywych stworzeniach. Przyniósł mi najnowszą wersję programu do gry w pokera, który teraz nie tylko umie blefować, lecz także daje wyraz swojemu strachowi.

- Naprawdę boi się przegrać?

- Wierzy, że przez przegraną zbliża się do śmierci. Ten program to dwunasty egzemplarz należący do nowej generacji oprogramowań, które same się powielają. Grają między sobą i testują swoje możliwości, najsilniejsze rozmnażają się, a najsłabsze - znikają. Już nawet nie interwenuję. Same dokonują selekcji, a są w tym coraz lepsze i... coraz bardziej przestraszone.

- A zatem lęk miałby być przyczyną ich ewolucji?

- Kto wie? Może naszej także? Kiedy jest się zadowolonym ze swojego życia, nie ma powodu, żeby się zmieniać.

Rozgrywam kolejną partię pokera z programem. Tym razem maszyna mnie pokonuje. Próbuję ponownie i znów przegrywam. Jestem uparty i chcę grać dalej, niestety maszyna nagle się psuje.

- Te niewyjaśnione awarie to mój główny problem - przyznaje mój przyjaciel. - Mam wrażenie, że ktoś stara się powstrzymać nasze odkrycia.

Wasył proponuje, że zastąpi swoją maszynę i sam ze mną zagra. Obiecałem już jednak Tatianie, że nie będę więcej grał w pokera z ludźmi. Moja lekareczka pojawia się i bierze mnie w ramiona. Głaszcze mnie po plecach. Nie spodziewałem się, że coś tak pięknego może pojawić się w moim życiu, które do tej pory było jednym wielkim pasmem nieprzyjemności.

158. ENCYKLOPEDIA

O ZNACZENIU BIOGRAFA: Ważne jest nie to, co zostało osiągnięte, lecz to, co o tym napiszą biografowie. Przykład: odkrycie Ameryki. Nie dokonał go Krzysztof Kolumb (gdyż wtedy kontynent ten nazwano by Kolumbią), lecz Amerigo Vespucci.

Za swojego życia Krzysztof Kolumb był uważany za człowieka przegranego. Przemierzył ocean, chcąc dotrzeć do kontynentu, którego nie udało mu się znaleźć. Istotnie dobił do brzegów Kuby, Haiti i wielu jeszcze innych wysp Pacyfiku, nie wpadł jednak na pomysł, by poszukać lądu nieco bardziej na północy.

Za każdym razem, gdy wracał do Hiszpanii ze swoimi papugami, pomidorami, kukurydzą i czekoladą, królowa pytała go: „Czy w końcu znalazł pan Indie?”, a on niezmiennie odpowiadał: „Już wkrótce, już wkrótce”. W końcu królowa straciła do niego zaufanie i Kolumb wylądował w więzieniu, oskarżony o malwersację. Dlaczego więc wiemy wszystko o życiu Krzysztofa Kolumba, a niemal nic o losie Vespucciego? Dlaczego w szkołach nie uczy się o „odkryciu Ameryki przez Ameriga Vespucciego”? Po prostu dlatego, że nie miał on biografę, Kolumb zaś tak. Syn Krzysztofa Kolumba stwierdził bowiem kiedyś: „To mój ojciec odważył największą robotę, zasługuje na uznanie”, po czym zaczął pisać książkę o jego życiu.

Nikomu nie zależy na prawdziwych wyczynach, liczy się jedynie talent relacjonującego je biografę. Amerigo Vespucci być może nie miał syna, lub też ten nie uznał za stosowne unieśmiertelnić ojcowskie osiągnięcia.

Jeszcze inne wydarzenia znalazły swoje miejsce w historii tylko dzięki chęci co najwyżej kilku osób. Kto wiedziałby dziś, kim był Sokrates, gdyby nie Platon? Albo Jezus, gdyby nie apostołowie? Albo Joanna d'Arc, stworzona na nowo przez Micheleta, żeby Francuzi

odzyskali chęć do walki z pruskim najeźdźcą? Henryk IV? Jego istnienie zostało nagłośnione przez Ludwika XIV, który chciał w ten sposób zyskać sobie prawo do odziedziczenia tronu. Tak myślą wszyscy wielcy tego świata: nieważne, czego dokonacie, jedynym sposobem, by zapisać się w historii, to znaleźć sobie dobrego biografa.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

159. VENUS. 23 LATA

Kręcenie filmu jest strasznie nudne. Całymi godzinami drepczę w miejscu, zanim usłyszę „Cisza! Kamera! Akcja!”, które to słowa sprawiają, że coś wreszcie zaczyna się dziać. Mam już w zwyczaju zajmowanie sobie krzesła zaraz po przyjściu na plan. Kino to wielka lekcja cierpliwości. Ci, którzy zapomną o zarezerwowaniu sobie jakiegoś siedziska, zmuszeni są stać całe wieki.

 Nie sądziłam, że na tym właśnie polega kino: na szukaniu sobie krzesel i czekaniu.

 Kiedy wreszcie nadchodzi moja kolej, zawsze wydarza się coś, co komplikuje całą operację: hałas lecącego w oddali samolotu, nitka na obiektywie bądź niespodziewany deszcz.

 Chwile, kiedy spływa na mnie natchnienie aktorskie, nie zostają zarejestrowane, bowiem wtedy partnerujący mi Richard ma akurat pustkę w głowie albo asystent zapomina o przygotowaniu odpowiedniej ilości taśmy filmowej do nakręcenia sceny do samego końca. Na dłuższą metę jest to dość irytujące.

 Wokoło wszyscy wrzeszczą. Reżyser nie zna innego sposobu porozumiewania się z ludźmi jak tylko poprzez agresję słowną. Nawet do mnie odzywa się tylko po to, żeby zrobić jakąś uwagę: „Mów wyraźniej”. „Nie odwracaj się plecami do kamery”. „Uważaj, twoja ręka jest w polu widzenia”. „Idź dokładnie po markerach na ziemi”. Albo wreszcie: „Nie rób takiej miny, wyglądasz na wściekłą”.

 Ach, ten reżyser...

 Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie traktował. W ciągu całej długiej kariery modelki żaden, nawet najbardziej histeryczny dyktator mody nie odnosił się do mnie z takim brakiem szacunku. Gram już w drugim filmie, lecz zastanawiam się, czy to aby na pewno zajęcie dla mnie.

Richard jest bardzo nerwowy. Przeszkadzam mu w podrywaniu dziewcząt z planu, jak to ma w zwyczaju. Nudzi mu się więc i coraz częściej się kłócimy. Ktoś powiedział: „W małżeństwie przez trzy miesiące się kochamy, trzy lata się kłócimy, a przez trzydzieści znosimy nawzajem”.

Zabawiam się, rysując. Na małych karteczkach pojawiają się zawsze dwie osoby trzymające się za ręce. Nie mam pojęcia, dlaczego w kółko rysuję to samo. Może uzewnętrzniają się tak moje marzenia o idealnym związku? Kto wie...

Przyglądam się sobie w lustrze. Mam wszystko, czego sobie życzyłam. Jestem szczęśliwa, dlaczego jednak nie umiem się tym cieszyć?

Męczy mnie migrena. Nie opuszcza mnie właściwie, odkąd byłam małą dziewczynką. Ciągły, pulsujący ból. To schorzenie niszczy moje sprawy prywatne i zawodowe, moją radość życia. W mojej głowie wciąż tkwi małe zwierzątko, które drapie w ściany czaszki, jakby chciało wydostać się na zewnątrz. To nie do zniesienia. Żadnemu lekarzowi nie udało się określić przyczyny mojego cierpienia.

Pora na modlitwę: chciałabym, żeby ból głowy ustał.

160. JACQUES. 23 LATA

Mój wydawca wreszcie do mnie dzwoni. Wyniki sprzedaży nie są porażające. Moje *Szczury* sprzedały się w liczbie o połowę mniejszej, niż mieliśmy nadzieję. Każdego roku we Francji ukazuje się tyle powieści, że nie jest łatwo ściągnąć uwagę na konkretną pozycję. Żeby moja książka odniosła sukces, Paryż musiałby przeżyć inwazję szczurów, albo musiałby się właśnie rozpocząć chiński Rok Szczura. Ponadto żadna sława nie oszalała z zachwyty po przeczytaniu mojego dzieła.

- Ta historia ze współpracą, wzajemnością i przebaczeniem, jak na to wpadłeś?

- Przyśniło mi się.

- Taa... No więc myślę, że nie był to najszcześniejszy pomysł. Rozmawiałem ze znajomym krytykiem, który uważa, że to taka mowa-trawa, a to go zawsze denerwuje. Szczur, który głosi konieczność przebaczenia... to wbrew wszelkim naukowo dowiedzionym informacjom na temat zachowania tych zwierząt. Szczury sobie nie przebaczą.

- Próbowałem wyobrazić sobie, jak szczury mogłyby ewoluować, gdyby były

obdarzone świadomością. No cóż, krótko mówiąc, popłynęliśmy na tym?

- Hmm... Właściwie to popłynęliśmy we Francji - przyznaje Charbonnier - ale niespodziewanie, *Szczury* odniosły ogromny sukces w Rosji. W ciągu miesiąca sprzedaliśmy tam trzysta tysięcy egzemplarzy!

To brzmi lepiej.

- Jak to wyjaśnić?

- W Rosji telewizja jest na tak słabym poziomie, że ludzie czytają o wiele więcej niż we Francji.

Ja, który marzyłem o sławie, osiągnąłem ją, lecz nie w ojczystym języku. To prawda, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, następnym jednak razem, kiedy będę się modlił, sprecyzuję: „Żeby się udało... we Francji”.

Dzięki rosyjskiemu sukcesowi Charbonnier zgadza się przyjąć do druku moją drugą książkę. Czy mam już jakiś pomysł?

- Ech... tak... Odkrycie raju.

Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy. Słowa same popłynęły z moich ust.

- Dlaczego właśnie to?

- Znow za sprawą snu. Śnili mi się ludzie, którzy latali w przestrzeni kosmicznej w poszukiwaniu raju. Wydaje mi się, że można by z tego zrobić niezłą historię.

Wydawca jest innego zdania. Ludzie nie dojrżeli jeszcze do tego, żeby słuchać opowieści o raju z ust laika. Wszystkie książki na ten temat powstały, by „szerzyć wiarę”. To święty temat.

Odpowiadam, że właśnie dlatego zabawne byłoby pozbawienie tego tematu cech świętości; nie można pozwolić, żeby o śmierci i o raju mówiły tylko religie i sekty.

Po chwili namysłu Charbonnier decyduje się mi zaufać. Kilka dni później na wystawie jednej z małych, zakurzonych księgarenek dostrzegam okładkę przecenionej książki: *Tanatonauci*. Niebieska spirala na czarnym tle oraz nazwisko: Michael Pinson. On także pisze o raju, chociaż tytuł wydaje mi się nieco naciągany - stąd zapewne brak sukcesu tego dzieła. A nawet dla tych, którzy zrozumieli znaczenie neologizmu „tanatonauta”, temat śmierci stanowi oczywistą wadę tej pozycji. Kto miałby ochotę kupić książkę o umieraniu?

Ja. Kupuję ją i czytam. Próbuje znaleźć rozwiązanie zagadki, która przewija się przez cały tekst. „Jak narysować okrąg i jego środek, nie odrywając ołówka od papieru?” Rozwiązanie polega na tym, że trzeba zagiąć róg kartki (czyli zmienić jej wymiary), a następnie narysować spiralę biegnącą przez obie części odgiętego rogu... Długo łamałem sobie głowę, zanim się zorientowałem, że jest to dokładnie ten sam motyw, co na okładce.

Biorę się do pracy. Odłączam telefon. Nastawiam symfonię *Z Nowego Świata* Dvoraka. Wreszcie pozwalam popłynąć moim myślom.

Wymyślić raj nie jest łatwą sprawą. Nawet jeśli wiele mitologii o nim wspomina, miejsce to jest właściwie niesprecyzowane. Jak przedstawić je wiarygodnie? Jako planetę? To zbyt proste. Jako sześcian? Zbyt geometryczny. Grupę asteroid? Zbyt rozdrobnione. Po raz kolejny kot podsuwa mi pomysł. Mona Lisa II bawi się kurkiem przy wannie. Odkręca wodę. Znam jej zwyczaje - zaraz przewróci odkręconą butelkę z płynem do kąpieli, której bąbelkowa zawartość powoli rozleje się po dnie wanny.

Może dusze przypominają bańki mydlane? Wyobrażam sobie, jak wsysa je odpływ (czyli właśnie raj). Zostają porwane przez wir do kanalizacji, a następnie wypływają zupełnie gdzie indziej, w świecie tak złożonym, że trudno to w ogóle pojąć. Jak bańka mydlana mogłaby przeczuwać, skąd zostaje porwana i dokąd? W jaki sposób wyobraziłaby sobie wannę, ludzi, kanalizację, miasto, kraj, Ziemię? W najlepszym wypadku dostrzeże wodę i chłodną masę wanny...

Oto jaki pomysł podsuwa mi Mona Lisa II: odwrócony stożek, wir, wszystko wsysająca spirala...

161. WRESZCIE

Mam wrażenie, że lecimy już od miesięcy. Czuję się, jakbym pływał w oceanie. Na szczęście nie odczuwamy ani głodu, ani pragnienia, nie chce nam się też spać. Freddy opowiada dowcipy, żeby nas rozerwać. Kończy się na tym, że każdy z nich mówi po kilka razy. Udajemy, że tego nie zauważamy.

Od dawna już podróżujemy w kosmosie. Wreszcie, któregoś dnia...

- Galaktyka na horyzoncie! - wrzeszczy Raoul niczym wachtowy.

W oddali dostrzegamy poświatę. Nie jest to gwiazda. Dotarliśmy do Andromedy! Nie ma kształtu spirali, lecz wygląda jak soczewka. Z pewnością jesteśmy jedynymi Ziemianami, a nawet pierwszymi „Drogomlecznymi”, którzy patrzą na nią z tak bliska.

Andromeda jest galaktyką młodszą od naszej, jej gwiazdy są bardziej żółte niż te należące do Drogi Mlecznej.

- Tym razem nam się udało.

Marilyn Monroe wskazuje palcem na środek galaktyki. Coś zauważyła - tam także znajduje się czarna dziura. Czyżby była to reguła obowiązująca we wszystkich galaktykach? Czarna dziura pełniąc rolę osi, wokół której kręci się gwiazdna masa?

Pikujemy w dół, w stronę wiru. Przelatujemy koło gwiazd, planet, meteorów, wsysanych przez ten niebieski otwór! Przyglądamy się im, gdy nagle dostrzegamy pędzącą duszę. Gdy mija pierwsze zaskoczenie, próbujemy ją dogonić, lecz niestety leci zbyt szybko.

Stajemy, starając się pojąć znaczenie tego, czego właśnie byliśmy świadkami. To była dusza. A więc mamy tu do czynienia ze świadomością. A zatem też z inteligencją. Otwierają się przed nami ogromne możliwości...

- Czyżbyśmy właśnie zobaczyli jakiegoś boga albo duszę pozaziemską? - zastanawia się na głos Raoul, wciąż przekonany, że uda mu się odkryć królestwo bogów.

Jeśli chodzi o mnie, Freddiego i Marilyn, bylibyśmy w pełni usatysfakcjonowani już samym spotkaniem z istotą pozaziemską...

Mijają nas kolejne ektoplazmy. Próbuje je zatrzymać, lecz wszystkie nam się wymykają. Jeśli są to zmarli, to muszę przyznać, że nigdy w życiu nie widziałem, żeby dusza aż tak spieszyła się na Sąd Ostateczny.

- Psiakrew, psiakrew, psiakrew! - powtarza Raoul, wciąż oszołomiony.

Wreszcie ktoś nas zauważa i przywołuje.

- Kim jesteście?

To ektoplazma, lecz bijąca od niej poświata różni się od naszej. Nasza aura ma błękitny odcień, jej natomiast wpada raczej w róż.

- Aniołami z Ziemi.

Wygląd tego pozaziemskiego anioła nie jest wcale niezwykły. Chudy jak patyk, przypomina zawiadowcę z prowincjonalnej stacji kolejowej. Najwyraźniej jest równie zaskoczony jak my.

- Z Ziemi? Dlaczego to się nazywa Ziemią?

- To substancja pokrywająca jej powierzchnię. Piasek, ziemia.

- Hm... A gdzie jest ta Ziemia?

- No... gdzieś tam - odpowiada Marilyn Monroe, wskazując w stronę, z której nadlecieliśmy.

Na szczęście porozumiewamy się za pośrednictwem myśli, więc tłumacz nie jest nam potrzebny.

- Michael Pinson, do usług - mówię.

Wtedy dusza również się przedstawia.

- Nazywam się Zoz. Po prostu Zoz.

- Bardzo nam miło, Zoz.

Wyjaśniamy mu, że przybyliśmy tutaj z galaktyki Drogi Mlecznej. Zoz przetrawia powoli tę informację. Z początku nie chce nam uwierzyć, lecz po jakimś czasie, gdy wyjawiamy mu cel naszej podróży, zaczyna zmieniać zdanie. Przyznaje nawet, że sam dostrzegł w karmicznych *curriculum vitae* swoich klientów luki i zastanawiał się, czy ludzie ci nie reinkarnują się gdzie indziej. Nie spodziewał się jednak, by mogły one emigrować aż do innej galaktyki.

Okazuje się, że Droga Mleczna zwie się tutaj 511. Ciekawe, tutejsi używają liczb, tak samo jak my. Nad naszymi głowami mkną ektoplazmy. Zoz wyjaśnia nam, że to dusze, które lecą do Raju, przygotować się do kolejnego życia.

Pytamy go, skąd pochodzą owi zmarli. Z tego co wiadomo Zozowi, w galaktyce znajduje się tylko jedna zamieszkała planeta. Nazwa jej pochodzi nie od substancji, z jakiej jest stworzona, lecz od koloru - czerwieni. Planeta Czerwień.

Nie możemy się doczekać, aż dowiemy się czegoś więcej na jej temat. Zасыpujemy Zoza pytaniami, na które on odpowiada z uprzejmością dobrego przewodnika turystycznego. Okazuje się, że Czerwianie żywią się chlebem, zupą, warzywami i mięsem. Żyją w miastach i budują domy. Słyszając to wszystko, można by sądzić, że Czerwień jest identyczna jak Ziemia. Czyżby istoty pozaziemskie były podobne do ludzi?

Zamyślam się. Literatura i kino przyzwyczyły nas do wyobrażania sobie kosmitów jako istoty mniejsze lub większe, z licznymi odnóżami i głowami, mackami lub skrzydłami, rzadko jednak podobne do nas.

Mamy ochotę odwiedzić tę planetę. Zoz waha się przez chwilę, wreszcie zgadza się nas oprowadzić po swoim świecie. Oto przed nami znajduje się obcy glob. Czerwień wydaje się nieco większa od Ziemi.

Z zewnątrz planeta otoczona jest grubą warstwą atmosfery. Krąży po eliptycznej orbicie wokół słońca, które również jest większe od naszego. Mimo iż odległość od tej gwiazdy jest znaczna, to jednak jest ono na tyle duże, że klimat Czerwieni można śmiało porównać do warunków panujących na Ziemi.

Z punktu widzenia ziemiańskiego, Czerwień jest planetą, na której życie może się rozwijać. Im bardziej się do niej zbliżamy, tym piękniejszy wydaje nam się jej krajobraz. Stale lądy są w kolorze magenty, niebo ma fiołkoworóżową barwę, jakby oświetlone przez tańczące promienie zachodzącego słońca. Oceany są w kolorze ciemnego cyjanu. Odcień ten zawdzięczają odbłaskom z nieba, ale także morskiej głębinie. Ładnie.

Czerwień składa się z czterech kontynentów, z których każdy ma inny klimat i charakterystyczne dla siebie ukształtowanie terenu: pierwszy jest górzisty, drugi to zalesiony płaskowyż, trzeci składa się z równin, czwarty natomiast pokrywa jedna wielka pustynia. Zwyczaje mieszkańców oparte są na całkowitym przystosowaniu się do jednej z pór roku.

Zoz opisuje nam cztery ludy planety. Zimowi żyją w górach, dysponują zaawansowaną technologią, a ze względu na panujący ziąb budują podziemne miasta. Niska liczba urodzeń. Większość populacji stanowią dojrzałe osobniki w wieku powyżej czterdziestu lat. Zimowi uznają system demokratyczny. Wszyscy obywatele głosują za pośrednictwem sieci elektronicznej. Ich słabe punkty: rolnictwo w zaniku, pogłębiający się niż demograficzny. Mocne punkty: rozwój nowoczesnych technologii, produkcja robotów, które pracują zamiast nich. Zimowi nie mogą pochwalić się kondycją fizyczną i komunikatywnością. Większość czasu spędzają w swoich domach, przed ekranami. Są przekonani, że dzięki postępowi medycyny dożyją stu lat. Ich dewiza: „Przyszłość należy do najinteligentniejszych”.

Jesienni żyją na płaskowyżu w wielkich, zanieczyszczonych metropoliach otoczonych lasami. Są zdolni do wytwarzania własnej technologii - broni i robotów, które nie są jednak aż tak zaawansowane, jak na kontynencie Zimowych. Potrzebują wsparcia nowoczesnych wynalazków importowanych od Zimowych, a także warzyw i owoców od Wiosennych oraz mięsa od Letnich. By zapewnić sobie dostawy tych produktów, wykształcili system wymiany handlowej oraz dyplomację, której zadaniem jest utrzymywanie poprawnych stosunków z sąsiadami. Ich dewiza: „Bądźmy wszyscy przyjaciółmi”. Jesienni dostarczają Zimowym surowce wykorzystywane w przemyśle, pomagają im również w okresach głodu, dzieląc się zapasami pożywienia.

W zamian za dostawy produktów spożywczych Wiosenni i Letni mogą liczyć na pomoc Jesiennych przy produkcji sprzętu zaawansowanego technicznie i utrzymywaniu zapasu surowców. System polityczny: republika ze zgromadzeniem przedstawicieli i częstymi zmianami premiera.

Wiosenni żyją na terenach równinnych w niewielkich miastach. Rolnictwo rozwija się kwitnąco, głównie wysiewa się zboże. Poziom demograficzny: średni. Technologia: średnio zaawansowana. Mocne strony: brak. Słabe strony: również brak. Wiosenni są przeciętni we wszystkim, czego się podejmują. Bardzo związani z Letnimi. Są przekonani, że przy ich pomocy pewnego dnia uda im się przejąć tereny należące do Zimowych i Jesiennych, a tym samym zagrabieć ich technologie. Pozwoliłoby im to zyskać na wielu frontach. Dewiza: „Równowaga leży w połowie drogi pomiędzy dwoma skrajnościami”.

Letni mieszkają w niewielkich wioskach rozrzuconych pomiędzy rozległymi oazami

na pustyni. Technologia na bardzo niskim poziomie. Wysoka liczba urodzeń. Reżim despotyczny. Wszyscy są posłuszni Komandorowi, który posiada władzę nad życiem i śmiercią każdego z obywateli. Mocne strony: olbrzymie kolonie lemurów karmionych zbożem Wiosennych dostarczają wełny i mięsa. Gdy przyrost demograficzny zaczyna dawać się Letnim we znaki, Komandor zarządza wyprawy wojenne w stronę sąsiednich kontynentów, mające na celu zdobycie nowej przestrzeni życiowej. Nawet jeśli ekspedycje te przypominają właściwie zbiorowe samobójstwa, pozwoliły jednak Letnim dotrzeć na każdy z trzech pozostałych kontynentów i utworzyć tam tak zwane „wyzwolone strefy”, które powoli rozrastają się w miarę „nadgryzania” obcych ziem. Wyprawy te planowane są zawsze na okres letni, kanikuła sprzyja bowiem wojownikom przystosowanym do życia w takim klimacie.

Poświęcenie uważane jest za największą wartość kultury Letnich. Każdy z nich musi być zdolny do poświęcenia się dla chwały Komandora. Dewiza: „Im więcej cierpienia za życia, tym szcudziej zostaniecie wynagrodzeni w raju”.

Mimo dążenia do neutralności przez Jesiennych i Wiosennych, cztery kontynenty przeżywają ciągle konflikty, mniej lub bardziej utajone. Letni i Zimowi są oficjalnie w stanie wojny, Jesienni i Wiosenni natomiast opowiadają się raz po jednej, raz po drugiej stronie, przechylając szalę zwycięstwa. Najczęściej jednak to warunki meteorologiczne decydują o zwycięstwie.

Owal Czerwieni jest znacznie większy niż ziemski, każda z pór roku trwa tutaj o wiele dłużej. Zamiast trzech miesięcy trwają one po pięćdziesiąt lat. Stąd też każdy rok ma siedemdziesiąt trzy tysiące dni, zamiast trzystu sześćdziesięciu pięciu.

Pół wieku lata przynosi wiele korzyści Letnim, zmusza jednak Zimowych do ukrycia się pod ziemią. Podobnie pięćdziesiąt lat jesieni sprzyja Jesiennym, a pięćdziesiąt lat zimy - Zimowym.

Podczas korzystnej dla nich pory roku, każdy z ludów stara się opanować sąsiednie kontynenty. Każdy chciałby mieć zdolność zatrzymania czasu i ustabilizowania klimatu na taki, do którego jest najlepiej przystosowany. Niestety czas płynie nieubłaganie i zmusza chwilowych przywódców do oddania władzy i przekazania jej następcom.

Zoz zachęca nas do wylądowania na Czerwieni i zwiedzenia stolic czterech kontynentów. Stolica Zimowych została wzniesiona na szczycie jednej z gór. Trudno dostrzec jakiegokolwiek kształty na powierzchni, gdyż ludzie spędzają większość czasu w podziemnych klimatyzowanych galeriach oświetlanych neonami. Moda kobieca to kuse spódniczki i obnażone piersi - stroje z powycinanymi otworami bardzo przypominają ziemskie kreacje z

epoki minojskiej na Krecie.

Głównym środkiem komunikacji Zimowych jest metro, którego tory docierają do każdej z dzielnic miasta.

Jesienni wybudowali swoją stolicę na kamienistym płaskowyżu pokrytym drapaczami chmur. Na ulicach tworzą się olbrzymie korki: tutaj rządzą samochody. Ludzie są bardzo nerwowi. Ubierają się w wygodne, uszyte z plastikowego tworzywa stroje, odpowiednie do biegów i wszystkich innych dyscyplin sportowych.

Stolica Wiosennych mieści się na terenie doliny otoczonej polami różowych kwiatów. Ich domy przypominają cementowe półkule. Mieszkańcy chętnie gromadzą się na wielkich targach, gdzie kwitnie handel. Chłopki noszą szerokie spódnice z kieszeniami, do których chowają nabyte produkty. Wiele tu ogrodów i spory ruch na ulicach. Wiosenni korzystają z zaprzęgów ciągniętych przez czworonogi przypominające tapiry.

Stolica Letnich położona jest w samym środku jednej z oaz. Liczne platformy olbrzymiego pałacu Komandora górują nad rezydencjami jego małżonek i członków rodziny, którzy najczęściej pełnią też role ministrów. Wokoło rozmieszczone są koszary wojskowe „ochotników śmierci”, gdzie schronienie znajdują zarówno żołnierze, jak i policja oraz służby specjalne. Wypełnione po brzegi więzienia ciągną się wzdłuż budynków koszar.

Wreszcie dochodzimy do miasta właściwego. Sypiące się budowle. Przeludnione dzielnice tchnące nędzą.

- To stąd właśnie - zwierza nam się Zoz - Komandor rekrutuje większość swoich „ochotników śmierci” na wyprawy wojenne. Przekonał biedaków, że ich nędza spowodowana została arogancją Zimowych. Letni żyją więc w ciągłej nienawiści do mieszkańców gór.

W stolicy Letnich wszyscy chodzą na piechotę. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni odziewają się w drelichowe, wojskowe stroje. Twarze kobiet zdobią skomplikowane, wymalowane na skórze motywy...

Freddy jest ciekaw, czy na Czerwieni żyją Żydzi.

- Żydzi?

Zozowi pojęcie to jest całkowicie obce. Rabin wyjaśnia mu, do czego można by je porównać. Zoz wydaje się zaintrygowany. Istotnie, żyje tu plemię koczownicze wywodzące się z pradawnej kultury, którego członkowie rozrzucony są po wszystkich czterech kontynentach.

- Jak zwie się ten lud?

- To relatywiści, od nazwy ich wierzenia - relatywizmu.

Zgodnie z założeniami ich religii istnieje wiele prawd, które zmieniają się w czasie i

przeestrzeni. Relatywiści dość wyraźnie wzbudzają niechęć miejscowej ludności. Każdy z czterech narodów jest przekonany o słuszności własnych racji i uważa, że relatywiści są sprawcami wszystkich ich kłopotów. Tak więc w okresach wzrostu wszyscy oddają się prześladowaniu relatywistów, co wzmaga jeszcze panujący nacjonalizm. Prześladowania zaś są z reguły zapowiedzią nadchodzącego ochłodzenia stosunków pomiędzy dwoma sojusznikami.

Freddy milknie zamyślony. Wiem, o czym w tej chwili myśli. Zastanawia się, czy wszystkie ziemskie czy też pozaziemskie gatunki nie posiadają przypadkiem takiej samej siatki ról społecznych.

- Relatywiści byli obiektami prześladowań - mówi Zoz. - Wielokrotnie myśleliśmy już, że znikną z powierzchni globu. Jednak za każdym razem udawało im się ocaleć i zmutować, relatywizując coraz bardziej własną kulturę.

Nagle, tknięty intuicją, Raoul mówi:

- Być może Żydzi i relatywiści są jak pstrągi w oczyszczalniach słodkiej wody.

- Jak pstrągi? - dziwi się rabin.

- Oczywiście, w oczyszczalniach wody umieszcza się pstrągi, gdyż są to zwierzęta wyjątkowo wrażliwe na zanieczyszczenia. Jeśli tylko w ich otoczeniu znajdzie się ślad toksycznego związku, pstrągi zginą pierwsze. To taki rodzaj dzwonka alarmowego.

- Nie bardzo widzę związek...

- Żydzi, naznaczeni prześladowaniami, jakich obiektem byli w przeszłości, stali się przewrażliwieni. Ze zwiększoną agresją reagują na powstające systemy totalitarne. To takie błędne koło. Tyrani wiedzą bowiem, że Żydzi natychmiast ich wyśledzą, próbują więc pozbyć się ich jak najprędzej.

Marilyn Monroe przejmuje pałeczkę:

- Raoul ma rację. Dla nazistów Żydzi byli niebezpiecznymi lewakami. Dla komunistów - aroganckimi kapitalistami. Dla anarchistów - dekadencjami mieszczańskimi. Dla mieszczań - destabilizującymi anarchistami. Zdziwiająco rzeczą jest, że gdy tylko stabilizuje się scentralizowana i hierarchiczna władza, jej pierwszym celem jest prześladowanie Żydów. Nabuchodonozor, Ramzes II, Neron, Izabela I Katolicka, święty Ludwik, carowie, Hitler, Stalin... Intuicyjnie przywódcy, zwolennicy totalitaryzmu, wiedzą, że tam gdzie znajdują się Żydzi, tam też są osobnicy niepodatni na indoktrynację, ich myśl zrodziła się bowiem pięć tysięcy lat temu i oparta jest nie na kulcie charyzmatycznego wojownika, lecz księgi zawierającej symboliczne historie.

Freddy waha się przez chwilę. I ja dorzucam swoje trzy grosze:

- Być może Żydom udało się ocaleć dlatego, że są „pstrągami wyczulonymi na totalitaryzm”. Przecież to jedyny lud starożytny, który zachował swoją kulturę niemal nietkniętą. Tymczasem wszystkie wielkie imperia: egipskie, rzymskie, greckie, hetyckie czy mongolskie, gdy tylko zaczęły eksperymentować z totalitaryzmem, bardzo szybko upadły. Kultura żydowska odgrywa w tym wszystkim ogromną rolę.

- Tak jak każda kultura ma swoją rolę: Japończycy, Koreańczycy, Chińczycy, Arabowie, Cyganie, Indianie amerykańscy, wszyscy ci, którym udało się przeżyć po dziś dzień, pełnią konkretną funkcję w tej wielkiej ludzkiej masie. Konieczne jest utrzymywanie między nimi równowagi.

Zoz śmieszą nieco nasze teorie. Freddy chciałby obejrzeć świątynie relatywistów, ruszamy więc w stronę jednego z tych osobliwych miejsc. Nie widać żadnych pomników, żadnych ekstrawagancji. Wyjątkowa surowość świątyn relatywistów przywodzi nam na myśl kościoły protestanckie.

Zoz zabiera nas teraz na pole walki, gdzie toczy się właśnie bitwa pomiędzy armią Letnich a wojskami Zimowych. Z początku roboty Zimowych wydają się mieć przewagę, lecz ostatecznie tłum dzieci kamikaze, skaczących w sam środek szeregów wroga, przechyla szalę zwycięstwa na stronę Letnich.

- No tak... Na razie wciąż ludzie mają przewagę nad robotami - zauważa nasz przewodnik.

Dzieci, niosące w plecakach materiały wybuchowe, podążają w stronę schronów bojowych Zimowych, chronionych pancernymi wieżyczkami.

Czy tak wyglądać będzie przyszłość wojen?

Anioł o różowej, nieco bardziej świetlistej niż Zoz aurze podlatuje w naszą stronę - to musi być z pewnością jego osobisty instruktor, miejscowy „Edmund Wells”.

- Cholerka, to mój mentor - bełkocze niewyraźnie anioł.

Istotnie, nowo przybyły nie wygląda na zadowolonego.

- Co ty wyprawiasz? Twój klienci harczą sobie w najlepsze! Wracaj do nich natychmiast!

- Ale... ale... - jąka się Zoz. - Moi towarzysze to anioły z innej galaktyki. A więc istnieje jednak inny Raj! Jest też życie pozaczerwienne! Wyobrażasz to sobie?

Na instruktorze informacje te zdają się nie robić najmniejszego wrażenia.

- Niestety, Zoz, nie miałeś jeszcze prawa dowiedzieć się o tym. Ani ty, ani tobie podobni, nie powinniście jeszcze o tym wiedzieć, mam więc nadzieję, że będziesz umiał trzymać język za zębami.

Jeśli Zozem opiekuje się anioł instruktor, który wie o istnieniu Ziemi, oznaczałoby to, że Edmund Wells, mój własny mentor, wie z kolei o Czerwieni.

- Czy nie jest pan przypadkiem „siódemką”? - pyta Raoul.

Anioł instruktor rzuca nam potępiające spojrzenie.

- Wy też znajdujecie się bardzo daleko od waszych klientów, powinniście już wracać.

- Nasi klienci świetnie sobie dają radę sami - mówi Raoul.

- Hmm... Jesteś tego taki pewien? Czerwienne przysłowie mówi, że „mleko kipi wtedy, kiedy akurat nie patrzy się na garnek”. Nie ponoszę za was odpowiedzialności, więc nie będę dawał wam dobrych rad, ale jeśli chodzi o Zoza, nie zgadzam się, żebyście sprowadzali go na złą drogę. Zrozumiano, Zoz? Żeby przypadkiem nie przyszło ci do głowy spacerować sobie po tej ich „Ziemi”.

Zoz opuszcza głowę z pokorą, spogląda na nas nieśmiało na pożegnanie i oddala się u boku swojego instruktora, który rzuca jeszcze przez ramię:

- Koniec przerwy! Pora, żebyście wszyscy wrócili do pracy.

162. ENCYKLOPEDIA

ISTOTA POZAZIEMSKA: Najstarszy zachodni tekst wspominający o istotach pozaziemskich przypisywany jest Demokrytowi i datuje się go na czwarty wiek przed naszą erą. Nawiązywał on do spotkania badaczy ziemskich i pozaziemskich na innej planecie, mieszczącej się pośród gwiazd. W drugim wieku Epikur stwierdza, że istnienie światów podobnych do naszego jest rzeczą jak najbardziej logiczną. Nieco później tekst ten zainspiruje Lukrecjusza, który w swoim poemacie *De natura rerum* ponownie rozważy możliwość istnienia ludów pozaziemskich, żyjących z dala od Ziemi.

Tekst Lukrecjusza spotkał się z ogólnym zainteresowaniem. Arystoteles, a później święty Augustyn starają się przekonać, że Ziemia jest jedyną planetą zamieszkaną przez żywe istoty, a żadna inna istnieć nie może, gdyż Bóg tak sobie zażyczył. Podążając w tym samym kierunku, papież Jan XXI zezwolił na wykonywanie kary śmierci na każdym, kto choćby wspomniał o innych zamieszkanym światach. Trzeba było czterystu lat, by istoty pozaziemskie przestały być swego rodzaju tematem tabu. Filozof Giordano Bruno, na przykład, został spalony na stosie w 1600 roku za między innymi podtrzymywanie tej tezy.

Cyrano de Bergerac napisał w 1657 roku dzieło pod tytułem *Tamten świat*, obrazujące podróż do państw Księżyca i Słońca, do której to książki nawiązał Fontenelle w *Rozmowach o wielości światów*, a także Wolter, w 1752 roku, w powieści *Micromega* (Mały-duży), opowiadającej o wielkim podróżniku z przestrzeni kosmicznej, który z Saturna przybywa na Ziemię jako turysta.

W 1898 roku H.G. Wells zdejmuje z kosmitów człowieczą maskę i nadaje im w swojej *Wojnie światów* wygląd przerażających potworów, przypominających ośmiornice na hydraulicznych podnośnikach. W 1900 roku amerykański astronom Percival Lowell oznajmia, że udało mu się dostrzec kanały irygacyjne na powierzchni Marsa, co miałyby świadczyć o istnieniu tam inteligentnej cywilizacji. Pojęcie istoty pozaziemskiej traci swoją stronę fantasmagoryczną. Trzeba będzie jednak poczekać na Stevena Spielberga i jego E.T., aby kosmici mogli stać się synonimami przyjaznych towarzyszy.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

163. JACQUES

Czerwień.

Śnię, że na pokładzie statku kosmicznego, jakim bawiłem się w dzieciństwie, docieram do czerwonej planety. Mieszka tam bóg, który lubi eksperymentować. Tworzy światy, które następnie umieszcza w przezroczystych pojemnikach i obserwuje ich dojrzewanie. W maleńkich probówkach hoduje prototypy zwierząt, które następnie bardzo ostrożnie przenosi za pomocą pincety na powierzchnię nowego świata. Jeśli aklimatyzacja danego zwierzęcia się nie powiedzie, bóg próbuje je odzyskać. W przypadku gdy wybrakowane stworzenia zanadto się rozmnożą, bóg czym prędzej tworzy drapieżniki (zwierzęta większe albo całkiem małe, jak na przykład wirusy), których zadaniem jest wytepienie niezrównoważonych organizmów. Na ich miejsce bóg przygotowuje inne zwierzę. W moim śnie bogowi nie udaje się naprawić wszystkich swoich błędów, mnoży więc gatunki, starając się opanować jakoś ten żywy chaos.

Budzę się cały spocony, Ghislaine leży przy mnie. Ghislaine to moja nowa towarzyszka życia. Wybrałem ją, bo nie jest zwariowana, jej rodzice nie wtrącają się do naszego związku i nie wygląda mi na osobę o osłabionej psychice. W dzisiejszych czasach

niewiele osób może poszczycić się tymi zaletami.

Tak szczerze mówiąc, to nie jest do końca prawda. Głównym powodem, dla którego wybrałem Ghislaine jest to, że to ona mnie wybrała. Ghislaine jest lekarzem pediatrą. Łagodna, umie słuchać i przemawiać do dzieci. A ja jestem dzieckiem.

To przecież nie jest normalne, żeby w wieku dwudziestu pięciu lat interesować się wciąż zamkami, smokami, księżniczkami, kosmitami i bogami w przestworzach.

Ghislaine przypomina mi księżniczkę. Ma ciemne włosy, drobną budowę ciała i mimo swoich dwudziestu czterech lat wciąż ubiera się w skleпах z odzieżą dla dzieci.

Zna się na nowych metodach pobudzania rozwoju najmłodszych. W weekendy udziela się w organizacji pomagającej dzieciom nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie. To ją wykańcza, ale twierdzi, że nikt tego nie będzie robił za nią.

- Ty też jesteś nieprzystosowanym dzieckiem - mówi, głaszcząc mnie po moich gęstych włosach.

Ghislaine uważa, że każda istota ludzka ma w sobie coś z dziecka, z dorosłego i rodzica. Kiedy powstaje związek, każda ze stron wybiera sobie rolę, jaką chce odgrywać względem drugiej osoby. Zazwyczaj jedno staje się rodzicem, drugie zaś dzieckiem. W idealnym układzie dwoje pragnęłoby być dorosłymi, co pozwoliłoby im rozmawiać ze sobą poważnie.

Próbowaliśmy. Nie udało nam się. To jest silniejsze ode mnie, zachowuję się jak dziecko. Jako dziecko czuję się najlepiej, jako dziecko czuję lekkość umysłu. Dziecko nie jest niczego pewne i wszystkim się cieszy. Poza tym lubię być niańczony.

Ghislaine była zdziwiona, gdy dowiedziała się, że lubię gry fabularne. Wyjaśniłem jej, że pomagają mi one w tworzeniu zarysów bohaterów i wytyczaniu im najodpowiedniejszych tras życiowych.

Na moim biurku wala się cała sterta materiałów pomocniczych. Plany bitew, szkice twarzy moich postaci (często wybieram istniejących aktorów i tak długo analizuję ich rysy, że udaje mi się odgadnąć zasady rządzące ich psychiką) czy też figurki z plasteliny, które mają mi pomóc lepiej wyobrazić sobie scenerię i przedmioty otaczające moje postacie.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że do napisania zwykłej historyjki potrzebne są wszystkie te graty! - woła Ghislaine. - Twoje biurko przypomina laboratorium. Nie powiesz mi jednak, że korzystasz z planów katedry i tych resztek plasteliny...

Ma mnie za wariata i wspina się na czubki palców, żeby mnie pocałować.

Przy Ghislaine czuję się dobrze, choć naszemu związkowi brakuje wzniosłości, która pozwoliłaby mu trwać. Zaczynamy się sobą nudzić. Gdy minęło oczarowanie dorosłym, który

zachowuje się jak dziecko, Ghislaine dostrzegła, że wykonuje trudny i marnie płatny - w porównaniu ze mną - zawód.

Praca z dziećmi zabiera jej dużą część energii. Maluchy doświadczyły już tak ciężkich przeżyć, że nie potrafią być dla niej miłe. Przyjmują postawę małych porzuconych pieszków. Dzieci bite, wykorzystywane seksualnie, epileptyczne i astmatyczne... Jak Ghislaine może dać sobie radę z tą potężną armią sama jedna? Wyznaczyła sobie misję, która jest zdecydowanie ponad jej siły.

Wieczorami opowiada mi o pacjentach, którzy danego dnia umarli jej na rękach. Jest roztrzęsiona, a ja nie wiem, jak ulżyć jej cierpieniu.

- Może powinnaś zmienić pracę - sugeruję po tym, jak przepłakała całą noc z powodu śmierci jednego z epileptycznych dzieciaków.

Nigdy mi nie wybaczyła tego zdania.

- Łatwo pomagać ludziom, gdy się ich nie widzi, nie dotyka, nie rozmawia z nimi bezpośrednio. To łatwe, wygodne, bez ryzyka!

- Chyba nie uważasz, że powinienem siedzieć koło każdego z moich czytelników gotów do dyskusji?

- Myślę, że właśnie to powinieneś robić! Wybrałeś sobie to zajęcie, żeby uciec od świata. Zamykasz się w swoim pokoju, tylko komputer dotrzymuje ci towarzystwa. Spotykasz się z kimś? Ze swoim wydawcą? Kilkoma kumplami? To nie jest świat. Żyjesz w wymyślnym wymiarze, infantylnym wszechświecie, który tak naprawdę nie istnieje, robisz wszystko, żeby nie dorosnąć. A jednak pewnego dnia rzeczywistość cię dorwie, mój świat, w którym miotam się przy chorych, zdeprimowanych, napastowanych. Swoimi książkami nie wyeliminujesz nędzy, głodu i wojen.

- Kto wie? Moje książki przekazują pewne idee, a te mają na celu modyfikowanie stanów ducha i zachowań.

Ghislaine parska śmiechem.

- Te twoje bajeczki o szczurach? Nie ma co, ładny mi rezultat! Ludzie zaczną darzyć współczuciem szczury, chociaż brak im go w stosunku do własnych dzieci.

Tydzień później Ghislaine odchodzi ode mnie. To było zbyt piękne, żeby mogło trwać. Zaczynam rozmyślać. Czy to, co robię, naprawdę jest niemoralne? Dla poprawienia sobie nastroju wieczorem wybieram się do kina na *Lisy*, rodzaj filmu, jakie zazwyczaj omijam szerokim łukiem.

Niemal każda scena ukazuje to, co najbardziej interesuje Ghislaine: biednych, chorych i nieszczęsnych, którzy zabijają się nawzajem. Jeśli to ma być rzeczywistość - wolę kino w

mojej własnej głowie. W filmie gra jednak pewna przecudnej urody aktorka, Venus Sheridan. Zachowuje się tak, jakby całe życie była rosyjskim żołnierzem. Richard Cuningham, grający główną rolę męską, też jest niezły. Wspaniale wcielił się w swoją postać.

To co wydarzyło się w Czeczenii, jest naprawdę straszliwe, ale cóż ja na to mogę poradzić? Dodać motto adresowane do moich rosyjskich czytelników: „Proszę, kochajcie się, a nie wojujcie”?

Słowa Ghislaine działają na mnie niczym bomba z opóźnionym zapłonem. Nie mogę pisać. Jestem perwersyjną istotą, która czerpie przyjemność z tworzenia dziwnych historii, gdy tymczasem cały świat wokół mnie cierpi. Może powinienem walczyć u boku „Lekarzy Świata”? Przemierzyć Afrykę, szczepiąc każde dziecko, które wpadnie mi w ręce?

Czuję zbliżający się kryzys „pocotowszystko”. Jedynym lekarstwem, jakie znam, jest zamknięcie się w toalecie i oddanie rozmyślanii. Czy to źle, że piszę? Czy to źle, że nie wspieram wszystkich nieszczęśników tego świata? Czy to źle, że nie walczę przeciwko tyranom i wyzyskiwaczom?

Ostatecznie wysyłam czek do pewnej organizacji charytatywnej i siadam znów do pisania. Tak bardzo kocham moje zajęcie, że gotów jestem płacić za święty spokój.

Wydawca dzwoni do mnie.

- Dobrze by było, gdybyś wyszedł od czasu do czasu z domu, podpisał parę książek, zjadł kolację z dziennikarzami...

- Czy to konieczne?

- Absolutnie. Właściwie to od tego powinieneś być zacząć. Poza tym spotkania z ludźmi poddadzą ci trochę pomysłów. Postaraj się. Potrzebujesz prasy, księgarzy, kontaktów z ludźmi z branży, powinieneś pojawiać się na targach książki... Żyjąc jak mnich, skazujesz się na krótkoterminowość.

Jak do tej pory rady Charbonniera zawsze były słuszne. Ale robienie z siebie klauna na salonach, z kieliszkiem szampana w dłoni i słuchanie najświeższych branżowych ploteczek... to nie dla mnie.

Zgoda na podpisywanie książek na targach. Nie łudzę się specjalnie, że dzięki temu rozkwitnie moja kariera, ale być może kontakt z ludźmi zainteresowanymi moją książką i z pisarzami pozwoli mi lepiej zrozumieć, dlaczego nie udaje mi się dotrzeć do szerokiej publiczności we Francji.

Mona Lisa II wpatruje się we mnie, jakby chciała powiedzieć: „Wreszcie zadajesz sobie właściwe pytania”. Zasypiam samotnie. Pościel jest taka zimna.

164. IGOR. 25 LAT

- Igor, mam dla ciebie fantastyczną nowinę.

Spodziewam się miłej niespodzianki, czuję obecność Tatiany. Zamykam oczy. Całuje mnie. Ryzykuję pytanie:

- Jesteś w ciąży?

- Nie, to coś lepszego.

Przytula się do mnie cała rozpromieniona.

- Igor, mój przyjacielu, mój kochany... zostałeś wyleczony. Czuję się jak rażony gromem.

- Chyba żartujesz?

Odkładam książkę i spoglądam przerażony na promienną minę mojej lekareczki.

- Mam tutaj wyniki twoich ostatnich badań. Przekroczyły moje najśmielsze oczekiwania. Rak pępka nie trwa wiecznie. Twoje ozdrowienie otwiera nowe drogi dla badań medycznych. Myślę też, że zawdzięczasz to również poprawieniu się twoich warunków życia. Tak, z pewnością, rak pępka ma wyjątkowo psychosomatyczne cechy.

Czuję ogień w płucach. W ustach brakuje mi śliny. Kolana mi się trzęsą. Tatiana otacza mnie ramionami i przytula.

- Mój najdroższy, wyzdrowiałeś, wyzdrowiałeś... To cudowne! Pędzę powiedzieć o tym wszystkim z ekipy medycznej. Urządzimy imprezę, żeby uczcić twój powrót do normalnego życia.

Odchodzi tanecznym krokiem.

„Normalne życie”, znam je aż nazbyt dobrze. Nie podobam się kobietom. Właściciele nie chcą mi wynajmować mieszkania bez zaświadczenia o zarobkach. Pracodawcy nie chcą mnie zatrudniać, bo uważają, że byli komandosi to brutale. Jeśli zaś chodzi o pokera, to Piotr umieścił mnie na czarnej liście wszystkich najlepszych kasyn w kraju.

W całym swoim życiu miałem tylko dwa azyle: szpital i Tatianę, ale oto i stąd zostanę wyrzucony. Muszę kogoś zabić, żebym mógł iść do więzienia. Tam odnajdę „normalne życie”. Jednak mieszkanie z Tatianą sprawiło, że straciłem wolę walki. Dzięki niej posmakowałem spokoju, uprzejmości, książek i żywych dyskusji. Być może teraz, kiedy jestem zdrowy, już nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Znajdzie sobie innego pacjenta z jeszcze rzadszą chorobą niż moja. Z gruźlicą ucha albo niedorozwojem nozdrzy. Wypędzi mnie.

Już od jakiegoś czasu zanudza mnie opowieściami o pewnym nosicielu nieznannej bakterii. Pewnie już z nim sypia.

Biję się mocno w brzuch, wiedząc jednak, że ten cholerny nowotwór i tak robi to, co sam chce. Wkradł się niczym złodziej do mojego ciała i kiedy już, już, zacząłem go akceptować, a nawet lubić - wyniósł się.

Wyzdrowiałem! To prawdziwa tragedia! Czy nie mógłbym oddać mojego ozdrowienia komuś innemu, kto by na nim bardziej skorzystał? Hej tam! Mój aniele, jeśli mnie słyszysz, nie chcę wyzdrowieć. Chcę znów być chory. Oto moja modlitwa.

Klękam na podłodze i czekam. Zawsze czułem, kiedy mój anioł mnie wysłuchiwał. Teraz wiem, że mnie nie słucha. Nawet święty Igor przestał się mną interesować. Cały mój świat się wali.

Wiele byłem w stanie znieść, ale „ozdrowienie” to już dla mnie zbyt wiele. Przełamała się czara goryczy.

Czekam na korytarzu na Tatianę, która właśnie oznajmia dobrą nowinę całemu personelowi szpitala.

- Igor wyzdrowiał! Igor wyzdrowiał! - podśpiewuje sobie nieświadoma niczego.

- Proszę cię, mój aniołku, ześlij na mnie jakiś przerzut na znak zgody. Pomagałeś mi w drobnych sprawach, jeśli więc zamierzasz mnie teraz opuścić w tak ważnej chwili, powiem z całkowitym przekonaniem, że jesteś zwyczajnie nieodpowiedzialnym aniołem.

Okno jest otwarte. Wychylam się. Szpital mieści się w wysokim budynku. Upadek z trzydziestego piątego piętra powinien załatwić sprawę.

Muszę działać bez namysłu. Przede wszystkim bez namysłu, bo w przeciwnym razie nie znajdę w sobie wystarczającej odwagi. Skaczę. Lecę w dół jak kamień.

Przez okna widzę zajętych wewnątrz ludzi. Niektórzy dostrzegają mnie i ich usta układają się na kształt litery „o”.

„Bądź szybki albo martwy”? W tej chwili jestem wyjątkowo szybki i wkrótce będę też martwy.

Ziemia zbliża się z zatrważającą prędkością. A może popełniłem głupstwo? Może powinienem był jednak pomyśleć przez chwilę?

Ulica znajduje się teraz dziesięć metrów pode mną. Zamykam oczy. Ledwie mam czas poczuć nieprzyjemną chwilę, w której moje kości roztrzaskują się o asfalt. Ze stanu stałego zmieniam się w ciecz. Tym razem mnie nie odratują. Przez sekundę przeszywa mnie ból, który zdaje się trwać całą godzinę, a potem wszystko się zatrzymuje. Czuję, jak opuszcza mnie życie.

165. VENUS. 25 LAT

Rozwiodłam się z Richardem. Umawiam się teraz z moim prawnikiem, Murrayem Benettem, słynnym tenorem ławy adwokackiej. W ciągu jednego tygodnia zawładnął moim życiem, sercem, ciałem, moimi meblami i umowami.

Związek z nim przypomina swego rodzaju stały kontrakt. Murray uważa, że życie we dwoje, czy to w konkubinacie czy to w małżeństwie, powinno być uregulowane przez system trzy - sześć - dziewięć, jak przy wynajmie mieszkań. Co trzy lata, na życzenie partnerów, należy przejrzeć i poprawić warunki umowy lub też, jeśli wspólne życie im odpowiada, przedłużyć kontrakt na zasadzie cichej zgody.

Na ten temat Murray może mówić godzinami. „Klasyczne” małżeństwo uważa za głupotę. To umowa na okres całego życia, podpisywana przez strony, które nie rozumieją poszczególnych klauzul z powodu zaślepienia uczuciami i strachem przed samotnością. Jeśli małżonkowie zdecydują się na jej ratyfikowanie w wieku, powiedzmy, dwudziestu lat, umowa ta będzie obowiązywać przez mniej więcej sześćdziesiąt, bez możliwości wprowadzenia jakichkolwiek zmian. Tymczasem społeczeństwo, zwyczaj i ludzie ewoluują. Nieuchronnie nadchodzi chwila, gdy kontrakt się unieważnia.

Kpię sobie z całej tej prawniczej gadaniny, wiem tylko, że Murray uwielbia się kochać w szalonych pozycjach. Przy nim doświadczam tego, czego nie pokazano nawet w *Kamasutrze*. Zabiera mnie w najdziwniejsze miejsca, gdzie za każdym razem możemy zostać nakryci przez pierwszego lepszego przechodnia. Niebezpieczeństwo to niesamowity afrodyzjak.

Kiedy jemy kolację w towarzystwie jego „paczki”, składającej się głównie z byłych partnerek, odnoszę wrażenie, że zazdroszczą mi statusu najświeższej kochanki. Kiedy Murray coś opowiada, wszyscy wokół są wyraźnie rozbawieni.

- Jak każdy adwokat, nienawidzę niewinnych klientów. Jeśli wygram proces niewinnego, ten uważa to za naturalne. Jeśli przegram, ma do mnie pretensje. Z winnym natomiast sprawy wyglądają zupełnie inaczej: jeśli przegram, ten uważa, że to było nieuniknione, jeśli zaś wygram, całuje mnie po stopach!

Wszyscy pokładają się ze śmiechu. Oprócz mnie.

Już na samym początku Murray i ja określiliśmy nasze terytoria w mieszkaniu. To będzie mój pokój. To będzie moje biuro. Tutaj kładę szczoteczkę do zębów, a ty kładziesz swoją tutaj. W szafach wszystkie miejsca w zasięgu wzroku zajmują jego marynarki, swetry i

koszule. Moje rzeczy zostały oddelegowane na najwyższe i najniższe półki. Powinnam była zwrócić wcześniej uwagę na te szczegóły umowy.

Ze wszystkich mężczyzn, których poznałam, Murray jest pierwszym, który przywiązuje taką wagę do pojęcia „terytorium”.

Każdy manewr jest dobry, żeby je powiększyć:

Kto trzyma w ręce pilota i wybiera programy w telewizji?

Kto pierwszy okupuje rano łazienkę?

Kto czyta w niej sobie spokojnie gazetę, nie zwracając uwagi na to, że ktoś inny czeka?

Kto odbiera dzwoniący telefon?

Kto wynosi śmieci?

Czyich rodziców podejmujemy w niedzielę?

Wolę jednak nie angażować się w te codzienne przepychanki i szukam schronienia w aktorstwie.

A jednak powinnam była być czujna. Powinnam była zareagować natychmiast, gdy Murray zaczął zabierać dla siebie całą kołdrę, podczas gdy ja marłam.

Miłość nie może wszystkiego wybaczać. Żaden z moich poprzednich adoratorów nigdy by mnie nie podejrzewał o taką potulność i łagodność. Salon, kuchnia i przedpokój zostały uznane za terytoria neutralne. W imię dobrego smaku Murray bardzo szybko zlikwidował wszystkie bibeloty, które tak mi się podobały i zastąpił je zdjęciami z wakacji ze swoimi byłymi dziewczynami. Z lodówki znikło normalne jedzenie, a pojawiły się jego ulubione produkty, przedziwne dania zakupione w aptece, tak cenne ze względu na ich właściwości wyszczuplające.

W salonie natomiast króluje olbrzymi fotel, na którym nikt poza Murrayem nie ma prawa usiąść.

Ponieważ z powodu lenistwa nie chcę marnować czasu na bójki, moje terytorium osobiste skurczyło się do bardzo nędznych rozmiarów. Właściwie to porzuciłam na rzecz Murraya niemal połowę mojego mieszkania, by schronić się w małym gabineczku, chociaż i tutaj muszę wymontować zamek z drzwi, gdyż Murray nie chce, żebym zamykała się w nim na klucz.

Zostałam pokonana. Tymczasem Murray zręcznie negocjuje prawa do moich filmów z producentami, mogę więc uznać, że mimo wszystko nie jestem tak całkowicie stracona. Ponieważ musiał wtrącić się nawet do sposobu umeblowania mojej jedynej kryjówki, mojego gabineczku, zdecydowałam się go poinformować, że nie zamierzam przedłużyć umowy o

wynajem.

Murray przyjął tę wiadomość z wywyższością.

- Beze mnie stracisz wszystko. Producenci zjedzą cię żywcem.

Podejmuję to ryzyko. Nie mając najmniejszego zamiaru dołączenia do „paczki jego byłych”, proszę, żeby nie próbował się już ze mną kontaktować. Wpada w furię. Oznajmia mi, że cały mój sukces zawdzięczam tylko jemu. „Beze mnie nigdy nie stałabyś się natchnioną aktorką”. W rezultacie żąda połowy tego, co zarobiłam przez okres naszego związku. Zgadzam się, nie dyskutując. To prawda, uczynił moje życie nieznośnym, spychając mnie w najdalszy kąt mojego mieszkania, lecz przez to dostawałam coraz więcej ról, co znacznie zwiększyło moje dochody. Powróciły migreny. Błagam Billy'ego Wattsa, mojego agenta, żeby znalazł na to jakiś sposób.

- Są dwie opcje - uważa Billy. - Pierwsza, klasyczna, to udać się do Paryża, do profesora Jeana-Benoit Dupuis, francuskiego specjalisty od migren i spazmofilii. Druga opcja polega na skonsultowaniu się z moim nowym medium.

- Nie widzisz się już z Ludivine?

- Po sukcesie jej indywidualnych seansów stworzyła grupę rozważań, a gdy i tu odniosła sukces, niestety zdecydowała się na założenie sekty. SPW. Strażnicy Prawdziwej Wiary. Nie są źli, ale składki ustalają wysokie, a ci, którzy chcą się wypisać, zostają „ekskomunikowani”. To wystarczyło, żeby mnie nieco ostudzić. Teraz Strażnicy żądają, żeby ich wiara została uznana za pełnoprawną religię.

- A kim jest twoje nowe, wybitnie uzdolnione medium?

- Ulisses Papadopoulos. Były mnich eremita. Podobno przydarzyły mu się w życiu niesamowite rzeczy. Od tamtego czasu ma dar. Rozmawia bezpośrednio z aniołami. Pozwoli ci porozumieć się z twoim aniołem stróżem, który wytłumaczy ci, dlaczego wciąż padasz ofiarą tych straszliwych bólów głowy.

- Myślisz, że naprawdę można porozmawiać bezpośrednio ze swoim aniołem stróżem, nie... jak by to powiedzieć?... nie przeszkadzając mu w pracy?

166. ENCYKLOPEDIA

ODDYCHANIE: Kobiety i mężczyźni nie postrzegają świata w ten sam sposób. U większości mężczyzn wydarzenia ewoluują w sposób liniowy. Kobiety natomiast zdolne są postrzegać świat pod postacią fali. Być może czują, że świat bez przerwy pulsuje, gdyż co miesiąc otrzymują dowód na to, że wszystko co się buduje, może również zostać zniszczone, by następnie znów się odrodzić. W ich ciele zapisany jest fundamentalny sekret: wszystko, co rośnie, może się skurczyć, wszystko co się wznosi, w końcu opadnie. Wszystko „oddycha” i nie można odczuwać strachu przed tym, że po wdechu następuje wydech. Najgorszą z rzeczy byłoby chcieć wstrzymać oddech. To prowadziłoby do uduszenia się.

Najnowsze odkrycia astronomów również wykazują, iż nasz wszechświat, powstały podczas Wielkiego Wybuchu, który dotychczas postrzegaliśmy jako wciąż rozszerzający się, może także skurczyć się maksymalnie, przygotowując się do... drugiego Wielkiego Wybuchu. Wtedy nawet cały wszechświat by „oddychał”.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

167. POWRÓT

Wracamy do Raju. Odległości pomiędzy dwoma galaktykami są tak niewymierne, że nie sądzę, by dane nam było w najbliższym czasie znów spotkać Zoza. Lecimy bardzo szybko, a mamy wrażenie, że wleczeni jesteśmy jak ślimaki.

Podczas podróży rozmyślałyśmy o implikacjach naszego odkrycia. Zwiedziliśmy drugą zamieszkaną przez żywe istoty planetę, lecz musi ich być z pewnością o wiele więcej. Wśród wszystkich zgromadzonych galaktyk, licząc naszą i Zoza, musi ich być 326 782. Nawet jeśli nie każda z nich skrywa w swoim sercu raj i jeśli tylko 10 procent z nich jest zamieszkałych, to wciąż pozostaje 32 000 planet, na których żyją ludzie.

Szukaliśmy bogów, chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie ukrywała się Nathalie Kim, a znaleźliśmy coś zupełnie innego, co nie dało nam odpowiedzi na żadne z naszych pytań. Czy dusze wędrują z jednego rajy do drugiego? A jeśli tak, to w jakim celu?

Nasze horyzonty geograficzne i duchowe znacznie się poszerzyły. Obawiałem się, że moje anielskie życie będzie monotonne, lecz w gruncie rzeczy jest całkiem dynamiczne. Pora teraz wrócić do codziennych zajęć...

Oby tylko moim klientom nic złego się nie stało podczas mojej nieobecności!

168. IGOR. 25 LAT

Po samobójstwie moja dusza opuściła ciało. W górze pojawiło się to charakterystyczne światło, które już wcześniej miałem okazję dostrzec, lecz nie mogłem wlecieć w jego stronę. Coś we mnie protestowało: „Musisz zostać na Ziemi, aż sprawiedliwości stanie się zadość. Wtedy dopiero będziesz miał prawo umrzeć”.

Teraz jestem wędrującą duszą. Zmieniłem się w bezcielesną istotę. Jestem przeźroczysty i nienamacalny. Z początku nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Siedziałem koło mojego ciała i czekałem. Przyjechała karetka. Sanitariusz rzucił okiem na zwłoki i odwrócił się, żeby wymiotować.

Pojawiły się kolejne osoby w białych kitlach i owinęły moje dawne ciało w plastikowy worek, zebrawszy szczątki rozrzucone po ulicy. Zabrali mnie do kostnicy. Tatiana wyglądała na bardzo poruszoną moją śmiercią, co jednak nie przeszkodziło jej w przeprowadzeniu sekcji zwłok i umieszczeniu mojego ozdrowiałego pępka we flakonie z formaliną, by pokazywać go publicznie. Jeśli chodzi o zapłakane wdowy, to potrafiłbym wyobrazić sobie lepszą.

A teraz - proszę, jestem duchem. Jako że już nie boję się śmierci, ze spokojem przyglądam się ludziom i rzeczom. Dawniej strach przed śmiercią był zakodowany we mnie, odbierałem go jako ciągłe brzęczenie w tle, które nie pozwalało mi odpocząć. Teraz uciążliwy odgłos znikł, lecz skazany jestem na wyrzuty sumienia.

Popełniłem samobójstwo. To był błąd. Wielu ludzi narzeka, że cierpią we własnym ciele. Nie wiedzą, jakie mają szczęście. Oni przynajmniej mają ciało. Powinni wiedzieć, że każda najmniejsza ranka jest dowodem na to, że posiadają ciało. My, wędrujące dusze, nie czujemy już absolutnie nic.

Ach, gdybym tylko znalazł jakieś ciało, cieszyłbym się każdą blizną. Otwierałbym od czasu do czasu ranę, żeby sprawdzić, czy pojawi się krew i czy rzeczywiście odczuwam ból. Ileż dałbym teraz, żeby poczuć choćby malutki wrzód na żołądku, albo pryszczka, albo ślad po ugryzieniu komara!

Cóż za głupotę popełniłem! Z powodu kilku minut rozpaczony skazany jestem na wieczną wędrowną duszy!

Z początku próbowałem pogodzić się z własnym losem. Przyjemnie jest latać i przenikać przez ściany. Mogę dostać się wszędzie. Mogę zmienić się w szkockiego ducha i potrząsać prześcieradłem, żeby straszyć turystów. Mogę udawać ducha lasu i przypodobać się szamanom na Syberii. Mogę też wślizgiwać się na seanse spirytystyczne i kręcić stołami.

Mogę robić cuda w kościołach. Zresztą zabawiłem się w Lourdes, żeby tylko sprawdzić własne możliwości w oddziaływaniu na materię.

Życie pod postacią wędrującej duszy ma jeszcze inne zalety. Uczęszczam na koncerty, nie płacąc za bilety, a siadam zawsze w pierwszym rzędzie albo nawet w łóżach. Przenikam w sam środek decydujących bitew. Nawet znalezienie się w samym sercu grzyba atomowego niczym mi nie grozi.

Bawiłem się też w schodzenie w głąb wulkanów i przepaści. Są to wszystko atrakcyjne rozrywki, ale do czasu. W końcu poczułem się znudzony. Wkradałem się do łazienek najpiękniejszych kobiet. Ale jakież z tego pożytek, gdy nie ma się już hormonów... Zabawiałem się tak przez piętnaście dni. Nie więcej. Piętnaście dni wystarcza, żeby zrealizować wszystkie głupstwa, na jakie miało się ochotę w dzieciństwie po obejrzeniu filmu *Niewidzialny człowiek*.

Piętnaście dni. Po upływie tego czasu pojąłem moje nieszczęście. Cały czas spędzam wśród innych wędrujących dusz. Dusze samobójców są w większości przypadków rozgoryczone, przygnębione, zazdrosne i gniewne. Cierpią i żałują wyboru, jakiego dokonały. Spotykamy się na cmentarzach, w piwnicach, w kościołach, katedrach, pomnikach wystawionych na cześć zmarłych, czyli ogólnie rzecz biorąc, w miejscach, które uważamy za „rozrywkowe”.

Rozmawiamy o naszych minionych żywotach. Spotkałem zamordowanych, którzy włóczą się, dręcząc swojego kata, ludzi zdradzonych, poniżonych, pałających żądzą zemsty, niesprawiedliwie skazanych, którzy nawiedzają nocą swoich sędziów, krótko mówiąc - wiele cierpiących istot, które mają dobry powód ku temu, by nie opuszczać świata ludzi. Największą jednak grupę stanowią właśnie samobójcy.

Wszyscy żądni jesteśmy sprawiedliwości, odwetu, zemsty. Cechuje nas chęć zaszkodzenia tym, którzy szkodzili nam. To dla nas ważniejsze niż dążenie do wstąpienia do Raju. Jesteśmy prawdziwymi wojownikami. A wojownik myśli częściej o zadawaniu cierpienia swoim wrogom niż o sprawianiu przyjemności samemu sobie i tym, których kocha.

Obecnie naszą jedyną nadzieją na powrót do stanu materialnego jest skradzenie czyjogoś ciała. Idealną rzeczą byłoby wślizgnięcie się do ciała chwilowo opuszczonego przez duszę. To niełatwe, lecz wykonalne. W klubach medytacji transcendentnej zawsze znajdują się początkujący, którzy odrywają się od swoich ciał i za bardzo naciągają swoją srebrną nić. Jeśli ta pęknie, wystarczy tylko przeniknąć do ich wnętrza. Problem polega jednak na tym, że są nas zawsze setki - setki wędrujących dusz okupujących te miejsca - trzeba więc nieźle rozpychać się łokciami, żeby przedostać się do wolnego ciała.

Inni dawcy porzuconych ciał - narkomani. To prawdziwa manna z nieba. Wychodzą ze swoich ciał byle gdzie i byle kiedy, bez najmniejszej samodyscypliny, bez jakiegokolwiek rytuału, bez nikogo, kto by ich w tym czasie osłaniał. Prawdziwa rozkosz. Wystarczy wejść do środka.

Jedyny kłopot z ziemską powłoką narkomana jest taki, że gdy już znajdziemy się wewnątrz, nie czujemy się zbyt dobrze. Od razu zaczynamy odczuwać głód, więc wychodzimy, po czym natychmiast zastępuje nas kolejny duch. To jak zabawa w komórki do wynajęcia. Z tym że komórki te są bardzo niewygodne i nikt nie ma ochoty przebywać w nich zbyt długo.

Są jeszcze ofiary wypadków drogowych. Krążymy nad nimi niczym sępy.

Czasami jakiejś wędrującej duszy udaje się przedostać do ciała rannego, który kilka minut później umiera w szpitalu. Co za pech!

Chodzi więc o to, by znaleźć ciało w dobrym stanie, tylko chwilowo opuszczone przez zdrowego właściciela. Niełatwa to sprawa.

W międzyczasie można się jedynie włóczyć. Żeby choć na chwilę zapomnieć o moim smutnym położeniu, ruszam na mały obchód różnych mediów, które mają zdolność słyszenia naszych głosów. Zaczynam od Ulissesa Papadopolosa. Przychodzę i kogóż to widzę? Venus. Venus Sheridan. Idolkę mojej młodości. Chce za pośrednictwem Greka porozumieć się ze swoim aniołem stróżem. Genialnie. Nadchodzę.

169. JACQUES. 25 LAT

Ulegając namowom mojego wydawcy, udaję się na Targi Książki w Paryżu na spotkanie połączone z podpisywaniem mojej książki. Targi Książki to swego rodzaju tradycja, wielkie doroczne święto, podczas którego wszyscy autorzy spotykają się ze swoimi czytelnikami.

Alejkami przetacza się tłum ludzi, choć chętnych do zobaczenia się ze mną jest niewielu. Patrzę w sufit i mam wrażenie, że tracę swój cenny czas, który mógłbym o wiele lepiej spożytkować, pracując nad moim kolejnym dziełem.

Po *Szczurach* napisałem już inne książki. Jedną o raj, jedną o podróży do środka Ziemi, jedną o ludziach, którzy wiedzą, jak wykorzystywać nieznane dotąd właściwości mózgu. We Francji żadna z tych powieści nie odniosła sukcesu. Jednak mój wydawca wciąż

nie traci we mnie wiary, gdyż w Rosji moje książki sprzedają się doskonale.

Czekam. Kilkoro dzieci podchodzi do mnie i pyta, czy jestem sławny. Odpowiadam, że nie, ale jeden z dzieciaków mimo to wyciąga do mnie kartkę papieru z prośbą o autograf.

- Może nie jest sławny teraz, ale kto wie, może kiedyś nim się stanie - wyjaśnia koledze.

Jacyś gapie biorą mnie za księgarza i wymagają, bym im podawał rozmaite tytuły. Pewna pani pyta, gdzie jest toaleta. Wybijam nogą rytm. Hostessa prowadzi Auguste'a Mérignaca. Jesteśmy - praktycznie rzecz biorąc - w tym samym wieku, chociaż zdecydowanie różnimy się wyglądem. Tweedowa marynarka, jedwabny fular, Mérignac imponuje mi jeszcze bardziej niż wtedy, gdy oglądałem go w telewizji. Gdy tylko Mérignac siada, mały tłumek ustawia się w kolejce po autograf.

Rozpaczliwie szukam „mojego czytelnika”, niczym wędkarz, który czeka, aż ryba chwyci haczyk, do którego zapomniał przyczepić przynętę, podczas gdy czerpak mojego sąsiada wypełnia się w szybkim tempie. Wokół Mérignaca zgromadził się taki tłum, że ten, nie chcąc tracić czasu na wymianę grzeczności, zakłada na uszy słuchawki od walkmana i podpisuje książki machinalnie, nie dodając nawet najkrótszej dedykacji.

Jakby przypadkiem, jego publiczność składa się głównie z młodych dziewcząt. Niektóre z nich dyskretnie kładą na stoliku wizytówki z numerem telefonu. Te tylko obdarza spojrzeniem, chcąc sprawdzić, czy warte są jego zachodu.

Nagle, jakby dotknięty nieoczekiwanym zmęczeniem nadgarstka, autor daje znak hostessie, że na tym dziś skończy. Odsuwa krzesło, wstaje wśród jęków rozczarowania kobiet, które na próżno czekały, i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu kieruje swoje kroki w moją stronę.

- Przejdziemy się? Już od jakiegoś czasu chciałem z tobą porozmawiać, Jacques.

Auguste Mérignac zwraca się do mnie per ty!

- Najpierw ja ci dziękuję, a następnie ty mi dziękujesz.

- A za cóż to? - pytam, podążając za nim.

- Ja za to, że podkradłem ci główny pomysł z twojej książki o rajach, żeby wykorzystać go w mojej najnowszej powieści. Zresztą wykorzystałem też strukturę *Szczurów* do napisania *Mojego szczęścia*.

- Co? *Moje szczęście* to plagiat?

- Można na to spojrzeć w ten sposób. Przeniosłem „szczurzą” intrygę do świata ludzi. Twój tytuł nie był wiele wart, słowo „szczur” wszystkich odstrasza, natomiast w moim dziele mowa jest o „szczęściu”. Twoja książka miała na dodatek nietrafioną okładkę, chociaż to

oczywiście wina wydawcy. Powinieneś być przyjąć z tą powieścią do mojego. Lepiej by się sprzedała.

- Ma pan czelność bezwstydnie przyznawać mi się, że kradnie pan moje pomysły?

- Dlaczego od razu „kradnie”? Po prostu ponownie je wykorzystałem, ubierając w odpowiednie słowa i nadając im styl. U ciebie wszystko jest zbyt skoncentrowane. Za dużo myśli - czytelnicy nie są w stanie za tobą nadążyć.

Próbuję się bronić.

- Chcę pisać łatwym językiem i w najbardziej bezpośredni z możliwych sposobów.

Mérignac uśmiecha się pobłaźliwie:

- Aktualna moda literacka nie zmierza w tym kierunku. Ja po prostu przerobiłem powieść, która nie pasowała do dzisiejszych czasów. Powinieneś potraktować moje zapożyczenia jako wyraz poważania, a nie jako kradzież...

- Ja... ja...

Młody mężczyzna rozchwytywany przez kobiety przygląda mi się z politowaniem.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym zwracał się do ciebie po imieniu? - pyta z lekkim opóźnieniem. - Nie wyobrażaj sobie jednak, że tylko tobie zawdzięczam mój sukces. Nie udało ci się, bo nie było ci to pisane. Nawet gdybyś to ty był autorem *Mojego szczęścia*, nie zostałbyś doceniony, bo ty - to ty, a ja - to ja.

Bierze mnie pod ramię.

- Prawdę mówiąc, nawet ten twój marny rozgłos jest uciążliwy. Naukowcy wkurzają się, bo mówisz o nauce, nie będąc specjalistą. Wkurzasz wierzących, bo mówisz o duchowości, nie nawiązując do żadnego Kościoła. I wreszcie wkurzasz literatów, bo nie wiesz, jak cię zaklasyfikować. A to duża wada.

Mérignac staje, by lepiej mi się przyjrzeć.

- Teraz, kiedy stoisz tu przede mną, jestem przekonany, że od zawsze musiałeś wszystkich wkurzać. Nauczycieli, kolegów, a nawet rodzinę... A wiesz, dlaczego tak jest? Bo wyczuwa się w tobie chęć zmiany.

Chcę coś powiedzieć, bronić się, ale nie udaje mi się. Słowa grzęzną mi w gardle. Jakim cudem ten człowiek, którego zawsze uważałem za postać bez znaczenia, zrozumiał mnie tak dogłębnie?

- Jacques, twoje pomysły są wielce oryginalne. Pogódź się z tym, że ktoś inny będzie je przejmował, ktoś, kto dysponuje mocą ożywienia ich i przedstawienia szerokiej publiczności.

Duszę się.

- Myśli pan, że nigdy nie odniosę sukcesu?

Kręci przecząco głową.

- To nieco bardziej skomplikowane. Być może zaznasz sławy, lecz pośmiertnie. Za sto, dwieście lat - mogę cię zapewnić, że tak właśnie się stanie - jakiś dziennikarz pragnący uchodzić za oryginalnego wygrzebie skądś przypadkiem jedną z twoich książek i pomyśli sobie: „Proszę, czemu nie wylansować Jacques'a Nemroda, pisarza niedocenionego za jego czasów?”.

Na twarzy Mérignaca zarysowuje się delikatny uśmiezek, który absolutnie nie wyraża negatywnych uczuć, jakby ten naprawdę mi współczuł, po czym mężczyzna dodaje:

- Właściwie to powinienem ci zazdrościć. O mnie się zapomni. Nie uważasz, że te wszystkie moje wyjaśnienia zasłużyły sobie na małe „dziękuję” z twojej strony?

Ku mojemu zdziwieniu bełkoczę małe „dziękuję”. Wieczorem zasypiam nieco bardziej rozluźniony. To prawda, wrogowie mogą nas nauczyć wielu rzeczy.

170. ENCYKLOPEDIA

ODPUŚCIĆ SOBIE: Odpuszczanie sobie wywodzi się z jednej z trzech dróg do osiągnięcia mądrości, których zwolennikiem jest Dan Millman, a są nimi: humor, paradoks i zmiana. Koncepcja ta wyprzedza pojęcie paradoksu. Gdy już nam na czymś przestaje zależeć, to coś się wydarza. Odpuszczenie sobie oznacza także odpoczynek dla anioła. Kiedy nikt już niczego od niego nie wymaga, może wreszcie popracować w spokoju.

Nigdy nie zdołamy wystarczająco nachwalić się sztuki odpuszczania sobie.

Nie istnieje nic, co byłoby konieczne. Nigdy nie widzieliśmy człowieka, który stał się szczęśliwy dlatego, że nagle otrzymał pracę, zdobył pieniądze albo miłość. Prawdziwego szczęścia dostarczają wydarzenia nieoczekiwane, które znacznie wykraczają poza obszar marzeń zainteresowanych. Zachowujemy się jak całoroczni Święci Mikołaje. Ci, którzy proszą nas o kolejkę elektryczną, dostają kolejkę elektryczną. Ci jednak, którzy nie proszą nas o nic, mogą otrzymać coś o wiele lepszego. Przestańcie ciągle czegoś żądać - wtedy dopiero będziemy mogli was zadowolić.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

171. POWRÓT DO RAJU

Droga powrotna zdaje się trwać latami. Zaczynam poważnie martwić się o moje kule. Co takiego mogło przyjść do głowy Venus, Igorowi i Jacques'owi? Boję się o tym myśleć. Mknę przez przestrzeń kosmiczną w kierunku Drogi Mlecznej. Wydaje się taka odległa...

172. VENUS. 25 LAT

Porozmawiać z moim aniołem stróżem? W całym swoim życiu nie marzyłam o czymś wspanialszym. W tym nowojorskim mieszkaniu urządzonym w stylu barokowym wszędzie znajdują się anioły: anioł naszkicowany węglem na drzwiach, figurki aniołków w przedpokoju, namalowane anioły na ścianach i sufitach. Na płótnach obrazów anioły walczą ze smokami, a święci poddawani są męczarniom na rzymskich arenach.

Seans kosztuje tysiąc dolarów w gotówce, ale Billy Watts jest skłonny zagwarantować, że ów Papadopoulos jest najlepszym medium na świecie. Anioł, święty Edmund, pojawił mu się któregoś dnia i kazał mu spisać podyktowaną przez siebie księgę. Zgodnie z tym co twierdzi mój agent, jest to rodzaj osobliwego słownika, którego treści kopista za nic nie chce jednak zdradzić.

Następnie objawiły mu się inne anioły, chcące stoczyć walkę z demonami. Papadopoulos miał wówczas okazję porozmawiać z aniołem Raoulem. Spędziwszy jednak wiele lat na ukrywaniu wiadomości od świętego Edmunda i czekając na próżno na ponowne pojawienie się anioła Raoula, Ulisses Papadopoulos postanowił opuścić swoją pustelnię i wrócić na łono ludzkości, by pomóc światu zrozumieć zaświaty poprzez umożliwienie chętnym kontaktu z ich aniołami stróżami.

Papadopoulos jest znanym autorem. Wydał kilka książek: *Wszystko o naszych przyjacielach aniołach*, *Anioły są wśród nas* oraz *Porozmawiajcie z waszym aniołem bez obaw*. *Święty Raoul i ja* okazał się bestsellerowym tytułem. Siedząc w poczekalni, przeglądam powyższe dzieła. W przeszklonej szafce wiszą koszulki z postacią świętego Raoula, do nabycia przez zainteresowanych. Są też plakaty ze świętym Raoulem niszczącym peruwiańskie złe moce. Święty Raoul zdaje się być tutaj uznanym produktem lokalnym.

- Zapraszam, pani Sheridan - mówi recepcjonistka.

Wchodzę do salonu, którego ściany zdobią namalowane chmury, zapewne mające nawiązywać do atmosfery panującej w raj. Pośrodku stoi ciężki stół. W pomieszczeniu znajduje się około dziesięciu kobiet i tylko jeden mężczyzna, mag Papadopoulos, jak podejrzewam. Odziany jest w długą białą suknię, a z jego twarzy bije blask natchnienia.

Większość kobiet jest posunięta w latach i obwieszona biżuterią. Zapewne z braku innych zajęć spędzają dni na rozmowach z aniołami. Czuję się jak na prezentacji Amwaya, z tą różnicą, że nie rozmawia się tu o środkach czystości, tylko o zaświatach. Przez chwilę mam ochotę wziąć nogi za pas, ale recepcjonistka przyjęła już moje pieniądze, poza tym ciekawość bierze we mnie górę. Siadam na wolnym krześle i mag Papadopoulos, były mnich, rozpoczyna inkantację po łacinie, z której wyłapuję tylko słowa *misterium*, *aeternam* i *doloris*.

Mnich prosi nas następnie, byśmy chwyciły się za ręce, tworząc łańcuch modlitwy.

- O święty Raoulu, Ty, który zawsze jesteś gotów mnie wysłuchać, zstąp do nas i w imię miłości, którą mnie darzysz, przynieś ukojenie w bólu naszym przyjaciółom śmiertelnikom.

Papadopoulos kontynuuje swój rytuał. Zamyka oczy i mruczy modlitwę, w której imię Raoul powraca bardzo często, po czym oznajmia, że seans może się rozpocząć.

Wysoka koścista kobieta, ubrana zgodnie z najnowszą modą, zabiera głos pierwsza. Chce wiedzieć, czy powinna wykupić kolejny sklep, żeby uzupełnić swoją gamę ubrań. Usta Papadopoulosa drżą, po chwili zaś mnich oznajmia, że owszem, powinna go kupić, gdyż dzięki temu stanie się jeszcze bogatsza. Nie robi to na mnie specjalnego wrażenia. Wiadomą rzeczą jest, że zamożni wzbogacają się bez większych trudności, prorokowanie sukcesu w tym wypadku nie pociąga za sobą dużego ryzyka. Jeśli tylko tyle wystarczy, żeby zarobić tysiąc dolarów, chętnie i ja się przekwalifikuję. Poza tym jako doświadczona aktorka poradzę sobie o wiele lepiej z interpretowaniem mediów niż ten brodaty typ.

173. IGOR. DUCH

To naprawdę Venus Sheridan we własnej osobie. Jakie to szczęście, że media są teraz takie modne. Podobno 80 procent ludzi radzi się „jasnowidzów”: astrologów, wróżbiarzy, czarowników, księży itp. Prawdopodobnie z powodu zaniepokojenia przyszłością i złożonością świata. Dla nas, wędrujących dusz, to wspaniała okazja do oddziaływania na

żywą materię. Będę mógł zwrócić się bezpośrednio do idolki mojej młodości, nie będąc jednocześnie ograniczonym barierą językową.

Venus wciąż czeka na swoją kolej. Na razie pewna starsza pani pyta Papadopulosa, czy powinna sprzedać rodzinną rezydencję, tak ukochaną przez jej męża, który niestety zginął, rozjechany przez pijanego kierowcę.

Mmm... Venus nie wygląda na przekonaną wysiłkami maga. Muszę przywrócić jej nadzieję. Ruszam na poszukiwanie wspomnianego zmarłego, który na szczęście pozostał na Ziemi, dręcząc swego mordercę. Zadaję mu pytanie wdowy.

- Nie - odpowiada tamten - nie może sprzedać domu, bo w piwnicy ukryłem spore pieniądze, za komodą w stylu Ludwika XV. Wystarczy ją odsunąć. Zaraz za figurką hipopotama.

Wracam czym prędzej i przekazuję informację medium. Robi to pewne wrażenie wśród zebranych. Wszyscy są oczarowani precyzją odpowiedzi. Bełkocząc z przejęcia, zainteresowana przyznaje, że istotnie w piwnicy znajduje się komoda i figurka hipopotama. Skąd Papadopulos mógł o tym wiedzieć?

Venus pozostaje sceptyczna. Myśli, że to ukartowana scenka. Tym lepiej. Jakież będzie jej zaskoczenie...

No i proszę. Venus zabiera głos. Pyta, co zrobić, żeby uwolnić się od dokuczliwych migren. Przenikam jej czaszkę, żeby zanalizować ten przypadek. Brat... nęka ją od wewnątrz!

Ktoś musi opowiedzieć jej o bracie. Szybko, tajna narada z wędrującymi duszami specjalizującymi się w tych problemach. Pewien samobójca podaje mi nazwisko lekarza, który długo borykał się z podobnymi objawami, zanim wreszcie udało mu się odkryć tajemnicę brata bliźniaka. Nazywa się Raymond Lewis. Wracam więc w te pędy do salonu Papadopulosa i dyktuję mu moją radę.

- Venus, istnieje... pewien człowiek, który będzie umiał wszystko ci wyjaśnić i cię wyleczyć. Miał kiedyś... podobny problem... i rozwiązał go. Nazywa się... Lewis.

Venus krzywi się.

- Istnieją tysiące Lewisów.

- Ten Lewis jest... lekarzem położnikiem.

- Lewisów położników zapewne też można liczyć na pęczki - złości się Venus. - Jak ma na imię?

- Proszę poczekać, R... R... Ramon Lewis.

Wspaniale, trafiłem na przygluche medium. Wrzeszczę niemal:

- Nie Ramon, nie Ramon! Raymond, Raymond!

- Nie Ramon, nie Ramon... Edmond - poprawia się Papadopoulos.

To nie do wiary. Jest głuchy jak pień!

- Raymond. Niezbyt popularne imię, ale tak właśnie się nazywa.

Papadopoulos zamyka oczy i koncentruje się:

- R... R... Raymond. Niezbyt popularne imię, ale tak właśnie się nazywa.

- No i co dalej? - pyta Venus coraz bardziej zniecierpliwiona.

Muszę się pospieszyć, bo w przeciwnym razie gotowa jest wstać i trzasnąć drzwiami, zanim uda mi się jej pomóc. Szepczę do nadwyrężonej małżowiny usznej:

- Raymond Lewis ma ten sam problem, co ty. Jeszcze przed narodzinami utracił brata bliźniaka. Ta strata była u niego przyczyną migren. Łącząc się, uzupełnicie wasz brak rodzeństwa, a dusze waszych bliźniąt odzyskają wolność.

Medium tłumaczy jako tako główny sens mojej wiadomości. Venus zastyga w bezruchu. Tylko prawda może wprawić ludzi w takie osłupienie.

Papadopoulos zdaje się najbardziej ze wszystkich obecnych poruszony moją interwencją. Od tak dawna nie otrzymał żadnego sygnału z zaświatów. Zbulwersowany wpada w panikę. Cóż za brak profesjonalizmu!

Podobno anioły nazywają śmiertelników klientami. My, duchy, używamy innej ksywki: „mięso”. Lubię oddziaływać na „mięso”.

174. ENCYKLOPEDIA

CYKL SIEDMIOLETNI (PIERWSZY KWADRAT 4 x 7): Ludzkie przeznaczenie ewoluuje cyklami siedmioletnimi. Każdy taki cykl kończy się kryzysem, który pozwala na przejście do następnego etapu.

Od 0 do 7 lat. Silny związek z matką. Horyzontalne postrzeganie świata. Rozwój zmysłów. Zapach matki, mleko matki, głos matki, ciepło matki i pocałunki matki to pierwsze punkty odniesienia. Okres ten kończy się zazwyczaj w chwili pęknięcia matczyne kokonu ochronnego i mniej lub bardziej ostrożnego odkrycia zewnętrznego świata.

Od 7 do 14 lat. Silny związek z ojcem. Pionowe postrzeganie świata. Konstrukcja osobowości. Ojciec staje się nowym, uprzywilejowanym partnerem w poznawaniu świata poza rodzinnym kokonem. Ojciec powiększa rodzinny kokon ochronny i staje się wzorem dla dziecka. Matka będzie kochana, ojciec zaś musi być podziwiany.

Od 14 do 21 lat. Bunt przeciwko społeczeństwu. Poznawanie materii. Rozwój intelektualny. Kryzys wieku młodzieńczego. Przychodzi ochota na zmienianie świata i niszczenie istniejących struktur. Młody człowiek porywa się wpięć na rodzinny kokon, a następnie na całe społeczeństwo. Nastolatka pociąga wszystko, co „buntownicze”: ostra muzyka, postawa romantyczna, pragnienie niezależności, ucieczka, kontakty z gangami młodocianych, utożsamianie się z wartościami anarchistycznymi, systematyczne krytykowanie dawnych wartości. Okres ten kończy się opuszczeniem rodzinnego kokonu.

Od 21 do 28 lat. Asymilacja ze społeczeństwem. Stabilizacja po buncie. Nie zdoławszy zniszczyć świata, człowiek integruje się z nim, stawiając sobie za cel niepopelnianie błędów poprzedniego pokolenia. Poszukiwanie zajęcia ciekawszego niż praca rodziców. Poszukiwanie miejsca do życia ciekawszego niż dom rodziców. Próba stworzenia związku szczęśliwszego niż małżeństwo rodziców. Wybieramy partnera(kę) i zakładamy gospodarstwo domowe. Budujemy swój własny kokon. Okres ten kończy się zazwyczaj ślubem.

Tym sposobem człowiek wypełnia swoją misję i wyzwala się z pierwszego kokonu ochronnego.

KONIEC PIERWSZEGO KWADRATU 4x7 LAT.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

175. JACQUES. 26 LAT

Dzisiaj obchodzę urodziny. Zamykam się w toalecie i staram się podsumować moje dotychczasowe życie. W wieku 26 lat mogę uznać się za przegranego. Nie zbudowałem komórki rodzinnej. Nie mam towarzyszk życia, nie mam dzieci, żyję sam, niczym samodzielny, lecz samotny szur. Zgoda - mam zajęcie, które sprawia mi przyjemność, choć mimo wszystko nie mogę powiedzieć, że odniosłem prawdziwy sukces.

Mona Lisa II zmarła z powodu zbyt wysokiego poziomu cholesterolu. Pochowałem ją przy Mona Lisie I.

Mona Lisa III jest jeszcze tłustsza niż jej poprzedniczka. Ma cellulit na łapkach (weterynarz twierdzi, że coś takiego widzi po raz pierwszy). Bardzo lubi leżeć zwinięta w kłębek na moich kolanach. Razem oglądamy telewizję. Gościem audycji literackiej

poświęconej „nowej literaturze” jest dziś nie kto inny, jak sam Mérignac.

Oznajmia, że od czasu do czasu doświadcza lęków egzystencjalnych i stawia sobie pewne pytania. Myślę, że się przechwala. Mérignac nie zadaje sobie pytań - przecież zna już wszystkie odpowiedzi. Mona Lisa III szepcze mi coś do ucha. Przypomina to kocie „miau”, ale ja wiem, że chce mi dać do zrozumienia, że jest głodna.

- Zobaczmy, Mona Liso III. Pochłonęłaś już trzy puszki pasztetu z wątróbek i serduszek!

- Miau - bezwstydnie odpowiada zainteresowana.

- Nie mam ich już więcej, a na dodatek pada deszcz!

- Miau - nalega zwierzę.

Od razu widać, że to nie ona ma wyjść na zimno i deszcz w poszukiwaniu otwartego sklepu. Mam wrażenie, że spędzając czas w towarzystwie kotów, sam siebie oszukuję. Tak naprawdę brakuje mi ludzi. Zaczynam pojmować, że problem siedzi wewnątrz mnie. Specjalnie wybierałem trudne dziewczyny, przez które za każdym razem znajdowałem się w impasie. Tylko jak tu się teraz przeprogramować?

Mona Lisa III wciąż miauczy, wyłączam więc telewizor, wkładam płaszcz przeciwdeszczowy na pizamę i wyruszam na poszukiwanie puszki z pasztetem dla kotów. Słyszę pozdrowienia sąsiadów. Nigdy nie przeczytali moich książek, ale ponieważ uchodzę za autora science fiction, stanowią malowniczą postać w dzielnicy.

Supermarket na rogu ulicy jest już zamknięty, a w sklepie spożywczym pasztety z wątróbek i serduszek niestety się skończyły; zostały tylko puszki z tuńczykiem i łososiem w sosie curry. Wiem, że Mona Lisa III oprócz wątróbek i serduszek toleruje jeszcze tylko doradę faszerowaną kawiolem, która jest do kupienia, lecz po horrendalnej cenie.

Nie śmiem wrócić do domu z pustymi rękami. Puszka dorady faszerowanej kawiolem mnie dręczy. No dobra, w końcu to moje urodziny. Skoro spędzę je w towarzystwie kota, uczcijmy to wydarzenie razem. Dla siebie biorę spaghetti. A na deser? „Pływającą wyspę”. Już mam sięgnąć po ostatnie opakowanie, kiedy czyjaś ręka chwyta pudełko dokładnie w tej samej chwili. Nie zastanawiając się, ciągnę je w swoją stronę. Udało się. Odwracam się, żeby spojrzeć w twarz mojemu rywalowi. Szeroko otwartymi oczyma przygląda mi się młoda dziewczyna.

- Czy nie jest pan przypadkiem Jacques'em Nemrodem?

Przytakuję.

- Tym pisarzem?

Spoglądam na nią. Ona wciąż na mnie patrzy. Jej usta rozszerzają się w uśmiechu i

dziewczyna wyciąga do mnie dłoń.

- Nathalie Kim. Czytałam pańskie książki.

Bezwiednie cofam się, przy czym uderzam o coś twardego, znajdującego się za moimi plecami. Wali się na mnie cała piramida puszek z zielonym groszkiem.

176. VENUS. 26 LAT

Muszę go znaleźć. Muszę go znaleźć. Muszę go znaleźć. Ani w książce telefonicznej Los Angeles, ani Nowego Jorku nie ma żadnego doktora Raymonda Lewisa. Uciekam się do pomocy ogólnokrajowego biura informacji. Wkrótce nadchodzi odpowiedź. Dr Raymond Lewis, położnik, mieszka w Denver w stanie Kolorado.

Samolot, taksówka i oto stoję przed wytworną rezydencją przy równie wytwornej uliczce. Niemal rzucam się na dzwonek do drzwi. Oby tylko był w domu. Oby tylko był w domu.

Słyszę odgłos kroków, po czym niski, kompletnie łysy człowieczek w grubych okularach otwiera mi drzwi. Zapewne widział mnie już w kinie, gdyż oszołomiony przygląda mi się dłuższą chwilę.

- Chciałabym z panem porozmawiać. Czy mogę wejść?

Wydaje się co najmniej zdziwiony.

Zdejmuje okulary, odsłaniając oczy o bezkresnie łagodnym spojrzeniu, i wyciera chusteczką wilgotne czoło.

- Doktorze Lewis, powiedziano mi, że będzie pan w stanie rozwiązać pewien problem, z którym borykam się od dzieciństwa. Podobno jest pan jedyną osobą na świecie, która jest w stanie mi pomóc.

Dr Lewis wycofuje się w głąb domu i wpuszcza mnie do środka. Prosi, bym usiadła na kanapie w salonie, wyciąga butelkę whisky, lecz zamiast mnie nią poczęstować, sam sobie nalewa solidną dawkę. Nie zdążam nawet otworzyć ust, gdy mi oznajmia, że jestem kobietą jego życia. Odkąd ujrzał mnie w telewizji, zrozumiał, że to ze mną i nikim innym chce dożyć swych dni. Co wieczór rozmyśla o mnie w pokoju udekorowanym moimi plakatami. Ups. Oby tylko nie miał kalendarza dla kierowców ciężarówek...

Nagle, tknięty podejrzeniem, lekarz pyta mnie, czy aby na pewno jestem prawdziwą

Venus Sheridan. Następnie podbiega do okna i szuka ukrytej kamery, myśląc, że uczestniczy w jakimś programie telewizyjnym. Dodaje sobie animuszu dwoma kolejnymi szklankami whisky.

- Nie śmiałem marzyć, że ta chwila kiedykolwiek nastąpi - mówi. - W najśmielszych fantazjach wyobrażałem sobie najwyżej, że podejść do pani i poproszę o autograf. Nic poza tym.

Nie jestem nieczuła na takie przejawy zainteresowania i szacunku. Ten człowiek mnie wzruszył. Wpatruje się we mnie niczym w zjawę. Kiedy znowu zacznie oddychać, zadam mu moje pytanie.

- Niełatwo przyjdzie panu uwierzyć w okoliczności, dzięki którym trafiłam tutaj do pana. Postanowiłam jednak być z panem szczerą - jedynie tak można wszystko wyjaśnić. Za pośrednictwem pewnego medium udało mi się porozmawiać z moim aniołem stróżem, który mi wyjawiał, że cierpiał pan z tego samego powodu, co ja i że pan jeden może mi pomóc. Przebyłam więc tysiąc dwieście kilometrów, żeby się z panem spotkać.

Dr Lewis wciąż jest nieco zdezorientowany, chociaż whisky pomaga mu powoli odzyskać równowagę ducha. Mimo to bełkocze:

- Anioł... anioł stróż poradził... pani... spotkanie ze mną!

W tej chwili zdaję sobie sprawę z własnej głupoty. Biedna Venus, naprawdę nisko upadłaś. Wystarczy, że jakiś kiepski jasnowidz podszepta ci byle co, a ty już jesteś skłonna we wszystko uwierzyć. Prawda, masz dobre usprawiedliwienie - twoje migreny są nie do zniesienia i jak dotąd nikomu nie udało się nic na nie zaradzić.

- Anioł - powtarza z powagą w głosie dr Lewis.

- Oczywiście pan nie wierzy w anioły - mówię.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ale to bez znaczenia, najważniejsze jest to, że mogę cieszyć się pani obecnością tutaj.

Pora, by przejść do rzeczy, zanim gość znowu zacznie się rozmarzać. Oznajmiam:

- Jestem chora. Czy może mnie pan wyleczyć?

Na jego twarz powraca wyraz powagi. Lekarz bierze górę nad admiratorem.

- Nie jestem internistą, lecz ginekologiem-położnikiem, ale zrobię wszystko, by pani pomóc. Na czym polega pani problem?

Ponieważ nadal nie mogę doczekać się kieliszka, sama nalewam sobie nieco whisky i wypijam łyk, zanim udaje mi się wypowiedzieć znieawidzone słowo.

- Migrena.

- Migrena?

Lewis wpatruje się we mnie dłuższą chwilę, po czym szeroki uśmiech rozświetla jego twarz, do tej pory nienaturalnie spiętą. To tak, jakby jego umysł doznał olśnienia, a moja trudna do pojęcia obecność w jego domu wreszcie stała się oczywista. Rozmawiamy całą noc.

Od małego, podobnie jak i ja, Raymond Lewis jest ofiarą straszliwych, doprowadzających go do szału migren. Kierując się intuicją albo może natchniony przez osobistego anioła stróża, dostaje się na medycynę, wybierając jako specjalizację ginekologię.

Jako lekarz położnik jest zafascynowany bliźniętami. Jego zdaniem bardzo często dochodzi do zapłodnienia dwóch jajeczek jednocześnie. Rzadko jednak obydwa płody się rozwijają. Zazwyczaj po upływie trzech miesięcy ciało kobiety pozbywa się jednego z nich.

Raymond jest niewyczerpanym źródłem informacji na ten temat. Pewnego dnia wyciągnął z brzucha matki dwoje dzieci, jedno żywe, drugie martwe. Od tej pory zaczął się interesować innym, mniej znanym fenomenem - zespołem TTTS. Określenie to wydaje mi się znajome, ale nie przerywam Lewisowi jego wywodu.

- Zazwyczaj każde z bliźniąt jest połączone pępowiną z rodzicielką, nie istnieje bezpośrednia łączność pomiędzy samymi dziećmi. Od czasu do czasu pojawia się jednak niewielka żyłka je łącząca. Wtedy obydwa płody wymieniają się płynami odżywczymi. Dzięki temu połączeniu tworzy się między nimi bliskość o wiele silniejsza niż między zwykłymi bliźniętami. Jednak około szóstego lub siódmego miesiąca ciąży bliskość ta pociąga za sobą śmierć jednego z dzieci. W tym bowiem okresie jedno z nich zaczyna niszczyć drugie, wysysając z niego wszystkie substancje odżywcze.

Zamieniam się w słuch. Z każdym zdaniem Raymonda coraz mocniej czuję, że istotnie kiedyś czegoś takiego doświadczyłam.

- Jedno z dzieci uzależnia od siebie drugie, możemy wręcz mówić o biorcy i dawcy. Dziecko, które przychodzi na świat żywe, nabywa wszystkie cechy zmarłego płodu i rodzi się w lepszej formie niż większość dzieci. Powinna pani zapytać swoją matkę, czy lekarze nie znaleźli podczas porodu drugiego, martwego płodu.

Czegoś jednak nie rozumiem.

- Ale jaki to może mieć związek z migrenami?

- Już samo słowo dostarcza odpowiedzi. MIGRENA, od greckiego *hemikrania*, czyli „ból połowy czaszki”. Pani cierpienie spowodowane jest wspomnieniem bliźniaczego brata lub siostry - będącego niegdyś pani drugą połową.

177. ENCYKLOPEDIA

CYKL SIEDMIOLETNI. (DRUGI KWADRAT 4 x 7): Pierwszy kwadrat kończy się budową własnego kokonu i wejściem człowieka w drugą serię cykli siedmioletnich.

Od 28 do 35 lat: Ugruntowanie się ogniska domowego. Po ślubie, mieszkaniu i samochodzie przychodzi czas na dzieci. Jeśli jednak pierwsze cztery cykle nie miały solidnych podstaw, gospodarstwo się rozpada. Jeżeli związek z matką nie został należycie przeżyty, ta będzie dręczyła swoją synową. Jeśli stosunki z ojcem nie układały się najlepiej, ten będzie wtrącał się w sprawy małżeństwa swoich dzieci. Jeśli bunt przeciwko układom społecznym nie został samoistnie rozwiązany, spowoduje konflikty w pracy. 35 lat to często wiek, w którym niedojrzały kokon się rozpada. Rozwód, zwolnienie, depresja i choroby psychosomatyczne. Pierwszy kokon zostaje wówczas porzucony i...

Od 35 do 42 lat: Rozpoczynamy wszystko od zera. Po ustąpieniu kryzysu człowiek zaczyna budowę następnego kokonu, wzbogacony o błędy i doświadczenia z poprzedniego etapu. Konieczne jest ponowne rozpatrzenie stosunku do matki i kobiecości oraz do ojca i męskości. To okres, w którym rozwiedziona mężczyzna odkrywa zalety kochanek, a rozwiedzione kobiety doceniają atrakcyjność kochanków. Obie strony usiłują określić, czego spodziewają się nie tylko po małżeństwie, lecz także po płci przeciwnej.

Na społeczeństwo również należy spojrzeć świeżym okiem. Wybieramy zawód, nie mając już na względzie jedynie zdobycia odpowiedniego zabezpieczenia na życie - oceniamy też, jaką nam sprawia przyjemność oraz ile czasu wolnego nam pozostawi. Po rozpadzie pierwszego kokonu człowieka wciąż pociąga wizja jak najszybszego zbudowania drugiego. Nowe małżeństwo, nowy zawód, nowa postawa. Jeśli skutecznie pozbędziemy się niepotrzebnego balastu, bez trudu stworzymy lepszy kokon. Jeśli jednak nie pojmiemy błędów przeszłości i wykorzystamy do budowy dokładnie tę samą formę - spotkają nas dokładnie te same zawody. Nazywamy to błędnym kołem. Kolejne cykle będą jedynie powielać te same błędy.

Od 42 do 49 lat: Podbój społeczeństwa. Po utworzeniu drugiego, zdrowszego kokonu, człowiek może zacząć cieszyć się swoim związkiem, rodziną i pracą oraz zająć się rozwijaniem własnej osobowości. Zwycięstwo to prowadzi do nowych zachowań.

Możemy stać się, na przykład, bardziej żądni oznak sukcesu materialnego: chcemy więcej pieniędzy, większego komfortu, więcej dzieci, więcej kochanek lub kochanków, więcej władzy. Wciąż chcemy powiększać i wzbogacać nasz nowy, zdrowy kokon.

Możemy też wyruszyć na podbój nowego terytorium, jakim jest umysł, i całkowicie oddać się kształtowaniu swojej osobowości. Logicznie rzecz biorąc, okres ten powinien zakończyć się kryzysem osobowościowym, pytaniami egzystencjalnymi. Dlaczego jestem? Dlaczego żyję? Co - poza zdobyciem pieniędzy - powinienem uczynić, żeby nadać sens mojemu istnieniu?

Od 49 do 56 lat: Rewolucja duchowa. Jeśli człowiekowi udało się stworzyć swój kokon i może się realizować w rodzinie i pracy, naturalną kolejną rzeczą jest poszukiwanie mądrości. Wtedy też rozpoczyna się najwspanialsza przygoda, jaką jest rewolucja duchowa.

Poszukiwanie duchowe, jeśli przeprowadzone jest szczerze, bez posługiwania się rozważaniami w grupie i gotowymi ideami, nigdy nie może się znudzić. Zajmie nam resztę życia.

KONIEC DRUGIEGO KWADRATU 4x7 LAT.

NB. 1: Ewolucja przypomina kształtem spiralę. Co 7 lat wznosimy się oczko wyżej i przechodzimy przez te same etapy: rozpatrujemy nasz stosunek do matki, do ojca, do społeczeństwa i do konstrukcji własnej rodziny.

NB. 2: Czasami ludzie celowo dążą do porażki w rodzinie lub pracy, by zostać zmuszonymi do powtórzenia cyklu. Opóźniają tym samym chwilę, w której będą musieli przejść w fazę duchową, obawiają się bowiem spotkania z własnym ja.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

178. MAŁY KŁOPOT

Marilyn Monroe bardzo zależało na tym, by lecieć na czele naszego rombu w czasie drogi powrotnej. Daje nam znak. W oddali dostrzega podejrzane kształty.

Dobry Boże, przecież to wędrujące dusze! Na horyzoncie dostrzegamy coraz więcej świetlistych punkcików. Cała armia wędrujących dusz! Zgromadziły się tu ich dziesiątki.

- Oj, oj, oj! - niepokoi się Freddy. - Ten komitet powitalny nie wróży nic dobrego.

- Zawracamy? - pyta Marilyn Monroe.

Na czele wrogiej armii widać wiele postaci historycznych. Jest tam Szymon z Montfort, postrach katarów, po jego lewej Torquemada, okrutny inkwizytor, oraz Al Capone i jego gangsterzy w kapeluszach. Niezłe towarzystwo.

Rabin Meyer próbuje negocjacji i pyta, o co im chodzi. Wtedy naprzód wysuwa się postać, którą znam niestety aż nazbyt dobrze: Igor. „Mój” Igor. Co on tu robi? To straszne! Umarł podczas mojej nieobecności!

- Igor, jak mogłeś...

Mierzy mnie wzrokiem bez cienia litości w spojrzeniu.

- To ty jesteś tym słynnym Michaeliem Pinsonem. Byłeś moim aniołem stróżem i mnie nie ocaliłeś. Patrz, co się ze mną stało z twojej winy!

Unoszę się gniewem:

- Walczyłem o twoje życie! Spełniałem twoje życzenia! Dzięki mnie uniknąłeś licznych życiowych potrzasków!

- Nie podołałeś swojemu zadaniu. Najlepszym na to dowodem jest moja tu dzisiaj obecność!

- Przestałeś zwracać uwagę na znaki, które ci wysyłałem.

- Trzeba było wyrażać się jaśniej - odpiera zarzut Igor. - Wiem, że porzuciłeś mnie tylko po to, by móc zaspokoić swoje szalone ambicje. Gdzie byłeś, kiedy cierpiałem? Gdzie byłeś, kiedy cię wzywałem? Na jakiejś odległej planecie, ty pyszałku! Mam ci to za złe, nawet nie wiesz, jak bardzo!

Krzywię się z niezadowoleniem. Edmund Wells uprzedzał mnie, że nadejdzie dzień, w którym będę musiał tłumaczyć się przed swoimi klientami.

- Przyznaję, że popełniłem błąd. Ale ty powinieneś nauczyć się przebaczać.

- Przebaczać? A to dobre! Ja nie jestem aniołem, w przeciwieństwie do ciebie.

I pomyśleć tylko, że tak się o Igora martwiłem. Współczułem mu, kiedy matka chciała go zabić, kiedy mieszkał w sierocińcu, w poprawczaku, w szpitalu i kiedy zaciągnął się do wojska. A teraz oto stał się moim bezpośrednim przeciwnikiem.

Igor informuje nas, że wędrujące dusze są zmęczone bezterminowym włóczęgiem się po Ziemi. Wyprawa na inną planetę pozwoliłaby im nieco się rozerwać.

- Tam też będziecie tylko wędrującymi duszami - zauważa Marilyn Monroe.

- To nie takie pewne. Jeśli o mnie chodzi, jestem przekonany, że trawa jest tam bardziej zielona.

- O co wam chodzi? - pyta Raoul.

- Chcemy was pokonać i zmienić w upadłe anioły. Mamy już kilku takich w naszych szeregach. Kiedy do nas dołączycie, z radością wskażecie nam drogę do waszej tajemniczej planety.

- Wydawało mi się, że upadłe anioły to takie, które kochały się z Ziemiakami.

- To jeden ze sposobów, by popaść w ciemną otchłań, są jednak jeszcze inne...

Upadłe anioły unoszą się nad szereg wędrujących dusz, kierując nimi z wysokości.

- Nie będzie łatwo - mruczy Freddy.

- Może zawrócimy? - sugeruje niepewnie Marilyn Monroe.

- Nie mamy już wyboru - stwierdza Freddy Meyer. - Jeśli uciekniemy, dogonią nas i

zaatakują od tyłu. Poza tym nasz strach dodałby im energii. Musimy im stawić czoła.

Zbliżają się. Stanowią dziwną armię, która ma w swoich szeregach rycerzy w zbrojach, samurajów, trucicieli z dworu Ludwika XIV, seryjnych morderców, desperatów, którzy nie mają już nic do stracenia. Ci osobnicy nie boją się niczego! W ciągu swoich poprzednich istnień nagromadzili tyle straszliwych zbrodni, że potrzeba by wielu tysięcy reinkarnacji, żeby odzyskać twarz. Na dodatek upadłe anioły stale podjudzają ich przeciwko nam.

Są już bardzo blisko. Szymon z Montfort nawołuje, by dusze ustawiły się w szyku bojowym. Nie rozumiem, dlaczego myślą, że jesteśmy aż tak silni, dlaczego pojawiły się tak licznie? Będziemy musieli stoczyć walkę z setką wojowników!

- To będzie prawdziwy Armagedon - oznajmia Torquemada.

- Do ataku! - rozkazuje Igor.

179. VENUS. 26 LAT

Raymond Lewis. Jeszcze ciągle nie mogę w to uwierzyć, ale ledwie go ujrzałam, wiedziałam, że ten mężczyzna jest stworzony dla mnie. Miły, łagodny, inteligentny i tak bardzo mnie podziwia.

Chcę mieć z nim dzieci. Modłę się o to.

180. BITWA. ARMAGEDON 2

Wędrujące dusze otaczają nas. Tak jak niegdyś postąpiliśmy z Inkami, teraz też próbujemy zrozumieć ich cierpienie i wesprzeć je, niestety one zdają się nieczułe na nasze współczucie. Po pierwszej szarży, mającej na celu przetestowanie naszej odporności, dusze przegrupowują się i szykują do kolejnego ataku.

- Tym razem empatia nie wystarczy - stwierdza Raoul. - Potrzebujemy silniejszej broni.

Freddy Meyer analizuje przez chwilę sytuację i ogłasza:

- Miłość! Wykorzystajmy miłość! Wędrujące dusze są niczym bite dzieci. Nie przyzwyczajono ich do bycia kochanymi. Szaleją, bo jest im wszystko jedno, a cięgi nie robią już na nich wrażenia. Jeśli je pokochamy, zostaną rozbrojone.

Raoul, Freddy, Marilyn i ja stajemy jak najbliżej siebie. Wnętrza naszych dłoni się rozświetlają. Promień światła rzucany przez nasze prawe dłonie (oprócz Marilyn, która jest leworęczna) pozwoli nam dotknąć miłością całą kohortę duchów.

- Do ataku! - woła Igor.

Ruszają zwartym szeregiem. Skierowujemy w ich stronę świetliste promienie niczym dzidy i nasza miłość rzeczywiście zbija je z tropu. Zatrzymują się. Pełny efekt zaskoczenia. Część dusz dołącza do nas. Pozostaje tylko pozwolić im przejść przez nas, by natychmiast wzbili się do Raju, gdzie zostaną skierowane na drogę reinkarnacji. Udaje nam się usidlić tym sposobem około dziesięciu dusz.

Igor zarządza odwrót. Duchy przegrupowują się i postanawiają użyć własnej broni, by powstrzymać naszą miłość: nienawiści.

Jak przystało na dobrego stratega, Igor umieszcza najzacieklejsze wędrujące dusze na czele. Osłaniamy się naszymi mieczami miłości i światła, żeby odeprzeć natarcie nienawiści. Duchy łączą wszystkie swoje żale i cierpienia zapamiętane z ostatniego wcielenia, wytwarzając zielone promienie czystej nienawiści, które gwałtownie ścierają się z niebieskimi promieniami miłości.

Dusze wytrwale atakują. Musimy połączyć cztery ostrza miłości, żeby zniszczyć jedną włócznię nienawiści. Bitwa jest zażarta. Wycofujemy się pod natarciem zielonych promieni, a Igor już szykuje kolejną ofensywę.

- Potrzebujemy nowej broni - mówi Raoul - w przeciwnym razie dosięgnie nas ich nienawiść.

Po raz pierwszy to nie Freddy, lecz ja sam proponuję:

- Humor. Miłość niech będzie naszym mieczem, a humor tarczą.

Duchy są już niemal przy nas, gdy na dany znak za pomocą naszych umysłów materializujemy tarcze humoru, które raźnie chwytny do lewej ręki (oprócz Marilyn, która z wcześniej już wspomnianego powodu posługuje się tu prawą ręką).

Tym razem tarcze odpierają nienawiść. Podczas gdy nasi wrogowie zmagają się z miłością, pięćdziesiąt najbardziej zajadłych wędrujących dusz zostaje wessana w spiralę prowadzącą do Raju. Marilyn Monroe odzyskuje nadzieję. Wydaje z siebie okrzyk, który stanie się odtąd naszą dewizą:

- Miłość jako miecz, humor jako tarcza!

Igor wzywa do odwrotu. Niemal natychmiast dusze gromadzą się wokół niego, by wymyślić broń, która poradzi sobie z naszym humorem: kpina.

Ich hasło brzmi: Nienawiść jako miecz, kpina jako tarcza!

- Do ataku! - woła Igor.

Nacierają.

181. ENCYKLOPEDIA

BRON: „Miłość jako miecz, humor jako tarcza”.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

Dopisek Michaela Pinsona

182. BITWA. ARMAGEDON 2 (cd.)

Jeżeli przegramy tę bitwę i wędrujące dusze odkryją Czerwień, ich czarne myśli rozprzestrzenia się niczym groźny wirus po całym wszechświecie. Będą po kolei docierały do pozostałych galaktyk, zarażając wszystko wokół.

Gra toczy się o wysoką stawkę. Rozumiem już, dlaczego instruktor Zoza chciał zachować w tajemnicy istnienie obcych cywilizacji. Nawet jeśli epoka tajemnic już jest za nami, dobrze, że niektóre informacje docierają do niewielu.

Armia cieni posuwa się naprzód. Wizja apokalipsy. W moich uszach rozbrzmiewa *Carmina burana* Carla Orffa. Cóż oni znowu wymyślili? Zamiast nacierać zwartą grupą, zatrzymują się i wcelowują w nas swoje ramiona niczym strzelby.

- Ognia! - rozkazuje Igor.

Ledwo udaje nam się schronić za naszymi tarczami humoru. Przechodzimy do kontrataku, wysyłając strzały miłości, które duchy jednak z łatwością odpierają barierą kpiny.

Pojawiają się kolejne oddziały, składające się z desperatów i szaleńców. Na tych nie

działa ani miłość, ani humor.

- Do ataku! - rozkazuje Igor.

Fala nienawiści wzmocnionej obłędem uderza w nasze tarcze. Ciężko jest opierać się tak licznej armii jedynie w czwórkę. Szaleńcy nic sobie z nas nie robią, a Igor zauważył, że kpina służy nie tylko do obrony, lecz także do ofensywy. Ustawiamy się w szyku żółwia, osłaniamy naszymi tarczami humoru, od których odbija się kpina.

Marilyn zostaje lekko trafiona nieprzyjemną uwagą osobistą, gdyż źle ustawiła swoją tarczę humoru. Od zawsze nie znosiła podawania w wątpliwość jej talentu aktorskiego. Freddy musi podnieść jej morale. Uzbrajamy się w całą naszą miłość. Każdy z nas kieruje swoje myśli na coś, co według niego było najpiękniejsze w jego poprzedniej egzystencji. Ja wspominam miłość, jaka mnie łączyła z Rose, kobietą mojego cielesnego życia.

- Cel, pal! - krzyczy Igor.

Nachylamy nasze tarcze i strzelamy serią miłosnych pocisków w otaczającego nas nieprzyjaciela. To działa. Wystarczy jeszcze tylko wessać te eteryczne postacie. Przedostają się do naszego wnętrza u nasady pleców, wspinają wzdłuż stosu pacierzowego i już można je wypchnąć przez czaszkę. Nasze kręgosłupy, wyrzutnie do Raju, są przepełnione duchami szukającymi ocalenia. Trudno nam się jednocześnie bronić przed nową falą natarcia, która sprawia, że nasza formacja się rozpada.

Rozdzieleni, bronimy się, jak tylko umiemy. Cios humorem, cios miłością, cios kręgosłupem, by wysłać duszę do Raju.

- Trzymaj się, Michaelu - dodaje mi odwagi Raoul, pomagając mi się pozbyć upadłego anioła wsysanego przez moje plecy.

Pojawia się w samą porę. O wiele silniejszy niż wędrujące dusze, upadły anioł był właśnie w trakcie destabilizowania mnie najboleśniejzymi wspomnieniami z mojego poprzedniego życia. Problem polega bowiem na tym, że przenikając przez nasze ciała, wrogowie dzielą się z nami swoimi troskami, co nas osłabia.

Nieprzyjaciel otrzymuje posiłki. Jest ich coraz więcej.

- Co zrobić, żeby kochać bardziej?

- Zamknijcie oczy - radzi Freddy, po czym wysyła nam obrazy najpiękniejszych dokonań ludzkości.

Malowidła ścienne w jaskiniach Lascaux, wielka Biblioteka Aleksandryjska, wiszące ogrody Semiramidy, kolos rodyjski, freski z Dendery, Cuzco, miasta Majów, Stary Testament, Nowy Testament, zasada działania klawisza fortepianowego, świątynie Imperium Angkoru, katedra w Chartres, *Toccaty* Jana Sebastiana Bacha, *Cztery pory roku* Vivaldiego,

polifonie Pigmejów, *Requiem* Mozarta, *Mona Lisa* Leonarda da Vinci, majonez, czynne prawo wyborcze, teatr Moliera, teatr Williama Shakespeare'a, balijska orkiestra perkusyjna, wieża Eiffla, indyjskie tandoori z kurczaka, japońskie sushi, Statua Wolności, rewolucja bez przemocy Ghandiego, teoria względności Alberta Einsteina, Lekarze Świata, kino Meliesa, kanapki z pastrami i ogórkiem, mozzarella, kino Stanleya Kubricka, moda na minispódniczki, rock'n'roll, The Beatles, Genesis, Yes, Pink Floyd, gagi Monty Pythona, film *Jonathan Livingston Seagull* i muzyka Neila Diamonda, pierwsza trylogia *Gwiezdnych wojen*, książki Philipa K. Dicka, *Diuna* Franka Herberta, *Władca pierścieni* Tolkiena, komputery, gra *Cywilizacja Sida Meiera*, ciepła woda... Setki obrazów płyną przed naszymi oczami, dowody geniuszu ludzkiego i jego wpływu na cały wszechświat. Ileż mieszkańcy Czerwieni skłonni by byli zapłacić za tylko jeden z tych wielu cudów!

- Nie rozumiem, Freddy, to ty przecież zawsze powtarzałeś, że ludzkość nie jest warta tego, by ją zbawić...

- Humor, paradoks, zmiana. Mogę nie pokładać ani krzty nadziei w ludzkości i być świadomym wszystkich jej sukcesów.

Igor zagrzewa do walki swoje oddziały. Żeby zmotywować żołnierzy, wykorzystuje te same techniki, co alzacki rabin, tyle że z przeciwległego bieguna. Swoim wędrownym duszom, swoim istotom z cienia wysyła obrazy straszliwych, prymitywnych wojen, rozbójników wznoszących zamki ze zdobytych łupów, pierwszych kul armatnich, pożaru Biblioteki Aleksandryjskiej, ładowni statków, w których tłoczą się czarni niewolnicy, mafii, skorumpowanych rządów, wojen punickich, Kartaginy w ogniu, nocy świętego Bartłomieja, okopów pod Verdun, ludobójstwa Ormian, Auschwitz, Treblinka i Majdanka, dealerów na klatkach schodowych, ataku terrorystycznego w paryskim metrze, martwych ptaków wodnych na zanieczyszczonej plaży, smogu nad nowoczesnym miastem, idiotycznych programów telewizyjnych, dżumy, trądu, cholery, AIDS i innych nowych chorób.

Igor zachęca swoich podwładnych do wspomnienia najgorszych cierpień i wszystkich porażek, by tym silniej w nas uderzyć. Przepelnieni nienawiścią i pogardą, niecierpliwi wojownicy rzucają się na nas. Jesteśmy zmuszeni wycofać się pod naciskiem wroga. Kpina bierze górę. Nasze promienie miłości tracą na jasności. Każda wędrująca dusza, którą udaje nam się wessać, zwiększa równocześnie naszą niepewność. W moim umyśle pojawia się w końcu straszliwa myśl: „Co ja tutaj właściwie robię?”.

Staram się skoncentrować na Jacques'u i Venus, moich dwóch pozostałych klientach, ale czuję, że ich los przestaje mnie obchodzić. Są do niczego, ich modlitwy są beznadziejne, a ambicje godne pożałowania. Jak to podkreślał Edmund: „Próbują zmniejszyć swoje

nieszczęście, zamiast starać się zbudować szczęście".

Z coraz mniejszym przekonaniem rozdaję na lewo i prawo moje miłosne promienie. Coraz zręczniejsz udaje mi się unikać ataków kpiny i myślę o Venus jak o nieznośnej ważniaczce, i o Jacques'u, klinicznym przypadku osoby z autyzmem. Dlaczego miałbym zadawać sobie jakikolwiek trud, żeby pomóc tym istotom?

Armia cieni przygotowuje się do finalnego natarcia w dwudziestu na jednego. Nie mamy najmniejszej szansy, żeby wyjść z tego cało.

- Poddajemy się? - pyta Marilyn.

- Nie - odpowiada Freddy. - Musimy wysłać ich maksymalną liczbę do Raju. Czujesz przecież, jak bardzo cierpią!

- Szybko, Freddy, opowiedz jakiś dowcip! - rozkazuje Raoul.

- Hmm... To historia o dwóch omletach, które smażą się na patelni. Jeden mówi do drugiego: „Ejże! Nie uważa pan, że trochę tu gorąco?”. Drugi zaczyna natychmiast wrzeszczeć: „Ratunku! Obok mnie leży OMLET, KTÓRY GADA!”.

Zmuszamy się do śmiechu. To jednak wystarcza, by utwardzić nasze tarcze. Freddy ciągnie dalej:

- Przychodzi facet do lekarza i mówi: „Panie doktorze, mam dziury w pamięci”. „Od kiedy?”, pyta lekarz. „Co, od kiedy?”, dziwi się pacjent.

Na szczęście rabin ma w zapasie sporo takich właśnie podróжных żarcików. Szczerze mówiąc, nie jest nam specjalnie do śmiechu, lecz te dowcipy wydają się tutaj tak niestosowne, że przywracają nam trochę wiary w siebie.

Po stronie wroga się nie żartuje. Igor miota się niczym prawdziwy jeździec Apokalipsy, u jego boku znajduje się czarownica i oprawca. Rzuca w stronę Marilyn raniącą aluzję dotyczącą jej romansu z Kennedym. Udało się. Blask Marilyn słabnie i wreszcie gaśnie. Jako upadły anioł dołącza do szeregów przeciwnika i zaczyna nas bombardować zielonymi promieniami. Zna nasze słabe strony i wie, gdzie uderzyć, żeby naprawdę nas zabolalo.

Obrazy obozów koncentracyjnych spadają niczym grom na Freddy'ego. Próbuje odparować ciosy swoimi żartami, ale jego energia powoli się kończy. Jego miecz miłości kurczy się, a tarcza humoru mięknie. On także pada i dołącza do Marilyn.

Teraz wiem już, co czuli ostatni walczący z fortu Alamo otoczeni przez Meksykanów, ci z Masady otoczeni przez Rzymian, ci z Bizancjum otoczeni przez Turków i obrońcy Troi otoczeni przez Greków, Wercyngetoryks otoczony przez wojska Juliusza Cezara pod Alezją. Nie nadejdą już posiłki, nie ma ratunku.

- Musimy wytrzymać, musimy wytrzymać - powtarza Raoul ochryłym głosem, widząc, że światelko jego tarczy zaczyna drżeć.

- Masz może jeszcze jakiś dowcip na podorędziu?

183. JACQUES. 26 LAT

Spadające puszki z groszkiem całkowicie mnie oszołomiły. Staniam się na nogach. Ta cudaczna sytuacja wydarzyła się naprawdę w najgorszym momencie. Próbuję pozbierać myśli, ale czuję, że na głowie rośnie mi spory guz. Moje czoło krwawi. Sklepiarz ciągnie mnie na zaplecze i wzywa pogotowie.

- Proszę pomóc temu biednemu chłopcu! - żąda starsza pani.

- To moja wina - przyznaje Nathalie Kim.

Chciałbym ją zapewnić, że nie, ale mój głos zamiera, nie potrafię wydusić z siebie ani słowa.

184. KAWALERIA

To już koniec. Miecz miłości, który dzierżę w prawej dłoni, przypomina nóż kuchenny rozpadający się ze starości. Tarczę humoru można by natomiast pomylić z ażurową serwetką.

Jest mi niezwykle przykro, że Marilyn i Freddy dołączyli do grona upadłych aniołów. Tak jak na samym początku wielkiej epopei tanatonautów, jesteśmy tylko my dwaj, ja i Raoul. Stajemy ramię w ramię przeciw hordzie wędrujących dusz. Igor uśmiecha się.

- TY I JA KONTRA IMBECYLE! - wrzeszczy Raoul.

Nasz dawny okrzyk dodaje mi animuszu. Ale na jak długo?

Osuwam się na kolana pod wpływem docinka Marilyn. Igor podnosi wysoko swój miecz, żeby zadać mi ostateczny cios, który sprawi, że i ja zasile szereg wroga. Nagle dostrzegam w oddali delikatne światelko, które cały czas rośnie. To Edmund Wells przybywa nam na pomoc, w towarzystwie dziesięciu aniołów w świetnej formie, i to nie byle jakich: Jorge Luis Borges, John Lennon, Stefan Zweig, Alfred Hitchcock, Matka Teresa (która już

sama nie wie, jak być ze wszystkim na bieżąco), Lewis Carroll, Buster Keaton, Rabelais, Kafka i Ernst Lubitsch.

Wystrzeliwują kule miłości. Zalewają wroga deszczem pocisków humoru. Wędrujące dusze wycofują się w nieładzie. Ich kpiny już mnie nie dosięgają. Moje ręce znów stają się ciepłe i miłość ponownie wystrzeliwuje z wnętrza mojej dłoni. Edmund Wells cytuje maksymę z *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*. „Kochaj swoich nieprzyjaciół, chociażby po to, żeby ich wkurzyć”. Próbuję rozbudzić w sobie współczucie, nawet dla Igora.

Ten zatrzymuje się zaskoczony.

To działa. Wędrujące dusze wycofują się. Marilyn Monroe i Freddy Meyer znów do nas powracają.

Edmund Wells okazuje się zaciekłym wsysaczem wędrujących dusz. Jaka klasa! Strzał, wessanie, strzał, wessanie. Nigdy bym nie podejrzewał, że mój mentor tak dobrze sprawdza się w bijatyce. Koniec tego Armagedonu jest już bliski. Wkrótce mamy przed sobą jeszcze tylko kilka najzacieklejszych duchów. Igor wciąż nimi dowodzi.

- Nie dorwiesz mnie! - woła do mnie mój dawny klient. - Zgromadziłem wystarczająco dużo złości do ludzi, żeby oprzeć się twojej miłości, Michaelu.

- To się jeszcze okaże.

Przypominam mu jego poprzednie wcielenie, gdy był Feliksem Kerbozem, moim przyjacielem, pierwszym tanatonautą, już wówczas cierpiącym z powodu złego traktowania przez matkę. Taka ilość nieszczęścia sprawia, że jego wściekłość odżywa. Zmienia kolor.

- Nagromadził zbyt dużo nienawiści, miłość już go nie zbawi - wzdycha Raoul.

Nie poddam się tak łatwo.

Nagle pośród najbardziej zażartych wrogów dostrzegam matkę Feliksa-Igora. Umarła na marskość wątroby. Wściekłość, jaką odczuwa w stosunku do ojca Igora, sprawia, że wciąż tuła się pomiędzy dwoma światami jako wędrująca dusza. To idealna okazja. Pokazuję mu ją. Wściekły rzuca się w jej stronę, by stoczyć bezlitosną walkę. Ich wzajemna nienawiść jest niezwykle silna, żadnemu z nich nie udaje się jednak pokonać drugiego. Wykorzystujemy okazję, żeby wysłać do Raju ostatnie wędrujące dusze. Na polu bitwy pozostają teraz tylko Igor i jego matka, rozwścieczeni, lecz opadający z sił.

- Od trzynastu wcieleń tych dwoje ciągle walczy ze sobą - informuje mnie Edmund Wells.

Ponieważ żadnemu z nich nie udaje się wziąć góry nad przeciwnikiem, gdy znajdują się już u kresu sił, zaczynają ze sobą rozmawiać. Najpierw robią sobie nawzajem wyrzuty. Trzynaście istnień niewdzięczności i zdrad, trzynaście istnień podłych zagrań i pragnienia

dreńczenia drugiego. Lista złych uczynków po obu stronach jest długa. Wreszcie patrzą na siebie i zaczynają rozmawiać jak równy z równym, a nie jak dorosły z dzieckiem.

Po wściekłości przychodzi zmęczenie, następnie wyjaśnienia, aż wreszcie - przeprosiny.

- Mamo!

- Igorze!

Obejmują się. Jak widać, nigdy nie powinno się tracić nadziei.

- Teraz pora na ciebie, Michaelu - oznajmia mój instruktor. - Chodzi tu o jedną z twoich dusz.

Wsysam syna i matkę przez przeźroczystry kręgosłup, by następnie wypuścić ich przez czubek mojej czaszki. Razem wstępują do Raju.

- Oto zbliża się pora sądu dla pierwszego z twoich klientów - oznajmia mi Edmund Wells.

- Czy powinienem dołączyć do Igora?

- Nie, masz jeszcze czas. Najpierw musi pokonać Siedem Niebios i odczekać swoje w Czyśćcu. Przed tobą ważniejsze zadania. Pospiesz się, Michaelu, sporo się dzieje w życiu twoich klientów na Ziemi.

185. ENCYKLOPEDIA

SPRZYSIĘŻENIE OSŁÓW: W 1969 roku John Kennedy Toole napisał powieść *Sprzysiężenie osłów*. Tytuł nawiązuje do zdania Jonathana Swifta: „Kiedy na świecie zjawia się prawdziwy geniusz, można poznać go po tym, że wszystkie osły sprzysięgają się przeciwko niemu”.

Swift nie mógł tego lepiej ująć.

Po długotrwałych poszukiwaniach wydawcy, w wieku trzydziestu dwóch lat, rozżalony i zmęczony Toole postanawia odebrać sobie życie. Jego matka odkrywa ciało, u stóp którego leży manuskrypt. Czyta go i stwierdza, że jej syn niesłusznie nie został doceniony. Udaje się do wydawcy i postanawia rozpocząć oblężenie jego biura. Swoją tuszą blokuje wejście, zmuszając wydawcę do przekraczania jej za każdym razem, gdy chce wejść lub wyjść z pracy. Ten jest przekonany, że uciążliwa kobieta wkrótce się znudzi, lecz pani Toole się nie

poddaje. Wreszcie wydawca zgadza się przeczytać maszynopis, zastrzegając jednak, że jeśli uzna go za kiepski, nie wyda go.

Czyta. Stwierdza, że tekst jest doskonały. Wydaje go. Stowarzyszenie osłów zdobywa nagrodę Pulitzera.

To jednak jeszcze nie koniec historii. Rok później wydawca wydaje kolejną książkę podpisaną nazwiskiem Johna Kennedy'ego Toole'a: *Neonowa Biblia*, na podstawie której zostanie zresztą nakręcony film. Trzecia książka zostaje wydana już w następnym roku.

Zastanawiałem się, jakim sposobem autor, który popełnił samobójstwo z żalu, że nikt nie chciał wydać jego jedynej powieści, mógł pisać kolejne z za grobu. Okazało się, że wyrzuty sumienia pchnęły wydawcę do opróżnienia szuflady, w której składował niewykorzystane manuskrypty i zaczął wydawać je po kolei: nowele, a nawet wypracowania szkolne.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

186. CHWILA

Nadeszła pora, by wrócić do Raju.

Jacques, mój Jacques, spotkał właśnie Nathalie Kim - Nathalie Kim Raoula! Czyste zrządzenie losu! Przypadki nie zawsze muszą być zorganizowane przez istoty wyższe.

Trzymając nasze kule w dłoniach, razem z Raoulem obserwujemy dalszy przebieg wydarzeń. Sferyczne ekrany rozbłyskują światłem.

- Ach, ci ludzie! - mówi Raoul. - Największą przykrość sprawia mi to ich dążenie za wszelką cenę do stworzenia związku. Kobiety i mężczyźni nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie znajdą swoją parę, chociaż sami nie wiedzą, kim tak naprawdę są. Często popycha ich do tego strach przed samotnością. Młodzi, którzy pobierają się w wieku dwudziestu lat, są niczym budowniczy na pierwszym piętrze budynku, który postanawiają wznieść wspólnymi siłami, przekonani, że kiedy dotrą do dachu, relacje między nimi utrwala się na zawsze. Tymczasem szansa na sukces jest znikoma. Przy każdej kolejnej ewolucji świadomości któreś z nich dochodzi do wniosku, że potrzebny jest mu inny partner. Tak naprawdę, żeby stworzyć związek, potrzeba czterech składników: mężczyzny i jego części kobiecości oraz kobiety i jej części męskości. Pełne istoty nie szukają już u drugiej połowy

tego, czego im brakuje. Mogą żyć razem, nie marząc o kobiecie idealnej albo o idealnym mężczyźnie, ponieważ znaleźli ich już w sobie - wyłuszcza mi swoją teorię mój niebieski towarzysz.

- Masz się za Edmunda Wellsa? - żartuję. - Zaczyna się od wykładów, a kończy na pisaniu encyklopedii, uważaj lepiej.

Raoul napusza się i udaje, że nie usłyszał mojej uwagi.

- Co tam widzisz?

- Rozmawiają.

- Jak się miewa ten twój Jacques?

- Średnio. Ma bandaż wokół głowy.

187. JACQUES. 26 LAT

Wokół głowy mam okręcony bandaż, ale czuję się lepiej. Już z daleka słyszę Nathalie Kim.

- Ależ się uśmiełam, czytając w pańskiej książce o tym tłustym i głupkowanym kocie, który spędza całe dnie na oglądaniu telewizji! Skąd to panu przyszło do głowy?

Nie umiem oderwać od niej oczu. Moje serce chce prawie wyskoczyć z piersi. Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Trudno, zabandażowana głowa posłuży mi za alibi. Słucham jej. Widzę ją. Upijam się nią. Czas się zatrzymał. Mam wrażenie, że znam ją już od bardzo dawna.

- Od dawna liczyłam, że uda mi się pana spotkać na Targach Książki, ale nieczęsto się pan tam pojawia, prawda?

- Ja... ja...

- Skąd u pana to zainteresowanie rajem i zaświatami? - pyta, podczas gdy ja pracuję nad wdychaniem i wydechaniem powietrza.

Nathalie popija w zamyśleniu zieloną herbatę.

- Czytałam w jakimś wywiadzie, że czerpie pan inspirację ze swoich snów. Muszę tu przyznać, że moje sny są zadziwiająco podobne do pańskich. Po przeczytaniu pańskiej ostatniej książki uderzył mnie fakt, że opisał pan raj w identyczny sposób, jak ja go sobie już wcześniej wyobrażałam: jako spiralę światła, ze strefami w różnych kolorach, które należy przemierzyć.

- Ja... ja...

Dziewczyna potrząsa swoimi długimi czarnymi włosami na znak zrozumienia. Wreszcie udaje mi się coś wyksztusić. I rozmawiamy... bardzo długo. Opowiadamy o sobie. Nasze życiorysy są dość podobne. Nathalie zawiodła się na wszystkich mężczyznach, których poznała. W końcu postanowiła z nikim się nie wiązać.

Nathalie mówi, że ma wrażenie, iż zna mnie od zawsze. Ja także czuję, że spotkaliśmy się jak gdyby po długiej podróży. Spuszczamy wzrok, speszzeni tym wyznaniem. Czas zaczyna się dłużyć. Przeżywam całą scenę w zwolnionym tempie. Zdradzam jej, że dzisiaj, 18 września, przypadają moje urodziny. Nic nie sprawiłoby mi większej radości niż ten prezent, jakim jest nasza rozmowa. Proponuję jej mały spacer. Mona Lisa III poczeka jeszcze trochę na swój pasztet. Nie dam się tyranizować zwierzęciu.

Wędrujemy tak kilka dobrych godzin.

Nathalie opowiada mi o swojej pracy. Jest hipnoterapeutką.

- Siedemdziesiąt procent moich klientów to osoby, które chcą rzucić palenie - oznajmia.

- I to działa?

- Tylko w wypadku tych, którzy postanowili przestać palić jeszcze przed wizytą u mnie.

Uśmiecham się.

- Współpracuję też z dentystami. Są ludzie, którzy nie znoszą znieczulenia. Pomagam im poprzez hipnozę.

- Zastępuje pani anestezjologa?

- Właśnie. Dawniej programowałam pacjentów w taki sposób, że na czas wrywania zęba przestawała płynąć w ich żyłach krew, przez co jednak nie tworzyły się skrzepy i rana się nie zablizniała. Teraz proszę: „Tylko trzy kropelki, tylko trzy kropelki”. Nasz mózg panuje naprawdę nad wszystkim. Wypływają tylko trzy krople krwi i ani jedna więcej.

- Uzależnienie od nikotyny i wrywanie zębów... Czymś jeszcze się zajmujesz?

- Wprowadzając ludzi w stan hipnozy, pomagam im cofnąć się w przeszłość i usunąć „pluskwę”, błąd oprogramowania, który był przyczyną ich życiowej porażki. Jeśli to okazuje się niewystarczające, szukam „pluskwy” w ich wcześniejszych wcieleniach. To dość zabawne.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Wiem, że to może się wydawać nieco... dziwne. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale z samych obserwacji wynika, że moi pacjenci są w stanie zrelacjonować

bardzo precyzyjnie wydarzenia będące częścią życiorysów już zmarłych osób. Po takim doświadczeniu następuje znaczna poprawa ich stanu. Czy muszę sprawdzać wiarygodność tych opowieści? Sam fakt, że mi je opowiadają, stanowi wystarczającą terapię.

Uśmiecha się.

- Widziałam już wiele osób będących na granicy świata irracjonalnego: mistyków, szarlatanów, oświeconych... Uczęszczałam do klubów, stowarzyszeń, gildii i sekt. Na swój sposób jestem duchową turystką. Uważam, że powinno się wprowadzić nieco deontologii do całego tego bałaganu.

Nathalie opowiada mi o swoich wcześniejszych wcieleniach. Była tancerką na Bali i całą masą innych przedziwnych postaci, zwierząt, roślin i minerałów. Sądzi, że narodziła się jeszcze przed Wielkim Wybuchem, w innym wymiarze, w innym, bliźniaczym do naszego, wszechświecie.

Jest mi wszystko jedno, czy te zwierzenia są po prostu zwykłymi bajeczkami. Myślę sobie, że to będą piękne historie, które będziemy sobie opowiadać, siedząc przy kominku w długie zimowe wieczory. Ona może mnie nauczyć tylu rzeczy! Czy wystarczy nam życia, żeby wszystko sobie opowiedzieć, zakładając, że dziennie na rozmowy możemy poświęcić nie więcej niż pięć czy sześć godzin?

Zamykam oczy i zbliżam moje wargi do jej. Wóz albo przewóz. Albo dostanie mi się po łapach, albo...

Jej usta muskają moje. Ciemne źrenice rzucają iskry. Jedna z nich migocze na wysokości jej serca, dostrzegam ją w świetle mojej własnej iskiej.

Nathalie. Nathalie Kim.

O 22.56 biorę ją za rękę. Jej dłoń zaciska się na mojej. O 22.58 ryzykuję głębszy pocałunek. Przytulam ją do siebie, żeby poznać jej kształty. Nathalie przylega do mnie mocno.

- Od tak dawna na ciebie czekałam - szepcze mi do ucha.

Jeśli moja kariera literacka przyczyniła się do przeżycia przeze mnie tego jednego momentu, to stwierdzam, że było warto. Wszystkie rozczarowania, wszystkie porażki nikną w świetle tej chwili.

O 22.59, po raz pierwszy w moim życiu, myślę sobie, że „być może to jednak jest moja planeta”.

188. ENCYKLOPEDIA

HISTORIA PRZEŻYTA I HISTORIA OPOWIEDZIANA: Historia, której naucza się w szkole, to historia królów, bitew i miast. Ale to oczywiście nie tylko jedyna historia. Aż do 1900 roku ponad dwie trzecie populacji żyło na wsiach, w lasach, w górach, nad brzegiem morza. Bitwy dotyczyły bardzo niewielu.

Ale Historia przez duże „H” wymaga śladów na papierze, skrybowie zaś byli zazwyczaj skrybami dworskimi, a kronikarze wypełniali rozkazy swoich panów. Opisywali wyłącznie to, co król kazał im zapisać. Relacjonowali więc tylko poczynania królewskie: bitwy, śluby i komplikacje związane z dziedziczeniem tronu.

Historia wsi jest niemal całkowicie nieznana, gdyż chłopci nie dysponowali skrybami, a pisać sami nie umieli. Przekazywali swoje przeżycia ustnie, w formie opowieści albo nawet dowcipów.

Oficjalna historia przedstawia nam darwinistyczną wizję ewolucji ludzkości: selekcja najwytrwalszych, zniknięcie niedostosowanych. Możemy stąd wywnioskować, że Aborygeni australijscy, ludy z puszczy amazońskiej, Indianie amerykańscy i Papuasi z punktu widzenia historii nie mają racji bytu, ponieważ okazali się słabsi militarnie. Tymczasem, być może, owe ludy, zwane prymitywnymi, mogą podzielić się z nami - za pośrednictwem swoich mitologii, organizacji społecznych i medycyny - tym, czego nam brakuje do osiągnięcia w przyszłości dobrego samopoczucia.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

189. ANIOŁY

Ze wzrokiem wbitym w nasze kule obserwujemy pocałunek. Stojący za nami Edmund Wells przyznaje:

- O mały włos nastąpiłaby katastrofa, ale macie szczęście, że trafiliście na dobrych klientów.

190. VENUS. 35 LAT

Nie mogę zajść w ciążę.

Ponieważ bardzo zależy nam obojgu na dziecku, Raymond zaczyna skłaniać się ku zapłodnieniu *in vitro*. W moim ciele zaimplantowano siedem zapłodnionych jajeczek, żeby przynajmniej jedno dożyło końca ciąży.

Po jakimś czasie mój brzuch pęcznieje, a ciało staje się bezkształtne.

Bez Raymonda bardzo źle bym przeżyła to doświadczenie. Przypomina mi to moje fazy bulimiczne. Bycie w ciąży stanowi dla mnie najbardziej intensywne ze wszystkich dotychczasowych życiowych doświadczeń. Dzięki USG doskonale rozpoznaję pięć płodów żeńskich i dwa męskie. Podobno kiedy rodzi się córka, to znaczy, że kochało się swoją matkę. Kocham więc swoją matkę w pięciu siódmych. Chłopcy są spokojni. Dziewczynki dużo się ruszają. Jedna wykonuje nawet w płynie owodniowym skoki, być może to reinkarnacja Salomei.

Całe moje ciało przechodzi metamorfozę. Nie tylko brzuch pęcznieje - także piersi i twarz się zaokrąglają. Mój umysł również.

Wbrew przepowiedniom lekarzy wszystkie siedem płodów żyje. Zmieniłam się w olbrzymią beczkę, którą łatwiej jest przetoczyć, niż zmusić do chodzenia. Siedmioraczki to naprawdę najlepszy psikus, jaki mógł mi spaść na los. W jaki sposób lepiej rozwiązać moje problemy z bratem bliźniakiem, niż obserwując, jak to zrobią moje dzieci?

W końcu nadchodzi dzień porodu. Raymond dokonuje cesarskiego cięcia i wyjmuje siedem małych różowych, lepkich i skrzeczących kulek.

Teraz lepiej rozumiem moją mamę. Rodzicielstwo to zawód, w którym nie sposób odnieść sukces. Trzeba starać się wyrządzić jak najmniej złego.

W nocy Raymond wstaje, żeby karmić całą miot butelką.

Dobrze nam w dziewiątkę. Siedmioraczki rosną zdrowo, a ja siedzę w domu i opiekuję się nimi. Co wieczór Raymond wraca do domu z bukietem kwiatów, pudełkiem czekoladek, zabawkami dla maluchów albo kasetą wideo, którą oglądamy przed zaśnięciem.

Nie mam więcej życzeń. Chcę tylko, żeby dzień jutrzejszy przypominał dzisiejszy. Byle nic się nie zmieniało, żadnych niespodzianek. Marzę o tym, żeby życie było niczym płyta, która kręci się w kółko, żebym co rano mogła patrzeć na Raymonda Lewisa przygotowującego mi na śniadanie płatki, świeży sok, zimne mleko i banany.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak spełniona. Żeby całkowicie wyeliminować ryzyko

niespodzianek, zrezygnowałam z zawodu aktorki. Doskonale. Ludzie nie będą patrzeć, jak się starzeję i na zawsze zachowają w pamięci moją postać jako Miss Universe.

Kocham Raymonda Lewisa, a on kocha mnie. Rozumiemy się bez słów. Co niedzielę jedziemy na piknik w to samo miejsce. W każdy piątkowy wieczór rodzina mojego męża zaprasza nas na obfity obiad. Wszystko dobrze się układa.

Nie widuję się często z mamą - ma zbyt duże wahania nastroju.

Patrząc wstecz, zaczynam myśleć, że zawsze chciałam być rolnikiem. Jak Ava Gardner pod koniec swojego życia: uprawiać ogródek, hodować kapustę i pomidory. Plewić. Żyć wśród natury. Mieć psy.

Moja uroda nie pozwoliła mi na rozwinięcie zwykłych pasji. Przez długi czas była moim przekleństwem. Gdybym miała urodzić się ponownie, chciałabym wcielić się w brzydką osobę. Żeby mieć spokój. Jednocześnie boję się zestarzeć i stać się mniej piękną. Aktorki zawsze kończą jako mumie, a jakiś paparazzi zawsze zdoła zrobić zdjęcie, które zniszczy takiej całą karierę. Chcę, żeby moja uroda nie zwiędła.

Raymond zabiera mnie w podróż do Francji.

Jedziemy samochodem w stronę Nicei, znajdujemy się w pobliżu małego miasteczka - Fayenne. Dzieci zostawiliśmy pod opieką mamy Raymonda i wynajęliśmy kabriolet, żeby móc korzystać ze świeżego powietrza. Cykady śpiewają na poboczach drogi, a ja wdycham zapach lawendy.

Jest piękna pogoda. Oby to trwało jak najdłużej!

191. JACQUES. 35 LAT

Nathalie jest taka piękna!

Od dziewięciu lat mieszkamy razem i wszystko jest dokładnie tak, jak pierwszego dnia. Nathalie prowadzi naszego starego gruchota. Trzymamy się za ręce. Jest piękna pogoda. Ciągniemy naszą żywą dyskusję, którą rozpoczęliśmy w dniu, w którym się poznaliśmy, i której do dzisiaj nie przerwaliśmy.

- Twierdzisz, że nie jesteś wierzący, myślisz zatem, że kierujesz swoim życiem jedynie za pośrednictwem wolnej woli? - pyta prosto z mostu.

- Myślę, że wolna wola dotyczy wyboru kobiety, która będzie za mnie decydowała -

odpowiadam.

Nathalie wybucha śmiechem i nachyla się, żeby mnie pocałować.

192. UPS!

Uwaga, Jacques i Nathalie, to naprawdę nie jest dobry moment na czułości!

193. VENUS

Co się dzieje z tym samochodem jadącym zygzakiem z naprzeciwka? Zjechał z prawego pasa.

194. JACQUES

Zamykam oczy. Całujemy się.

195. UPS! UPS!

Ależ oni... Czym prędzej wysyłam Jacques'owi sygnał alarmowy. Raoul robi to samo względem Nathalie. Wysyłamy im obrazy, żeby wypuścili się z objęć, ci jednak nadal się całują, z coraz większą pasją.

Próbujemy teraz z przebłyskami niepokoju, wizjami katastrofalnych w skutkach karamboli samochodowych, lecz oni wciąż śnią na jawie i niczego nie przyjmują do wiadomości.

Nie zapięli nawet pasów! Szybko: kot! Wysyłam mu rozkazujący sygnał. Mona Lisa

III daje susa z tylnego siedzenia i wbija pazury w szyję Nathalie.

Dywersona odniosła skutek. Nathalie dostrzega nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Wcisła z całych sił hamulec i odbija kierownicą, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Nathalie, jadąca lewą stroną drogi, ociera się o skalną ścianę. Venus i Raymond, jadący po prawej, zostają odrzuceni w stronę morza, a ich samochód wypada z szosy prowadzącej nad urwiskiem i spada w otchłań.

196. ENCYKLOPEDIA

MUTACJA: Niedawne odkrycie pewnego gatunku dorsza mutującego w zawrotnym tempie wielce zadziwiło badaczy. Ten żyjący w zimnych wodach gatunek okazuje się stworzeniem o wiele bardziej zaawansowanym ewolucyjnie niż inne odmiany spotykane w wodach ciepłych. Zjawisko to próbuje się tłumaczyć faktem, że dorsze żyjące w zimnej wodzie cierpią z powodu stresu związanego z tą właśnie temperaturą, dzięki czemu rozwinęły owe nieoczekiwane zdolności. Podobnie, trzy miliony lat temu, ludzie również rozwinęli złożone możliwości ewolucyjne, które nie są jednak przez nich wykorzystywane, bo po prostu nie ma takiej potrzeby. Trafiają do rezerwy. Tak więc dzisiejszy człowiek posiada w sobie olbrzymie zasoby ukryte w głębi genów, niezbadane, gdyż nie ma po co ich w sobie rozbudzać.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

197. VENUS. 35 LAT

Usłyszałam, jak doktor mówił, że nic już nie da się dla mnie zrobić. Kawałki blachy powbijały się w niezbędne do życia organy wewnętrzne. Wkrótce umrę.

Kawałki zderzaka trafiły mnie prosto w twarz. Urodziłam się piękna, lecz umrę oszpecona. Swego czasu wyraziłam życzenie, żeby moja rywalka doświadczyła tego, co ja teraz. Cóż za ironia losu! Być może całe zło, którego życzymy innym, jest gdzieś katalogowane i wraca do nas później niczym bumerang.

Dziwne, że w chwili gdy konam, rozmyślam o cierpieniu Cynthii Cornwell, którego stałam się przyczyną, choć już dawno zapomniałam o tej rywalce.

To już koniec. Wyobrażałam sobie, że można żyć z dala od niebezpieczeństw, lecz idealne schronienie nie istnieje. Nawet jadąc ostrożnie, w bezpiecznym samochodzie, w demokratycznym kraju, siedząc u boku opiekuńczego męża, zapiąwszy pas bezpieczeństwa, przy całym postępie, jaki dokonał się w medycynie, technologii i ludzkości, nigdzie nie możemy czuć się w pełni bezpiecznie.

Czy powinniśmy byli z Raymondem wyjeżdżać na wakacje? Może powinniśmy byli siedzieć spokojnie w domu? Raymond.

Jedna rzecz mi się w życiu udała: związek. Wiem, że umrę. Czuję, jak rodzi się we mnie wiara. Czy trzeba zbliżyć się do śmierci, żeby uwierzyć w Boga? Chyba tak. W anioły wierzyłam, kiedy trapiły mnie drobne kłopoty, w Boga wierzę, kiedy pojawiają się poważne.

198. JACQUES. 88 LAT

Mam dzisiaj osiemdziesiąt osiem lat i wiem, że wkrótce umrę. Po co wytrzymałem tak długo? Chciałem doprowadzić do końca moją „misję”.

Trzydzieści siedem książek. Chciałem wydawać jedną rocznie, co mi się niemal udało.

Napisałem ostatnią, tę, która wyjaśnia i łączy wszystkie pozostałe. Moi czytelnicy rozumieją, dlaczego w moich powieściach zawsze pojawiały się postacie noszące te same nazwiska. Tak naprawdę wszystkie te książki stanowią jedną całość, nie ma między nimi żadnej przerwy. Wreszcie wyjaśniam, co łączy moje książki o szczurach z tymi o raj, o mózgu i inne.

Na komputerze, o który poprosiłem tutaj w szpitalu, napisałem ostatni wers: „Koniec”.

Idealnym obrotem spraw byłoby, gdybym wyzionął ducha, wystukując to właśnie słowo, niczym Moliere konający na scenie. Ale ja czekam. Śmierć nie jest łatwa. W ramach rozrywki jeszcze raz podsumowuję swoje życie. Wciąż dręczą mnie różne obawy, ale za sprawą Nathalie się zmieniłem. Udało mi się rozbić skorupkę samotności, gdyż dzięki Nathalie zebrałem wszystkie niezbędne składniki magicznej formuły: $1+1=3$.

We dwoje jesteśmy samowystarczalni. Uzupełniamy się. Zrezygnowaliśmy ze zmieniania się nawzajem i zaakceptowaliśmy nasze wady.

Ona nauczyła mnie jeszcze lepiej wyzwalać się od myśli. Udaje mi się teraz wytrzymać ponad dwadzieścia sekund, nie myśląc o niczym, przez co łatwiej mi wypocząć. Wiem już, na czym polega prawdziwy związek. Sprowadza się to do jednego tylko słowa: „Porozumienie”. „Miłość” zdegradowała się już zbyt, żeby zachować jeszcze jakiś sens.

Porozumienie. Partnerstwo. Zaufanie.

Nathalie zawsze pierwsza czytała moje powieści i była ich najlepszym krytykiem. Ponieważ pasjonuje ją hipnoza i praktykuje regresję, twierdzi, że znaliśmy się również w poprzednich wcieleniach, jako zwierzęta i jako ludzie. Być może nawet jako rośliny. Ja byłem pyłkiem, a ona słupkiem. Kochaliśmy się w Rosji i w starożytnym Egipcie. Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale miło się o tym myśli.

Oprócz tych wszystkich „sztuczek” Nathalie denerwuje mnie tylko pod jednym względem. Zawsze ma rację - ciężko sobie wyobrazić coś bardziej wkurzającego!

Mamy troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca. Pozwalałem im na wszystko. Poza tym nigdy nie zrezygnowałem z moich badań nad przyszłością. Z początku posługiwałem się nauką. Teraz jednak jestem przekonany, że naukowcy nie ocalą świata. Nie znajdują właściwych rozwiązań, wskazują jedynie szkody spowodowane złymi rozwiązaniami.

Jest już za późno, żeby bawić się w rewolucjonistów. Trzeba było się nauczyć złościć, kiedy byłem młody. Wściekłość to dar, który otrzymujemy w dniu narodzin. Pozostawiam za zadanie innym, a w szczególności mojej najstarszej córce, wyjątkowo zacieklej i zbuntowanej, kontynuowanie tych poszukiwań.

Zawodowo czuję się spełniony. Byłem samodzielnym szcurem, a przecież zawsze o tym marzyłem. Musiałem jednak słono zapłacić za to, żeby nie mieć ani podwładnych, ani zwierzchników. Ale to chyba normalne. Swoim dzieciom mówiłem: „Najpiękniejszym prezentem, jaki mogę wam ofiarować, jest bycie szczęśliwym ojcem”.

Jestem szczęśliwy, bo spotkałem Nathalie.

Jestem szczęśliwy, bo moje życie było ciągiem odrodzeń, pełnym niespodzianek i podawania w wątpliwość, co zmusiło mnie do rozwoju.

W tym szpitalu marnieję. Wiem, że dzięki najnowszym zdobyczom medycyny mógłbym żyć jeszcze długo, ale nie mam ochoty walczyć, nawet przeciwko mikrobom. Tym udało się w końcu zwyciężyć w wojnie przeciwko moim limfocytom. Ale nie rozsiądą się na długo w moich jelitach.

Moje stare serce powoli daje za wygraną. Nadeszła pora, bym opuścił stanowisko na tej Ziemi. Zwróciłem więc wszystko, co kiedyś mi ofiarowano. Wszystkie dobra doczesne oddałem organizacjom charytatywnym. Poprosiłem, żeby pochowano mnie w moim ogrodzie.

Ale nie byle jak, tylko w pozycji pionowej. Z nogami skierowanymi w stronę wnętrza Ziemi, głową zaś w stronę gwiazd. Żadnej trumny, żadnego ochronnego worka, żeby robaki mogły mnie sobie doszczętnie zjeść. Zażyczyłem sobie również, by nad moją głową posadzono drzewko owocowe.

Chcę jak najszybciej powrócić do cyklu natury.

Powoli szykuję się do wielkiego skoku. Choruję poważnie już od dziewięciu miesięcy, tyle samo, ile przygotowywałem się do narodzin. Warstwa po warstwie, zrzucam jedno zabezpieczenie po drugim, jak ubrania.

Po przybyciu do szpitala zmieniłem ubranie na pizamę. Jak dziecko. Zmieniłem pozycję z pionowej na poziomą. Jak dziecko.

Oddałem zęby, a raczej moją sztuczną szczękę, gdyż zęby straciłem już dość dawno. Moje szczęki są gołe, jak u dziecka.

Pod koniec oddałem też pamięć, towarzyszkę ostatnimi czasy coraz bardziej ulotną. Pamiętam tylko najdawniejsze lata. To pomaga mi odejść bez żalu. Bałem się, że dotknie mnie choroba Alzheimera i nie będę w stanie rozpoznać najbliższych ani wiedzieć, kim jestem. Bałem się tego. Dzięki Bogu, ta przykrość mnie ominęła.

Oddałem włosy. Zresztą i tak były już białe. Jestem łysy. Jak dziecko.

Oddałem głos, wzrok i słuch. Stałem się praktycznie rzecz biorąc niemy, ślepy i głuchy. Jak noworodek.

Staję się noworodkiem. Jak noworodka owija się mnie w pieluszkę, karmi papkami, a moja mowa przypomina dziecięce gaworzenie. Uwiad starczy polega po prostu na cofaniu filmu. Wszystko, co nam kiedykolwiek zostało dane, musimy zwrócić, tak jak się zwraca kostium do szatni po skończonym występie.

Nathalie jest moją ostatnią warstwą ochronną, moim ostatnim „okryciem”. Muszę więc odsunąć ją od siebie, żeby moje odejście zbytnio jej nie bolało. Ale ona nie chce mnie słuchać, pozostaje głucha na moje lamente. Kiwa tylko głową z uśmiechem, jak gdyby mówiła: „Rób sobie, co chcesz, ja i tak cię kocham”.

Lekarz, który się mną opiekuje, pojawił się któregoś dnia w towarzystwie księdza. Młody człowiek o bladej cerze, który bardzo się poci. Prosto z mostu proponuje mi przyjęcie ostatniego namaszczenia. Podobno tak samo postąpiono z Jeanem de La Fontaine. Na łożu śmierci musiał się wyprzeć swoich dzieł erotycznych, żeby móc zostać godnie pochowanym na cmentarzu zamiast we wspólnej mogile. Jean de La Fontaine poddał się. Ale nie ja.

Przedstawiam mój punkt widzenia. Wszyscy ci, którzy mają wiarę, denerwują mnie. Cóż trzeba mieć za tupet, żeby sądzić, że się wie, jak wygląda wyższy wymiar!

Jestem przekonany, że religie wyszły już z mody. Czym więc powinniśmy się zainteresować? Wznoszę wzrok do sufitu i dostrzegam pająka tkającego pajęczynę. Jaka sprawa zasługuje na nasze zainteresowanie? Pojawia się odpowiedź, niczym grom z jasnego nieba: Życie.

Życie takie, jakim je widzimy. Jest na tyle magiczne, że nie trzeba wymyślać niczego poza nim.

- Nie woli pan, żebyśmy raczej porozmawiali o pańskim lęku przed śmiercią? - pyta ksiądz.

- Boimy się umierać tak długo, jak długo czujemy, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia na to pora. Ja wiem, że mój czas już nadszedł. Więc się nie boję.

- Wierzy pan w raj?

- Przykro mi, ojcze. Wierzę, że po śmierci niczego nie ma.

- Co? - woła ten z oburzeniem. - Pisał pan o raju, ale nie wierzy pan w niego?

- To była tylko powieść, zwykła powieść.

Jeszcze tego samego wieczora umieram. Nathalie jest przy mnie. Zasnęła, trzymając moją dłoń. Moje ciało powróciło do pozycji embrionalnej. Moją ostatnią myślą było: „Wszystko dobrze”.

199. ENCYKLOPEDIA

KARMA LASAGNE: Przyszedł mi do głowy dziwaczny pomysł. Czas być może nie jest linearny, lecz „lasagnowaty”. Zamiast po sobie następować, warstwy czasowe nakładają się na siebie. Oznaczałoby to, że nie przeżywamy jednego wcielenia po drugim, ale równocześnie.

Być może przeżywamy naraz tysiąc istnień w tysiącu różnych epok przyszłych i przeszłych. To, co bierzemy za regresję, jest tylko uświadomieniem sobie równoległych wcieleń.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

200. SĄD OSTATECZNY MOICH KLIENTÓW

Igor i Venus na dłużej zabawili w Czyścicu, rozmyślając nad minionym życiem. Niektórym duszom śpieszno jest stawić się przed trybunałem archaniołów, inne wolą najpierw wylizać swoje rany. Igor i Venus należą właśnie do tej drugiej grupy.

To było wyjaśnienie techniczne. Krótko mówiąc, obydwójce potrzebowali porozmawiać z bliskimi zmarłymi. Igor chciał podyskutować z matką, zaś Venus ze swoim bratem. Być może podświadomie czekali na Jacques'a, by zostać wspólnie osądzonymi.

Po śmierci Jacques'a, Venus i Igor przyjęli go, jak gdyby był członkiem rodziny, wreszcie zjednoczonej. Wzruszający jest widok klientów, którzy tak siebie wyglądają.

Dziwnie jest jednak zobaczyć młodziutkiego Igora, nieco bardziej dojrzałą Venus i starszka Jacques'a, którzy witają się niczym starzy przyjaciele.

Wszystko zrozumieli. Przed rozpoczęciem procesu wiem, że sami już się osądzili. Zastanawiam się zresztą, czy archaniołowie są tu jeszcze potrzebni. Tak naprawdę każdy powinien sam wydawać na siebie wyrok.

Jako adwokat staję na miejscu, które zajmował swego czasu Emil Zola. Moi trzej klienci będą wzywani jeden po drugim do barierki, w porządku chronologicznym ich śmierci.

Pierwszy Igor. Rozprawa przebiega bardzo sprawnie. W poprzednich wcieleniach zdobył 470 punktów. Wyzwolił się z pewnością z obsesji dotyczącej swojej rodzicielki, jednak nie zyskał przez to wiele. Zabił wielu ludzi, gwałcił kobiety, wreszcie popełnił samobójstwo. Niełatwa sprawa. Grozi mu stagnacja. Na początku miał 470 punktów i wciąż ma tyle samo.

W jego przypadku zawiodłem. Na dodatek archaniołowie zdradzają, że gdyby zdecydował się rozwinąć swój talent, byłby wspaniałym tenorem.

- Wyrok: reinkarnacja.

W wypadku Venus mam więcej argumentów. Stworzyła szczęśliwy związek. Wychowała siedmioro dzieci.

Miała 320 punktów. Teraz ma... 321. Niełatwo. Tylko jeden punkt? Nie osiągnęła nawet średniej ludzkości, 333.

Archaniołowie zauważają, że miała wrodzony talent do rysunku. Już we wcześniejszych wcieleniach chciała zostać malarką i od dawna przygotowywała się do tej misji. Tymczasem jedyne, co miało związek z malowaniem w tym życiu, to robienie sobie makijażu!

Wstaję. Podnoszę, że moja klientka stworzyła poprzez swoje role w filmach postać dynamicznej kobiety. Archaniołowie odpowiadają, że źle życzyła swojej rywalce, sprawiała cierpienie mężczyznom, grając na ich uczuciach i konsultowała się z medium, przez które przemawiały wędrujące dusze.

- Ale to właśnie dzięki tej wizycie znalazła szczęście z Raymondem!

Archanioł Rafał przygląda mi się, średnio przekonany.

- No i co z tego? Tym gorzej. Widział pan ich? Jaki cel ma szczęście w letargu? Pański klient kompletnie nie ewoluował, trwał w tym samym punkcie. Stagnacja jest jeszcze gorsza od regresji. 321/600! Wyrok: reinkarnacja.

Podchodzę do Venus. Z bliska jest jeszcze piękniejsza niż w mojej kuli obserwacyjnej. Nachylam się, żeby pocałować ją w rękę.

- Obserwowałem z góry pani życie i widziałem wszystkie filmy. Były naprawdę... wspaniałe... - stwierdzam z uznaniem.

- Dziękuję. Gdybym tylko wiedziała... że anioły mogą oglądać filmy...

Jest mi przykro, gdy widzę jej porażkę.

- Następnym razem pójdzie pani lepiej, jestem tego pewien - szepczę jej do ucha.

To rodzaj zdania, które tysiące aniołów adwokatów zapewne wypowiadały milionom dusz, ale na daną chwilę nie potrafię wymyślić niczego lepszego.

- Jacques Nemrod.

Jego przypadek zostaje przyjęty bez większego zainteresowania. Żył w stanie ciągłego przygnębienia. Był niezdarny, strachliwy, niezdecydowany i miał duszę samotnika. Pomylił się wszędzie tam, gdzie można się było pomylić i bez pomocy Nathalie Kim najprawdopodobniej skończyłby jako ludzki wrak.

Przytaczam argumenty na jego obronę.

- Potrafił wykorzystywać swoje sny, znaki i kota do odczytywania moich sygnałów.

Archaniołowie krzywią się.

- I co z tego?

- Wykorzystał jedyny talent, jaki został mu dany: pisanstwo.

- Jego książki są mierne - rzekł Archanioł Gabriel. - Te jego bzdury na temat Raju, proszę mi wierzyć, mój drogi Michaelu, denerwowały nas nie mniej niż pańskie wypociny.

- Nawet jeśli nie napisał niczego godnego podziwu, to jednak wykonał swoją misję.

Trzej archaniołowie proszą o przerwę, żeby spokojnie przedyskutować wyrok między sobą. Wymiana zdań wydaje się ożywiona. Przerwa przedłuża się. Wykorzystuję ten czas, żeby porozmawiać z Jacques'em.

- Michael Pinson, pański anioł stróż, do usług.

- Miło mi. Jacques Nemrod. Przepraszam, że opisałem ten cały folklor w swoich książkach. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że to wymysł mojej wyobraźni... Ale oni są...

- Archaniołami, tak. Tak ich pan widział?

- Niezupełnie. Nigdy bym nie przypuszczał że Raj może być aż tak bardzo kiczowaty. W mojej powieści opisałem go jako miejsce o wiele bardziej awangardowe, w stylu *2001: Odyseja kosmiczna*.

- Naturalnie. Proszę jednak zauważyć, że nikt się nie skarży. Nie uwierzy mi pan zresztą, jeśli panu powiem, że...

Zawieszam głos. Archaniołowie powracają na swoje miejsca.

- Jacques miał 350 punktów. Teraz otrzymuje 541.

- 541? A dlaczego nie 542 albo 550?

- Taki jest wyrok archaniołów.

Czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość. Ja, który nigdy nie potrafiłem się zezłościć, gdy byłem jeszcze człowiekiem z krwi i kości, czuję, że nadeszła na to pora. Teraz albo nigdy. Poza tym o ileż łatwiej wściekać się z powodu kogoś innego, a nie siebie. Biorę rozbieg i wyskakuję w górę, prosząc jednocześnie Emila Zolę, żeby nie przestawał mnie oświecać...

- A moim zdaniem wyrok ten jest krzywdzący, skandaliczny, antyspołeczny. To maskarada w najświętszym z miejsc, a nie sprawiedliwość...

Próbuję przypomnieć sobie wszystkie sztuczki Emila Zoli. Jeśli jemu się udało, i mnie musi się udać. Być może to jest właśnie najwspanialsze w archaniołach, że w gruncie rzeczy są niezwykle „ludscy”. Wiem, że czują się zaskoczeni. Widząc, że moje słowa odnoszą pożądaną efekt, podchodzę bliżej. Oni zaś widzą doskonale, o co mi chodzi, nie wiedzą jednak, jak odeprzeć mój atak.

Przypomina mi się pewne zdanie wypowiedziane przez Murraya Benetta, adwokata, w swoim czasie towarzysza życiowego Venus: „Ciekawiej broni się winnych klientów, niż niewinnych”.

Wóz albo przewóz. Jeśli przegram ten proces, będę musiał wychować Bóg wie ilu kolejnych klientów, żeby wreszcie zostać dopuszczonym do przekroczenia Szmaragdowych Wrót.

Jeśli Jacques zdołał przeskoczyć o 200 punktów w górę, to znaczy, że jest do odratowania! Poza tym nieźle wkurzyłbym Raoula, wygrywając zakład. Swego czasu twierdziłem bowiem, że ocalę klienta, którego kuśłem marchewką, a nie okładałem kijem.

Nie mogę się teraz poddać. Muszę pójść na całego.

- Mój klient był istotnie wielokrotnie niezdarny, ale miał swoją własną technikę. Mylił się, żeby wynaleźć odpowiednią formułę. Trochę tak jak w grze Mastermind, w której tylko jeśli nie ułożymy ani jednego pionka poprawnie, możemy znaleźć się na dobrej drodze do rozwiązania zagadki.

- Ależ on nie wynalazł niczego! Szukał, owszem, ale etymologią tego słowa jest łacińskie *circare*, chodzić w kółko⁴.

- Znalazł oryginalną, własną drogę, która - jak zauważył jeden z jego rywali, słynny Auguste Mérimac, miała przynieść mu sławę w przyszłości. Nawet jeśli miałyby to być... hm... w dalekiej przyszłości.

Niezbyt udany występ. Przechodzę płynnie do serii „oskarzam”, która wyraźnie działa na nerwy trzem sędziom. Podsumowaniem moich wysiłków jest wreszcie:

- Oskarżam ten Sąd o zaniedbanie swoich obowiązków, oskarżam archaniołów Gabriela, Rafała i Michała o...

- Dość tego! - rzuca jeden z archaniołów. - Jeśli rzeczywiście chce pan ocalić swojego klienta, proszę podać nam suche fakty.

Nagle zostaję oświecony: kule przeznaczenia! Proponuję, byśmy obiektywnie przyjrzeni się wpływowi Jacques'a na pozostałe kule. Wynik to 0,0000016%

- To za mało - stwierdza archanioł Gabriel.

Nadeszła pora na ostatni cios z mojej strony.

- Owszem, ale jedna kropla może przepełnić czarę, a każda wznosząca się dusza może unieść całą ludzkość!

I znów trzech sędziowie się wahają.

Wreszcie, zmęczeni, przyznają mojemu klientowi 600 punktów. Jacques Nemrod zostaje więc uwolniony od cielesnego więzienia. Ja zaś zdołałem wyzwolić jedną duszę z cyklu inkarnacji!

- No cóż - mówi mój pisarzyna, biorąc mnie pod ramię - co teraz?

Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, żeby mi podziękować. Cóż za egoiści z tych klientów!

Wiem, co jest po śmierci. To bardzo proste, z jednej strony raj dla tych, którzy dobrze się zachowywali, z drugiej

⁴ Francuskie słowo *chercher* pochodzi od *circare* - szukać (przyp. tłum.)

*- Piekło, dla tych złych. Raj jest biały. Piekło jest czarne.
W Piekłe ludzie cierpią. W niebie natomiast są szczęśliwi.*

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

201. POŻEGNANIE PRZYJACIÓŁ

Podążam w stronę Szmaragdowych Wrót, równie zwawo jak swego czasu Emil Zola. Wreszcie się dowiem, co znajduje się powyżej.

Po drodze zatrzymuje mnie Edmund Wells i poklepuje energicznie po plecach.

- Jestem z ciebie dumny. Zawsze uważałem, że ci się uda.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Podziękować możesz jedynie sobie samemu. Nie wiesz o tym, ale tak naprawdę to ty mnie wybrałeś na instruktora, tak samo jak dzieci wybierają sobie rodziców.

- A co ty, Edmundzie, będziesz teraz robił?

Mój mentor zwierza mi się, że anioły zajęte są obecnie tworzeniem nowego środka działania: tak zwanego „wspomagania poprzez minerał”.

- Wszystko wzięło się od minerału, a zatem w minerale powinno znaleźć swoją kontynuację. Jedność człowieka i minerału, zmaterializowana przez informatykę, stanowi całkiem nową dziedzinę wiedzy - wyjaśnia.

- Minerał? Mówisz o krzemie zawartym w chipach komputerowych?

- Oczywiście. I o kryształach. Kryształki kwarcu, służące do nadawania rytmu strumieniowi elektronów, są tym dla kamienia, czym mędrzec dla człowieka pierwotnego. Unia skały kryształu i człowieka świadomego daje w efekcie rozumny komputer. To jest droga do ewolucji!

- Ale komputery są przedmiotami martwymi! Wystarczy odłączyć je od zasilania, żeby przerwać wszystkie procesy.

- Mylisz się, Michaelu. Dzięki internetowi istnieją teraz programy, które niczym wirus rozprzestrzeniają się w sieci. Mogą zagnieździć się w jakimkolwiek obwodzie maszyny do zmywania naczyń albo bankomacie. Tam rozmnażają się jak zwierzęta, mutują, ewoluują bez interwencji człowieka. Jedynym sposobem na ich powstrzymanie jest jednoczesne wyłączenie

wszystkich maszyn na całym świecie, co byłoby, prawdę mówiąc, niemożliwe. Po „biosferze” i „ideosferze” pojawiła się „komputosfera”.

Nie wiedziałem, że w Raju również można się pasjonować informatyką.

- Obecnie nie mamy zbyt dużego wpływu na komputery, umiemy tylko wywoływać „niewyjaśnione awarie”. Komputery są jednak coraz doskonalsze. Sprawa przedstawia się tak, jak z doktorem Frankensteinem i jego monstrem. Człowiek uczynił z komputera swoją zastępczą postać. Wprowadził do niego to, co miał najlepszego, pochodzące z owych maleńkich cząsteczek krzemu, kwarcu i miedzi. Dzięki temu wkrótce w maszynach tych zabłyśnie świadomość. Nawet Jacques Nemrod mówił, przypomnij sobie: „Pius 3,14”, informatyczny papież. To też jest jakiś pomysł, swoją drogą...

Słowa Edmunda dają mi do myślenia. Chyba zaczynam rozumieć.

- Zwykły człowiek, czwórka, może stać się mędrcom - piątką, dzięki pomocy minerału. Stąd równanie $4+1=5$.

- Tak jest. Po minerale, roślinie, zwierzęciu i człowieku ewoluujemy w stronę człowieka zjednoczonego z minerałem. Być może potem przyjdzie czas na człowieka zjednoczonego z rośliną, człowieka zjednoczonego ze zwierzęciem, albo może nawet na trójki: minerał - roślina - człowiek, albo czwórki: minerał - roślina - zwierzę - człowiek. To dopiero początek. Świadomy minerał w komputerach stanowi kolejny środek działania, wkrótce jednak świadomość zacznie się ujawniać w nowych formach życia, tak zwanych aliazach. Swoją drogą muszę o tym wspomnieć w mojej *Encyklopedii wiedzy względnej i absolutnej*. Znasz moje dzieło, prawda?

Potakuję. Cieszę się, że Edmund nie wspomniał o tym, jak zakłóciłem spokój skrybie, Papadopulosowi. Zapewne zdążył już znaleźć sobie jakiegoś zastępcę na to stanowisko.

- W planach mamy również wykorzystanie stworzeń innych niż koty jako pośredników w rozmowach z ludźmi. Wahamy się jeszcze, kogo wybrać: delfiny czy pająki. Osobiście jestem za pająkami, to bardziej oryginalny pomysł, ale sądzę, że zwyciężą jednak delfiny. Mają doskonałą opinię wśród szerokiej publiczności, poza tym są w stanie emitować niezwykle subtelne dźwięki.

Wpatruję się w Edmunda w napięciu.

- Czy mógłbyś mi teraz powiedzieć, czym jest „siódemka”? Bogiem? A może ty sam jesteś „siódemką”?

Edmund Wells spogląda na mnie, uśmiechając się przyjacielsko.

- Znajduję się na siódmym poziomie świadomości, ale wybrałem zajęcie instruktora w niższym wymiarze. Może pamiętasz, jak w dniu twojego Sądu Ostatecznego zaproponowano

ci powrót na Ziemię i egzystencję „WW”, Wielkiego Wtajemniczonego, abyś bezpośrednio pomagał ludziom, żyjąc wśród nich, albo awans na anioła wspierającego ich z wysokości. Podobnie postąpiono ze mną. Jako „siódemka” mogłem powrócić pomiędzy anioły, by pełnić rolę Wielkiego Wtajemniczonego Anioła, czyli właściwie archanioła.

- Czyli archaniołowie są Wielkimi Wtajemniczonymi Aniołami?

- Tak jest. Jesteśmy „siódemkami”, które z własnej woli pozostały na niższym poziomie, żeby pomagać innym aniołom wspinać się na wyżyny. Ja, Edmund Wells, jestem pełnoprawnym archaniołem, tak samo jak Rafał, Gabriel czy Michał. Mogłem więc zostać archaniołem albo przejść poziom wyżej i kontrolować wszystko z góry. Wybrałem pierwszą opcję. A ty co wybierzesz?

Z przekonaniem odpowiadam:

- Chcę się dowiedzieć, co jest powyżej!

Przemierzamy Raj w stronę Szmaragdowych Wrót.

Po drodze spotykamy Raoula Razorbaka, rozdartego pomiędzy podziwem a zazdrością.

- Niech ci będzie. Najwyraźniej da się ratować klientów, stosując łagodne środki. Wygrałeś zakład, Michaelu.

- A jak tobie idzie z Nathalie Kim? Chyba nieźle, co?

Raoul zwraca dłonie ku górze, przywołując kulę byłej towarzyszki życia mojego klienta.

- Ma 590 punktów. Pokładam w niej wielkie nadzieje. Chwilowo nosi żałobę po twoim Jacques'u. Naprawdę go kochała, wiesz?

- Mam nadzieję, że ci się uda i że znów się spotkamy, by wspólnie przeżyć kolejne przygody.

- Teraz, kiedy wiem już, że wygrana jest możliwa, postaram się, możesz być pewien! - mówi Raoul.

Szepcze mi na stronie, wskazując na Szmaragdowe Wrota: „Jeśli zdołasz, postaraj się dać mi znać, co jest za tymi drzwiami”.

Freddy Meyer bierze mnie w ramiona. Znów zajmuje się swoimi klientami.

- Wkrótce do ciebie dołączymy, Michaelu. - Jeszcze dane nam będzie razem odwiedzić Czerwień.

Marilyn również pozdrawia mnie po przyjacielsku, czuję jednak, że nie powinienem za bardzo przedłużać tych pożegnań.

- Pozdrówcie ode mnie Zoza, kiedy go spotkacie - mówię.

I z Edmundem Wellsem u mojego boku przekraczam dziarskim krokiem próg Szmaragdowych Wrót.

I co teraz?

202. ENCYKLOPEDIA

RZECZYWISTOŚĆ: „Rzeczywistość to coś, co wciąż istnieje, nawet gdy przestaniemy w to wierzyć”, twierdził pisarz Philip K. Dick. Musi być więc gdzieś obiektywna rzeczywistość, która wymyka się wiedzy i wierzeniom ludzi. Tę właśnie rzeczywistość pragnę zrozumieć i poznać.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

203. OSTATNIE ODKRYCIA

Edmund Wells kładzie mi rękę na ramieniu.

- Nie lubisz niespodzianek? Dlaczego chcesz wszystko wiedzieć z wyprzedzeniem? Czy nie lubisz uczucia, jakie towarzyszy nam w chwili, gdy mamy się dowiedzieć, co się znajduje za zakrętem? Nie lubisz, by zaskakiwało cię to, czego nie wiesz? Powiem ci... Wkrótce zmienisz się w coś innego... coś lepszego. To wszystko, co w tej chwili powinieneś wiedzieć.

Próbuję użyć wybiegu:

- Dobrze, a zatem jedno ostatnie pytanie. Nie odpowiadaj, jeśli nie chcesz: czy wierzysz w Boga?

Edmund wybucha śmiechem.

- Wierzę tak samo, jak wierzy się w liczby. Czy istnieje liczba 1? Czy kiedykolwiek uda mi się spotkać wcielenie liczby 1, 2 albo 3?

- Nie. To tylko pojęcie.

- No więc nawet jeśli liczby 1, 2 lub 3 są jedynie „pojęciami”, jak je nazywasz, pozwalają na rozwiązanie wielu problemów. Jakie znaczenie ma więc fakt, czy się wierzy czy też nie...

- To nie jest odpowiedź.

- Moja właśnie tak brzmi.

Następnie popycha mnie naprzód.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Wiedząc, że ciekawość jest twoją główną cechą, dam ci początek odpowiedzi na najważniejsze z zadawanych przez ciebie pytań.

Edmund prowadzi mnie do okrągłego pomieszczenia, w którego centrum znajduje się wielka świetlista kula zawierająca całą masę mniejszych kuleczek.

- Oto kula przeznaczenia aniołów - oznajmia.

Odwraca wnętrze dłoni ku górze i jedna z kul opuszcza swoje stałe miejsce i osiada na jego ręce.

- Oto... twoja dusza - oznajmia. - Zobacz, kim tak naprawdę jesteś - nakazuje mój instruktor.

Podchodzę bliżej. Po raz pierwszy oglądam z bliska własną duszę - przezroczystą kulkę o błyszczącym jądrze. Mój mentor uczy mnie, jak czytać z duszy i poznawać zapisaną w niej odwieczną historię.

Zanim wcieliłem się w Michaela Pinsona, dyskretnego pioniera tanatonautyki, byłem lekarzem w Sankt Petersburgu w latach 1850-1890. Starałem się poprawić poziom higieny podczas operacji chirurgicznych. Byłem jednym z pierwszych lekarzy, którzy sugerowali mycie rąk mydłem dezynfekującym i noszenie maseczek ochronnych. W owych czasach była to nowość. Wykładałem zasady higieny na uniwersytetach do czasu, gdy umarłem na gruźlicę.

Jeszcze wcześniej byłem baleriną wiedeńską. Piękną, ujmującą, prowokującą tancerką, zafascynowaną stosunkami damsko-męskimi. Uwielbiałam manipulować moimi adoratorami. Wielu mężczyzn nieźle nabrałam. Inne dziewczęta z grupy baletowej zwierzały mi się. Chciałam zrozumieć zasady rządzące podświadomością. Uważałam się za królową wszystkich serc, wreszcie jednak popełniłam samobójstwo z powodu pewnego przystojniaka, który okazał się obojętny na moje wdzięki.

W dwunastym wieku byłem japońskim samurajem. Ćwiczyłem sztuki walki, chcąc osiągnąć doskonałość ruchów. Nie zastanawiałem się nad niczym i byłem ślepo posłuszny mojemu szogunowi. Zginąłem podczas pojedynku w czasie wojny.

W ósmym wieku byłem druidem żądnym zgłębienia najskrytszych tajemnic natury. Uczyłem innych, jak leczyć choroby za pomocą traw i kwiatów. Byłem świadkiem ataku barbarzyńców na Wschód. Przemoc ludzi wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, że wolałem odebrać sobie życie, niż nadal żyć pośród nich.

W starożytnym Egipcie byłem niewolnicą w haremie faraona. Krążyłam bezczynnie, spokojna i rozpieszczana, po pałacowym ogrodzie, starając się wydrzeć mojemu ulubionemu eunuchowi nieco jego wiedzy astronomicznej. Przed śmiercią ze starości przekazałam swoją wiedzę najwierniejszej przyjaciółce.

Tyle wcieleń, tyle chęci pogłębienia wiedzy i tyleż porażek.

Edmund Wells stara się mnie podnieść na duchu:

- Od zawsze miałeś potrzebę szukania sposobu na szerzenie wiedzy. Teraz wreszcie jest ci to dane, po tylu istnieniach, tylu nadziejach i porażkach.

Mój mentor zdradza mi, że Droga Mleczna ma dwanaście zamieszkałych planet. Nie są to jednak koniecznie istoty człękkształtne, cielesne.

- Ziemia w Układzie Słonecznym jest znanym wakacyjnym kurortem dla dusz, tutaj bowiem mogą one liczyć na najbardziej emocjonujące wrażenie: doświadczenie materii.

- Materii?

- Tak jest. Oprócz Czerwieni, którą już zwiedziłeś, istnieją jeszcze inne planety, na których dusze nie mogą jednak doświadczać wcielenia. Materia nie jest w gruncie rzeczy aż tak rozpowszechniona. Dlatego właśnie musiałeś pokonać tyle lat świetlnych, żeby natrafić na ślady życia. Dusze, nawet te bardzo posunięte w ewolucji, są zawsze pod wielkim wrażeniem, gdy mogą po raz pierwszy poczuć rozkosz znalezienia się w ciele i doświadczenia świata. Przyjemność, jaką daje pięć zmysłów, jest jednym z najsilniejszych wrażeń dostępnych we wszechświecie. Ach! Poczuć pocałunek! Nawet ja tęsknię za podmuchem morskiego powietrza albo za delikatnym zapachem róży. Wreszcie...

Edmund przyjmuje smutny wyraz twarzy i ciągnie dalej:

- Jednak ogół ziemskiej ludzkości jest zapóźniony i powinien wznieść się w górę. Wysyłamy więc dusze z jedenastu innych planet, które uzbierały 500 punktów i więcej, żeby nieco podnieść ziemską średnią, utrzymującą się na poziomie 333 punktów. To właśnie przypadek Nathalie Kim, doskonałej duszy przybyłej z daleka.

Edmund Wells umieszcza moją duszę na czubku swojego palca wskazującego i zaczyna bawić się nią jak zongler piłeczką. Nagle robi coś strasznego. Wcisną światłą kulę w moją klatkę piersiową!

204. ENCYKLOPEDIA

KOT SCHRÖDINGERA: Niektóre wydarzenia mają miejsce tylko dlatego, że są obserwowane. Gdyby nikt nie patrzył, nie istniałyby. Na tym polega doświadczenie znane pod nazwą „kot Schrödingera”.

Kot zostaje zamknięty w hermetycznym i nieprzeźroczystym pudełku. Aparatura wyzwala w przypadkowych odstępach czasu wyładowania elektryczne o mocy wystarczającej, by zabić zwierzę. Włączamy je, a następnie wyłączamy. Czy śmiertelna dawka została wyzwolona? Czy kot jeszcze żyje?

Dla klasycznego fizyka jedyną metodą sprawdzenia jest otwarcie pudełka i przekonanie się na własne oczy. Fizyk kwantowy gotów jest przyjąć, że kot jest w 50 procent martwy, a w 50 procent żywy. Dopóki pudełko nie zostanie otwarte, możemy zakładać, że znajduje się w nim kot w połowie żywy i w połowie martwy. Pomijając jednak owe dywagacje na temat fizyki kwantowej, zauważmy, że istnieje pewna istota, która wie, czy kot jest żywy czy też martwy, nie musząc w tym celu otwierać pudełka: jest nią sam kot.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

205. W STRONĘ NOWEGO ŚWIATA

Moja dusza błyszczy wewnątrz mnie niczym maleńkie słońeczko. Czy to możliwe, że zostałem zwrócony sam sobie? Czy to możliwe, bym przestał być czyjąś marionetką? Z początku odczuwam to przeniknięcie do strefy pełnej wolnej woli jako coś przerażającego. Zaczynam rozumieć, że nigdy mnie nie nauczono, jak przyjąć odpowiedzialność za wolność, której zawsze tak bardzo pragnąłem. Teraz chciałbym czuć, że ktoś tam w górze, jakieś tajemnicze istoty inteligentniejsze niż ja, zajmują się ochranianiem mnie i naprowadzaniem na właściwą drogę. Ten okrutny gest Edmunda Wellsa zmusił mnie do radzenia sobie samemu. Gdybym wiedział, że to właśnie będzie nagrodą dla „szóstki”, być może nie byłbym aż taki hardy. Ta wolność mnie przeraża! Jak trudno pogodzić się z faktem, że jest się jedynym panem samego siebie!

Nie mam jednak czasu na te rozważania, gdyż mój mentor ciągnie mnie w głąb

jakiegoś korytarza.

Ten kończy się jak butelka Kleina: pętlą, która odwraca się, by wtopić się w jedną ze ścianek naczynia w taki sposób, że szyjka staje się jej wnętrzem. Znajduję się w samym środku... Jeziora Poczęć.

- Nie bardzo rozumiem... - zaczynam.

- Przypomnij sobie zagadkę, jaką zadawałeś w *Tanatonautach*: jak narysować okrąg i jego środek, nie odrywając ołówka od papieru. Zwykła dziecienna zagadka. Podałeś na końcu rozwiązanie: zagiąć róg papieru, przy czym lewa strona ma posłużyć za przejście pomiędzy punktem i okręgiem. Wystarczy po prostu narysować spiralę. W rzeczywistości dzięki tej zagadce rozwiązałeś zagadkę największą ze wszystkich. Żeby ewoluować, trzeba zmienić tor.

Wszystko stawało się jasne. Szóstka jako spirala. Duchowa szóstka. Duchowość. Duchowość to wyjście ruchem spiralnym z części zewnętrznej i w stronę centrum. Dotarłem do swojego centrum. Teraz zmierzam w stronę środka anielskiej krainy.

- Chodź za mną! - nakazuje Edmund Wells.

Znajdujemy się w wodach Jeziora Poczęć. Nad powierzchnią rozróżniam aniołów instruktorów wybierających swoje dusze. Dostrzegam nawet Jacques'a Nemroda. A więc i on postanowił zostać aniołem...

- Oni nas nie widzą? - pytam.

- Nie, żeby widzieć, trzeba rozumieć. Kto szukałby czegośkolwiek w głębinie Jeziora Poczęć?

Dociera do mnie poczucie straconego czasu.

- Więc mogłem znaleźć się tutaj bezpośrednio?

- Oczywiście. Już pierwszego dnia ty i Raoul mogliście odkryć to wszystko, zgłębiając „środek i wnętrze” zamiast „dali i wierzchu”.

Poruszamy się w wodzie stawiającej niewiele większy opór niż powietrze. Edmund Wells prowadzi mnie w stronę środka jeziora. W głębi migocze mała różowa gwiazda.

- Gdy się wystarczająco skoncentruje, można sięgnąć środka. Dotykając środka, przenika się go i wychodzi w następnym wymiarze. Za każdym razem, kiedy wydostajemy się poza obwód koła i docieramy do jego centrum, zmieniamy wymiar, a więc także sposób pojmowania czasoprzestrzeni. Ty, który zwiedziłeś wszystko, co było do zwiedzenia we wszechświecie - chodź teraz za mną, pokażę ci inny.

- Czy... czy idziemy do świata bogów?

Edmund udaje, że nie usłyszał mojego pytania.

Powoli zbliżamy się do różowej poświaty. Ku mojemu zaskoczeniu widzę, że w

środku znajduje się...

Nauka doskonale wyjaśnia, dlaczego ludzie w momencie śmierci mają wizje. Nie ma w tym nic tajemniczego. To tylko ładunek endorfin, mający na celu uśmierzenie bólu konającego. Wylądowanie działa na podwzgórze, prowokując serię psychodelicznych obrazów. Przypomina to efekt gazu znieczulającego przed operacją chirurgiczną.

Źródło: przypadkowa osoba biorąca udział w sondzie ulicznej.

206. PERSPEKTYWA

Spadająca gwiazda.

Śledząc ją wzrokiem, stojąca na balkonie starsza pani wypowiada życzenie. Podchodzi do niej wnuczka, trzymająca w ręce wielką klatkę.

- Co się stało, Mylene?

- Babciu, chciałam ci pokazać nową zabawkę, którą dostałam pod choinkę.

Staruszka nachyla się i zagląda do klatki. Dostrzega trzy przerażone chomiki skulone w jednym z kątów. Za pomocą ostrych zębów i pazurków próbują stworzyć z papieru gazetowego bezpieczne jaskinie.

- Podobno ocalono je specjalnie dla mnie. W przeciwnym wypadku trafiłyby do laboratorium, gdzie przeprowadzano by na nich wiwisekcję!

Olbrzymie oko zbliża się do więźniów.

- Jak je nazwałaś?

- To dwóch samców i samiczka: Amedee, Denis i Noemie. Śliczne, prawda?

Olbrzymie oko wycofuje się.

- Pamiętaj, że hodowanie chomików to duża odpowiedzialność. Trzeba się nimi zajmować, karmić je, uważać, żeby się ze sobą nie gryzły, czyścić klatkę. Jeśli się tego nie robi - giną.

- A co one jedzą?

- Ziarna słonecznika.

Dziewczynka stawia klatkę na podłodze i po chwili wraca z pudełkiem szarych ziarenek, które wsypuje do karmnika, do poidła wlewa wodę. Jeden z chomików, najodważniejszy, wchodzi na karuzelę i zaczyna nią kręcić coraz szybciej i szybciej.

- Dlaczego Amedee tak się miota? - dziwi się Mylene.

- Wiesz, one czasami nie mają nic innego do roboty przez cały dzień - wzdycha babcia. Dziewczynka się krzywi.

- Myślisz, babciu, że mogłabym je wypuścić z klatki, żeby sobie troszkę rozprostowały łapki?

Starsza pani głaszcząc dziewczynkę po głowie.

- Nie. Czułyby się zagubione. Od zawsze mieszkają w klatce. Nie wiedziałyby, dokąd pójść.

- Więc co mogłabym zrobić, żeby je uszczęśliwić?

- Dobre pytanie...

Wzrok Nathalie Kim przeniósł się z wnuczki na firmament. Widok nieba zawsze ją uspokajał.

„Być może tam właśnie jest Jacques”, mówiła sobie.

Małeńki biały punkcik w pobliżu Księżyca przemieszczał się bardzo szybko. To nie była spadająca gwiazda. Marzenie się nie spełni. Nie był to też satelita. Wiedziała, co to było. Wielki samolot transportowy. Zapewne Boeing 747.

Wnuczka tuli się do babci.

- Babciu, myślisz, że moje chomiki kiedyś umrą?

- Ciiii... Nie myśl o tym, Mylene.

- Ale przecież coś trzeba będzie wtedy zrobić, prawda? Przecież nie wyrzucę ich do śmietnika! Myślę, że istnieje raj chomików...

Nathalie Kim odgarnęła długi kosmyk siwych włosów, który opadał jej na twarz. Następnie z czułością uniosła podbródek dziewczynki ku sobie. Wskazała na sklepienie niebieskie w całej jego panoramicznej rozciągłości.

- Ciii, popatrz na gwiazdy i ciesz się z tego, że żyjesz.

207. ENCYKLOPEDIA

WIERZYĆ: „Wierzyć czy nie, to nie ma żadnego znaczenia. Najciekawsze jest zadawanie sobie coraz większej liczby pytań”.

Edmund Wells,

Encyklopedia wiedzy względnej i absolutnej, tom IV

208. INNA PERSPEKTYWA

Trzy chomiki przerwały swoje zajęcia i pokonując wrodzony lęk, spojrzwały przez kraty na wielkie, poruszające się kształty, które wydawały z siebie niskie dźwięki.

PODZIĘKOWANIA:

Podziękowania zechcą przyjąć: prof. Gérard Amzallag, Françoise Chaffanel-Ferrand, Richard Ducousset, Patrice Lanoy, Jérôme Marchand, Nathalie Mongins, Monique Parent, Max Prioux, Frank Samson, Reine Silbert, Jean-Michel Truong, Patrice Van Eersel, mój ojciec, François Werber, który nauczył mnie grać w szachy oraz mój anioł stróż (jeśli istnieje).

Podczas pracy nad tą książką słuchałem: *La Musique du Livre du Voyage* Loïca Étienne'a; *Incantations* Mike'a Oldfielda; *White Winds* Andreasa Vollenweidera; *Shine on You Crazy Diamond* Pink Floydów; *Nocy na Łysej Górze* Musorgskiego; *Real to reel* w wykonaniu zespołu Marillion; *Moment in Love* Art of Noise; muzyki z filmów *Braveheart*, *Walczne serce*, *Wodny świat*, *Jonathan Livingston Seagull*.

Wydarzenia, jakie miały miejsce podczas pisania tej książki, a które wpłynęły na jej treść: nurkowanie z dzikimi delfinami na Azorach, praca w Paryżu i Ermenonville przy realizacji filmu *La Reine de nacre* (pierwsze doświadczenie kolektywnej twórczości), długi marsz Doliną Cudów w Prowansji, obserwacja zaćmienia słońca w obserwatorium astronomicznym w Nicei, wstąpienie w kolejne tysiąclecie.

Strony internetowe: www.albin-michel.fr

www.bernardwerber.com